

**DORIS MORTMAN**

# **WICHRY NAMIĘTNOŚCI**



*Dawidowi, który napelnia moje serce radością i  
miłością*

## ROZDZIAŁ PIERWSZY

Biuro Jennifer Cranshaw wyglądało niczym garderoba broadwayowskiego teatryku. Pełno w nim było szczupłych modelek, które siedziały oparte o ściany albo po turecku na podłodze, ćwiczyły w rogu lub leżały w przejściu, pijąc kawę z plastikowych kubków. Cała ich uwaga była skoncentrowana na Jennifer, która cierpliwie pouczała wysoką, rudą dziewczynę w drelichowym uniformie i podkoszulku.

Jennifer zdjęła moherową marynarkę i rzuciła ją na najbliższe krzesło. Kładąc rękę na delikatnym wygięciu biodra, przybrała teatralną pozę, odrzuciła do tyłu głowę, przestąpiła z nogi na nogę i obniżyła lewe ramię. Potem z gracją tancerki przeszła przez pokój, a jej nogi wycierały przez wąskie wycięcie w spódnicy. Jej zadbane ciało kołysało się prowokacyjnie, poruszając się w rytm wymyślonej melodii. Gdy dotarła do biurka i przybrała z powrotem normalną postawę, powitała ją burza oklasków.

Było to na trzy dni przed przyjęciem - wielką uroczystością z okazji czterdziestolecia magazynu Jolie - dokonywała ostatecznego wyboru modeli do pokazu mody, który miał uświetnić część wieczoru.

Jej zmartwieniem była Coral Trent, młoda modelka, wyraźnie bardzo zdenerwowana. Po udzieleniu jej kilku wskazówek, Jennifer zostawiła Coral pod opieką kierownika modelek, aby zająć się innymi. Włączyła coś dyskotekowego i pokazywała każdej, jak się ma zatrzymać i obracać. Za kilka dni ponad tysiąc osób zjawi się w Cloud 9, znanej nowojorskiej dyskotece, aby uczcić rocznicę magazynu. Jako kierownik promocji była odpowiedzialna za dopracowanie każdego szczegółu - od retrospekcyjnego pokazu mody aż do opracowania listy gości, nadzorowania menu i obsługi

prasowej. Podczas gdy inne projekty zalegały na jej biurku na jakiś czas zapomniane, próbowała opanować niepokój o właściwy przebieg zdarzeń. Jennifer szczyliła się tym, że zawsze dotrzymywała terminu. Zależało jej, aby utrzymać taką opinię.

Trzy wysokie blondynki przeszły przez pokój w takt muzyki, mając nadzieję, że przyciągną jej uwagę kołysaniem biodrami i tanecznym krokiem z lat pięćdziesiątych. Jennifer zachęcała je, aby robiły tak dalej, gdy tymczasem sama zaczęła przeglądać swoje notatki.

„Spotkać się z organizatorem przyjęć o trzeciej po południu” - koło jego nazwiska dopisała „zakąski”, przypominając sobie, aby sprawdzić obecną cenę kawioru. Brad Helins, szef Jennifer, upierał się, żeby był kawior i szampan, ale przy tak napiętym budżecie i niepokojącym spadku wpływów z reklam, lepiej było być ostrożną.

„Zadzwoić do kwiaciara”. Jennifer dała znać modelkom, żeby zrobiły sobie przerwę. Skinęła do okrągłej na twarzy brunetki - Uty aby usiadła w fotelu, przy jej biurku. Sama wykręciła numer do Vincente'a Matteo, najlepszego kwiaciara na Park Avenue i człowieka, którego wyznaczyła na dyrektora przyjęcia. Mimi Holden - sekretarka Jennifer - z wahaniem położyła plecioną tackę z całym zestawem sztucznych rzęs i czarnych kredek do oczu. Jennifer przyłożyła słuchawkę do ucha i przytrzymała ją ramieniem, aby mieć wolne ręce, a następnie wzięła szczypce i schwyliła rzęsę metalowymi końcami. Mimi, jak dobrze wyszkolona pielęgniarzka z sali operacyjnej, wcisnęła Jennifer do ręki małą tubkę kleju, obserwując jednocześnie, jak starannie rozpościera białą linię na brzegu rzęsy, którą później zsuwa na powiekę i delikatnie dopasowuje. Jennifer czekając na Vincente'a starała się nie niecierpliwić.

Podczas ich pierwszego spotkania była po prostu zbyt nieśmiała.

Wysuwała propozycje, a on żądania. Wymieniła cenę, a on ją odrzucił. Chciała kontraktu, a on wolał umowę zlecenia. Jennifer w końcu wygrała, ale wiedziała, że trzeba się z nim delikatnie obchodzić.

Chwyciła drugą rzesę, gdy dotarł do niej wysoki, męski głos.

- Jennifer Cranshaw?

- Tak, to ja. - Rozpostarła kleistą, białą pastę na rzesie i wytarła resztkę kleju z palca. - Z magazynu Jolie. Robisz coś dla nas w ten czwartek.

- A, Jennifer, oczywiście! Przepraszam. Dobrze, że zadzwoniłaś.

Nie wiem, jak ci to powiedzieć, ale tych dużych, szklanych wazonów nie będzie.

Druga rzesza już była na miejscu. Jennifer cofnęła się, zezując, aby upewnić się, czy są równe i policzyła do dziesięciu.

- Nie będzie, dlaczego? - Wybrała z tacki czarną jak smoła kredkę.

- Bo są raczej kiepskie.

- Miesiąc temu były najbardziej przebojowe, jakie kiedykolwiek widziałeś.

- Miałem jednak sen.

- Co miałeś?! - Jennifer zamilkła na chwilę, aby zrozumieć to, co powiedział, a potem dalej rysowała grube, czarne linie w półkregi pod powiekami Uty.

- Miałem sen, kochanie. Widziałem lilie w koszykach. Były tam i unosiły się przede mną. Całe pęki bajecznych lilii. W najcudowniejszych koszykach na świecie. Kolory były po prostu boskie, a efekt, wiesz kochanie, można było paść.

Zrozumiałem wtedy, że wazony są do niczego.

- Naprawdę? - W jej głosie zabrzmiała złość.

- Szkło jest za bardzo przejrzyste, a koszyki są ciepłe, subtelne, a nawet przytulne, nie uważasz?

- Vincente, to nie jest piknik. To będzie elegancki wieczór, którego gospodarzem będzie najstarszy przegład mody. - Słyszała, jak narzeka i mruczy pod nosem.

- Vincente, czy słuchasz mnie jeszcze?

- Traktujesz mnie jak dziecko, Jennifer.

- Skomlisz jak dziecko - powiedziała, próbując trzymać słuchawkę prosto, gdy nakładała dolne rzęsy. - Zgodziliśmy się, że będą duże wazony pełne dojrzałych lilii i tak ma być.

- Ale to mi się już nie podoba.

- Ale mnie tak. - Jennifer zaczerpnęła powietrza, cofając się, aby podziwiać swoje dzieło. Jednocześnie powstrzymywała się, żeby nie krzyknąć na tego faceta po drugiej stronie telefonu. - Wiem, że próbujesz zrobić to jak najlepiej i doceniam, że badasz inne możliwości, ale twoim pierwszym pomysłem były lilie w szkłe. To było świetne.

Po dłuższym namyśle Vincente w końcu się zgodził.

- Dobrze, będą szklane wazony.

Mimi roześmiała się, widząc wyraz frustracji na twarzy Jennifer.

- Ten człowiek mnie kiedyś wykończy. Gdyby jego prace nie były takie wyjątkowe, kopnęłabym go w to jego ucho z diamentowym kolczykiem.

- Płacisz i wymagasz - powiedziała Mimi, zdejmując przykrywkę z kleju.

Jennifer kiwnęła głową i dalej eksperymentowała z krótką asymetryczną peruką na głowie Uty.

- Voila. - Pomogła modelce wstać i pokazała ją

wszystkim w pokoju.

Dziewczyna stała się dokładną kopią Peggy Moffett, lalkowatą modelką z fryzurą Sassoon, która pomogła wylansować Rudi Gernreich w latach sześćdziesiątych. Mimi obserwowała, jak Jennifer podchodzi z modelką do okna, gdzie Hilary West - kierownik biura modelek przeprowadzała selekcję dziewcząt.

Mimi podziwiała nieokiełznaną energię Jennifer, która gestykulowała, bardzo podniecona, machając rękami. Słońce świeciło coraz mocniej, a jego promienie odbijały się w złocistokasztanowych włosach Jennifer. Nawet teraz, mimo tego co się działo, wydawała się górować nad wszystkimi innymi. Miała zapal trenera.

Mimi imponowało jej dążenie do doskonałości, które onieśmiało innych. Pracowały razem dopiero od dwóch lat, ale Mimi uważała Jennifer za przyjaciółkę i idola. Jeśli ktoś był w stanie zorganizować to całe przyjęcie, to na pewno Jennifer. Co więcej, Mimi wiedziała, że zrobi to w świetnym stylu. Jennifer wróciła do swojego biurka i usiadła w fotelu, próbując uniknąć ostrego klucia w kręgosłupie. Mimi podała jej filiżankę kawy i kilka potwierdzeń reklamowych. Jennifer przyjrzała się im i naniosła kilka poprawek na marginesie.

- Gdy to podrzucisz do Wydziału Sztuki - powiedziała sprawdzając w grafiku - czy mogłabyś poprosić Patricka Grahama, żeby przyszedł?

Chyba będę potrzebowała jego pomocy.

Kiedy Mimi skierowała się do drzwi, wszedł fotograf ze swoim asystentem.

- Albert, spóźniłeś się! Już myślałam, że znalazłeś inną pracę. - W jej głosie było więcej przekomarzania się niż złości.

- Czy może być coś lepszego niż praca u ciebie? -

Albert podał torbę i kamerę asystentowi. - Dobrze, ale starczy już gadania. Co byś powiedziała na parę zdjęć sławnej pani Cranshaw przy pracy?

- Już masz parę moich zdjęć - powiedziała Jennifer. - Zajmij się zespołem i modelkami. I zrób kilka zdjęć mojej sekretarce. Ta dziewczyna trochę się zaniedbała, a to by jej pomogło.

Albert chwycił swojego Nikona, powiedział coś do asystenta po włosku i zabrał się do pracy. Chodzili obydwoj po sali, pstrykając migawkami. Tylko jedna kamera była załadowana i nawet Jennifer nie wiedziała, kto ją trzyma. Co chwila włączali ją i przełączali. W ten sposób wyeliminowali wszelkie pozy. Robili ludziom zdjęcia z zaskoczenia. Uważała, że właśnie to czyniło prace Alberta cudownymi.

- W czym mogę pomóc? - Patrick Graham, kierownik Wydziału Sztuki magazynu Jolie usiadł obok z papierosem zwisającym w kąciu ust.

- Mógłbyś mi pomóc. Mam kłopoty przy wyborze ostatnich modelek i pomyślałam, że zasięgnę twej dojrzałej rady.

Patrick wykrzywił swoją chłopcę twarz w sceptycznym grymasie.

- Ile modelek potrzebujesz i jakich?

- Siedem i dużo ekspresji. Żadnych nudnych twarzy i zwiotczałych ciał. Już miesiąc temu kontaktowałam się ze wszystkimi znanymi dziewczynami: Jasmine, Brinkley, Chin, Cleveland, Imam i już nie pamiętam z kim jeszcze, ale wszystkich potrzebuję trzydzieści. Te, tutaj, są z agencji. Wiesz, pokazy w zamkniętym kręgu, żadnego doświadczenia z prasą i TV. Są dobre, ale chcę, żeby były lepsze.

- Hilary się tym nie zajmie?

- Tak, ale to duża robota, czas ucieka i wolałabym,



żebyś się w to włączył.

- Każde twoje życzenie jest dla mnie rozkazem. - Patrick zgasił papierosa i przeszedł na drugą stronę pokoju, gdzie Hilary stała wśród ochoczych modelek.

Do Jennifer podszedł fotograf.

- Twoja sekretarka trochę się boi kamery. Nie daje sobie zrobić zdjęcia. Zupełnie nie mogę tego zrozumieć. Nieźle wygląda, ale zmarnowaliśmy z Giancarlo dwie rolki filmu na jej plecy. O co tu chodzi?

Jennifer rozejrzała się za Mimi, ale nigdzie jej nie było.

- Nie wiem. Powiedziałam, że można by użyć tych zdjęć w przyszłym numerze Jolie. Myślałam, że spodoba się jej jak ją rodzice zobaczą w magazynie. Jeśli nie chce - zostawcie ją. Złapicie ją na przyjęciu.

Albert wrócił do pracy. Jennifer wzięła poranną gazetę i zaczęła sprawdzać, czy piszą coś na temat przyjęcia. Znalazła małą notkę w Modzie Kobiecej, zakreśliła ją czerwoną kredką, a następnie przeszła do Przeglądu Mody, gazety, której nie można było niczym zastąpić. Producenci wszystkiego, od nici do futer, szukali w Przeglądzie Mody najnowszych trendów, informacji o wahaniami rynku i innowacjach technicznych, jak również poufnych informacji o konkurencji oraz o wzorach, które dobrze się sprzedają. Detaliści przeglądali strony, znajdując tu źródła dobrej reklamy, która mogłaby skutecznie oddziaływać na klientów. Projektanci natomiast szukali natchnienia, jak i uznania dla swoich obecnych kolekcji, a kierownicy pokazów - oryginalnych dekoracji wnętrz. I nieważne, kto kim był - każdy to czytał.

Jak zwykle Jennifer przejrzała wszystko uważnie, ale dzisiaj szczególnie była zainteresowana rubryczką z

plotkami. Zwróciła uwagę na kilka artykułów, mając nadzieję, że znajdzie wzmiankę o przyjęciu. Niepokoilo ją, że nic nie znalazła. Gdy chciała już skontaktować się ze znajomym z Przeglądu Mody, zadzwonił telefon.

- Pani Cranshaw, tutaj sekretarka pana Helinsa. Pan Helins chciałby, aby pani natychmiast przyszła do jego biura.

Głos sekretarki był stanowczy i poważny. Coś było nie w porządku.

Brad rzadko organizował nie zapowiedziane zebrania i nigdy nie robił tego bez powodu.

- Zaraz tam będę. - Jennifer prawie wybiegła ze swojego biura.

## ROZDZIAŁ DRUGI

Gdyby Bradford Adamson Helms urodził się w mniej szacownej rodzinie, prawdopodobnie byłby o wiele szczęśliwszy.

Helmsowie zawsze jednak wiedzieli, czego się od nich wymaga. Zimy spędzali w Palm Beach, lata w Southampton, a Kto jest Kto poświęcało im przeważnie co najmniej jeden akapit. W porównaniu ze swoim sławnym klanem Brad był zwyczajny. Skończył studia w Dartmouth. Po krótkiej praktyce w banku rodzinnym Helms senior stwierdził, że Brad nie pasuje do świata finansjery. Brad był tego samego zdania, a ponieważ był bystry, stwierdził, że jego największe atuty to urok osobisty i uroda gwiazdy filmowej.

Dzięki temu zdobył stanowisko wydawcy magazynu Jolie oraz Ivy Calder. Patrząc w przeszłość, Brad przypuszczał, że to co czuł do Ivy, to były początki miłości. W końcu była debiutantką roku, rozchwytywaną przez mężczyzn. Wtedy wydawała się doskonałą partią.

Szybko jednak odkrył, że jego piękna narzeczona jest wyrzeźbiona z lodu. Przez dziesięć lat znosił jej oziębłość. Pięć lat temu zaczął szukać innych rozwiązań. Był dyskretny, zadając sobie wiele trudu, żeby nie wplątać się w jakiś grząski romans, ale chyba niewystarczająco dyskretny. Teraz Ivy wniosła do sądu sprawę o rozwód, grożąc, że narobi w gazetach szumu na temat jego niewierności. Była zdecydowana wyciągnąć od niego wszystko, co można. Brad nie miał nic przeciwko żądaniom finansowym. Jego konto bankowe mogło znieść jej zachłanność, ale ona uzyskała nakaz sądowy zabraniający mu widywania się z dziećmi. Za namową adwokata Brad prowadził przykładowy, aczkolwiek kawalerski żywot, chcąc zrobić wszystko, aby okazać się godnym ojcem. Wiedział, że jego sytuacja nie jest najlepsza.

Ivy nie wystarczała zwykła zemsta.

Obserwowała każdy jego ruch, czekając na poślizgnięcie, które dałoby jej całkowite zwycięstwo.

Brad błędził oczami po biurze. Było imponujące, z dużymi oknami po obu stronach, ze wspaniałym widokiem na górną część Lexington Avenue. Na jego żądanie dwie wewnętrzne ściany obito boazerią z naturalnych desek cedrowych, odtwarzając atmosferę drewnianych wnętrz luksusowego schroniska narciarskiego w Vermont. Mimo swoich rozmiarów pokój był przytulny z długimi, mahoniowymi kanapami wyściełanymi skórą, a od ściany do ściany rozpościerały się czarno - brązowe pluszowe dywany. Krzesła, które wybrał, stały na jesionowych klockach. Oparcia i siedzenia były obite skórą antylopy. Nad kanapą kolekcja rogów zwierzęcych tworzyła trójwymiarowy kolaż z ostro zakończonymi spiralami i szpicami, które sięgały głów gości. Na przeciwległej ścianie wisiał olbrzymi dywan Navaho.

Gdy przypatrywał się otoczeniu, chłód przenikał jego ciało.

„Czy było możliwe, żeby Ivy też mu to zabrała?” - Już są wszyscy, panie Helms. - Sekretarka Brada stała w drzwiach, czekając na skinienie szefa, zanim wpuści pracowników do środka. Na jego skinienie usunęła się z przejścia.

Pierwsza weszła Jennifer, a za nią Gwendolyn Stuart, redaktor naczelny i Terk Conlon, kierownik działu reklamy.

- Gdzie jest Brooke Wheeler? - spytał Brad.

- Panny Wheeler dzisiaj nie ma, ponieważ jest chora - powiedziała Clara, zamykając za sobą drzwi.

- Co za nagły wypadek? - Gwen Stuart usiadła naprzeciwko Brada, trzymając okulary przeciwsłoneczne na

czubku głowy z ciemnymi, krótko obciętymi włosami. Właśnie wróciła z Paryża i błyszczała jak gwiazda. Miała na sobie miękkie, szarobłękitny sweter z wypchanymi ramionami i wąską, robioną na drutach spódnicę rozciętą do kolan.

- A dlaczego nie ma tutaj redaktora głównego i redaktora do spraw mody, jeżeli już o to chodzi?

- Ponieważ podjąłem bardzo ważną decyzję. Od dzisiaj będziemy się spotykali tylko w tym gronie.

Ton głosu Brada przekreślał wszelkie dyskusje. Jennifer i Terk usiedli na krzesłach obok Gwen, która przytkała palcami w torebkę i marszczyła brwi w oczekiwaniu.

- Chciałbym przeczytać wam mały fragment dzisiejszego wydania Przeglądu Mody - powiedział Brad, trzymając gazetę w rękę tak jakby trzymał książeczkę do nabożeństwa: - Mówi się, że jakiś nikomu nie znany milioner pragnie zdobyć pewną młodą kobietę, a raczej pismo dla młodych kobiet. Podobno bardzo mu na tym zależy.

Ciekawe, czy FP dostarczą mu zajęcia, czy też odwrotnie?

Brad odłożył gazetę i spróbował ocenić reakcję. Gwen dalej przytkała palcami, a twarz Terka pozostawała bez wyrazu. Tylko po Jennifer było widać, że jest przejęta. Wydawało się, że jest zaszokowana. Spojrzała najpierw na Brada, a później na własny egzemplarz gazety. Był tam krótki artykuł na dole strony, którą czytała. FP oznaczało Fellows Publications - firmę założycielską Jolie. Zrozumiała natychmiast, dlaczego zwołał to nadzwyczajne spotkanie.

- Według tego - Brad mówił dalej - magazyn jest do wzięcia. Jeden mój znajomy z Przeglądu Mody podsunął mi ten kawałek kilka dni temu, ale nie mógł niczego potwierdzić ani niczemu zaprzeczyć.

Nikt tutaj w zarządzie chyba nic na ten temat nie wie, a jeśli nawet, to nic nie mówi. Wiemy tylko, że nasza sytuacja jest kiepska i wszystko jest możliwe.

- Może oni mają na myśli Allure? - powiedział Terk Conlon.

- Wątpliwe. - Brad potrząsnął głową. - Przewyższają nas liczbą czytelników o kilka milionów. Mamy niecałe cztery miliony nakładu, a oni stoją twardo przy sześciu i mają jeszcze tendencję zwyżkową.

I my, i oni mamy tych samych rodziców, ale oni zarabiają na sobie, a my nie. Nietrudno sobie wyobrazić, że jedno z nas zostanie sierotą.

- Nie wiem, jak można by powstrzymać Fellowsów od sprzedaży - powiedział Terk Conlon. - A może nowy zarząd byłby lepszy?

- Nie zgadzam się z tobą. - W głosie Brada słychać było niechęć do Terka. - Jeśli dojdzie do sprzedaży, to może dojść do pełnej reorganizacji zespołu, a ja nie chciałbym tego oglądać. - Mnie pierwszego by wyrzucili, pomyślał. - Ale myślę, że możemy do tego nie dopuścić - mówił dalej Brad. - Jeśli spadek sprzedaży jest problemem, a wydaje mi się, że tak, to musimy wymyślić plan, który przyniesie nam natychmiastowy i imponujący wzrost. Chyba znalazłem na to sposób. Cały kwietniowy numer poświęcimy Hawajom.

- To najbardziej absurdalna rzecz, jaką kiedykolwiek słyszałam - natychmiast zareagowała Gwen. - Wszystko mi jedno, czy zostaniemy sprzedani na aukcji, czy w publicznej telewizji. Poświęcenie całego numeru jednemu stanowi jest przecież nudne, a Hawaje nie mają zupełnie sensu.

Jennifer myślała tak samo jak Gwen, ale nie miała w zwyczaju odrzucać pomysłu, zanim nie został przedyskutowany do końca.

- Brad, dlaczego zdecydowałeś się na Hawaje? - powiedziała, maskując swoje zarzuty w delikatnie sformułowanym pytaniu.

Brad nie mógł wywnioskować z tonu głosu, czy Jennifer jest za, czy przeciw, a on potrzebował sprzymierzeńca. Przełknął więc złość do Gwen i odpowiedział Jennifer.

- Od miesiący wysłuchuję już od naszych projektantów, że tropiki będą miały największy wpływ na modę. Hawaje są tropikalnym rajem dla Ameryki. Dlaczego mamy z tego nie skorzystać? Kalifornia była już przedstawiana do znudzenia, a Floryda nie ma w sobie tyle czaru, żeby wylansować nową modę.

Jennifer wciąż nie była przekonana, ale podzielała poglądy Brada, że trzeba szybko coś zrobić.

- Będę potrzebował wszystkich informacji na ten temat - mówił Brad. - Każdy wydział będzie zaangażowany. Niech ktoś się zajmie kwestią pracy na wyspach. Potrzebuję artykułów na temat potraw, napojów, sposobu odżywiania, mebli i oczywiście stylu ubierania.

- Brad, kochanie. - Wrogość Gwen zawsze łatwo było zmierzyć przez sztuczność jej wypowiedzi. Im bardziej była przekorna, tym bardziej stawała się brytyjska, a nie jest to takie proste dla dziewczyny z Brooklynu.

- Czy ma pani jakiś problem, Pani Redaktor? - spytał Brad z kwaśnym grymasem na twarzy.

- Ależ nie, Monsieur Wydawco, to pan ma problem. Właśnie wróciłam z Paryża i nie przypominam sobie, żebym słyszała o projektach na lato.

Jej sarkazm rozgniewał Brada.

- Jakoś nie wydaje mi się, aby pani całkiem zrozumiała sytuację, Gwendolyn. Pani świetnie wystrojony tyłek jest tak

samo narażony jak i nasze, więc radzę, żeby dała pani z siebie wszystko.

Gwen opanowała furję. Nie cierpiała, jak jej się mówi, co ma zrobić ze swoim magazynem, szczególnie gdy był to Brad Helms.

Przyciśnięta do muru, musiała przyznać, że przestaje być najlepsza w interesie, ale przez te trzydzieści lat częściej jej się udawało i była pewna, że wie o modzie więcej niż Bradford Helms. Na jej twarzy wyryte było oburzenie, ale Brad zwrócił się do Jennifer.

- Chcę poprzeć ten numer promocją w sklepach w większym stopniu, niż robiliśmy to do tej pory - powiedział, jednocześnie notując. - Wiem, że to dziedzina Brooke Wheeler, ale ty, Jennifer, będziesz musiała zabrać się z nią do roboty nad tymi wszystkimi udziwnieniami - tancerzami hula, miotaczami ognia, to musi być coś naprawdę egzotycznego. Poza tym myślę, że jakaś duża impreza pomogłaby wyciągnąć trochę reklam z tych dusigroszy w branży ubraniowej. Nawet nie myśl o budżecie.

Entuzjazm Brada był budujący. Było oczywiste, że ma zamiar przeprowadzić wszystko gładko do końca.

Jennifer czuła, że musi go trochę ostudzić.

Przykro mi, Brad - powiedziała - ale musimy myśleć o budżecie. To przyjęcie doprowadziło nas do punktu krytycznego. Nie mamy nic.

Terk Conlon siedział zamyślony. W głosie Jennifer było coś, co kazało mu na nią spojrzeć. Zauważył, jak zmysłowa zwykle Jennifer nabiera stanowczości. Widział tę pozę już wcześniej i wiedział co to oznacza - Jennifer ma coś do powiedzenia, coś czego warto będzie posłuchać.

Brad też to zauważył. Miał nadzieję na nie kwestionowane poparcie.



Oczekiwał uczciwej opinii.

- Od dłuższego już czasu niepokoi mnie ta zmiana w rankingu. Teraz Allure jest zdecydowanie przed Jolie i zgadzam się, że potrzeba drastycznych środków. - Głos Jennifer był łagodny, ale stanowczy.

- Chciałabym coś zasugerować. Myślę, że powinniśmy ustalić opłatę za wydanie kwietniowe.

Gwendolyn zaczęła bełkotać.

- Brooke Wheeler zemdlałaby, gdyby to usłyszała. Nigdy nie nakładaliśmy opłat na promocję. Nie mogłabym się z tym pogodzić, i jestem pewna, że Brooke też nie. To niesłychane. Nigdy przedtem nie robiliśmy czegoś takiego. - Miała wypieki, które ubarwiły jej zwykle bladą twarz.

- Rozumiem twoje obawy, Gwen - powiedziała Jennifer - ale nigdy przedtem nie byliśmy w takiej sytuacji. Prawdę powiedziawszy, nie stać nas już, aby zapłacić rachunek.

- To naprawdę poniżające. - Gwen zwróciła się do Terka, szukając aprobaty, ale jego oczy wciąż skupione były na Jennifer. - Czy nie uważasz, że to do nas nie pasuje?

Jennifer odwróciła się do Gwen.

- Jak się jest na dnie, to wszystko pasuje - powiedziała. - Poza tym to wszystko kwestia interpretacji. Dla ciebie to ostatnia deska ratunku. Ja to pojmuję jako znak absolutnej pewności.

- To żebranina - upierała się Gwen.

Ta wymiana zdań sprawiała Jennifer przyjemność.

- Lepiej rozpatrz to w perspektywie czasu - powiedziała. - Spójrzmy na styl sprzedaży Gucciego. Zamykają w godzinach lunchu, zmuszając klientów do czekania, zanim im pozwolą znowu wydawać horrendalne sumy na swoje produkty. Czy tracą klientów? Ani jednego.

Stworzyli aurę ekskluzywności i wszystko im świetnie idzie. Jeśli rozreklamujemy kwietniowe wydanie i połączoną z tym promocję jako najbardziej podniecającą rzecz, jaka może trafić do sklepów, to będziemy mieli więcej sklepów, niż nam potrzeba.

Jennifer zaczęła szkicować dwuwariantowy plan, opierający się na świeżo poczętym wydaniu kwietniowym. Mimo że ciągle żywiła wątpliwości, jeśli chodzi o ten pomysł, była gotowa go bronić przynajmniej do czasu, kiedy ktoś wymyśli lepsze rozwiązanie.

Podczas spotkania robiła wstępne notatki. Zaproponowała wypróbowaną formę pokazu mody, w czasie którego profesjonaliści demonstrowaliby modele na ochotnikach z sali, ale zależało jej, aby rozszerzyć zasięg przedsięwzięcia.

Przedstawiła bardziej szczegółowe studium, proponując usługi swojego wydziału w stworzeniu projektów i dekoracji. Obiecała, że ludzie od mody i od handlu w każdym sklepie będą stale otrzymywali Jolie wraz z nowościami prasowymi i reklamami. Powiedziała, że chce doprowadzić promocję do rozmiarów hollywoodzkich - więcej plakatów, upominków dla klientów, naklejek i wszystkich innych gadżetów, które mógł wymyślić jej twórczy zespół. Żeby powiodła się druga część mistrzowskiego planu Jennifer, sklepy musiałyby kupić cztery całostronicowe ogłoszenia.

Opłata z każdego sklepu prawdopodobnie przekroczyłaby dziesięć tysięcy dolarów, co pokryłoby koszty podróży personelu oraz koszty produkcji. Oceniała, że passa zmieniałaby się już przy promocji.

- Ona jest genialna. Ta kobieta jest genialna! - Terk Conlon wstał klaszcząc.

Jennifer się zarumieniła, przestraszona jego reakcją.

Brad położył dłonie na biurku, rozważając propozycję Jennifer. Był jej wdzięczny za ofiarowanie pomocy i tylko trochę zirytowany, że sam nie pomyślał o nałożeniu opłat.

- Twój pomysł nieźle pasuje do mojego - powiedział, gorliwie przyłączając się do jej propozycji. Jednocześnie poczuł sympatię do swojego pomysłu.

Brad oparł ramiona na biurku, a jego głos był pełen pewności siebie.

- Terk, opracuj wszystkie dane szacunkowe za reklamę. Dziesięć tysięcy dolarów to brzmi trochę za skromnie. Gwen, spotkaj się z ludźmi z redakcji i opowiedz im o zmianie koncepcji na wydanie kwietniowe. Jennifer, zmusz swój twórczy umysł do myślenia.

Gdy wszyscy troje wyszli z jego pokoju, nikt z nich nie mógł sobie wyobrazić ulgi, jaką uczuł Bradford Helms. Wiedział, że wszedł w to spotkanie brawurowo, ukrywając się za maską pośpiesznie zrehabilitowanego pomysłu. Tak jak często w przeszłości, tak i teraz liczył na spryt innych, którzy wprowadzą projekt w życie. Miał nadzieję, że nikt go nie będzie winił za kryzys Jolie. Większość personelu nie obawiała się o sprzedaż magazynu. Byli utalentowaną grupą ludzi, zdolną zrobić wrażenie na nowych właścicielach.

To on się narażał, to jego posada była w niebezpieczeństwie. I to właśnie w tym momencie czuł się niezmiernie wdzięczny Jennifer Cranshaw za odłożenie egzekucji.

Jennifer usiadła na krześle, dopasowując małą poduszkę, której używała, by podeprzeć plecy i masowała sobie skronie. Terk zwałił swoje krzepkie cielsko na krzesło, które stało naprzeciwko niej i zaczął ryczeć ze śmiechu.

Jennifer spojrzała na niego przez półotwarte oczy.

- Terk, twoje poczucie humoru jest naprawdę szalone - powiedziała.

- Magazyn może być zlicytowany, ten magazyn w szczególności, a Brad dał nam dużą robotę.

Wydaje mi się, że przydałby się moment ciszy dla jego zdrowia, a ty odpowiadasz demonicznym śmiechem.

- Do dupy z taką ciszą. - Terk wślizgnął się w siedzenie i położył nogi na biurku. - Gdyby Bradford Helins przestudiował swoje drzewo genealogiczne dokładnie, odkryłby, że jest potomkiem jakiejś popieprzonej gałęzi. Proponowałbym, by dał spokój swojemu pochodzeniu i przestał myśleć, że jest geniuszem. Powinien się rozluźnić i dać temu wszystkiemu spokój.

- Przecież wiesz, że nie może tego zrobić - powiedziała Jennifer.

- Masz rację - odparł Terk. - Zamiast tego będziemy świadkami historii, która będzie powstawać na naszych oczach. Już to widzę.

Na początku było Waterloo Napoleona. Później Last Stand Custer. A teraz, panie i panowie, Hula - Hoop Helmsa.

- Profesorze Conlon - Jennifer przerwała wesołość Terka. - Myślę, że przeoczył pan jeden bardzo ważny fakt w pańskiej wspaniałej analizie poronionych manewrów wojskowych. W każdym przypadku, zawsze, były bataliony niewinnych, które umierały, walcząc w tych bitwach. To dlatego ofiarowałam pomoc. Nie chcę skończyć za wcześnie.

- Ale to Helms zbierze laury, chociaż na nie nie zasługuje - ostry dźwięk w głosie Terka był bezbłędny. - Dlaczego marnujesz czas i energię na ratowanie takiego idioty?

- Bo my ratujemy Jolie, a nie Brada. A co więcej -

powiedziała - ty mi w tym pomożesz.

- Nic z tego, ślicznotko. Bardzo bym chciał zobaczyć, jak ktoś kupuje tę szmatę i wyrzuca Helinsa na zbity pysk.

- A jak nowy właściciel zlikwiduje interes?

- Nie zrobi tego - powiedział Terk.

- Dlaczego jesteś taki pewny?

- Zaufaj mi, nie zrobi tego.

- Terk, czy wiesz coś, czego ja nie wiem?

- Mnóstwo, ale ja nie jestem takim facetem, który później opowiada, nigdy taki nie byłem - powiedział znacząco marszcząc brwi.

- Cwany jesteś. Trochę chamski, ale cwany.

- Posłuchaj, Kasandro, tak mi dobrze, że postawię ci lunch.

- Zdaję sobie sprawę, że tracę szansę mojego życia, ale już jestem umówiona.

Terk wstał z udawanym wysiłkiem, jedną ręką trzymając się za serce.

- Teraz wiem co musiał czuć Artur, gdy dowiedział się o Lancelocie. - Złapał się za serce raz jeszcze, gdy zamykał drzwi.

Jennifer czuła jak jej drży serce. Uwielbiała flirtować z Terkiem.

Było to bardzo niewinne, ale w głębi duszy musiała przyznać, że wzruszał ją od momentu, kiedy pojawił się w redakcji Jolie po raz pierwszy, czyli dwa lata temu. Od razu oczarował Jennifer swoim obyciem i bystrością, fascynował zdrowym rozsądkiem i wojowniczą osobowością. Poza tym gdyby ją zapytać, nie zaprzeczyłaby, że uważa go za niepokojąco atrakcyjnego. Terk miał sześć stóp wzrostu, był silnie zbudowany, szeroki w barach i muskularny, o twarzy kwadratowej z wyrytym na niej zdecydowaniem. Miał jasne,

gęste, koloru piasku włosy i różową cerę, która czerwieniała kiedy się złościł albo był podniecony. Miał silną szczękę, duże pełne usta, ale to jego oczy dominowały w twarzy. Były pełne wyrazu i tak niebieskie, że czasami aż hipnotyzujące.

Terk był prostym, pogodnym człowiekiem z przyziemnym charakterem, który wydawał się wypełniać pokój zwierzęcym zapachem.

Jennifer i Terk spędzili ze sobą wiele godzin nie raz podczas lunchu, sprzecząc się ze sobą, ale on był żonaty, a ona miała męża.

Gdy chodziła po swoim gabinecie, próbując usunąć ból z pleców, zastanawiała się czy Terk kiedykolwiek myślał nad związkiem z nią.

Zostawiła to pytanie bez odpowiedzi, skupiając się za to nad śmieciami, których nie sprzątnęła Mimi.

Jej biuro to był duży, kwadratowy pokój z jednym oknem na całą ścianę, ze zwykłymi szarymi chodnikami na podłodze. Reszta wystroju była świadectwem zależności Jennifer od kierownictwa.

Fellows Publications nakładały przepisy na wszystko, począwszy od struktury zarobków, a skończywszy na liczbie obrazów, które można powiesić na ścianie. Jennifer miała w gabinecie zakazany wariant trzech foteli i kanapy w wyklętych kolorach. Oprócz fotela za biurkiem trzy inne obite były czarno - czerwonym materiałem w żółte kropki.

Gdy z powrotem podeszła do biurka, poprzekładała irysy stojące w kamionkowej wazie. Co trzy dni kupowała w kwiaciarni na rogu świeże kwiaty.

Jennifer podniosła Przegląd Mody otwarty na stronie, gdzie był artykuł, który przeczytał Brad podczas spotkania. Przeczytała go kilka razy, szukając ukrytych wskazówek czy ukrytego znaczenia.

Niestety wiedziała, że jeśli jakikolwiek z magazynów Fellowsów był na sprzedaż, to byłoby to właśnie Jolie - podręcznik mody dla młodych, robiących karierę kobiet, zarazem wykształconych, samodzielnych i bardzo energicznych. Allure był największym konkurentem Jolie, ale Jennifer zawsze uważała, że te magazyny krążą w innych kręgach. Kobiety, które czytały Allure należały do tej samej grupy wiekowej co te, które prenumerowały Jolie, ale ich warunki życiowe były tak odmienne jak poliester od jedwabiu.

Allure był wydawany dla klasy średniej. Jego czytelniczki pracowały. Strony Jolie były eleganckie i szykowne, podczas gdy Allure promował ubrania zwyczajne, po bardziej przystępnych cenach. Jennifer czuła się zmieszana. Przez lata Jolie było pismem dla kobiet od osiemnastu do trzydziestu czterech lat, jednym z najlepiej sprzedających się, kipiącym od reklam. Dwa lata temu tendencja zmieniła się, wyprowadzając Allure na pierwsze miejsce.

Fellowsowie wydawali także Elegancję, weterana wśród magazynów mody, Wszystko do Ślubu - magazyn ślubny i Wspaniałe Życie - przegląd wystroju wnętrz posiadający taką samą klientelę jak Elegancja. Każdy magazyn przynosił zyski, z wyjątkiem Jolie. Nie była szczególnie przejęta swoim losem. Czuła się pewnie w zaistniałej sytuacji, wierząc w swój talent i zdolności. Nawet gdyby była bezmyślna, uważała, że miała szansę dostać inną pracę.

Przez lata proponowano jej wiele różnych posad. To nie był problem. Problemem było to, że Jennifer uwielbiała Jolie. Czy nowy właściciel kochałby to pismo tak samo jak Jennifer? A co się stanie, jeśli nie zrozumieją, że to coś

więcej niż tylko magazyn, że jest to żywy organizm, z wybitną, niepowtarzalną osobowością?

Jolie było kobietą, istotą wybitnie kobiecą, pełną miłości do pięknych ubiorów, zadbanych ciał i twarzy z pomysłowym makijażem.

Czasami było drażniące, wmuszając swoje opinie wahającej się publiczności. Innym razem inspirowało, tworzyło nowe trendy, stwarzało atmosferę podniecenia. Jolie miało poczucie humoru, dociekliwość, radosną wolę życia, poczucie siostrzanej solidarności w stosunku do innych kobiet, odwagę, by podjąć wyzwanie i Jennifer nie mogła wyobrazić sobie pracy gdzie indziej.

O nie! Nie pozwoli Jolie zmarnieć. Było najlepsze zbyt długo i Jennifer była pewna, że obecne kłopoty to tylko okres przejściowy, że to się zmieni. Nie wiedziała tylko, czy może tego dokonać od razu, ale wiedziała, że może pomóc.

Telefon przestraszył ją, rozwiewając jej myśli. Podniosła słuchawkę, pozwalając Charlesowi Cranshawowi zmacić jej wizję.

- Pomyślałem sobie, że sprawdzę, co tam u ciebie słychać - powiedział. - Wstałaś i wyszłaś tak wcześnie, że nie mogłem z tobą porozmawiać.

- Wiem, przepraszam. - Próbowала przypomnieć sobie, ile razy ostatnio przeproszała swojego męża. - Próbna selekcja modelek wyszła nawet nieźle, ale później Brad zwołał nie zaplanowaną konferencję i puścił farbę. Według artykułu w Przeglądzie Mody, jeden z magazynów jest na sprzedaż, a wszyscy myślą, że chodzi o Jolie.

- Jestem trochę zdziwiony, bo nic o tym nie słyszałem - powiedział Charles. Czuł zaniepokojenie w jej głosie i żałował, że nie jest ono jego udziałem, lecz jego świat był światem nakazów sądowych i poniesionych szkód.



Wewnętrzne mechanizmy pracy magazynu pozostawały dla niego tajemnicą nawet po ośmiu latach małżeństwa z Jennifer. - Nabycie Jolie w ten sposób wywołałoby trochę szumu.

- Myślałam o tym. Prawdę mówiąc zastanawiałam się, czy nie mógłbyś poszperać i spróbować wyciągnąć jakichś informacji.

- Mógłbym spróbować - powiedział. - Jesteś zdenerwowana?

- Trochę, ale chciałabym przemyśleć to wszystko, zanim wpadnę w panikę. Mówiąc o panice - powiedziała, łagodząc nastrój - czy przyjdiesz dzisiaj wieczorem do domu, czy wolałbyś zabrać mnie na obiad gdzieś na mieście?

- Naprawdę bardzo bym chciał, ale o piątej mam spotkanie i nie jestem pewien, jak długo potrwa. Czy mam do ciebie zadzwonić?

Jennifer wyczuła, że walczył ze sobą, myśląc o priorytetach i czuł się winny, że musi jej odmówić. Ostatnio jego godziny pracy strasznie się wydłużyły, i rzadko bywał w domu więcej niż dwie noce na tydzień.

- Wiesz, co mówią o pracy bez rozrywek? - ostrzegła go.

- Jeśli chcesz mi powiedzieć, że staję się nudnym facetem, to masz rację, ale nic nie mogę na to poradzić. Mam tyle spraw, że już mnie nie widać zza segregatorów na moim biurku. Obiecuję ci, że niedługo się wyrwę i wtedy pójdziemy poszaleć. Co ty na to?

- No, już lepiej - powiedziała zawiedziona. - Ale chyba zdajesz sobie sprawę, że koła handlu nie zatrzymałyby się, gdybyś wziął wolną noc?

- Jennifer, już ci powiedziałem, że żałuję. Postaram się to jakoś załatwić. Nie mogę zrobić nic więcej.

Ostrość w jego głosie odczuła jak policzek. Przeprosiła go znów, zapewniając, że rozumie i odłożyła słuchawkę, czując się trochę winna. Charles zawsze popierał ją w karierze. - „Wspinaj się jak najwyżej, kochanie. Jestem przy tobie.” Ale czasami chciałaby, żeby byli częściej razem, żeby więcej rozmawiali nie o tym, co w pracy. Po ślubie spędzali ze sobą dużo czasu. Chodzili na koncerty i do teatru, wydawali przyjęcia i chodzili na nie. Ale przez ostatnie parę lat ich życie towarzyskie się skurczyło. I ona była temu winna tak samo jak jej mąż. Ona miała ambicje, pracując w magazynie, podczas gdy mogła w tym czasie skoncentrować się na Charlesie. Zastanawiała się, czy zachęcając go do tego, by uważał pracę za coś drugorzędnego nie zmusiła go mimowolnie do tego, że stał się taki stanowczy w traktowaniu spraw zawodowych. Ta myśl przeszkadzała jej. Nie lubiła przegrywać i przygnębiało ją, że jej małżeństwo zaczynało się chwiać.

Odepchnęła krzesło od biurka i odwróciła się do okna.

Obydwoma rękami zagarnęła do góry włosy, które jednak opadły z powrotem na ramiona. Wygładziła fałdy na spódnicy i skierowała się ku drzwiom. Dlaczego była taka przekonana, że może uratować Jolie, a zarazem tak niepewna swego małżeństwa? To pytanie ją nurtowało, kiedy zjeżdżała windą. Miała tylko nadzieję, że Josh był w lepszym nastroju niż ona.

## ROZDZIAŁ TRZECI

Stolik na kółkach stał dyskretnie w rogu. Na wpół zjedzone rogaliki marniały na porcelanie o złoconych brzegach, a resztki masła unosiły się w czarce z topniejącym lodem. Jednorazowe serwetki leżały w rogu stołu zużyte i zapomniane, rzucone na pokryte marmoladą noże i łyżeczki. W środku tego eleganckiego rumowiska, w ciemnym pokoju delikatnie drgała świeca. Ciężkie zasłony ze złotego brokatu były zaciągnięte, zatrzymując światło południa, pozostawiając jedynie mglisty półmrok, który wypełniał bogato umeblowany pokój.

Męski garnitur wisiał miękko na oparciu jednego z krzeseł, a koszula i krawat zwisały niedbale z fotela, prawie dotykając chodnika w pastelowe wzory. Na pikowanej ławie leżał szlafrok i koronkowa bielizna.

Brooke Wheeler leżała naga na różowym, atlasowym prześcieradle, wtulając pomalowane palce nóg w miękką kołdrę elektryczną, która była przyciśnięta do ściany w nogach łóżka. Głowę miała opartą o kilka poduszek. Obserwowała wyraz ekstazy na twarzy Clinta Rogersa, gdy wolno, umyślnie wylewała na siebie Dom Perignon.

Szampan rozpryskiwał się nad jej pełnymi, okrągłymi piersiami, sprawiając, że zaczęła drżeć od zetknięcia z zimnym winem.

Pieniło się trochę, a później zniknęło w tuzinie strumyczków wijących się po jej ciele. Wygięła plecy i podniosła piersi do jego głodnych ust. Lizął jej ciało, chleptał szampan, potężniejąc i twardniejąc za każdym smakowitym liźnięciem.

Otoczył ustami jeden z jej nabrzmiewających sutków, gryząc, ssąc i zachłannie ją posiadając.

Brooke odchyliła się, ponagłając go, by wchodził w

nią powoli.

Cały czas rozlewała szampan, dopóki nie pokrył jej warstwą płowych pęcherzyków. Gdy język Clint'a badał ją, ona dziwiła się jak łatwo jest panować nad mężczyzną.

Clint był bogatym biznesmenem, któremu się powiodło. Był właścicielem sieci sklepów, a jednak tutaj dyszy i prosi jak szczeniak na smyczy. „I tak powinno być zawsze” - myślała Brooke.

Brooke schwyciła męskość Clint'a, głaszcząc ją swymi wilgotnymi palcami. Jej biodra zaczęły falować, wiła się i skręcała jak wąż, ocierała się o niego doprowadzając go do ekstazy. Zanim zorientował się, co ona robi, Brooke wsunęła się pod niego i umiejscowiła jego męskość między zwilgotniałymi piersiami.

Trzymała ją oburącz, ścisnęła, masowała, naciskała. Jej piersi były jędrne i twarde, a on czuł, że jest podniecony. Schował twarz w poduszkę i jęknął.

Brooke słuchała z przyjemnością. Gdy obserwowała, jak Clint zwija się w oczekiwaniu, żalowała, że nie może tak samo łatwo panować nad kobietami. Kobiety wymagały delikatnego spiskowania i wyrozumiałego pobłażania, szczególnie kobiety tak silne jak Jennifer Cranshaw. Ale Brooke nie była kimś, kto łatwo się poddaje. Chciała dostać pracę Jennifer i ją dostanie.

Odwróciła Clint'a na plecy i usadowiła się na nim, wylewając resztę Dom Perignon na siebie. Wtarła w niego szampan, aż włosy na jego klatce piersiowej stały się błyszczące od mieszaniny potu i szampana. Pieściła dłońmi jego szerokie ramiona, przesuwała je wzdłuż boków poniżej pasa. Zniżyła się tak bardzo, że była od niego o milimetr. Posuwała się powolutku w dół, dotykając go i wycofując się, aż Clint był zmuszony zebrać.

- Jestem zadowolona, że będziesz w czwartek na przyjęciu - powiedziała ni stąd, ni zowąd, opierając go o siebie.

Clint jęknął z zamkniętymi oczyma, ledwie łapiąc oddech.

- Nie mam co na siebie włożyć - szepnęła. - A to bardzo ważna uroczystość.

- Co tylko będziesz chciała. - Clint prawie krzyczał, gdy opadła na niego.

Czuła, że triumfuje, gdy jeździła na nim z furią kowboja, który ujeżdża dzikiego rumaka, dopóki nie poczuła, że ten rumak podskakuje, drży, a później wiotczeje.

Brooke zeszła z niego i położyła się obok na łóżku. Wciąż ciężko oddychał, leżał z zamkniętymi oczami. Twarz miał pokrytą kropelkami potu. Był wyczerpany. Brooke przyglądała mu się uważnie. Cicho, ukradkiem schyliła się i pocałowała go. Pieściła go i całowała, czekała na reakcję. Wiedziała, że nie jest to możliwe.

- Brooke, jeszcze ci mało?

- Nic mnie nie ruszyło.

- Chyba żartujesz! - Oczy zaokrągliły się Clintowi ze zdziwienia.

- Znowu byłeś samolubny. Zatrzaszczyłam się o ciebie, a ty mnie olałeś. Teraz moja kolej.

- Brooke, już nie mogę, nie mam siły.

Nie odpowiedziała mu, lecz dalej pieściła jego zwiotczone ciało.

Clint uniósł się na łokciach.

- Dobrze - powiedział - pójdziemy teraz po zakupy. Kupię ci tego Saint Laurenta, którego widziałas parę dni temu. A później wrócimy i obiecuję ci, tak cię wypieprzę, że mnie popamiętasz. - Świetny pomysł! - Brooke wyskoczyła z

łóżka i poszła pod prysznic.

Clint opadł na poduszkę. „Dostaniesz, jak za to zapłacisz”, pomyślał z zamkniętymi oczyma.

## ROZDZIAŁ CZWARTY

Gdy Jennifer zamykała drzwi taksówki na Drugiej Alei, poczuła orzeźwiający, zimowy wiatr. Samochody i autobusy przemykały przez labirynt zaparkowanych na ulicy furgonów dostawczych, podczas gdy tłum biegał z miejsca na miejsce.

Jennifer podniosła ręce, aby ochronić włosy, kiedy przechodziła pod brązowym, falującym baldachimem L'Oliviera. Otworzyła ciężkie, drewniane drzwi i stanęła w malutkim korytarzu. Oczekała chwilę, żeby przyzwyczać się do ciemności. Powoli stylizowane na wiejską oberżę wnętrze restauracji stawało się widoczne. Ściany wąskiego, długiego pomieszczenia pokryte były stiukiem, a co kilka stóp ozdobione ręcznie ciosanymi belkami w kolorze mahoniu. Na suficie grubsze belki przecinały pomieszczenie w poprzek, gdzieś usiane były zwisającymi koszykami albo pęczkami ususzonych, wiejskich, dzikich kwiatów. Małe, pasterskie obrazki oprawione w mocno zużyty dąb tatuowały ściany, a ich sielankowa sceneria odbijała się w lustrze przy barze.

Był tam już, Joshua Mandell siedział okrakiem na skórzanym stołku barowym, a Jennifer poczuła od razu mieszaną emocji, które zawsze ją ogarniały, kiedy go widziała. Uśmiechnęła się do tego mężczyzny, który tak wiele znaczył w jej życiu. Wyglądał teraz zupełnie inaczej i uważała, że jest przystojniejszy niż kiedykolwiek.

Wystające, rzeźbione policzki górujące nad brodą z dołączkiem i prawie oliwkowa cera nadawały mu niemalże śródziemnomorski wygląd.

Miał szeroki, lekko zakrzywiony nos i usta z pełnymi wargami, które układały się w ujmujący uśmiech. Duże, brązowe oczy sugerowały szczerą i uczciwą. Czarne

włosy, miejscami przechodzące w szare, były przycięte brzytwą, aby powstrzymać je przed uporczywym skręcaniem, a jego granatowy garnitur w bardzo rzadkie paski zdradzał krój europejskiego krawca.

Podeszła do niego od tyłu, zasłoniła mu oczy rękoma i szepnęła:

„hej!” prosto w ucho. Przestraszyła go, natychmiast obrócił się na stołku.

- Jennie, tylko pół godziny spóźnienia. Cuda nigdy się nie kończą?

- Pocałował ją lekko w policzek i objął w uścisku.

Jennifer uściśnęła go mocno, rozkoszując się zapachem drzewa sandałowego, które stało się jego znakiem rozpoznawczym.

Uwielbiała, że wciąż do niej mówił Jennie. Tylko on tak mówił.

- Za każdym razem, kiedy cię widzę, coraz trudniej mi porównać tę czarującą kobietę, która stoi tu przede mną, z malutką córką piekarza ubraną w biały fartuszek. - Zmierzył ją wzrokiem z wyraźnym podziwem.

- Jesteśmy tacy sami, a ja jestem strasznie głodna! Obiecałeś mi świetny lunch i jeśli nie dotrzymasz słowa, to poskarżę na ciebie mojej mamie.

- Jak zawsze skarżypyta. - Drażnił się z nią, kierując ją w kierunku drugiego końca baru.

Claude, maitre d'hôtel, poprowadził ich do części restauracji, gdzie było pełno kwiatów. Światło słoneczne padało prosto z sufitu, obmywając pomieszczenie rozproszonym blaskiem. Stylowe białe krzesła i świeże bukiety kwiatów równoważyły soczystą zielenią, która zwisała od sufitu w pokrytych mchem koszykach. W jednym końcu pień masywnej róży przedzierał się przez dach i rozwijał



swoje listowie ponad świetlikiem.

L'Olivier należał do takiego typu restauracji, jakie Josh najchętniej wybierał na ich spotkania: małe, pełne intymnej atmosfery.

Kiedy obydwójce wygodnie usiedli, Jennifer spojrzała w górę.

Napotkała oczy Josha i tak trwali przez chwilę. Trzydzieści lat temu, ledwie skończywszy dwadzieścia jeden lat, skierowała ich losy na odmienne tory, wykopując między nimi przepaść, która zmniejszyła się dopiero wtedy, gdy wspólni znajomi i okoliczności zbliżyły ich do siebie. Niedawno, w kwietniu, byli zaproszeni na to samo przyjęcie i zobaczyli się wtedy po raz pierwszy od wielu lat. Żona Josha zmarła dwa lata temu. Gdy Jennifer rozmawiała z nim na przyjęciu, odkryła, że ten skądinąd świetnie prosperujący biznesmen jest samotny i nawet jego dobry humor nie mógł tego ukryć. To Jennifer zaproponowała mu, aby się od czasu do czasu umawiali na lunch. Łączyło ich zbyt wiele, by mogła odmówić mu przyjaźni. On zrobiłby dla niej to samo.

- Joshua, jesteś właśnie tym, co zalecił mi doktor - powiedziała.

- Miałam nieciekawy ranek!

- Tak się składa, że nieciekawe poranki to moja specjalność. Może drinka?

- Biały Lillet z lodem i plasterkiem pomarańczy, a kiedy już podadzą, wlej mi to po prostu do gardła.

Josh złożył zamówienie u barmana i odwrócił się do Jennifer, która siedziała opromieniona snopem światła odbitym przez świetlik.

Włosy nadal miała potargane od wiatru, a kilka loczków pieściło jej policzki. Jej skóra była nieskazitelnie gładka, nawet w ostrym świetle słonecznym, ale Josh

zauważył znużenie w jej oczach.

Nachylił się, aby przypalić papierosa i uchwycił delikatny zapach jej perfum.

- Zaprosiłem cię, by wyegzorcyzmować twoje demony, ale jedzenie jest tutaj zbyt dobre, żeby je psuć gotyckimi opowieściami o krwi.

Jennifer wyczuła zaniepokojenie w jego głosie. Zaciągnęła się papierosem i zaczęła opowiadać, co wydarzyło się dziś rano. Nie dała po sobie poznać, że obawia się ewentualnej sprzedaży Jolie.

- Rodzina Fellowsów mogłaby sprzedać Jolie z przyczyn zupełnie niezależnych od magazynu - zasugerował Josh. - Mają sieć gazet, kilka stacji telewizyjnych i radiowych i może szukają pieniędzy na sfinansowanie nowego przedsięwzięcia. Poza tym, być może, jest to najlepsza rzecz jaka mogłaby się zdarzyć Jolie.

- Jesteś już drugą osobą, która mi to dzisiaj mówi - powiedziała, zastanawiając się, dlaczego sama nie dostrzega żadnej zalety w sprzedaży. - Jak mi to wytłumaczysz?

Słuchała, jak Josh wyjaśniał, że nowy właściciel zwykle czuje się zobowiązany do zainwestowania poważnej sumy pieniędzy w przedmiot zakupu. Oczywiście Jolie czekałby napływ funduszy.

- Albo rozlew krwi - powiedziała Jennifer.

- Raczej nie. Przynajmniej nie od razu. Gdy wchodzi w jakieś przedsiębiorstwo, miesiącami obserwują zespół - powiedział. - To jedyny sposób, żeby zorientować się, kto jest naprawdę odpowiedzialny za kłopoty.

Jennifer zgasiła papierosa. Obserwowała, jak dym snuje się małymi kóleczkami, próbowała strawić to, co powiedział. Josh miał prawdopodobnie rację, ale jego wywód nie polepszył ani trochę jej nastroju.

- Prawdopodobnie masz rację - powiedziała na głos. - Przeważnie masz rację. Wiesz, to jedna z tych rzeczy, których w tobie nie znoszę.

- I czego jeszcze? - spytał przysuwając się do niej bliżej.

- Tego wyszczerzonego uśmiechu, takiego jak teraz.

Odpowiedział szczerym śmiechem, zmuszając Jennifer, żeby przypomniła sobie tego małego chłopca, którego rodzice mieli sklep obok piekarni jej rodziców, a który był teraz milionerem i siedział przed nią. Ciągłe trudno było jej zrozumieć, że Josh stworzył imperium. Szczególnie gdy przypominała sobie dyskusje, które prowadził z Davidem, jej bratem. Zawsze chowała się na schodach i podsłuchiwała zafascynowana, jak chłopcy planowali swoją przyszłość. David chciał być lekarzem, leczyć ludzi i ratować życie. Obsesją Josha było robienie interesów. Nie jakichś drobnych interesów, ale tworzenie wielkich koncernów, które współdziałałyby ze sobą. Młodzieńcze plany Davida i Josha były pełne determinacji dorosłych. David był teraz chirurgiem w szpitalu Hadassah w Izraelu, a Josh - dyrektorem Joshua Mandell Industries, grupy przedsiębiorstw, które zaczynały jako nędzne fabryczki, produkujące oprzyrządowanie hydrauliczne. Obydwaj byli uważani za fachowców w swoich dziedzinach. Obydwaj mieli też olbrzymi wpływ na życie Jennifer.

- Kiedy szanowny doktor Sheldon powraca do Ziemi Ojczystej? - spytał Josh, jakby czytając w jej myślach.

- Nie wiem. - Czowała się zakłopotana, bo musiała mu powiedzieć, że nie miała od Davida wiadomości.

- Piszecie do siebie. Jak to się stało, że nie wiesz?

Josh usłyszał ton obrony w jej głosie. Wiedział, że ich drogi się rozeszły. Josh nie znał szczegółów, ale wiedział, że

miało to coś wspólnego z Charlesem.

Josh dał kelnerowi znak, aby przyniósł kartę dań. Gdy przeglądał francuskie potrawy, Jennifer z uwagą przyglądała się jego rękom.

Były szerokie i silne, Jennifer trudno było zapomnieć ich dotyku na swoim ciele. Były takie stanowcze i kochające. To te ręce pierwsze ją dotykały, a robiły to delikatnie i czule. To te ręce nauczyły ją, co to znaczy dzielić swoje ciało z kimś innym. Gdy tak myślała, położyła swoją dłoń na stole obok niego, tak blisko, że go musnęła. Zarumieniła się. Sączyła trunek jak gdyby to mogło zetrzeć wspomnienie zalewające jej świadomość, ale nie odsunęła ręki.

- Masz kłopoty z francuskim?

- Zamów coś dla mnie - powiedziała, odkładając menu. - Przepraszam, ale jestem roztargniona.

Josh przyjrzał się jej uważnie. Usta miała zaciśnięte, w jej twarzy było coś niepokojącego. Skończyła drinka w rekordowym tempie.

- Masz ochotę na następnego? - spytał.

- Wypiję jeszcze dwa i zadzwonię do ciebie jutro rano.

- Masz jednego i powiedz mi, co cię martwi?

Skinął do kelnera i zamówił Jennifer następnego drinka oraz kieliszek białego wina dla siebie oraz potrawkę z płastugi dla obojga.

Jennifer zapaliła następnego papierosa, grzebiąc przy zapalkach.

Josh czekał, aż skończy wygładzać serwetkę, którą nieporadnie położyła sobie na spódnicy.

- Gdyby ktoś cię obserwował, jak się tak wierzisz, pomyślałby, że poprosiłem cię, abys poszła ze mną do wynajętego pokoju w jakimś hotelu. Naprawdę muszę uważać na swoją reputację, więc czy mogłabyś mi

powiedzieć, co się kryje za tymi zmarszczkami na czole?

- Planuję krucjatę - powiedziała w końcu. - Zdecydowałam się przekształcić czwartkowe przyjęcie w początek inwazji Brada na Hawaje. Jeżeli mamy być ekstrawagancy, to możemy sobie na to pozwolić.

- Wydawało mi się, że nie podoba ci się ten pomysł poświęcenia całego numeru Hawajom.

- Na początku mi się nie podobał, ale to musi być wystarczająco szokujące, aby przyciągnąć uwagę. Trzeba tylko znaleźć sposób na zrobienie tego do czwartku, kiedy będzie dużo wpływowych osobistości z branży. Uda mi się - powiedziała bardziej do siebie niż do niego. - Musi! To jest dla mnie bardzo ważne.

- Kolejny krok na drabinie kariery - powiedział cicho Josh, oczekując kopnięcia w kostkę.

- Nie mówmy znów o tym - czuła, że wzbiera w niej złość. - To temat, który nie służył nam w przeszłości.

Pochylił się nad stołem, wziął ją za rękę, nie spuszczać z niej wzroku. Widział gniew i bardziej niż kto inny rozumiał jego przyczynę. Jego spojrzenie było spokojne, a głos przyciszony, ale zdecydowany.

- Mylisz się, jeśli myślisz, że mam coś przeciw ambicji. Ja jestem ambitny i przez to świetnie mi się powodzi, ale - powiedział z naciskiem - jest różnica między ambicją, która cię pobudza, a ambicją, która cię zżera.

- Nie osiągnąłbyś tego, gdybyś był ciapą. Dlaczego to jest o.k., gdy ty to robisz, a jak ja - to nie? - Jennifer odsunęła od niego rękę z błyskiem w oku.

- Nie przekreślaj moich słów. Zawsze lubiłem utalentowane, agresywne i niezależne kobiety. Chyba właśnie to mi się w tobie podoba. Żałowała tak jak on, że w ogóle zaczęli tę dyskusję, ale zaczęli i trzeba było ją jakoś

zakończyć.

- Chodzi o to, Jennie, kochanie - mówił dalej - iż jesteś tak zaślepiona, że chyba nie doceniasz swojego obecnego sukcesu.

Jesteś gwiazdą, ale nie chcesz tego zaakceptować. Ciągłe szukasz czegoś więcej, po omacku. Myślę, że jesteś zafascynowana ambicją dla ambicji, tak jak niektórzy zakochują się na samą myśl o miłości.

Słowa Josha zdziwiły ją tak, że aż zadrżała. Miał rację.

Rzeczywiście, nigdy nie była całkiem zadowolona z siebie. Nie pierwszy raz o tym dyskutowali. Zastanawiała się teraz, że może Josh ma rację, twierdząc, iż chęć ocalenia Jolie była dla niej tylko kolejnym wyzwaniem. Potrząsnęła głową na myśl, że byłaby wreszcie zadowolona z tego, co osiągnęła.

Josh milczał, dając Jennifer czas do namysłu. Obserwował ją, gdy odzyskiwała pewność siebie. Westchnęła, a jej jedwabna bluzka uwydatniła kształt piersi. Przypomniały mu się te noce, kiedy wtuleni w siebie kochali się. Później zwykle leżeli obok siebie nago i rozmawiali. Mówił jej o swoich marzeniach śmiało i ze zdecydowaniem. Jennifer mówiła drżącym głosem, gdy przedstawiała mu swoje marzenia, chciała opuścić rodziców, piekarnię i wszystko co się z tym wiązało. Chciała czegoś lepszego, a on obiecał jej to dać.

- Co tam u Charlesa?

Pytanie zaskoczyło Jennifer.

- Jest bardzo zajęty - powiedziała. - Wiesz jak to jest, kiedy się jest wziętym prawnikiem.

- Nie, skąd mam wiedzieć?

- To... bardzo trudne.

- Czy jest coś, o czym chciałabyś porozmawiać?

Mnóstwo, pomyślała. Między nią a Charlesem

pojawiło się coś, czego nie potrafiła określić. Było to dla niej tajemnicą. Kiedyś naprawdę się kochali, a teraz byli w stosunku do siebie układni.

Wciąż wspierali się uczuciowo, ale nie pragnęli się już jak dawniej. Byli jak dobrzy znajomi. Może dlatego, że tak było wygodniej albo dlatego, że ostatnio miała tak mało czasu dla męża. Łatwiej było grać na zwłokę, niż przyznać się do przegranej i spróbować coś z tym zrobić.

- Nie mamy dla siebie zbyt wiele czasu. Ciągłe się ze sobą mijamy.

Josh musiał przyznać, że to wyznanie sprawiło mu przyjemność.

Nigdy nie życzyłby Jennifer nieszczęścia, ale na samą myśl, że w małżeństwie Charlesa Tylera Cranshawa nie wszystko układało się cudownie, zaczynały mu przychodzić do głowy różne rzeczy, o których nie powinien myśleć. Drzwi, które uważał za bezpiecznie zamknięte, właśnie się odrobinę uchylily.

- Jeśli chciałabyś się kiedyś zwierzyć - powiedział delikatnie - jestem zawsze do dyspozycji.

- Wiem - powiedziała i spojrzała na zegarek, unikając jego spojrzenia - ale muszę spotkać się z człowiekiem od urządzania przyjęć.

Josh zapłacił rachunek i obydwójce wstali. Nie mieli jednak ochoty się rozstać. Jennifer przypominała sobie, że był taki czas, kiedy nie mogła się doczekać, żeby uciec od Josha. Ale to było dawno temu, a teraz nie miała siły myśleć o przeszłości. Było tam tyle spraw do przemyślenia. Poza tym nie było sensu patrzeć w przeszłość. „Co się stało, Lady Makbet, pomyślała, to się nie odstanie”.

Josh zatrzymał dla niej taksówkę i pomógł jej wsiąść.

Kiedy pocałował ją na pożegnanie zdał sobie sprawę,

że Jennifer należy do kogoś innego. Czuł ciągle jej pocałunek gdy patrzył za znikającą za rogiem taksówką. Czuł, że myślała o czymś więcej niż o promocji hawajskiej mody i o przyjęciu. Wiedział, że nie powinien się angażować, ale od dawna już się zaangażował i teraz nie mógł tego odkręcić.



## ROZDZIAŁ PIĄTY

Jennifer spędziła swoje wczesne dzieciństwo otoczona babkami i struclami. Każdy sklepikarz na Broadwayu ją znał. Codziennie siedziała w oknie piekarni rodziców ze swoimi rudobrazowymi lokami i machała do nich zza szyby. Wszyscy uważali, że w Jennifer jest coś szczególnego. Jedni byli urzeczeni dużymi, zielonymi oczyma, które błyszczały psotnie, i szerokimi ustami uśmiechającymi się figlarnie. Innym podobała się jej niewinna szczerłość i zaraźliwy śmiech.

Czasami można ją było spotkać poza oknem, usadowioną na drewnianym stołku. Nosiła wtedy duży, biały fartuch szargający się po ziemi.

Była tak poważna, jak tylko mogła i używała swojego najbardziej dorosłego głosu, pytając się czy ktoś woli bułki z cebulą, czy z miodem. Jennifer kochała piekarnię. Byli tam jej rodzice, brat i zawsze jakieś słodycze, a poza tym była podziwiana przez wszystkich. Jennifer nie miała zmartwień. Była za mała, żeby na coś narzekać.

Piekarnia była mała, trzeba już ją było odnowić, bo kolor ścian wyblakł. Na ścianach za dziwnymi, oszklonymi szafkami wisiały kolorowe obrazki ze smacznie wyglądającymi ciastkami i plackami.

Za kasą znajdowały się zdjęcia rodzinne i jakieś skrawki papieru przyklejone do oszklonej wnęki. Za ladą stała lodówka, której zamrożone szyby zasłaniały pojemniki z lodami, ciastka i kartony z mlekiem. Obok była skrzynka ze słodyczami, a w niej pączki, krówki, herbatniki, wafelki, gumy do żucia, różne czekoladki i cukierki.

Wisha, pulchna kobieta, która mieszkała za piekarnią, była prawdziwym dynamitem biegającym od dzieży do dzieży, tu i tam, od okna do kasy.

Rose Sheldon miała lekko różowe policzki, odrobinę jaśniejsze niż jej szorstki uniform. Miała ciemnokasztanowe loki spięte od tyłu dwiema zapinkami. Kilka zbłąkanych kosmyków spadało jej na oczy.

Odgarniała je z twarzy wolną ręką, którą akurat nie wiązała pakunków albo nie wydawała pieniędzy. Miała ciepły i szczerzy uśmiech, ale pod tą jowialną maską kryła się zdecydowana kobieta interesu. Znała swój fach. Jeśli ktoś chciał kawałek ciasta z serem, zawsze kroила niby przez przypadek, o pół funta więcej.

Chociaż przepraszała wylewnie, nikt nie prosił jej, by odcięła nadmiar. Jeśli klient prosił o pół funta cukierków, Rose specjalnie umieszczała je w funtowym pudełku, tak że wyglądały skąpo i mizernie. Zgodnie z przewidywaniami, klient prosił, by dosypała do pudełka. Jeżeli nakłoniono ją, by dała miejscowej Opiece Społecznej zniżkę, starała się, aby dostali coś z poprzedniego dnia.

Sklep był jej domeną i prowadziła go jak generał armię. Miała na oku ekspedientki i szybko wchodziła do akcji, jeśli któraś nie mogła sobie poradzić. Z ciastkarni Sheldonów nikt nie wychodził z pustymi rękami. Zaharowywała swoje pracownice. Rose nigdy nie zrozumiała, że piekarnia to po prostu praca. Dla niej to było całe życie.

Marty Sheldon urzędował na zapleczu sklepu. Jego świat był światem mąki, nadziei, lodów i receptur. Za każdym razem, gdy Jennifer myślała o ojcu, przypominała sobie jego dłonie, duże i spracowane, odbarwione od lat ciągłej pracy. Mało miał w życiu radości: żonę, gdy była poza piekarnią, dzieci, każdą godzinę spędzoną w synagodze i torty urodzinowe. Uwielbiał je robić. Modelować róże, delikatnie wyciskając różowy, niebieski albo żółty krem z tubki.

Robił z wprawą słodkie, kwitnące kwiaty i zgrabne gałązki oraz wdzięczne liście, które wyglądały jak żywe.

Marty Sheldon był dobrym, uczciwym i cichym człowiekiem. Wybrał to, czego chciał dawno temu i teraz nie mógł się już wycofać. Jego dzieci będą mogły wybierać. Świat siedmioletniej Jennifer był mały, a jego granice zostały określone ulicami, przez które nie było jej wolno przechodzić.

Była nieśmiała i do trzeciego roku nie mówiła. Pokazywała, stękała, płakała albo chrząkała, dopóki rodzina nie zrobiła dokładnie tego, czego chciała Jennifer. Gdy po licznych wizytach u lekarza, w końcu coś powiedziała, zdziwiła wszystkich, bo budowała całe zdania i wymawiała poprawnie słowa bez śladu dziecięcych trudności. I gdy tylko zaczęła mówić, mówiła bez końca - podobnie jak jej matka. Wkrótce Jennifer stała się rozbrajającym, kipiącym życiem dzieckiem. W szkole była w czołówce. Jej świadectwa były bardzo dobre, a nauczyciele ją chwalili. Przewidywali, że będzie dobra w angielskim i będzie mieć kłopoty z matematyką, uwielbiać języki i nie cierpieć nauk ścisłych.

Jennifer była jeszcze za młoda, aby zauważyć różnicę między „bogatymi” a „biednymi”. Nawet jeśli wiedziała, co to znaczy „mieć więcej” albo „mniej”, to zdawała sobie z tego sprawę tylko przez chwilę, gdy na przykład koleżanka z klasy kupiła sobie nową parę dżinsów i dwie nowe sukienki.

Każda koleżanka Jennifer mogła zanurzyć ręce w puszkach z cukierkami i napchać sobie nimi kieszenie. Jennifer była dumna z tego, że wszystkie koleżanki zazdrościły jej Rose. Inne matki zabraniały im jeść słodczyce w dużych ilościach, a ona nie. W zamian za hojność Rose zapraszano Jennifer na każde przyjęcie i piknik w mieście.

Kiedy skończyła trzynaście lat, jej umazana w cukrze

egzystencja zaczęła kwaśnieć. Interes rodziców rozwijał się, lecz brakowało pracowników. Dlatego też David pomagał przy dostawach do domów, a Jennifer miała pomagać za ladą.

Pewnego popołudnia zbyt długo rozmawiała z koleżankami po szkole.

Nagle spojrzała na zegarek. Było już późno. Matka na pewno już na nią czekała, może nawet była zła. Wybiegła ze szkoły, bardzo się spiesząc. Nie zwróciła uwagi na światła. Gdy już była przy sklepie, zielona furgonetka gwałtownie skręciła w lewo, odrzucając ją na chodnik. Gdy odzyskała przytomność, była na sali pooperacyjnej szpitala Bayonne, przywiązana do łóżka z metalowymi bokami, opleciona rurkami biegnącymi od szklanych pojemników zawieszonych na wysokim stelażu. Dzwoniło jej w uszach od ciągłego tykania maszyny, która robiła wykres pracy jej serca. Dookoła niej pełno było zamglonych postaci. Wyglądały jak anioły w białych czepkach. Mówiły jej, że miała szczęście, ale ona wcale nie czuła się szczęśliwa i nie była pewna, czy naprawdę żyje. Była odrętwiała i nie mogła ruszać palcami u nóg. Wszystko było takie niewyraźne, takie zamglone. Powoli zaczynała widzieć twarz doktora, który się nad nią pochylał i uspokajał. Próbowała się uśmiechnąć, ale była zbyt słaba. Lekarz wyjaśnił, że złamała kręgosłup. Przestrzeń między kośćmi zwęziła się i spowodowało to ucisk na żyły i nerwy, które odchodziły od kręgosłupa. Powiedział, że między oba przerwane kręgi włożył płytkę i przykręcił ją do samej kości, aby nie powodowała bólu.

Niewiele zrozumiała z tego, co mówił. Cały czas czuła ból w nogach i ramionach. Rzucała głową na poduszce, dopóki pielęgniarka nie zrobiła jej zastrzyku i nie nadszedł miłosierny sen. Przez trzy dni dryfowała w krainie nieświadomości, nie zdając sobie sprawy, że czuwa przy niej

rodzina. Czwartego dnia ujrzała nad sobą uśmiechniętą twarz matki i zaczęła płakać. Rose trzymała ją za rękę, głaskała i całowała w policzki. Mówiła jej, że już jest po wszystkim i że nie będzie żadnych okropnych blizn. Operacja się udała i za trzy tygodnie wróci do domu. Jennifer poruszyła głową i z ulgą stwierdziła, że już nie czuje bólu. Uśmiechnęła się do ojca, który stał obok popłakując. Jennifer chciała, żeby siedzieli z nią i zajmowali się nią, dopóki jej nie zwolnią ze szpitala, ale piekarnia na to nie pozwalała.

David przychodził do niej codziennie. Zrozumiał, że nieznaną strach przerażał ją bardziej niż gruba warstwa bandaży na plecach.

Jennifer była pewna, że coś przed nią ukrywali. David ciągle pytał lekarzy o jej stan. W końcu sam zaczął czytać podręczniki medyczne, badać wykresy, które ledwie rozumiał. Przypadek Jennifer był typowy, bez żadnych komplikacji. Gdy przedstawił jej swoją diagnozę, w jego oczach widziała triumf. Odkrył swoje powołanie.

Po pewnym czasie Jennifer zaczęła sobie uświadamiać, gdzie jest.

Mniej jej przeszkadzała kakofonia dźwięków na sali, którą dzieliła z siedmioma innymi pacjentkami. Czas mijał powoli. Bez przerwy patrzyła na zegar w oczekiwaniu na Davida, potrzebowała jego spokoju.

Wizyty rodziców były krótkie i pośpieszne. Rose przynosiła słodycze dla całej sali, wyglądała pogodnie w swoim różowym uniformie i wszyscy ją lubili.

Gdy Jennifer wyszła ze szpitala, był koniec maja i świat wydawał się piękny. Rana jeszcze całkiem nie zagoiła się i dlatego za radą lekarza Jennie nie wychodziła z domu. Przychodziły do niej koleżanki, na początku często, ale później już rzadziej. Wypadek Jennifer był nieszczęśliwy, ale

niewygodny. Zawsze mogła liczyć tylko na Davida i jego przyjaciela Joshuę Mandella. Gdy David musiał pracować, zastępował go Josh. Znała go od lat, ale przed swoją chorobą ledwie zwracała na niego uwagę. Teraz miała czternaście lat, on siedemnaście i tego lata zakochała się. Nie rozpoznawała swoich uczuć, były dla niej nowe, lecz piękne.

Rana Jennifer nie zagoiła się dobrze i musiała wrócić do szpitala.

Tym razem na krócej, ale musiała więcej przecierpieć. Jej koleżanki czuły się nieswojo w obliczu takiego cierpienia i szybko zaczęły szukać wymówek, żeby unikać spotkań. Czuła się bardzo samotna. Tylko Josh do niej pisał i to jej dodawało otuchy. David pisał i dzwonił, pocieszał ją jak mógł, ale ból mimo wszystko był straszny.

Jej nieszczęście trwało dziewięć miesięcy. Do lipca ból stał się nieznośny. Ledwie mogła chodzić. Musiała się poddać trzeciej operacji. W znieczulonej sali musiała spędzić kolejne sześć tygodni. Ale tym razem nie protestowała. Był przy niej Josh. Gdy opuszczała szpital, przysięgając, że nigdy już tam nie powróci, była zakochana w Joshu do szaleństwa.

## ROZDZIAŁ SZÓSTY

Jennifer otworzyła drzwi do swojego mieszkania i szukała po omacku kontaktu. Żonglując kluczami, torebką i pocztą, włączyła światło i z ulgą rzuciła wszystkie drobiazgi na stół Persons'a pokryty skórą z węża. Przejrzała pocztę, mając nadzieję, że znajdzie list od Davida, oddzielając codzienną porcję listów zaczynających się od „Szanowny Pan”. Dwie równe sterty były dla Charlesa.

Była w świetnym nastroju, podniesiona na duchu spotkaniem z organizatorem przyjęć i niespodzianką, którą przygotowała na czwartkowy wieczór: szampan, kawior (po sensownej cenie) i kilka innych drobiazgów.

Nucąc wymyśloną melodię, rozebrała się do bielizny i rozłożyła matę do ćwiczeń. Czuła się zadowolona, ale klucie w plecach odpowiadało stresowi, w jakim była przez ostatnie kilka tygodni.

Zrobiła parę ćwiczeń na mięśnie kręgosłupa i ramion. Po czterdziestu przysiadach i pięćdziesięciu skłonach była wykończona. Kłuło ją w kręgosłupie. Szybko wzięła prysznic, aby mięśnie nie napięły się znowu i nałożyła szlafrok frotte. Włączyła stereo w salonie i słuchała jak Neil Diamond wypełnia przestrzeń swoim nęcącym barytonem.

Sięgnęła po telefon, ale przypomniała sobie, że Charles miał spotkanie późnym wieczorem. Odłożyła słuchawkę.

Była zawiedziona i niezadowolona. W głębi duszy miała nadzieję, że Charles urwie się ze spotkania i przyjedzie do domu. Pod wpływem impulsu podeszła do barku i z małej, ukrytej w lakierowanej części lodówki wyjęła Mouton - Cadet. Otworzyła butelkę i nałala sobie trochę wytrawnego, białego wina, podniosła szklankę w toastie skierowanym do odcieleśnionego głosu z płyty.

- Cóż za cudowna kolacja, Madame Cranshaw. Czy jest pani sama? - powiedziała. Jej głos był drwiący.

- Ależ oczywiście, Mr Diamond. Bawię się sama.

Chodziła po pokoju z drinkiem w rękę. Podeszła do okien górujących nad East River. Żaluzje przyciemniały światła miasta. Patrzyła na samochody mknące obwodnicą. Ilu spośród kierowców śpieszyło się do domów, do żon i dzieci. Ilu opuściło spotkania, by być w rodzinnym gronie. To nie fair, pomyślała. Była kobietą sukcesu i gdyby miała teraz spotkanie, a Charles by na nią czekał, nie zachowywałby się tak jak ona. Zrobiłby sobie coś do jedzenia i czymś się zajął.

Jennifer odwróciła się od okna i oparła o parapet. Patrzyła na mieszkanie, jakby widziała je po raz pierwszy. To Charles wybierał meble, była to droga kolekcja. Wszystko było kompletnie białe.

Sofa w kształcie litery „L” dominowała nad wszystkim. Kanapa czaiła się na krótkich, błyszczących, chromowanych nogach, a jej kształty zachęcały Jennifer do odpoczynku. Naprzeciw sofy stały dwa białe fotele z delikatnie wygiętymi oparciami.

Jennifer zrzuciła pantofle i usiadła skulona w rogu sofy. Zamknęła oczy, chciała się odprężyć przy muzyce. Tęskniła za czymś delikatnym, dwoma fotelami, kominkiem. Nagle przyszła jej do głowy niepokojąca myśl. Zdała sobie sprawę, że w biurze czuje się lepiej niż w domu. Tam otaczało ją ciepło, tu czekała na nią zimna elegancja. Gdy sączyła wino, przemknął jej przez myśl obraz domu rodziców. Każdy był tam mile widziany. Wtuliła się głębiej w sofę i zaczęła sobie przypominać wydarzenia z przeszłości. Im więcej myślała, tym bardziej sobie uświadamiała, że dom Marty'ego i Rose wcale nie był taki przytulny - lub tak jej się



przynajmniej wydawało gdy miała dziewiętnaście lat. W domu Sheldonów piekarnia zawsze była na pierwszym miejscu. Dopóki nie poszła do college'u, nie zdawała sobie z tego sprawy.

Pewnego razu siedziała w salonie z rodzicami, Davidem i jego dziewczyną - Sarą. Było już późno i wszyscy wolno popijali kawę.

Przez cały wieczór Rose starała się zrozumieć nowe zachowanie córki. Czowała, że Jennifer jej nie toleruje. Tym razem to było coś więcej niż zwykłe dogadywanie.

- Co robią w ferie twoje ekstrawaganckie koleżanki, Jennifer? - spytała, przerywając Sarze w pół zdania. - Naprawdę powinnaś zaprosić kilka na obiad.

Jennifer zdrapywała polewę z ciasta, mając nadzieję, że matka zmieni temat, ale ona spytała ponownie. Musiała więc odpowiedzieć.

- Musiałabym się za ciebie wstydzić. Mogłabyś być tak nieuprzejma jak teraz wobec Sary. - Jennifer spojrzała na matkę ze złością.

Rose zignorowała zarówno jej spojrzenie jak i wybuch. Zgarnęła resztkę waniliowo - wiśniowego kremu na kruche ciasto. David dał znak Jennifer, by się powstrzymała.

- A co takiego, czego nie masz tu, podoba ci się u tych twoich sikswatych koleżanek? - spytała Rose, specjalnie nie zwracając uwagi na milczenie córki.

Jennifer pochyliła się do matki, spojrzała jej prosto w oczy i nie pozwoliła, aby jakiegokolwiek uczucie zmiękczyło ostrość jej słów.

- Klasa, mamó. Ludzie z klasą nie siadają do obiadu w fartuchu, a przede wszystkim nie obrażają gości, ani nie zagadują ich na śmierć. Zwracają uwagę na innych.

Powiedziała to, co czuła od dawna. Chciała obwinić

matkę za wszystko, czego ich styl życia ją pozbawił.

- Widzisz, Marty - Rose powiedziała do męża, jakby właśnie coś udowodniła. - Wiedziałam, że nie powinna uczyć się w Vassar.

Mówiłam ci, że nie spotka tam odpowiednich ludzi.

Jennifer wiedziała, co będzie dalej: wykład korzyści płynących z chodzenia do miejscowego college'u i mieszkania w domu. Za każdym razem, gdy była kłótnia, Jennifer przypominała rodzicom, że David był na uniwersytecie w Wirginii, ale ich odpowiedź zawsze była taka sama. Bo z chłopakiem było inaczej. Chłopcy powinni wyjeżdżać. Dla dziewczyny nie było to takie ważne. Jennifer odepchnęła krzesło od stołu, jak gdyby to mogło ją wyzwolić od wszystkiego, czego nie lubiła. Wstała i obniżyła lampę, wiedząc, że to rozzłości matkę. David milczał. Pojedynki między matką a córką nie były takie rzadkie i trochę je lubił. Uważał, że każde pokolenie ma swoje cechy i że młodzi powinni unikać sprzeczek ze starszymi z powodów, których i tak nie można było rozwiązać.

Rozumiał, co Jennifer chciała powiedzieć, ale nie zgadzał się z formą, w jakiej to robiła.

Niezależność - w porządku, ale nie bezczelność. Nie zdawał sobie sprawy jak głęboko była zraniona.

- Przez lata słyszałam, jak ważne jest wykształcenie i jakie mam szczęście, że jestem taka bystra i mądra. Cały czas mówiłaś mi, żeby wykorzystać w pełni to, co Bóg mi dał, więc próbuję to osiągnąć. Jesteście hipokrytami, oboje.

Marty odłożył cygaro i spojrzał na córkę.

- Jennifer, oboje z matką pracujemy za ciężko, żebyś nas obrażała.

Nie zasługujemy na to.

- Ja natomiast zasłużyłam, jak przypuszczam, na

upokorzenie w szkole. Moje czeki za studia były bez pokrycia od dwóch lat. Czy pomyśleliście, jak się czułam? Byłam upokorzona. Jeśli nie było was stać, trzeba było tego nie robić. Jeśli coś wam się nie udało, to nie zwalajcie tego na mnie.

Marty wstał i przytrzymał się stołu. Nie zwracał uwagi na łzy, które ciekły mu po policzkach.

- To było nie do uniknięcia. - Jego głos był miękki i pełen bólu.

- Mieliśmy dwa złe lata i miałem nadzieję, że zanim szkoła zrealizuje czek, będę miał dość pieniędzy, aby go pokryć. W końcu udało mi się. Jest mi przykro, że uważasz mnie za kogoś, komu się nie udaje.

Wyszedł z pokoju pełen zawodu. Sara czując się intruzem, zaczęła sprzątać ze stołu.

Jennifer czuła, że obecni ją potępiają za jej zachowanie, ale nie chciała się wycofać.

- Jesteś teraz szczęśliwa? - spytała Rose z nutą triumfu w głosie.

- Jak w ogóle mogę być szczęśliwa w tym domu?

- A co jest nie tak w tym domu? - spytał David.

- Wszystko. - Jennifer przeszła do salonu. - Tylko na to spójrz.

To jest obrzydliwe. Moje koleżanki, które moja matka tak chce upokorzyć, żyją we wspaniałych domach i mają drogie meble i duże pianina dla dzieci. Nie mają zastaw stołowych, gdzie wszystko jest od innej pary. Ich domy śmierdzą pieniędzmi. Ten dom śmierdzi nie pozmywanymi naczyniami i tanią wykładziną.

David wpatrywał się w nią. Jego twarz spochmurniała, a ciemne oczy stały się zimne ze wściekłości.

- A dlaczego uważasz, że są lepsi? Co ty, do cholery,

sobie myślisz, że kim ty jesteś? Mamusia i tatuś zapieprzają, żeby cię utrzymać. Czego jeszcze chcesz?

Jennifer stała w wejściu do jadalni. Czuła dookoła wrogość. Jakoś na niczym jej nie zależało.

- Gdyby chociaż raz się zdarzyło, że kiedy wróciłam ze szkoły po lekcjach, zastałam w domu czekającą na mnie matkę. To byłoby miłe.

Inne dzieci pamiętają, że przychodziły ze szkoły do domu, do mamusi, która dawała im mleko i słodycze i pomagała w lekcjach, czytała im bajki. A ja nie. Mojej matki nigdy nie było w domu.

Moja matka nigdy nie wzięła mnie na zakupy do miasta albo na lunch. Dla mnie wydarzeniem było, gdy na zapleczu dostałam kanapkę oraz kupowanie wszystkiego z przeceny.

Jennifer czuła łyzy w gardle, ale je stłumiła, zdecydowana, żeby nie płakać. Czuła się niechciana i przagnęła, aby o tym wiedzieli.

- A rodzina, o której mi tak opowiadacie. Czy poszliśmy kiedykolwiek do teatru, opery czy chociażby do kina razem? Czy chodziliśmy gdziekolwiek indziej niż na zebrania rodzinne? Nie!

Nigdy nigdzie nie chodziliśmy i nic nie robiliśmy.

- Jennie, chyba dajesz się ponieść nerwom.

- Tak? - Ostrzeżenie Davida było bez rezultatu. Krzyczała, a w jej głosie słychać było wszystkie nie wypowiedziane oskarżenia, które zbierały się przez lata. - Gdy moje koleżanki chodziły na randki, to mogły sobie pożyczyć od matki biżuterię albo futro. A co moja matka mi dała? Swój fartuch.

Rose była tak samo zła jak Jennifer.

- To dlatego lubisz spędzać wakacje z tymi ludźmi -

powiedziała. - Żeby się stroić.

- Dlaczego nie, uwielbiam to. Oni należą do klubów i chodzą do eleganckich restauracji. U nich na obiad nie ma przypalonego indyka. Jedzą cielęcinę i karczochy w sosie octowym. Piją świetne wina i mówią kulturalnym tonem. Wszystko, co robią, jest wytworne i ja też tak będę żyła.

- Tak pieprzysz, Jennifer, że robi mi się niedobrze. - David chodził po pokoju. Nie lubił się unosić, a uspokajało go tylko chodzenie.

- Mów, co chcesz, drogi braciszku. Nie musisz się tak unosić.

Dlaczego tak się starasz skończyć studia medyczne? I to właśnie w Harvardzie?! Może aby pracować w jakiejś komunalnej klinice? Kto tutaj pieprzy? W duchu też chcesz pieniędzy i sukcesu. Być może, ja tylko ujmuję w słowa to, czego ty nie odważyłbyś się powiedzieć.

- Jestem na medycynie, bo chcę być lekarzem, a nie dlatego, żeby wywierać wrażenie na ludziach. Zaczynasz być karierowiczką, Jennie. To takie płaskie.

Jennifer walczyła ze sobą. Naprawdę chciała żyć tak, jak mówiła, i denerwowało ją to, że nikt tego nie rozumiał. Przecież to nie była zbrodnia mieć ambicję i jakieś plany. To ona miała rację, a nie oni.

- Masz prawo do swojego zdania i do swojego życia - powiedziała. - Ale ja będę mieć szalone, piękne ubrania i mnóstwo biżuterii, co więcej, mam zamiar osiągnąć sukces, o jakim ci się nie śniło, a ludzie będą mnie szanowali. Chcę luksusu i będę to mieć.

- No cóż, Jennie, przepraszam cię - powiedział sarkastycznie David. - Zapomniałem, że nawet twoje imię ci się nie podoba.

Jeszcze masz na imię Jennifer, nie? Więc, Jennifer,

pozwól dać ci dobrą, braterską radę. Dopóki się nie pogodzisz z tym, kim jesteś, nie będziesz zadowolona z tego, co masz.

Nawet teraz, po tylu latach, Jennifer czuła pogardę, która ją ogarnęła, gdy wybiegła z domu. Drżała tak jak wtedy. Znów dołała sobie wina i poszła do sypialni, próbując zapomnieć o poczuciu winy.

Leżała w łóżku i zastanawiała się, czy w ogóle była zadowolona z siebie i czy dlatego wciąż chciała czegoś więcej. Miała wszystko, przystojnego męża, eleganckie mieszkanie, a jednak cały czas myślała o czymś więcej.

Zaczynał ją boleć kręgosłup. Wstała z łóżka i przeszła pomalutku do łazienki, aby poszukać lekarstwa. Przez załzawione oczy zobaczyła, że jest po pierwszej. Charlesa jeszcze nie było.

## ROZDZIAŁ SIÓDMY

Terk Conlon spacerował po bibliotece, gdy ostatnie limuzyny odjeżdżały spod ich domu.

Kiedy zamykał za sobą drzwi od biblioteki, powitała go przyjemna cisza. Deirdre nigdy nie korzystała z tego pokoju. Natomiast dla niego był on sanktuarium.

Wzdłuż ścian stały regały z książkami. Podłoga była pokryta pluszową wykładziną a na miękkich kanapach leżały koronkowe poduszki. Znajdował się tam również duży kominek z dębowym obramowaniem. Przy oknie stały wysokie krzesła z czerwono - czarną szachownicą na oparciach, a na stolikach rodzinne fotografie w antycznych ramkach.

Tylko prymitywny krajobraz, namalowany przez matkę Deirdre miał coś wspólnego ze sztuką. Dla kontrastu, salon, jadalnia, sypialnia, a nawet korytarz były wypełnione po brzegi bezcennymi dziełami sztuki.

Dom robił wrażenie, Terk temu nie przeczył.

Zdjął marynarkę i rozwiązał krawat. Nalał sobie brandy. Oczy go kłuły od dymu cygar, a szczęka bolała od wymuszonego uśmiechu.

Usiadł na sofie i zamknął oczy. Poczul, jak brandy rozgrzewa mu ciało.

- Co za nieprawdopodobne przyjęcie! - Deirdre Conlon weszła do pokoju, gestykulując. Jej nefrytowa suknia wirowała jej wokół nóg.

Była podniecona tak, że blask diamentowej kolii, którą miała na szyi bladł w porównaniu z iskrami w jej oczach, gdy machała w powietrzu zwitkiem czeków.

- Pół miliona dolców w jeden wieczór. Całkiem nieźle!

- Terk zagwizdał z podziwem i podniósł brandy w toaście.

- Nie bądź takim gburem, kochanie. Mówisz, jakby to

była kradzież - powiedziała nonszalancko Deirdre.

- A jak byś to nazwała, zapraszasz czterdzieści osób tylko po to, żeby wyciągnąć od nich kupę szmalu.

Deirdre usiadła na sofie, zdjęła buty i zaczęła ruszać palcami, żeby pobudzić krążenie.

- Dla mnie to dobroczynność - powiedziała tak stanowczo, jak gdyby jego pytanie było niepożądane.

Terk powinien się już przyzwyczaić do jej wyższości, ale przychodziło mu to z trudem. Zawsze gdy go tak traktowała, zaczynał być złośliwy.

- Niedorozwinięte dzieci, inwalidzi, to jest dobroczynność.

- Terk, kochanie. Zgarnęłam dzisiaj niezłą sumkę dla Muzeum Sztuki Współczesnej w Westchester. Według rządu Stanów Zjednoczonych jest to legalna, zwolniona od podatków działalność dobroczynna.

- Dla mnie to korzystanie z arystokratycznej pobłażliwości.

Deirdre zeszywniała, a jej początkowo dobry nastrój zmienił się w irytację.

- Albo jesteś wyjątkowo ograniczony, albo brakuje ci klasy.

- Na pewno nie - powiedział, udając, że się broni. - Moim zdaniem, jeśli coś robisz, to powinno to być czegoś warte.

Deirdre westchnęła, zdjęła diamentowy naszyjnik, położyła go na stole za sobą i odwróciła się do męża.

- Muzea są tego warte. Są pełne piękna i kultury, a do tego, mój drogi barbarzyńco, żywią i wzbogacają duszę.

- Te datki żywią tylko nadęte ego bogaczy.

- Nie bądź takim snobem - ucięła Deirdre.

- Więc nie bądź naiwna. Ludzie chorzy na raka albo



sieroty nie chodzą po muzeach i nie rozmawiają o Picassie.

- Nic by ci się nie stało, gdybyś się przeszedł do muzeum - fuknęła. - Może pomogłoby ci to na głowę.

Terk zachichotał i rozciągnął się na kanapie.

- Nie wyszłaś za mnie dlatego, że byłem mądry.

Widać było, że chce być cierpliwa, ale w jej oczach widać było błysk rozbawienia.

- Nie rozumiem, dlaczego robisz tyle zamieszania z powodu tego małego przyjęcia - powiedziała. - I tak nie miałeś nic innego do roboty.

- Nie do wiary. - Oczy Terka zrobiły się okrągłe ze zdziwienia. - Przecież mówiłem ci, że mam kłopoty w pracy i powinienem pracować.

- Powinieneś być ze mną.

- A ty zawsze musisz być najważniejsza, tak?

Deirdre odwróciła się, ale zdążył zobaczyć jej zranione spojrzenie. Miał już coś powiedzieć, gdy się odezwała.

- Zignoruję twój sarkazm i pozwolę ci nalać mi brandy.

Terk wstał i poszedł do barku w rogu pokoju. Deirdre śledziła go spojrzeniem, porównując do jego przyjaciół, których widziała na przyjęciu. Byli szczupli i sztucznie się uśmiechali. Terk natomiast był niewychowany i agresywny, a czasami nawet bezczelny.

Jego faliste włosy też wydawały się nieposkromione. Inni byli mili, ale nudni. Terk miał swoje wady i mogła wyrecytować je, jak dziesięć przykazań, ale nigdy nie mogła przewidzieć jego reakcji.

Nigdy nie był nudny.

Podał jej brandy i usiadł na brzegu stolika. Mimo tego, że było późno, ona wciąż wyglądała wspaniale. Długie blond włosy były nadal ładnie uczesane, a kremowa cera zachowała

bladość pudru.

Otaczał ją czarujący zapach i właśnie wtedy Terk pomyślał, że wygląda bardzo delikatnie.

Siedziała rozluźniona, a sukienka podkreślała jej kształty. Ich związek był skomplikowany, często się kłócili, ale zawsze uważał, że Deirdre jest bardzo zmysłową kobietą. Ten wieczór nie był wyjątkiem.

- Wiem, że nie lubisz takich uroczystości, ale masz talent do wyciągania pieniędzy. Ja już dałam spokój Ellisowi Andersonowi, a ty wyciągnęłaś od niego czek na pięćdziesiąt tysięcy. Jak ci się to udało?

Terk dotknął jej nogi i wolno przesunął rękę do góry, unosząc brzeg sukienki.

- Po prostu użyłem swojego irlandzkiego uroku. Prawie nikt nie może mi się oprzeć. No, może z wyjątkiem ciebie.

Nie była pewna, czy błysk w jego oczach oznaczał żal czy drwinę.

Szczerze mówiąc, nie obchodziło jej to, dopóki głaskał jej nogę.

Pozwoliła sobie na chwilę refleksji. Miał rację, był czarujący.

Pochlebiał kobietom i robił wrażenie na mężczyznach. Dziś szczególnie się postarał w jej imieniu. Była mu za to wdzięczna, ale nie chciała tego po sobie pokazać.

- Oczywiście, ale nikt ciebie nie zna tak jak ja.

- A skąd wiesz, że nie?

Terk przeorał nosem jej stanik, szukając ustami ciepła jej ciała.

Deirdre poczuła falę zadowolenia, ale powstrzymała się od razu.

- Wiem, że udajesz - powiedziała, przesuwając jego

usta bliżej piersi.

- W jaki sposób? - Poczula jego język. W pierwszej chwili chciała po prostu mu się oddać, ale natychmiast odrzuciła tę myśl. Między nimi było inaczej. Pocałunki, dotyki, pieszczoty były za delikatne. Dla nich esencją namiętności była gwałtowność, a sprzeczka była bardziej pobudzająca niż pieszczoty.

- Przede wszystkim uwielbiasz przebywać w towarzystwie bogatych.

Mówić o akcjach i obligacjach i robisz to inaczej niż zwykle.

Terk nie odpowiedział, rozpinając na jej plecach suwak sukni.

- Z drugiej strony - mówiła dalej - jeśli Jolie jest tak fascynujące, jak uważasz, to dlaczego nie pogadasz o tym z moimi znajomymi. Mogliby się pośmiać.

Terk właśnie zaczął zdejmować z siebie koszulę, gdy przerwał, bo gniew przytłumił jego pożądanie.

- Wiesz przecież - kontynuowała - że nikomu nie zależy na losie tego małego pisma.

Terk pochylił się świdrując ją oczami.

- Dla mnie jest to ważne.

- Dlaczego?

- Bo należy do mnie, bo nie za twoje pieniądze dostałem pracę i dlatego, że nikt mi tam nie pieprzy, że jestem zięciem Parkera Wallinga. Jestem Terk Conlon i to im wystarcza.

Deirdre wstała wolno, chcąc zapiąć sukienkę: przysunęła twarz do jego twarzy.

- W moim świecie, kochanie, jeśli ktoś jest wystarczająco dobry, to jest to wymówka, że nie jest najlepszy.

- W moim świecie ja jestem najlepszy - krzyknął. - Ale ty nie chciałaś o tym wiedzieć. Nigdy nie poświęciłaś chwili czasu, żeby dowiedzieć się, co robię i czego chcę. Jesteś zbyt zajęta swoimi sprawami.

Deirdre wpatrywała się w niego swoimi niebieskimi oczami.

- Mylisz się. Od chwili, gdy się spotkaliśmy, Terk, było zupełnie oczywiste, że chcemy tego samego.

Pochyliła się ku niemu, nie zwracając uwagi, że sukienka opada jej do pasa. Gdy przyciągnęła go do siebie, poczuł na sobie jej nagie piersi. Przypomniało mu się znajome uczucie rezygnacji. Próbował się jej oprzeć, ale tylko przez chwilę. Chociaż nie chciał się do tego przyznać, miała rację, pragnął jej od dnia, gdy ją spotkał. I teraz też.

Deirdre Ainsley Walling była jedynaczką. Jej ojcem był Parker Walling, magnat w handlu nieruchomościami. Nawet jego wrogowie przyznawali, że miał nadprzyrodzony talent. Nieruchomości były jego namiętnością. Szedł na całość, lubił ryzyko. Matka Deirdre, Winifred, pochodziła z bogatej filadelfijskiej rodziny. Była krucha i delikatna. Chociaż jej rodzina była zamożna, Parker Walling był dla niej znakomitą partią i robiła wszystko, by zadowolić męża. Była znakomitą gospodynią i świetnie jeździła konno. Zawsze głosowała na republikanów, piła tylko cherry i nigdy nie pytała męża, gdzie był, nawet jeśli słyszała jego kroki w sypialni o trzeciej nad ranem, gdy właśnie wrócił od jednej ze swoich kochanek. Winifred Walling była bardzo religijna i uważała, że Bóg w swojej nieskończonej mądrości będzie nad nią czuwał.

Jeśli w tym życiu nie będzie szczęśliwa, to w następnym na pewno.

Deirdre odziedziczyła po rodzicach zarówno delikatne

rysy matki, jak i roześmianą postawę ojca. Jeszcze gdy była dzieckiem próbowała naśladować dychawiczny sposób mówienia matki i jej elegancki chód. Brała lekcje gry na pianinie i tańca. Zajmowała się nawet sztuką układania kwiatów, ale rola skromnej kobiety nigdy jej nie odpowiadała. Ojciec był o wiele bardziej ekscytujący. Zanim dorosła, stała się jego pupilką. Była zepsuta i zawsze przekonana, że nie istnieje na świecie coś, czego nie mogłaby osiągnąć. Manipulowała ludźmi z taką samą umiejętnością, z jaką jej ojciec manipulował pieniędzmi. A gdy stała się ciężarem dla matki, zaczęła być źródłem nie kończącej się dumy dla ojca.

Raz tylko na jego twarzy widziała dezaprobatę - gdy wyszła za Terka Conlona. Kim on był? Nikim.

Terk był najstarszy z czwórki rodzeństwa. Miał dwóch młodszych braci i maleńką siostrzyczkę - Megan. Jego rodzice byli irlandzkimi emigrantami, którzy przez lata się męczyli, aby uciulać pieniądze na własny interes. W końcu otworzyli Chamrock Bar and Grill na Woodside w Queens. Ojciec prowadził bar, a matka zajmowała się kuchnią. Terk i bracia pracowali każdego dnia po szkole. Było ciężko, mimo tego, że bar zaczynał przynosić zyski.

Thomas Conlon uważał, że wyrzeczenia pomagają wyrobić charakter.

Terk mógł wybaczyć ojcu ubóstwo, ale nigdy nie wybaczył tego, co zrobił matce. Lata wyteżonej pracy osłabiły ją. Czuła się coraz bardziej samotna. Zapełniała sobie wieczory whisky i umarła, gdy Terk miał czternaście lat. Winił za to ojca i przysiągł sobie, że dojdzie do czegoś więcej.

Deirdre poznał przez kolegę, który go zaprosił do klubu rodziców w Greenwich. Obiecał mu, że przedstawi go

dziewczyni, która mu się spodoba.

Do Deirdre nie trzeba się było specjalnie zalecać. Była piękna, wysoka, szczupła i miała zimną, jasną, arystokratyczną twarz. Jej bladość zrobiła na Terku wrażenie i z początku traktował ją jak porcelanową lalkę. Dopiero potem poznał prawdziwą Deirdre Walling.

Kryła w sobie nienasyconą namiętność i pożądanie, które zbiły go z tropu. Był zdziwiony, gdy po trzeciej randce zaprosiła go do siebie na drinka. W mieszkaniu przyrządziła mu drinka i zniknęła.

Po chwili weszła do pokoju naga. Od tej pory ich związek był gwałtownie i nienasyconie seksualny. I tak mimo łez matki i gwałtownych sprzeciwów ojca Deirdre Ainsley Walling została żoną Terkela Michaela Conlona.

Terk poczekał, aż Deirdre usnie, zanim wyjął blaszane pudełko z zamkniętej na klucz szuflady. Nie oddychał i wyteżał słuch. Przez chwilę wydawało mu się, że słyszy Deirdre na korytarzu. Zamknął oczy i nasłuchiwał. Gdy upewnił się, że była w łóżku, otworzył pudełko i przetrząsnął kilka kartek. Napisał coś na kartce i z powrotem włożył pudełko do kryjówki. Małe kropelki potu ciekły mu po twarzy. Gdy próbował uspokoić się, zastanawiał się jak długo jeszcze będzie mógł panować nad sobą. Chciałby się zwierzyć Deirdre, ale to nie było takie proste. Ich małżeństwo było oparte na innych regułach.

## ROZDZIAŁ ÓSMY

Dzień dobry państwu. Witam na wiosennym pokazie mody zorganizowanym przez magazyn Jolie. Wszystko, co dzisiaj zobaczycie, jutro będzie modne. Moda staje się coraz bardziej śmiała, odpowiadająca wyzwolonym kobietom. Chcą indywidualizmu i już nadszedł na to czas. Kreacje wieczorowe stają się coraz bardziej seksowne. Preferujemy spokojne beże i biel. Nosimy len, jedwab, stuprocentową bawełnę i lekkie zamsze. Makijaż się rozjaśnia intensywnie, niemal eksploduje. Biżuteria musi być albo kosztowna, albo z plastiku. Więc usiądźcie i zobaczcie, co mamy wam do pokazania.

Duży ekran zdominował całą ścianę, czyniąc z niej mały teatr, w którym siedziało ponad sto osób ramię przy ramieniu z ołówkami w ręku.

Jennifer siedziała z tyłu, obok Brooke Wheeler, której wydział przygotował pokaz. Brooke włączyła światła, oświetlenie sceny i magnetofon.

Pierwszy szkic - „Gorące noce” - tło z fuksjami i białą taśmą.

Trzask. Kreacja bez ramiączek, do kostek, połączona z kimonem.

Jennifer zaakceptowała wszystkie szkice miesiąc temu, ale wolała obejrzeć je na dużym ekranie. Kształty i szczupłe ciała wyskakiwały jak trójwymiarowe postacie. Twarze były na wpół rozciągnięte, a proporcje torsu specjalnie wypaczone.

Prognozy kreacji Jolie były uważane za najlepsze ze wszystkich jakie przedstawiły magazyny poświęcone modzie. Uznanie należało się Marnie Dobbs za niesamowitą zdolność przy wybieraniu najlepszych projektów. Posiadała szósty zmysł, jeśli chodzi o to, co przemawia do młodych kobiet. Jeśli coś zaakceptowała, sprzedawało się później jak woda.

Oklaski, które witały wiele slajdów, mówiły Jennifer, że Marnie znów miała rację.

Pojawiły się szorty z czerwonego zamszu i obszerna podkoszulka z purpurowego zamszu. Następny slajd - kreacja taneczna z jednym ramieniem, z czarnej tafty, marszczona przy kolanie.

- Chyba nie wierzysz, że sklepy kupią tę hawajską kolekcję? - szepnęła Brooke Wheeler.

- Mam nadzieję, że tak - powiedziała Jennifer. - Mam dziś rano jeszcze spotkanie. Mamy przejrzeć kilka planów. Ogromnie bym chciała, żebyś tam była.

- Ostrzegam cię, Jennifer. Niech ta promocja lepiej będzie niesamowicie wyjątkowa, jeśli chcesz wprowadzić opłaty. Sklepy nie lubią płacić za coś, co dostawały za darmo.

- Myślę, że sprzedawcy detaliczni będą bardziej elastyczni - odpowiedziała Jennifer. - Obciążymy ich opłatami, a co więcej, zapłacą.

Brooke zanurzyła się w poduszki wyścielające ławkę, i wyrzucała sobie, że nie było jej na spotkaniu u Brada. Co prawda, miała za to świetną kreację Saint Laurenta i obietnicę reklamy od Clinta, ale gdyby była u Brada, zwalczyłaby pomysł Jennifer w zarodku. Nie dlatego, że się jej nie podobał, tylko dlatego, że to był pomysł Jennifer, nie jej, i nikt nie raczył się z nią skonsultować.

Kolejny slajd - „Przełom wieku” - biała bawełniana bluzka z białymi lnianymi spodniami.

Trzask - bawełniana spódnica w paski do łydki, z sięgającym pośladków robionym na drutach swetrem.

- Normalnie nadzoruję promocję i zamykam pokaz - powiedziała Brooke, jakby do siebie - ale tym razem chyba dam spokój.

- Dlaczego?



Brooke odrzuciła grzywkę jasnych, miodowych włosów i spojrzała zdziwiona na Jennifer.

- Bo nie mam nic do powiedzenia.

Po chwili dodała bardziej serdecznym tonem: - Spytaam paru znajomych, co o tym myślą. Na przyjęciu będzie większość właścicieli dużych sklepów. Zaprosiłam ich osobiście, wiesz?

- Tak, i doceniam to - powiedziała Jennifer.

W zasięgu wpływów Brooke, będącej kierownikiem handlowym, była sfera sprzedaży detalicznej. Jej zadaniem było nawiązać kontakt między sklepami a producentami, którzy reklamowali się w Jolie.

Badała upodobania czytelniczek: co kupują, gdzie robią zakupy, ile wydają, co myślą o pokazach w sklepach. Stąd wiedziała, że młode kobiety bardziej cenią buty niż bieliznę osobistą. Największym osiągnięciem Brooke było to, że jej pokazy w sklepach przyciągały tysiące potencjalnych klientek. Brooke znała swój zawód i wiedziała ile jest warta. To nie brak wiedzy spowodował krytykę z jej strony, lecz jawna żądza władzy. Chociaż kierowała dużym i ważnym działem, uważano ją raczej za pomocniczą gałąź magazynu, która nie przynosi zysków. Nie traktowano jej tak, jak uważała, że zasługuje.

Slajd - wykroje sportowe: czerwona taśma na chromowej żółci.

Slajd - plisowane, białe spodnie z robioną na drutach bawełnianą koszulą polo.

Slajd - szorty koloru khaki z szerokimi nogawkami i skórzana kamizelka.

- Jak Brad chce, żeby coś takiego pochodziło z Hawajów? Sam pomysł jest przegrany - narzekła Brooke.

- To po prostu nie pasuje. Nie widziałam jeszcze

spódniczki z trawy.

- Ale były śmiałe wzory i kolory rodem z wysp. Zauważyłam dużo karmazynu i purpury - oznajmiła Jennifer zastanawiając się, dlaczego się tak broni.

- Nie można jednak na tym oprzeć całej kolekcji.

Jennifer nie chciała tego przyznać, ale Brooke miała rację. Do tej pory nie pokazano czegoś, co mówiłoby „Hawaje”. Jeśli plan Brada miał zadziałać, należało coś takiego wymyślić. Bez względu na to, jak korzystne były ceny projektów, musiały one przypominać Hawaje.

W przeciwnym razie całość będzie wyglądać głupio. Trzask - jaskrawozielona podkoszulka i plisowana spódnica. Jennifer pomyślała: „a co by było, gdyby to był sarong?” - Spódniczka plażowa w cytrynowe wzory - usłyszała. - A gdyby tak dać coś z papugami - prawie powiedziała to na głos.

- Duże kolczyki w kształcie kwiatów, naszyjnik z muszelek.

Nareszcie. Ślady zaledwie, ale jednak. Trzeba to rozwinać.

Jennifer zanotowała parę uwag, ale myślała szybciej niż mogła pisać. Gdy w końcu zapaliły się światła, Jennifer szybko wyszła.

Przez kilka kolejnych godzin dzwoniła i sprawdzała czy wszystko da się zrobić tak jak chciała. Terk i Brooke mogą mieć zastrzeżenia, ale na szczęście nie potrzebowała ich zgody. Musiał ją poprzeć Brad, lecz o to się nie martwiła. Ze względu na Ivy Helms Brad zrobi wszystko, by ocalić magazyn. Gwen Stuart trzeba będzie obłaskawić. Była z natury konserwatywna i lubiła powtarzać dawne sukcesy. Ciągle jęczała, że to bez sensu poświęcać cały numer Hawajom. Ale się przekona.

Właśnie wtedy zadzwonił Charles.

- Cześć kochanie - powiedziała. - Spałeś tak mocno, że nie miałam serca cię budzić. Mam nadzieję, że dotarłeś do pracy na czas.

- Tak, dzięki, że mi pozwoliłaś spać. - Jego głos był przepraszający. - Przepraszam za dzisiejszą noc, ale nie mogłem na to nic poradzić.

- Jeśli nie przestaniesz tak pracować, na twoim grobie trzeba będzie napisać „nic nie mogłem na to poradzić”. Doktor Jennifer przepisuje ci odpoczynek i trochę relaksu dla nas obojga.

Zdecydowałam się nawet zająć kuchnią i coś ci przyrządzić. Jak ci się to podoba?

- Ogromnie się cieszę - powiedział niepewnym głosem. - Ale matka zaprosiła nas na obiad. Próbowałem jej odmówić i chyba mi się nie udało. Pewnie nie zechcesz pójść?

- Nie, jednak pójdę - była zawiedziona. - Jak mam się ubrać?

Charles się roześmiał. Jego rodzice uwielbiali wydawać rodzinne obiady w ciągu tygodnia. Oboje z Jennifer wymyślali wymówki.

- Wystarczy sukienka z beżowego jedwabiu. Będziemy tylko we czworo. Chyba połapali się w naszej grze.

- Cóż, dzięki Bogu i za to. Miałam już powiedzieć, że biorę nocną zmianę w piekarni.

Rozmawiali jeszcze przez kilka minut. Gdy odłożyła słuchawkę, poczuła się lepiej. Charles wydawał się bardziej na luzie niż ostatnio.

Wiedziała, że nie lubił odwiedzin u rodziców, ona też nie. Ale dziś wieczorem, może tego było im potrzeba. Nagle wszedł Terk Conlon.

- Mam propozycję - powiedział.

- A ja spotkanie.

- Moje namiętności zostały brutalnie zniszczone - zaczął układać kwiaty na jej biurku. - Ale za szybko wyciągnęłaś wnioski. Muszę jechać do Bostonu i chcę, żebyś pojechała ze mną. Brad chce, żebyśmy spotkali się z Jordanem Marshem, gdy już tam będziemy.

Będiesz miała czas?

- Chyba tak - przejrzała kalendarz.

- Ta firma z Bostonu nie da ani grosza, jeśli nie będą pewni, że na tym zarobią. Chciałbym, żebyś im przedstawiła zarysy naszej promocji. A później będziemy musieli zająć się Jordanem Marshem.

Jennifer bardzo chciała pojechać i załatwić tę sprawę, a później się zabawić. Po każdej korzystnej transakcji Terk zabierał ją na nocne szaleństwa.

Po wyjściu Terka do biura zaczęli przychodzić jej pracownicy.

Jennifer otworzyła zebranie, składając wszystkim gratulacje z okazji udanego pokazu. Wczoraj zrobiła odprawę, a teraz zapytała obecnych, czy mają jakieś propozycje do wydania kwietniowego.

- Zrobiłem plakat - powiedział Patrick wyciągając dużą planszę. - Chciałem zrobić coś, co łatwo zapamiętać. Nie twierdzę, że jestem genialny, bo pomysł jest wykorzystywany przez wszystkich.

Namalował dużego ananasa: cienie były zrobione po mistrzowsku. U dołu widniał napis jaskrawą zielenią: Jolie - numer kwietniowy.

- Być może, nie jest to zbyt oryginalny pomysł, ale plakat jest bardzo dobry. - W głosie Jennifer ulga mieszała się z uznaniem.

- Miło mi, że ci się podoba - powiedział.

Jennifer wzięła projekt, przespacerowała się z nim po pokoju, trzymając go na wyciągnięcie ręki i przyglądając mu się z rozkoszą. Plakat wzbudził entuzjazm reszty zebranych. Postawiła projekt na biurku tak, żeby wszyscy mogli dokładnie obejrzeć. Po chwili rozpoczęła dyskusję. Wszyscy się zgadzali, że potrzebny byłby pokaz mody.

- A może by wynająć tancerki z Hawajów? - zastanawiała się jakaś młoda tancerka z sekcji sztuki.

- Wiem, gdzie można kupić takie plastikowe ananasy, moglibyśmy rozdawać je jako maskotki.

Jennifer była podniecona. Entuzjazm był budujący. Pomysły pojawiały się wszędzie.

- Nauczymy widownię, jak wiązać sarong.

- A co z plakatami?

- Może zorganizować loterię, w której główną nagrodą byłby wyjazd na Hawaje...

Jedna z maszynistek nagle przerwała z natchnionym uśmiechem na twarzy.

- Niech sklepy ogłoszą Tydzień Wielkiego Ananasa. Niech restauracje serwują dania polinezyjskie. Zróbcie wystrój stołów w dzielnicy chińskiej tak, aby wyglądały tropikalnie. Jeśli sklepy mają część meblową, niech pokażą hawajskie patio. To mogłoby być niesamowite.

Patrick położył jej dłoń na czole i mlasnął językiem.

- Biedaczka. Ogarnęła ją ananasowa gorączka. Niebezpieczne, ale rzadko kończy się tragicznie.

- Skończy się tragicznie dla nas, jeśli nie przygotujemy promocji - głos Brooke Wheeler zagłuszył śmiech.

- Nigdy nie będzie można sprzedać dużej kolekcji, ale coś tak zorganizowanego i oryginalnego mogłoby usprawiedliwić opłatę.

Jennifer westchnęła z ulgą. Miała nadzieję, że Brooke coś powie i nie zawiodła się.

- Na Hawajach jest mnóstwo ośrodków turystycznych. Nie zapominajcie, że w większości domów towarowych są księgarnie.

Przesycenie jest kluczem do sukcesu. Zachećcie ich, aby wydawali przewodniki po Hawajach.

Wszyscy teraz mówili naraz, zgłaszali nowe pomysły. Jennifer powoli przekonywała się do pomysłu Brada.

- Chciałabym was jeszcze o coś spytać. Co z dodatkową promocją.

Jeśli naprawdę chcemy dobrze sprzedać kolekcję, będziemy musieli zaangażować w promocję więcej sklepów w mieście. Nie tylko te duże, które ze względu na poniesione przez siebie koszty będą miały wyłączne prawo do sprzedaży naszych modeli, prawda, Brooke?

Brooke wyczuła, że Jennifer raz jeszcze wchodzi na jej teren działania. Skinęła z aprobatą, wiedząc, że nie może zrobić nic innego. Jennifer zauważyła jej wahanie, ale mówiła dalej.

- Proponuję papierową promocję w mniejszych sklepach. Żadnych pokazów. Tylko trochę reklam, szkiców do użycia w sklepach. W ten sposób będziemy mieli wystawę za darmo.

Dał się słyszeć jednomyślny jęk. Oznaczało to mnóstwo pracy, ale przed końcem spotkania wszyscy byli za. Wszyscy, oprócz Brooke Wheeler.

Korytarze były ciche, tylko sporadyczne stukanie maszyny przerywało szpitalną ciszę i martwość.

Biuro Terka Conlona przylegało do biura Brada. Chociaż wiedział, że nikogo nie było, na wszelki wypadek zamknął drzwi. Wsunął słuchawkę między brodę i ramię,

zwijając i rozwijając sznur ręką.

- Nie mogę dzisiaj, Eben. Wiem, że się spóźnię, ale tu wszystko jest bardzo napięte.

- Masz czas do piątku - głos na drugim końcu był zimny.

- Nie wiem, czy znajdę tyle do piątku. A może poniedziałek?

- Jeśli naprawdę jesteś bez grosza, poproś żonę o pożyczkę.

Wszystko mi jedno, jak to załatwisz. Masz być u mnie w piątek o 12.30.

Telefon zamarł. Terk wpatrywał się w słuchawkę. Walnął nią o stół, czując, że hałas uderzenia miesza się z jego gniewem. Przez prawie siedem lat był uzależniony od Ebena Towersa, począwszy od dnia, kiedy został kierownikiem sprzedaży w Morceaux, największej firmie sportowej Towersa.

Wszystko wydawało się takie proste. Po każdym sezonie producenci decydowali się na wyprzedaż. W Morceaux było tak samo. Pomysł Terka był prosty. Para gabardynowych, wełnianych spodni kosztowała 62 dolary, w hurcie sprzedawano je za 32 dolary. Pod koniec sezonu Terk zaproponował sklepom cenę 20 dolarów za sztukę. Jeśli jednak klient kupował więcej niż jedną parę, cena spadała do 18 dolarów.

Terk przekonał swoich ludzi, żeby sprzedawali po 20, a Towersowi powiedział, że musiał obniżyć cenę do 18 dolarów. Terk i kupujący podzielili się różnicą. Przez pięć lat Terk zbierał ćwierć miliona dolarów. Bez względu na to, jak dochodowy był cały pomysł, powinien być być lepiej zorientowany. Miał za dużo partnerów podatnych na naciski których nie mógł skontrolować. Gdy jeden ze współników

Terka w Detroit próbował wycisnąć z niego jeszcze 50 centów na sztuce, odmówił. Tamten groził, że wszystko ujawni, ale Terk był pewien, że facet nic nie powie. Tymczasem przeliczył się.

Trzy dni po ich gwałtownej rozmowie Eben Towers wpadł do biura Terka wywijając rachunkami. Gdyby to udowodnił, a miał wystarczająco dużo dowodów - wsadziłby Terka na pięć lat do więzienia. I nawet gdyby jakimś cudem spłacił dług, nie byłby wolny. W tej branży na małe kradzieże można było patrzeć przez palce, ale okradanie pracodawcy było wręcz szokujące. Terk błagał Towersa. Wtedy decyzja Ebena wydawała się Terkowi łaskawa. Nie będzie prześladował, wybaczy. Nikomu o tym nie powie, ale Terk będzie musiał zapłacić każdego centa z procentami. I te procenty zrobiły z Terka niewolnika. W zamian za odroczenie spłaty 250 tysięcy Terk musiał wyświadczyć Towersowi pewne przysługi. Eben Towers był wierny filozofii, że każdy człowiek posiada pewne talenty. W Terku wyczuł instynkt ulicy, który mógł mu się przydać.

Nigdy nie pytał go o szczegóły, obchodziła go metoda. Terk chciał teraz wolności. Chciał spłacić dług i mieć z Ebenem Towersem spokój. Spojrzał na fotografię żony. Jej kłujące, niebieskie oczy kpiły z niego. Wiedział, że inni wierzyli w to, co zasugerował Towers, że Terk ożenił się z Deirdre dla pieniędzy. Oczywiście jej bogactwo było ważne. Było również prawdą, że z zadowoleniem przyjmował duże prezenty w gotówce na urodziny i w rocznicę ślubu.

Mimo że teraz im się nie układało, naprawdę kochał Deirdre, gdy się z nią żenił.

Wyszedł z biurka zmęczony patrzyeniem na martwy portret żony.

Przechadzał się po pokoju, sfrustrowany. Lata napięcia



zbierały żniwo. Na zewnątrz pozostał taki sam, pełen brawury, ale stres zmienił jego charakter, przestał się przechwalać, zaczął uważać.

Usiadł na krześle i rozejrzał się po swoim gabinecie. Pokój jak pudełko, z niebieską wykładziną i beżową skórzaną sofą, która stała przy ścianie pokrytej trawiastym materiałem. Nad kanapą wisiał rząd fotografii. Na środku pokoju stał Daibutsu. Twarz posągu zabarwiona była zielenią. Niżej znajdował się rozległy widok, który uchwycił przerażające piękno Fudzi jamy i jej pokryty śniegiem szczyt odbijający się w pofalowanych wodach jeziora Hakone. Terk przyglądał się obrazowi. Nad jeziorem Hakone po raz pierwszy spotkał Zenę Welles. Podróż do Japonii była pomysłem Deirdre. Ale Terk nie mógł wytrzymać jej nie kończących się wycieczek po sklepach, więc zdecydował się chodzić oddzielnie.

Porozumienie było zgodne, ku zadowoleniu Deirdre, która przetrząsała tokijskie antykwariaty i chodziła po galeriach, których pełne było tokijskie stare miasto.

Terk pojechał sam na Fudzi jamę. Na stacji kolejowej w Hakone wynajął samochód, który go zawiózł do Kowakien, hotelu na zboczu z widokiem na świętą górę. Była jesień i czarna toyota wspinała się krętymi, górskimi drogami. Powietrze było czyste i kontrastowało z ciężkim niebem Tokio.

Hotel w Kowakien był wielkim, jednopiętrowym budynkiem z kamienia i jasnego drzewa, otoczonym krzewami, przebłyskującymi spomiędzy wielotonowych gładów.

Terk spacerujący po ogrodzie od dłuższego czasu, zobaczył w pewnym momencie młodą Amerykankę, stojącą wśród porzucanego w nieładzie sprzętu fotograficznego. Nie była wysoka, miała włosy do pasa. Była w dzinsach i

flanelowej koszuli, a na nogach miała znoszone skórzane sandały.

Nie widział jej twarzy, bo była schowana za kamerą, skierowaną na Fudzi jamę. Obserwował ją przez chwilę, patrząc, jak mięśnie jej obfitego zadka napinały się za każdym razem, gdy zamykała ze złością przesłonę. Nawet z daleka widział, że miała wyjątkowo delikatne ręce. Podeszedł do niej ostrożnie, nie chcąc jej przestraszyć. Przedstawił się i zaczął rozmowę na temat sprzętu, mówiąc, że w ogóle nie zna się na fotografii. Zauważył, że nie miała makijażu. Wiatr zaróżowił jej policzki, a usta wydawały się lekko spierzchnięte. Miała zielone oczy jak szmaragdowe pierścionki upstrzone pomarańczowymi plamkami. Biła z nich nieświadoma pewność siebie, która go zniewalała.

Nazywała się Zena Welles i pracowała na własną rękę, chociaż miała kontrakt z Cook's Tour. Robiła zdjęcia do ich nowego przewodnika.

Po kilku minutach rozmowy zgodziła się towarzyszyć mu do miasta i pomóc w zakupie kamery. Było późne popołudnie, gdy wrócili do hotelu. Terk zaprosił ją na drinka. Umówili się za godzinę. Terk poszedł do swojego pokoju z dziwnym uczuciem. Spędził cudowne popołudnie z czarującą kobietą. Siedział już w barze, gdy weszła.

Włosy miała związane w długi warkocz, a na twarzy miała dyskretny makijaż. Miała wilgotne usta. Oczy delikatnie zarysowane w miętowej zieleni, intensyfikującej ich naturalny kolor, policzki lekko przyróżowione. Gdy była jeszcze w pewnej odległości od niego, poczuł świeży powiew wody kolońskiej. Rozmowa układała się łatwo. Po drinku zjedli, a przy podwieczorku Terk poprosił ją, by spędziła z nim następny dzień. Odprowadził Zenę do jej pokoju i pożegnał. Następnego dnia rano przez godzinę uczyła Terka

robienia zdjęć. Potem zjechali nad jezioro, gdzie wynajęli czerwoną motorówkę i popłynęli, podskakując wzdłuż porośniętych sosnami brzegów jeziora. Wiał wiatr, woda chlapała o burty motorówki, przemaczając ich do suchej nitki. Podśmiewała się z niego, że ma takie wymuskane, marynarskie spodnie, że aż sam zaczął się z tego śmiać. Próbował wyjaśnić jej, jak wyglądało jego życie, pełne nudnych podróży i klientów. Rozbawił ją tym zupełnie. Jej śmiech był dla niego czymś, czego od dawna mu brakowało. Byli tak sobą pochłonięci, że nie zauważyliby góry Fudzi, gdyby nie kapitan, który wrzeszczał na całe gardło po japońsku, pokazując za siebie.

Wyprowadził łódkę na środek jeziora, żeby mogli bez przeszkód zobaczyć majestatyczny szczyt. Oboje pochwycili za aparaty. Zena z wprawą eksperta manipulowała swoim, podczas gdy Terk męczył się, nie wiedząc jak się ma za to zabrać. Przez to, że chciał zrobić doskonałe zdjęcie, omal nie wyrzucił łódki. Oboje zaśmiewali się do łez. Dla Terka był to najweselszy dzień w życiu. Tego wieczora nie zostawił jej przy drzwiach. Kochał się z nią, z delikatnością, której się po sobie nie spodziewał. Jej blada, eteryczna cera była skąpana w świetle księżyca. Wyglądała jak delikatna lalka, której ciało było wyrzeźbione z kości słoniowej. Włosy opadały jej na ramiona i piersi. Miała jędrne piersi z ciemnymi aureolami otaczającymi małe różowe sutki. Leżał obok niej, chcąc czuć i widzieć ją w tym samym czasie. Całował delikatnie jej usta, oczy i szyję. Skórę miała zimną i gładką. Czuł, że mógłby zostać tam przy niej na zawsze, dotykając tego alabastrowego przepychu. Gładziła go palcami, aż drżał od zmysłowej rozkoszy, dotykała jego ciała, podniecając go bardziej niż ktokolwiek i kiedykolwiek.

Zaokrąglonymi paznokciami delikatnie gładziła go po

wewnętrznej stronie ud, a ustami pieściła brzuch, muskając jedwabnymi włosami.

Wydawała się taka drobna, że aż się obawiał, czy nie zrobi jej krzywdy, więc uniósł ją i posadził na siebie. Włosy opadały jej na ramiona. Zamknęła oczy, a on obserwował, jak porusza się w górę i w dół. Objęła go nogami, a jej wilgoć drażniła, ogarniając go całego aż poczuł, że traci kontrolę. Odkrywali swe ciała przez długi czas, przedłużając oczekiwanie i zwiększając pożądanie, dopóki nie zadrzała. Ale nie do końca, nie osiągnęła spełnienia.

Pozostał w niej, opierając się naporowi własnego orgazmu, dopóki nie był pewien, że była zadowolona. W końcu uległ uniesieniu.

Kiedy leżeli obok siebie, wtuliła w niego głowę, a on czuł, że oczy zachodzą mu mgłą. Po raz pierwszy dał coś komuś, nie żądając nic w zamian. Przez całą noc próbował zrozumieć co mu się tak podobało w Zenie. Nad ranem stwierdził, że chyba jest zakochany.

Od tej pory starał się być z nią jak najdłużej. Wyznał, że jest żonaty, ale dla niej, na szczęście, nie miało to znaczenia.

Kochała go i chciała z nim być. Czekwała na niego w Tajlandii, Hongkongu, Grecji, Rzymie. Uciekał więc do niej wszędzie, ku jej rozkoszy.

Zena miała maleńkie studio w Greenwich Village i przez dwa lata prowadzili wspaniałą romans. Terk wymyślał późne spotkania i przypadkowe wyjazdy na całe weekendy, ale gdy Zena musiała podróżować liczył minuty do jej powrotu. Po jednej z jej długich podróży do Indii wyznał jej jak bardzo za nią tęskni, gdy jej nie ma. Pewnego razu, gdy siedzieli u niej na tapczanie, patrząc, jak świeca stojąca na stole drży łagodnie, powiedział:

- Zena, trudno mi to przyznać, ale nie mogę bez ciebie wytrzymać.

Chodzę dookoła bez celu, tęsknię za tobą bardzo.

- Podróże to część mojej pracy.

- Wiem, ale czasami trudno cię złapać, gdy jesteś tutaj, a co dopiero, gdy cię nie ma.

- Terk - powiedziała, wstając i patrząc mu w oczy - nigdy cię o to nie pytałam, ale musimy o tym porozmawiać. Wiem, że nie jesteś szczęśliwy z Deirdre. Dlaczego jej nie zostawisz? Bądź ze mną.

Jej słowa go zabolowały. Wiedział, że ta chwila nadejdzie, ale nie był na nią jeszcze przygotowany.

- Nie wiem, jak ci to wytłumaczyć. Deirdre jest bardzo potężna.

Boję się ją zostawić. Boję się, że jeśli to zrobię, znów znajdę się w jakimś rynsztoku w Queens.

- Dlaczego? - zapytała ze zdziwieniem. - Jesteśmy młodzi, nie mamy dzieci. Idzie nam dobrze, a ty masz dobrą pracę. Może nie moglibyśmy żyć tak luksusowo jak ty teraz, ale nie umarlibyśmy z głodu.

Terk wstał z tapczanu i podszedł do okna ze spuszczoną głową.

Trzymał ręce w kieszeniach.

- Zena, nigdy nie myślałem, że mógłbym kochać kogoś tak jak ciebie, ale czegoś się obawiam. Byłaś wychowana w średnio zamożnej rodzinie i dla ciebie umiarkowany sukces jest do przyjęcia. Dla mnie chyba też powinien, ale nie jest. Byłem biednym dzieciakiem, zawsze bez grosza. Chcę być bogaty. Potrzebuję bogactwa. I nie wiem, czy mógłbym z tego zrezygnować.

Zena podeszła do niego i oparła mu głowę na plecach.

- Nie będziemy już o tym rozmawiać. Chodź i Kochaj

mnie.

To była ostatnia noc, jaką spędził z Zeną. Dwa dni później mieli się spotkać na lunchu w Central Parku. Czekał na nią cztery godziny, ale nie przyszła. Cudowny rozdział w jego życiu się skończył. Terk wpatrywał się w zdjęcie. Potrząsnął głową. Po chwili podniósł słuchawkę i wykręcił numer. W środku kryzysu, związanego ze sprzedażą Jolie, powinien zadzwonić do kilku klientów, ale spotkanie z Ebenem Towersem bardziej go martwiło.

Myślami powrócił do Zeny i po raz pierwszy od lat był zadowolony, że się rozeszli. Wiedział, kim była teraz, nie sądził, żeby chciał się jej pokazać.

## ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Jennifer czuła, jak ją pochłania gęsta para prysznica. Wzięła ręcznik i wytarła zaparowane lustro nad toaletką. Sięgnęła po suszarkę i puściła strumień ciepłego powietrza na wilgotne loki.

Potrząsnęła głową i przeczesła palcami rude włosy, dopóki nie były zupełnie suche. Efekt ją zachwycił. Miedzianoczerwone pasemka błyszcząły w jasnym świetle, odbijającym się od luster. Poprawiła ręcznik zawiązany na wysokości piersi i usiadła na marmurowej toalecie. Armia kosmetyków, buteleczki i słoiczki każdego rodzaju, stały w pogotowiu, czekając na rozkazy. Skropiła twarz wodą mineralną, łagodnym nawilżaczem, a następnie zabrała się za makijaż. Podczas malowania myślała o Joshu, pamięć o nim była ciągle żywa. Wciąż o nią dbał i do pewnego stopnia czuła się winna. Nie zasługiwała na jego względy i nie powinna ich przyjmować. Bardziej niż kto inny znał jej wady, lecz przyjmował ją taką, jaka jest. Jennifer wpatrywała się w lustro, sprawdzając cienie. Być może, właśnie to ją pokrzepiało i niepokoiło zarazem: lojalność, akceptacja, troskliwość. Dostawała wszystko za darmo i bez zobowiązań. Przez chwilę żałowała, że Charles nie jest bardziej podobny do Josha. Gdy malowała sobie rzęsy, wymawiała sobie, że w ogóle mogła tak pomyśleć. Czy nie wyszła za Charlesa dlatego, że był przeciwieństwem Josha? Josh był otwarty i towarzyski. Charles natomiast spokojny i zrównoważony. Josh zmagał się z życiem, Charles dopasowywał do niego. I poza tym, gdy Jennifer była gotowa na małżeństwo, Charles tam był, a Josh nie.

Nakładała podkład na usta, gdy usłyszała, że otwierają się drzwi.

- Charles, jestem tutaj.

Charles przywitał się z nią jak zwykle. Dni z buziakiem na przywitanie i pożegnanie dawno minęły.

Poszła zrobić mu drinka: brandy z sodą, i wyrecytowała wszystko, co się wydarzyło, gdy on przygotowywał się do prysznic. Jego milczenie niepokoiło ją.

- Hej, jesteś tam? Mrugnij, jeśli mnie słyszysz.

Charles spojrział na nią.

- Przykro mi, kochanie. To był bardzo ciężki dzień i nie mogę powiedzieć, żebym z utęsknieniem czekał na ten wieczór. Poczuję się lepiej, gdy się przebiorę. - Poglaskał ją po policzku i zniknął pod prysznicem.

Jennifer przeszła do sypialni. Spojrzała na sukienkę z beżowego jedwabiu, wiszącą na drzwiach od szafy. Gdy wciągała ją przez głowę, zastanawiała się nad strojem Charlesa. Zapięła guziki i wygładziła kołnierzyk. Dopasowała pasek. Sprawdziła, czy cięcie w spódnicy nie jest za głębokie.

„Nie chcemy, żeby zbyt dużo było widać. Cranshawowie nie pochwaliliby tego” - powiedziała do siebie w zamyśleniu. Wzięła podwójny sznur pereł, zapięła diamentowy zatrząsk. Perłowe kolczyki, złota bransoleta oraz beżowe buty dopełniały ubioru.

Przyjrzała się sobie w lustrze.

- Jennifer Sheldon Cranshaw, jesteś cholernie przystojna - powiedziała, filuternie mrugając okiem do swojego odbicia w lustrze.

Poszła do salonu, żeby popatrzeć na Charlesa, jak się ubiera.

Charles był przystojny, elegancki z postawą, która świadczyła o prywatnych szkołach i nienagannym wychowaniu. Miał sześć stóp wzrostu, krótko obcięte włosy



w stylu Wall Street i niebieskoszare oczy osadzone blisko arystokratycznego nosa. Miał szczupłe i jędrne ciało, wzmocnione regularnymi ćwiczeniami w siłowni. Jego styl ubierania był tak konserwatywny jak jego inwestycje i gdy obserwowała, jak się ubiera w białą koszulę i trzyczęściowy garnitur, wiedziała, że krawat będzie z czerwonego jedwabiu.

Wyglądał dokładnie tak, jak wspólnik w prestiżowej firmie prawniczej, pełen dobrego smaku. Charles wsunął portfel i klucze do kieszeni i dołączył do Jennifer w salonie.

- Powiedz mi, że wyglądam cudownie - powiedziała Jennifer, robiąc piruet.

- Naprawdę, wyglądasz cudownie - ujął jej twarz w dłonie i pocałował delikatnie w policzek.

W taksówce, między strzępkami rozmowy, Jennifer obserwowała męża.

„Wygląda na zmartwionego” - pomyślała. Sięgnęła po jego rękę, próbując zapełnić próżnię, która ich dzieliła.

„Ledwie znam tego człowieka, który siedzi koło mnie” - pomyślała smutno. Zmienił się przez ten rok i jakoś czuła się za to odpowiedzialna. Jego małomówność zawsze przypominała jej ojca i to porównanie bolało. Zawsze obwiniała matkę, że wyszła za piekarnię, a nie za ojca. Teraz zastanawiała się, czy nie popełniła tego samego błędu, co matka. Martwiło ją, że jej ambicja przyspieszyła erozję ich małżeństwa, ale zauważyła, że ciągle trzymał jej dłoń i czuła się tym pocieszona.

Wyatt i Celeste Cranshaw mieszkali w olbrzymim mieszkaniu na Upper Park Avenue, szcząc się pokojami urządzone przez Elie Wintersa, najlepszego dekoratora wnętrz w mieście. Podwójne dębowe drzwi prowadziły do przedsionka. Zabytkowy, mosiężny żyrandol rzucał światło na podłogę z marmuru. Ściany były oklejone beżowym

pergaminem, a elegancki stół z bliźniaczymi fotelami w stylu Ludwika XVI po obu stronach stał naprzeciw drzwi. Grecka waza, pełna zapierających dech w piersiach jedwabnych kwiatów, stała na stole obok oprawionego w paczone drewno lustro i dwóch mosiężnych lichtarzy. Jennifer podała szal lokajowi, który w milczeniu wziął także od niej futro z rysia. Wprowadził ich do salonu i zniknął jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki.

Celeste Cranshaw siedziała przed kominkiem. Podniosła się po królewsku, aby ich powitać. Była majestatyczna i tak szczupła, że niemal koścista. Blade jasnoszare włosy miała zwinięte w kok. Jej jedwabna, wiśniowa sukienka falowała wokół niej, gdy szła w ich kierunku. Uśmiechnęła się, delikatnie całując syna w oba policzki.

Później podała rękę Jennifer.

Wymienili grzeczności i usiedli koło kominka w oczekiwaniu na Wyatta Cranshawa. Lokaj podał zmrożone Chardonnay i kilka minut później wrócił z tacą pełną zakąsek. Jennifer siedziała sztywno na francuskim, brokatowym fotelu. Trzymała nogi podkulone, żeby nie zniszczyć chińskiego stołu z laki ustawionego między nią a kanapą, na której siedziała Celeste, trzymając za rękę syna. Jennifer popijała wino i skubała krakersa z krewetką i curry. Z zainteresowaniem przyglądała się z jakim przepychem urządzono salon, pozostawiając Charlesa i Celeste ich rozmowie. Olbrzymi czerwono - biały, francuski dywanik pokrywał prawie całą podłogę z klepki, zostawiając miejsce na dwa fotele. Naprzeciwko kominka wisiał cudowny parawanik Coromandela pełen orientalnejszej głębi.

Niski mahoniowy stolik z kolekcją dzwonek obiadowych w gablotkach stał przed sofą z dwoma

francuskimi fotelami, takimi jak ten, na którym siedziała Jennifer. Wszędzie stały podnóżki w stylu Ludwika XV ze złoconymi nogami, na których wyobrażnia Jennifer umiejscawiała damy dworu i królewskich gości w diamentowych diademach i szalach z soboli. Dwa kryształowe kandelabry błyszcząły przy suficie, a kilka palm dodawało delikatności sztywnemu wnętrzu.

Zaczynała już być głodna, gdy wreszcie wszedł Wyatt Cranshaw.

Zauważyła, że przystojna twarz Wyatta zorana jest zmarszczkami, świadczącymi o jego sześćdziesięciu pięciu latach, ale także o sukcesie, który w ciągu tych lat osiągnął.

- Przepraszam za spóźnienie - powiedział. - Musiałem poprawić kiepski nastrój jednego z moich klientów. Ciągle wierzy, że będzie krach na giełdzie.

Podszedł do Charlesa, który wstał, gdy tylko ojciec wszedł do pokoju i serdecznie uściśnął mu rękę.

- Dobrze wyglądasz, synu, chociaż jesteś trochę za chudy.

Jennifer, powinnaś lepiej karmić chłopaka - powiedział, zwracając się w jej stronę.

Jennifer zauważyła, że twarz Charlesa tężeje i współczuła mu, wiedząc, jak bardzo nie lubił, gdy ojciec zwracał się do niego w ten sposób. Wyatt przytulił Jennifer w niedźwiedzim uścisku, że aż ją zabolalo.

- Masz przystojną żonę - mrugnął do syna. - No i co tam, chłopcze?

- Wszystko w porządku, tato. - Charles mówił ostrożnie, ale z szacunkiem. - Dobrze wyglądasz, jak zawsze.

- Cóż, cały czas coś robię. Wiesz co, naprawdę powinieneś czasami pójść ze mną do klubu i pograć w golfa.

- Nie gram w golfa, tato, ale dziękuję za zaproszenie.

- No tak - Wyatt zamruczał w roztargnieniu. - Jak tam stary Clairborne? Ostatnio nie bywa w klubie.

- Jest teraz zajęty.

- Jennifer, nadal pracujesz? - spytała Celeste, kierując sopranowy głos w stronę synowej.

- Tak, nadal.

- Dlaczego nie zrezygnujesz z pracy i nie zajmiesz się rodzeniem dzieci? - powiedział Wyatt, klepiąc się po kolanie dla podkreślenia słów. - Przecież nie potrzebujesz pieniędzy, zważywszy na dochody Charlesa i twój spadek.

Jennifer zobaczyła, że Charles blednie i zwięzają mu się oczy.

- Pracuję, bo mi się to podoba - powiedziała zjadliwie, a Charles kiwnął głową na znak aprobaty.

- Jennifer piastuje bardzo odpowiedzialne stanowisko w Jolie i jest nadzwyczajnie zdolną kobietą. Poza tym masz dość wnuków, żeby się nimi zajmować.

- Robię to - zachichotał Wyatt. - Cóż to za rozrabiaki.

Celeste spojrzała badawczo na syna, czuła jego wrogość i miała nadzieję, że zaraz poproszą do stołu. Zdawała sobie sprawę, że Charles jest za dorosły, żeby go bronić. Charles zawsze był jej pupilem, jedynym dzieckiem, na które przelała wszystkie uczucia.

Wyatt junior i Willie byli wyłączną własnością męża. Wyglądali jak on, ćwiczyli lekkoatletykę, a później zaczęli pracować na Wall Street w rodzinnej firmie maklerskiej. Charles natomiast był tym, którego Celeste zabierała na koncerty i do galerii, była dumna z jego bystrości i intelektu. Zepsuła go, wiedziała o tym, ale nic na to nie mogła poradzić. Po drugim synu urodziła piękną dziewczynkę. Dziecko miało tylko jedną nerkę i zmarło po osiemnastu miesiącach. Celeste była zdruzgotana: Zaszła w ciążę dopiero po ośmiu latach i

zamiast córki urodziła Charlesa. Do tego czasu Wyatt zupełnie się poświęcił starszym chłopcom, a zaniedbał Charlesa. Celeste zajęła wolne miejsce, szalejąc na jego punkcie.

Patrzyła teraz na niego i czuła się uspokojona. Wiedziała, że zrobiła dobrze.

Siedzieli nadal w salonie, słuchając, jak Wyatt wylicza swoje przygody, gdy był pilotem, podczas drugiej wojny światowej.

Jennifer знаła opowiadania Wyatta na pamięć i modliła się, żeby wieczór już się skończył. Starła się skoncentrować, ale jej oczy wciąż dryfowały w kierunku portretu na ścianie. Był to olbrzymi portret olejny ojca Celeste, Tylora Stensfielda. Był wielkim zawiadakią, nieugiętym pionierem: Dorobił się na plastikach.

Zbudował imperium i nie zszedł z tronu, aż do dnia gdy zmarł trzy lata temu, w wieku 92 lat.

Jennifer i Charles spędzili wiele miłych godzin z Tylorem w jego posiadłości w Westchester. Jennifer i Stensfield polubili się od razu, bo dziadek Charlesa był jedynym krewnym, który zaakceptował ją bez zastrzeżeń, a to ze względu na jej zaciętą żądzę sukcesu.

Raz uparł się, żeby zabrała go do piekarni. Co to był za dzień.

Marty nauczał starego człowieka, jak się robi bułki, pokazywał, jak ugniatać ciasto brzegiem dłoni, tak, żeby było cienkie i napięte. Tylor czekał przy piecu ze swoją porcją bułek, aby je upiec i dumnie owinał je sam w woskową, papierową torbę. Nieobca mu była praca fizyczna. W młodości nosił paczki i zamiatał w fabryce, aby móc utrzymać rodzinę. Wiedział, co to znaczy zarobić na siebie. Spędził z Jennifer wiele godzin i mówił, że tylko on i Jennifer

wiedzieli, ile trzeba zrobić pączków, żeby zarobić dolara, tylko oni pojmowali związek między własnym potem a pensją.

Pośród trzech wnuków Charles był jego ulubieńcem. Pozostali robili wrażenie, że czekają, aż im się wszystko poda na tacy, tak samo jak ten hałaśliwy facet, który się ożenił z Celeste, jego jedyną córką. W ocenie dziadka Charles wykazał się olbrzymią odwagą, mówiąc Wyattowi, że nie chce pracować na giełdzie. Chciał spełnić własne marzenia i ambicje, a Tylor mu w tym pomagał.

Jedyne zastrzeżenie jakie miał w stosunku do Charlesa, budziło jego republikańskie podejście do pieniędzy. Charles nie chciał grać ani ryzykować, tymczasem Tylor uwielbiał ryzyko.

Jennifer odwróciła się od portretu, aby się przyjrzeć Wyattowi.

Przypomniała sobie wrogość, jaką dostrzegła w jego oczach przy odczytywaniu testamentu Tylora. Znaczna część posiadłości przypadła Celeste, dla każdego z jej dzieci ustanowił pensje.

Zapis Charlesa był większy od innych, wzmocniony przez kilka nieruchomości. Wyatt oczywiście nie przeszedł nad tym do porządku dziennego, ale decydujący cios nadszedł wtedy, gdy adwokat przeczytał paragraf sporządzony kilka lat przed śmiercią. Jennifer Sheldon Cranshaw miała otrzymać całą kolekcję malarską Ezry Gallwaya, której wartość szacowano na kilka milionów dolarów.

Tylor znalazł Gallwaya w górach północnej Wirginii i od razu dał się zauroczyć jego portretom amerykańskich robotników, farmerów, górników, rybaków. Tylko Charles i Celeste byli zadowoleni z prezentu, doceniając stojące za tym

przywiązanie. Reszta rodziny była oburzona. Wyatt junior próbował się nawet procesować, ale na próżno. Jennifer była właścicielką galerii, czy to się Wyattowi podobało, czy nie i nie chciała sprzedać ani jednego obrazu.

Zrobiła to co Tylor, wysłała kolekcję w tournée po całym kraju.

Obrazy Gallwaya zostały jej podarowane przez człowieka, który posiadał część jej serca. Tylor zdobył to miejsce swoim człowieczeństwem, gdy inni myśleli, że kupił je szczodrością.

Charles o tym wiedział i tylko to się liczyło.

- Wyglądałaś świetnie, Jennifer - powiedział Charles, gdy wchodzili do mieszkania. - Nie lubię narażać cię na towarzystwo moich rodziców, ale nie mogłem odmówić mojej matce.

- Rozumiem, kochanie, naprawdę. To twój ojciec jest taki świętoszkowaty i szczerze mówiąc nudny. Czasami zastanawiam się jak twoja matka go znosi.

- Ja też nigdy tego nie rozumiałem. Ta kobieta to święta. Chyba tylko dla niej przeżyłem.

Jennifer podeszła do niego, objęła ramionami jego szyję i pocałowała.

- Cieszę się, że przeżyłeś - szepnęła zdejmując mu koszulę i lekko drapiąc po plecach. - Chodź do łóżka. - Rozebrała się i wślizgnęła pod kołdrę.

- Za chwilę - odpowiedział Charles, wieszając swój garnitur i kładąc buty na odpowiednim miejscu na dole szafki. Zgasił światło i położył się koło niej. Pocałowała go namiętnie. Przebiegła palcami po jego plecach, czując linie jego kręgosłupa, głaskała go po pośladkach, tak jak lubił. Polizała jego ucho, czuła jak wilgotnieje z podniecenia. Uniosła piersi, w oczekiwaniu, że ją dotknie swoimi

zmysłowymi palcami. Zamiast tego odwrócił się, żeby mogła dalej głaskać go po pośladkach. Przebiegła dłońmi po bokach, przytuliła się mocno do niego. Czekwała, aż poczuje jego twardość.

Ale nic się nie działo. Był miękki i zwiotczały. Otworzyła oczy i obserwowała, jak wyęczał się i koncentrował, żeby ją zadowolić, lecz jego ciało nie chciało odpowiedzieć.

- Przepraszam, Jennifer. Chyba jestem zmęczony.

Usłyszała ból w jego głosie, ale nie złagodziło to jej pragnienia.

Pocałował ją delikatnie i odwrócił się plecami. Przez długi czas wpatrywała się w jego plecy. Krople łez ciekły po jej twarzy. Był zmęczony przez tyle nocy. Zastanawiała się, czy to zmęczenie fizyczne, czy próżnia emocjonalna powodowała jego impotencję.

Wstała z łóżka, włożyła szlafrok i przeszła cicho na korytarz.

Stojąc tam w ciemności i paląc papierosa, bała się. Była między nimi otchłań, która ciągle się powiększała. Wiedziała, że nie potrafi jej zapełnić. Zdała sobie sprawę, że nie chce być samotna.

Jej doskonale zbudowana egzystencja sypała się. To małżeństwo, kiedyś takie pewne, rozpadało się powoli. Patrzyła na gwiazdy migające w ciemności i zastanawiała się, dokąd ją prowadzą. Co więcej, zastanawiała się, czy będzie szczęśliwa, gdy tam dotrze.



## ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Parę minut po dziesiątej Jennifer otworzyła drzwi do Cloud 9.

Korytarze były ciemnawe, przecisnęła się przez wejście tuż przy ścianie. Szła po omacku w kierunku głównej sali, skąd słyszała gwar rozmów i brzęk szkła. Stała przez moment chłonąc nastrój chwili. Wkrótce olbrzymia przestrzeń będzie pulsowała muzyką.

Teraz wszystko było ciche i szare, bez życia, jak scena na Broadwayu, czekająca na aktorów, którzy ożywią scenerię i nadadzą jej znaczenie. Różnica była taka, że dzisiaj to ona była reżyserem. Przez chwilę bała się. Tak dużo dała z siebie, że obawiała się nawet najmniejszego potknięcia. Zastanawiała się, dla ilu kontraktów dzisiejszy wieczór da impuls i ile nowych znajomości zostanie zawartych na tym parkiecie. Na kilka minut przed przybyciem pierwszych gości, Jennifer stanęła przy wejściu po jednej stronie, a Brad po drugiej. Spoglądała na niego i dziwiła się, że tak świetnie wygląda. Zmartwienia, które ostatnio tak często wyciskały piętno na jego twarzy, zniknęły. Wyglądał wspaniale, witając gości. Jennifer witając ich także, szukała w tłumie Charlesa, ale dotychczas nie przyjechał. Zauważyła Brooke Wheeler, która wyglądała wspaniale w kreacji od Saint Laurenta z szafirowej tafty. Gwendolyn i Frank Stuart rozmawiali z paroma urzędnikami Fellowsa. Grali rolę gospodarzy z wyuczoną swobodą.

Gwendolyn wyglądała oszałamiająco w kostiumie Andre Langa, w czarnych welwetowych spodniach, prostej atlasowej koszuli i pikowanej marynarce. Błyszczała cała, stojąc obok męża i żartując z Selwynem Fellowsem, synem właściciela Jolie. Jennifer podziwiała Bettinę Kharkovsky, wydawcę części poświęconej urodzie w Jolie, gdy wszedł

Terk Conlon. Przechodził po stronie Brada, więc Jennifer musiała wyteńczyć wzrok, żeby zobaczyć jego żonę. Była zachwycająca w kombinezonie z czarnego welwetu, ze złoto - czarną lamówką zmarszczoną na karku. Jasne włosy opadały jej swobodnie na ramiona, z jednej strony zaczesane za ucho, a z drugiej opadające na oko a la Veronica Lake. Wyglądała jak bogini.

Jennifer nie przegapiła wejścia Diany Ross. Była otoczona tłumem fotografów. Przybycie burmistrza pochłonęło uwagę wszystkich.

Przeszedł przez salę z pewnością polityka, unikając jednych pytań, a odpowiadając na drugie. Jeden z reporterów cały czas się pytał, dlaczego Jego Ekscelencja przyszedł na przyjęcie bez partnerki.

Burmistrz - nieugięty kawaler - spojrzął po tłumie, a potem na dziennikarza.

- Po co przynosić kanapki na bankiet? - powiedział.

Po nim wszedł Truman Capote w olbrzymiej, czarnej pelerynie. W rozmowie z dziennikarzami podkreślał, że to Jolie było pierwszym pismem, które opublikowało jego utwory. Ten komentarz bardzo się podobał Jennifer. Spojrzała na Ali McGraw, która kiedyś była ich modelką, na Bobby Shorta, Marvina Hamlischa, Normę Kamali, Georga Plimptona i jego żonę Freddie.

Jennifer przeszła w głąb sali, zaniepokojona, że pewnie w tym całym zamieszaniu nie zauważyła, jak wchodził Charles. Przepchnęła się przez tłum ludzi, zatrzymała, żeby porozmawiać z Patrickiem Grahamem i kilkoma innymi współpracownikami ze swojego wydziału.

Nagle wpadła jej w oko Brooke Wheeler, która rozmawiała z mężczyzną w tweedowej, beżowej marynarce. Mężczyzna wydawał się jej dziwnie znajomy.

- Charles, bałam się, że cię przegapiłam. O której przyszedłeś? - Musnął jej policzek delikatnie z uśmiechem na ustach.

- Mniej więcej godzinę temu. Miałem do ciebie podejść, ale nie chciałem odrywać cię od gości.

Wziął ją za rękę i okręcił dookoła.

- Wyglądasz wyśmienicie, kochanie. I z tego, co już widziałem, urządziłaś świetne przyjęcie.

Jennifer nie mogła oderwać oczu od jego stroju. To był całkiem inny Charles. Pod tweedową marynarką miał odpiętą przy szyi jedwabną koszulę w kolorze kawy z mlekiem. Gabardynowe spodnie dopełniały reszty. Charles obserwował, jak go ocenia.

- Pomyślałem, że nie chcesz, aby mąż gospodyni wyglądał niemodnie w tym modnym tłumie.

Strój męża trochę ją zdziwił, ale spodobał się jej.

- Naprawdę wyglądasz świetnie - powiedziała szczerze. - Zawsze ubierasz się bardziej formalnie i chyba trochę mnie to zdziwiło.

- Małe niespodzianki są dobre w małżeństwie, prawda? - powiedziała Brooke, uśmiechając się do Charlesa.

Jennifer nie rozumiała, co Brooke miała na myśli, ale zanim mogła odpowiedzieć, Charles odciągnął ją na bok i powiedział, że wyszedł z bardzo ważnego spotkania i zaraz będzie musiał wrócić.

Chciała, żeby został, ale upierał się, że musi wyjść. Objął ją w geście pocieszenia, ale ona chciała czegoś więcej - pocałunku, uścisku.

- I nie uważaj, że musisz się mną zajmować - powiedział Charles. - Jesteś gospodynią i wiem, że masz obowiązki. Po prostu się baw. - Popchnął ją, żartując, w kierunku parkietu.

- Ja sobie poradzę.

Jennifer skierowała się w stronę baru, wciąż czuła się niepewnie.

Gdy spojrzała w stronę ludzi, zobaczyła jedną z najbardziej nieprawdopodobnych kobiet, jakie kiedykolwiek widziała. Obiekt uwagi Jennifer był naprawdę nieziemski, z oczami Nefretete i jedwabistymi, czarnymi włosami, które opadały do połowy pleców.

Nosiła egzotyczną sukienkę w kolorze burgundzkiego wina ze świecącymi, złotymi nitkami, bez rękawów i praktycznie bez boisów.

Jennifer zastanawiała się, czy w ogóle wypadało nazwać to sukienką. To było coś więcej niż sarong. Efekt był piorunujący.

Obok zjawy stał Josh Mandell, trochę to zdenerwowało Jennifer.

Chciała do niego podejść, gdy zatrzymał ją Terk Conlon z żoną.

- Terk mi powiedział, że to ty wymyśliłaś to całe ekstrawaganckie przyjęcie.

- Tak, to ja - powiedziała Jennifer, wyczuwając, że Deirdre nie jest kobietą, której imponuje fałszywa skromność.

- Uważam, że to jest fantastyczny wieczór - huknął Terk.

Właśnie wtedy obok nich przez podium przeszła modelka w kusej spódnicy mini pokrytej błyszczącymi cekinami. Deirdre wyglądała na zaszokowaną.

- Proszę, powiedz mi, że to był kostium, bo w przeciwnym wypadku będę zmuszona pomyśleć, że ta biedna kobieta była zamknięta w jakiejś piwnicy przez ostatnie czterdzieści lat.

- To była jedna z naszych modelek ubrana tak, żeby

zaprezentować Jolie, które już od czterdziestu lat działa na rynku. Wszystkie modele są całkowicie autentyczne - powiedziała Jennifer, tłumiąc śmiech.

Deirdre wciąż wpatrywała się w modelkę, która robiła piruet w kierunku stojącej niedaleko grupy kilku osób.

- Moim zdaniem, Deirdre - powiedział Terk wesóło - uważam, że wygląda świetnie. Jestem całym sercem za tymi kusymi fasonami, które wracają do mody. Wiesz, że zawsze podobały mi się nogi.

- Wiem też, że nie masz gustu, mój drogi. Teraz jeśli mi wybaczyście, zostawię was na chwilę, widzę normalnie ubranego jednego ze znajomych bankierów. - Deirdre odeszła w kierunku mężczyzny w doskonale skrojonym, szarym, flanelowym garniturze.

Terk i Jennifer spojrzeli po sobie, nie wiedząc, co powiedzieć.

Terk zatrzymał kelnera i wziął z tacy dwa kieliszki z szampanem.

Podał jej kieliszek bardzo ceremonialnie.

- Czy mogę pani powiedzieć, jak cudownie pani wygląda, pani Cranshaw? Ubrałaś się inaczej. Masz piękną szyję, kochanie.

Instynktownie Jennifer dotknęła nagiego gardła i roześmiała się.

- Zawsze wiesz, jak mnie rozśmieszyć - powiedziała.

Uniosła kieliszek w toaście i uśmiechnęła się do siebie.

- Mam nadzieję, że nie przeszkadzam. - Głos Charlesa przestraszył Jennifer, aż wylała kilka kropel szampana.

- Chyba nie znasz Terka Conlona. Kierownik od spraw sprzedaży - powiedziała, wycierając rękę serwetką. - Terk, to mój mąż Charles.

Gdy Charles podawał rękę Terkowi był trochę

sztywny. Chciała wierzyć, że był chociaż trochę o nią zazdrosny.

- Ma pan cudowną żonę, panie Cranshaw, utalentowaną i piękną. - Terk dobrze sobie radził. Może Charles był mimo wszystko zazdrosny. Conlon był przecież przystojny.

- Czy powiedział pan, że nazywa się Terk Conlon?

- Tak właśnie.

- Czy nie jest pan przypadkiem mężem Deirdre Walling?

- Tak, to prawda, że w pewnych kręgach Deirdre Walling jest znana jako Deirdre Conlon. Dlaczego pan pyta?

- Jestem współnikiem w spółce Stark, Brooks and Tumble. Rodzina pańskiej żony jest związana z naszą firmą od lat.

- To też prawda.

- Miałem przyjemność pracować z pańską żoną przy rozmaitych sprawach. Jest wyjątkowo bystra.

Sytuacja zaczynała być zabawna. Jennifer dobrze знаła Charlesa i bezbłędnie rozpoznawała tony w jego głosie. Na początku był formalny, a później zaczął być miły w stosunku do męża klientki.

- To inteligencja Deirdre przyciągnęła mnie do niej, gdy się poznaliśmy - powiedział Terk z chytrym uśmiechem na ustach.

Kiedy Charles i Terk zajęci byli rozmową, Jennifer przeszła się po sali. Gdziekolwiek spojrzała, wszędzie widziała piękne kobiety w kosztownych klejnotach. Wydawało się, że nagle strony Jolie ożyły.

Muzyka była ogłuszająca, a na parkiecie setki par poruszały się w tym samym rytmie. Kiedy Jennifer wróciła, zobaczyła, że Charles zniknął i inny mężczyzna zajął jego

miejsce. Odeszła od nich, chcąc wmieszać się w tłum, lecz coś w tym człowieku zaintrygowało ją.

- Eben, jak miło cię widzieć.

Terk uśmiecha się zbyt szeroko - pomyślała Jennifer.

- Dobry wieczór, Terk.

Terk był trochę czerwony. Jennifer delikatnie kaszlnęła, dając znać o sobie.

- Chyba nie znasz naszej gospodyni, Eben. Jennifer Cranshaw. To Eben Towers.

Jennifer rozpoznała to nazwisko od razu. Kiwnęła głową, a Eben uśmiechnął się protekcyjnie.

Terk odsunął się od Jennifer i położył rękę na ramieniu Ebena.

„Płaszcz się - pomyślała - coś, co robi bardzo rzadko”. Umierała z ciekawości, dlaczego.

Eben jest właścicielem sieci domów towarowych z odzieżą sportową.

- Terk niepotrzebnie podniósł głos, żeby go Jennifer usłyszała. - Kapujesz. Helen Dean. Gold Rush. Znasz go, Jennifer. Reklamowali się w Jolie.

- Już przestaliśmy - powiedział Towers z naciskiem.

Jennifer nie chciała angażować się w ich osobistą dyskusję, ale Terk zaczął i musiała pójść tym tropem. Może będzie mogła odkryć powód gwałtownego spadku ogłoszeń.

- A dlaczego już przestaliście?

- Bo Jolie przeżywa namiętny romans z projektantami, którzy zapomnieli o swojej pozycji i porzucili ludzi, dzięki którym utrzymywali się na rynku przez tyle lat.

Jennifer była zdziwiona. Towers chyba był zły i nie wiedziała dlaczego.

- Tak, pokazujemy prace projektantów, ale podstawą naszego magazynu są młode kobiety robiące karierę, a one

nie mogą sobie pozwolić na ekstrawaganckie ciuchy wielkich projektantów.

Eben wciągnął powietrze, jak gdyby uznał pomysł uspokojenia go za niesmaczny.

- Jestem wdzięczny, że słyszę to od pani, ale zarząd jest zupełnie innego zdania.

- Może czują ciśnienie konsumentów. - Jennifer była zadowolona, że włączono łagodniejszą muzykę.

- Może chcą zgarnąć różnicę dla siebie. Szczerze mówiąc, uważam za zbrodnię, że konsumentowi robi się wodę z mózgu, wmawiając, że z jednej pary spodni znanego projektanta ma więcej pożytku niż z dwóch czy trzech ode mnie. Ci biedni ludzie wydają więcej pieniędzy na mniej ubrań. - Mówił podniesionym głosem, aż kilka osób odwróciło się w ich stronę. Nie zauważał ich spojrzeń. - Jolie było kiedyś wspaniałym magazynem - mówił dalej. - Lepszym niż Allure i mniej pretensjonalnym niż Elegance. Ale ktoś nie wiadomo czemu dostał amoku.

Terk przestępował z nogi na nogę. Próbował zmienić temat. Zaczęli rozmawiać o stopach oprocentowania, a Jennifer miała okazję przypatrzeć się Ebenowi Towersowi. Był masywnej budowy ciała, chociaż nie był wysoki. Garnitur i koszula „Turnball and Asser” świetnie pasowały do jedwabnego krawata i zegarka Cartier. Eben Towers był ważnym człowiekiem i doskonale o tym wiedział. Terk też. W tym momencie Jennifer nie zdawała sobie sprawy, jak naprawdę ważny był Eben Towers.

Brooke Wheeler pogoniła Brada do tańca w chwili, gdy muzyka zmieniła się z nastrojowej na rockową. Podczas tańca Brad przyłapał się na tym, że wpatruje się w piersi Brooke. Nie spuszczała z niego oczu. Ledwo słyszał, co mówiła. Coś, że był atrakcyjny i szkoda, że się rozwodzi.



Obserwował ją i nagle wpadł mu do głowy świetny pomysł. Brooke przytuliła się do niego, zarzuciła mu dłonie na ramiona i napała nań biodrami. Pod wpływem mieszanki szampana i nastroju przyjęcia objął ją. Dla Brooke ten sygnał nie wymagał tłumaczenia.

Gwendolyn Stuart spędziła wieczór na obserwowaniu wszystkich znanych gości. Teraz usiadła na jednej z ławek i z ulgą rozluźniła buty, zadowolona, że może odpocząć kilka minut. Obok niej przeszła blondynka z końskim ogonem w stylu lat pięćdziesiątych, filcowej spódnicy i swetrze z angory. Po chwili przysiadł się do niej Serge Beidermeyer, konsultant artystyczny wszystkich magazynów Fellowsów. Był odpowiedzialny za oprawę plastyczną każdego magazynu i układ kolumn. Wielu uważało go za geniusza. Natomiast Gwen uważała, że jako artysta zatrzymał się koło roku 1955.

Sprzeczała się z nim zawsze, że stronice Jolie były zbyt przepełnione, ale on nie ustępował.

- Jolie powinno mieć z tego trochę reklamy - powiedziała wskazując na kobietę wyglądającą jak Jean Harlow w białej kreacji z atłasu i w szalu z białych piór. - Reporterzy i fotografowie ani na chwilę nie dali jej odpocząć.

- Clair nigdy by nie pozwoliła tak wykorzystywać Elegance - powiedział Serge, mając na myśli Clair Corelli, władczą redaktorkę tego magazynu. - Ma takie wysokie wymagania.

- A ja chyba nie - syknęła Gwen.

- Nie sądzisz, że Clair świetnie dziś wygląda?

Ja nie wyglądam jak lalka Barbie - pomyślała Gwen i powędrowała oczami w kierunku damy, o której mówił. Clair wyglądała świetnie w jedwabnej kreacji od Calvina Kleina z czarnymi cekinami lśniącymi przy kołnierzyku i przy rękawach. Stała przy barze otoczona przez tłum.

Fotoreporterzy z Przeglądu Mody po kolei podchodzili do niej i prosili o pozowanie.

- Jeśli otworzę jutro Przegląd Mody i zobaczę ją zamiast siebie, odwołam subskrypcję - przysięgła sobie Gwen.

- Ile jeszcze to wszystko będzie trwało? Chciałbym wiedzieć, kiedy będzie można grzecznie wyjść. - Serge poruszył nosem, jak wiktoriański dżentelmen, który zażył zbyt dużą dawkę tabaki.

- Mogłoby całą noc, więc wyjdź, kiedy chcesz - powiedziała i wstała. - W twoim wieku potrzebujesz odpoczynku.

Odwróciła się od zdziwionego mężczyzny i poszła do baru.

Terk uwielbiał przyjęcia i mimo spotkania z Towersem to uważał za wyjątkowe. Muzyka nawet przez chwilę nie przestawała grać, ludzie mieli styl, jedzenie wspaniałe, a każdy z pomysłów Jennifer sprawdzał się znakomicie. Przyglądał się, jak olbrzymi mężczyzna przebrany za goryla podkradał się do jednej z modelek. Małpolud tupał nogami i uderzał się w piersi, naśladując King - Konga. Z drugiej strony muskularny młody mężczyzna w bikini ze skóry lamparta rzucał kęgle. Była para tańcząca na deskorolkach, połykacz ognia, kłown i zaklinacz węży. Goryl właśnie złapał dziewczynę i wydał okrzyk Tarzana. Tłum szalał z zachwytu. Terk także się śmiał. Nagle ją zobaczył. Spojrzał jeszcze raz, sprawdzając, czy się nie myli. Nie dalej niż piętnaście stóp od niego stała Zena Welles. Nie mylił się, lecz zawahał się, nie był pewien, jak zareaguje, gdy po tyłu latach go zobaczy.

- Zena, co za niespodzianka. Nie mogę uwierzyć. - Objął ją, chcąc sprawdzić, czy się odsunie.

Nie odsunęła się.

- Cześć, Terk. - Jej głos był miękki.

Czuł się niezręcznie. Nagle nie wiedział, co zrobić z rękami i co powiedzieć.

- Wyglądasz świetnie, Terk. Jak leci? - Świetnie, a tobie?

Rozmowa była głupawa, ale nic nie mógł na to poradzić. Żałował, że nie mógł wymyślić czegoś porywającego, na co zareagowałyby tak, że mógłby odczytać jej myśli. Zamiast tego wymamrotał:

- Dlaczego tu jesteś? To znaczy z kim?

Zena roześmiała się, jej zielone oczy zabłyszczały i zahipnotyzowały go.

- Parę lat temu wygrałam nagrodę w twoim piśmie.

- Rzeczywiście. Teraz już pamiętam. Napisałaś świetną książkę o afrykańskiej przyrodzie.

Zastanawiał się, jak mogła być taka zrelaksowana, podczas gdy on był taki spięty.

- Chciałem do ciebie napisać i pogratulować, ale jakoś nie wyszło.

- Rozumiem.

Terk pocił się jak mysz. Nie pomagało, że co chwilę ktoś na nich wpadał i zatrzymywał się, żeby powiedzieć „cześć”.

- Zena, muszę z tobą porozmawiać. Możemy się gdzieś napić?

- Nie jestem tu sama - powiedziała. - Ty też nie. Jest bardzo ładna.

Terk zrozumiał, że mówi o Deirdre. Zanim odpowiedział, ktoś klepnął go w plecy. Odwrócił się i zobaczył Randy'ego Webstera, starego znajomego, który zaczął gadać o małżeństwach i rozwodach, całkowicie nieświadomy tego, co się działo dookoła niego. To Randy

przedstawił go Deirdre. Wydaje się, że było to sto lat temu. Ale Terk nic nie słyszał. Zena działała na niego jak narkotyk. Tak wiele chciał jej powiedzieć, tak wiele chciał się dowiedzieć.

Wiedział, że jest to dziwne, ale od chwili, gdy ją zobaczył, poczuł, że stare uczucia wzbierają w nim jak powracająca fala. Był nią oczarowany, tak samo, jak wiele lat temu.

Nie tylko Terk był zdziwiony na widok Zeny Welles w Cloud 9.

Deirdre zauważyła ją ponad godzinę wcześniej. Poczowała gniew, gdy Terk objął Zenę. Po plecach przebiegł jej zimny dreszcz, jak gdyby powiał arktyczny wiatr. Wślizgnęła się w róg sali, skąd mogła utrzymać pewien dystans i jednocześnie mieć ich na oku.

Terk myślał, że żona nic nie wiedziała o nim i o Zenie, ale była świadkiem ich romansu niemal od początku. To nie jego wyjazdy i spotkania późno w nocy dały jej znak, że coś jest nie tak. Raczej brak entuzjazmu w łóżku. Bez względu na to, jak często ze sobą walczyli, czy jak gorzkie były ich sprzeczki, łóżko zawsze było pasjonującym miejscem spotkań. Terk wprawdzie nadal wykonywał swoje małżeńskie obowiązki, ale ich miłość stała się beznamietna, poza zwierzęcym pożądaniem, do którego Deirdre była przyzwyczajona przy Terku. Na początku myślała, że brak zaangażowania był wynikiem stresu. Zawsze był opętany pomysłami o sławie, żeby sobie udowodnić, że jest godny małżeństwa z Deirdre Walling. Trzymała więc język za zębami. Później, gdy zaczął zapominać o spotkaniach towarzyskich, zaczęła się niepokoić. Jej matka uważała roztargnienie Terka za wynik napięcia między córką i jej mężem.

Pewnego dnia przy lunchu powiedziała, że Terk może mieć kochankę.

Deirdre wyśmiała ten pomysł. Wiedziała jednak, że Winnie umiała odczytać takie sygnały, ponieważ słowo „wierność” nigdy nie należało do słownika Parkera Wallinga.

- A jeśli ma romans - spytała matki - to co mam zrobić?

- Nic - powiedziała Winnie tonem autorytatywnym, który miał oparcie w długim doświadczeniu. - Przeczekaj to. Nie zrywa się małżeństwa tylko dlatego, że mąż ma romans.

Następnego dnia Deirdre wynajęła detektywa. Gdy już miała adres i nazwisko, wymyśliła plan.

Pewnej nocy, gdy Terk wezwał taksówkę - rzekomo miał jechać do Atlanty - Deirdre pojechała za nim. Terk wszedł do starego domu z walizką w rękę, a Deirdre czekała. Mijały godziny, a ona czekała.

Było prawie południe następnego dnia, gdy wyszli razem pod rękę.

Nawet teraz, po latach, przypominała sobie wściekłość, którą wtedy czuła. Chciała wyskoczyć z samochodu i stanąć przed nimi, tam, na ulicy, ale nie zrobiła nic. Przez dwa lata dostawała raporty od detektywa. Przez dwa lata dławiała swoją dumę. Potem, pewnego dnia, przyszedł detektyw i powiedział, że Zena Welles zamknęła mieszkanie i wyjechała z miasta. Winnie miała rację. Nie zrywa się małżeństwa przez jeden romans.

Ale ten romans Terka zmienił ich małżeństwo. Więcej się kłócili, mniej kochali, dokuczala mu, a on ją ignorował. Teraz Zena Welles wróciła, a wraz z nią zakochany wyraz twarzy Terka. Raz już Deirdre stała z boku. Nie miała zamiaru stać z boku po raz drugi.

Za pięć dwunasta Brad Helms wspiał się do kabiny

discjockeya, gdzie czekała już na niego Jennifer. Nadszedł czas na przemówienie i efekty specjalne. Kiedy wszyscy czekali, aż zegar wybijie północ, Jennifer szukała w tłumie Charlesa. Zdumiona stwierdziła, że jeszcze nie wyszedł, ale śmieje się i żartuje z grupą ludzi na parkiecie. Obok stał Josh i jego towarzyszka, która trzymała ręce przy twarzy, chroniąc się przed hordą upartych fotografów. Kim była, że chłopcy z Przeglądu Mody tak się nią zajmowali? Dlaczego jest zmartwiona, że Josh nie przyszedł na przyjęcie sam.

Obserwowała, jak tańczy. Wyglądał cudownie: Przez chwilę żałowała, że nie była kobietą w sarongu. W końcu muzykę wyłączono, światła przygasły. Ruch ustał i po chwili było cicho. Brad podszedł do mikrofonu. Spojrzał na Jennifer, która uśmiechała się i dawała mu znaki, żeby zaczął.

- Panie i panowie. Przerывamy uroczystość - na krótką wiadomość reklamową.

Publiczność się roześmiała, a Brad odprężył.

- Dzisiaj obchodzimy 40 urodziny Jolie. Dla tych, którzy pracują w naszym magazynie to bardzo ważna chwila, ponieważ oznacza, że osiągnęliśmy pełnoletność. W imieniu całego zespołu chciałbym podziękować naszym przyjaciołom, za przybycie i spędzenie tej nocy z nami. - Przerwał czekając, aż skończą się oklaski. - Naszym celem było zawsze iść z duchem czasu. Jestem dumny z tego, że to Jolie wylansowało wiele trendów. Nasi wydawcy są obdarzeni rzadką umiejętnością chwytania w lot marzeń klientów, przedstawiania tego co Piąta Aleja ma do zaoferowania. Ostatnio na naszych łamach zwróciliśmy większą uwagę na zdrowie, ponieważ głęboko wierzymy, że dobra kondycja ma dużo wspólnego z wyglądem zewnętrznym. Dział literatury dał nam niejednego autora i poetę, spośród których wielu tu dzisiaj jest. Gratulujemy im

sukcesu a sobie trafnych przewidywań ich możliwości i talentu w czasach gdy startowali.

Kolejna burza oklasków. Brad promieniał. Ręce mu drżały, ale głos pozostał pewny.

- Dyskutowaliśmy o wszystkim, począwszy od seksu, a skończywszy na złych daktylach. Pokazywaliśmy, jak należy się ubierać i nalegaliśmy na zmianę stylu. Nauczaliśmy, jak urządzać mieszkanie i dawaliśmy cenne rady, jak się wspinać po szczeblach kariery oraz co robić z władzą, gdy już się jest na samym szczycie. Jolie jest magazynem dla młodych, ambitnych kobiet. Jolie jest nasze i nikomu go nie oddamy. - Jego głos był mocny. Brad uczynił ze swojej wypowiedzi niemal wyzwanie. - Jesteśmy to winni naszym czytelnikom. Raz jeszcze mamy zamiar być nowatorscy. Oświadczam, że Jolie tu, na tej uroczystości, będzie prekursorem nowej mody.

To nasz prezent urodzinowy dla was. - Odetchnął głęboko i mówił dalej. - Wydanie kwietniowe będzie czymś nowym, nie tylko w świecie mody, ale i prasy. Całe wydanie będzie poświęcone Hawajom.

Wszystko - począwszy od mody, a skończywszy na jedzeniu - będzie miało tropikalny posmak. Młodzi w obecnych czasach tęsknią za dotykiem raju, Jolie jest gotowe im to dać. Nasz Wielki Ananas ma być najbardziej ekscytującym numerem, jaki się ukazał.

Trząśł się w środku i bolał go żołądek, gdy obserwował, jak setki ludzi komentują jego wypowiedź z sąsiadami.

- A teraz chciałbym podziękować całemu zespołowi za to, że pomógł mi urzeczywistnić ten plan, a szczególnie kierownikowi Działu Promocji - Jennifer Cranshaw, która zorganizowała tę niesamowitą noc. - Wyciągnął rękę i

podprowadził Jennifer do mikrofonu.

Usłyszała burzę oklasków. - Jeśli - mówił, trzymając Jennifer przy sobie - to prawda, że życie zaczyna się po czterdziestce, to mogę was zapewnić, że w Jolie wszyscy są na to gotowi. Życzę wam wszystkim szczęśliwych urodzin.

W chwili, gdy Brad skończył przemówienie, setki balonów z napisem Jolie opadło z sufitu na parkiet. Za nimi obniżył się ogromny neon, a jego jasne światło oświetliło salę. Był na nim olbrzymi zarys zielono - pomarańczowego ananasa z napisem „Piękno dziczeje”.

W chwilę potem trzydzieści modelek przeparadowało w swoich strojach, rzucając w tłum świecidełka. Ludzie rzucili się, żeby je zbierać. Krzyki i dziki aplauz przeraziły Jennifer. Wstrząsnęły nią dreszcze, gdy wszyscy goście, 1200 osób, zaśpiewali „Happy Birthday” razem z płytą. To była najcudowniejsza noc, jaką widziała.

Josh unikał jej przez cały wieczór, ale w chwili, gdy zabawa zamarła, a jego partnerka poszła do łazienki, Coral Trent dopadła go. Zastanawiał się, czy nie pójść w inną stronę, ale wiedział, że wyśledzi go gdziekolwiek pójdzie.

- Joshua, nie wstyd ci?! Cały czas mnie unikasz. -  
Uszczypnęła go w brodę długimi, pomalowanymi na czerwono paznokciami.

- Rozmawiałem z ludźmi. - Cofnął się o krok, ale ona się przysunęła.

- Od lat nie miałam od ciebie wiadomości.

Twarz miała umalowaną, a usta ciężkie od jaskrawego różu.

Rozjaśnione włosy miała uczesane w duży kok, a długie loczki opadły jej na brwi.

- Coral, nigdy nie byłem jedynym mężczyzną w twoim życiu, a ty wiesz doskonale dlaczego przestałem do ciebie



dzwonić, więc przestań pieprzyć! - Jego głos był szorstki, a jej słodziutki.

- Bardzo mi przykro z powodu twojej żony, naprawdę, ale pomyślałam sobie, że twoja żałoba trwa za długo. Na pewno nie wyglądasz na zasmuconego wdowca dziś wieczorem, kochanie. - Skrzywiła usta kpiąco, a Josh musiał się kontrolować, żeby nie rozmazać jej szminki po całej twarzy.

- Czy nikt nie powiedział ci, że jesteś kiepska?

- Ty. Wiele razy, ale chyba ci się to podobało.

- Przestań, Coral - wysyczał poprzez zaciśnięte zęby. Próbował ją wyminąć, ale zablokowała drogę, zarzucając mu ramiona na szyję.

- Nie mów mi, że zostałeś zakonnikiem. To nie ten Josh, którego znałam.

- Ten człowiek już nie istnieje. - Odciągnął jej rękę od siebie.

- Nie uwierzę w to ani przez chwilę. Szczególnie, gdy się przyjrzałam tej dupęnce, do której się dzisiaj przytulałeś.

- To się już dawno skończyło i nigdy nie powinno było zdarzyć.

- Być może, ale się stało. I było coś jeszcze.

- Jestem pewny, że znalazłaś wiele innych łóżek.

Spojrzała na niego i roześmiała się niskim, nie wróżącym nic dobrego chichotem.

- Jedne były za duże, inne za małe. Twoje zawsze pasowało.

- Czy mogłabyś wyświadczyć nam obojgu przysługę i wyjść szybko, zanim to stanie się niesmaczne?

- Bez względu na to, co mówisz, jeśli będziesz miał ochotę, zadzwoń.

Odeszła, lecz jej śmiech brzmiał mu w uszach. Szybko

przełknął drinka, oczy płonęły mu gniewem. Czuł się podle i chciał uciec do toalety, żeby umyć ręce. Coral Trent była podła, ale i miała rację. Bardzo z nią lubił to robić.

Ciekawość Jennifer wzrosła. Była świadkiem całej sceny między Joshem a modelką i nie mogła sobie wyobrazić, co Coral powiedziała, że aż tak się zdenerwował. Na jego twarzy widać było wściekłość. A trzeba wiele, żeby rozżłościć Josha. Jednakże ta dziewczyna tego dokonała. Jennifer chciała wiedzieć w jaki sposób.

Przepchnęła się przez gmatwaninę ciał, przepraszając. Ludzie zatrzymywali ją i składali gratulacje. Chcieli dowiedzieć się czegoś więcej o Wielkim Ananasie. Czuła aprobatę dla tego projektu. Każdego, kto pytał o promocję, kierowała do Działu Reklamy. Kiedy wreszcie dotarła do Josha, był w lepszym nastroju.

Zastanawiała się, czy to przez tę kobietę w sarongu, która pojawiła się przy jego boku.

- Czy nie jest to jedno z lepszych przyjęć, na których byłeś? - Uśmiechnęła się do Josha. Josh wziął Jennifer w ramiona i przytulił.

- Muszę przyznać, że nie widziałem nic lepszego od czasu przyjęcia w barze Sidneya Sulcova. - Cofnął się, ciągle trzymając jej palce.

- Jest jeden problem. - Jej twarz natychmiast odpowiedziała na powagę jego tonu. - Myślę, że zakochuję się w facecie, który jest przebrany za King - Konga.

Jennifer znów się uśmiechnęła.

- Chyba jesteśmy nieuprzejmi. Może przedstawisz mnie swojej partnerce.

- Przepraszam - powiedział. - Jennifer Cranshaw - Elyse de Marco.

Nazwisko wydało jej się znajome.

- Elyse de Marco, oczywiście. Nic dziwnego, że chłopcy z Przeglądu Mody kręcili się koło pani.

- Strasznie mnie denerwują - powiedziała Elyse.

- Nienawidzę reklamy i zazwyczaj unikam miejsc, gdzie wiem, że będzie prasa.

Elyse de Marco nie tylko świetnie wyglądała, ale była też wyjątkowo zdolna. Nic dziwnego, że Josh był nią oczarowany.

- Próbowałem przekonać Elyse, żeby wróciła do interesu - powiedział Josh. - Powiedziałem, że zabiorę ją z tego eleganckiego butik i zrobię z niej milionerkę, ale wciąż mi odmawia.

- Rozmawialiśmy na ten temat z dziesięć razy - powiedziała Elyse, trochę zażenowana dyskusją na ten temat przy Jennifer. - Lubię mój sklepik. Gdybym musiała produkować masowo, nie mogłabym dać upustu moim fantazjom tak jak teraz. Uważasz, że Amerykanie są na to gotowi?

- Josh może mieć rację - Jennifer wyczuła, że Elyse chce skończyć dyskusję, ale ten pomysł nie dawał jej spokoju. - Samo nazwisko de Marco już znaczy super szyk. Kto może powiedzieć, czy Amerykanie są na to gotowi, czy nie? Teraz może być najlepszy moment.

- Nie mogłabym tego zrobić. - Elyse była spięta.

Jennifer nie rozumiała, co spowodowało taką odpowiedź. Spojrzała ukradkiem na Josha, ale był tak samo zmieszany jak ona.

- Prawie zapomniałam - powiedziała do Josha, szybko zmieniając temat. - Matka dzwoniła, że David i Sara wracają w przyszłym tygodniu. - Żartujesz. - Josh wciąż patrzył na Elyse. - To wspaniale.

Przypilnuj, żeby doktor David do mnie zadzwonił.

- Całkiem możliwe, że najpierw zadzwoni do ciebie, a potem do mnie - odpowiedziała prawie do siebie.

- Nie bądź niemądra. To już nie ma znaczenia. A poza tym to jest twoje przyjęcie i jeśli chodzi o mnie, to jestem z ciebie dumny. - Pochylił się i pocałował ją, trochę z powodu przyjęcia, a trochę dlatego, że była zmartwiona. Objął ją, a ona poczuła potrzebę, żeby odwzajemnić uścisk. Skrawki wspomnień zappełniły jej świadomość. Odsunęła się od niego.

- Czy to szkolne spotkanie?

Już drugi raz tej nocy przestraszył ją głos Charlesa. Tym razem, gdy się odwróciła, zobaczyła go uśmiechającego się do Elyse de Marco. Jennifer przedstawiła ich sobie i przez kilka minut rozmawiali po przyjacielsku. Po chwili Jennifer spojrzała na zegarek.

- Charles, myślałam, że musisz wracać do pracy - powiedziała.

- Tak, właśnie przyszedłem ci to powiedzieć. Dzwoniłem i negocjacje się jeszcze toczą. Mimo że nie mam ochoty, muszę iść.

Nagle otoczył ich tłum fotoreporterów, robiąc Elyse zdjęcia i pytając o nazwisko Josha. Elyse zasłoniła twarz i odwróciła się do nich tyłem. Gdy odeszli, Elyse była wstrząśnięta.

- Josh, będziesz się gniewał, jeśli już pójdę? Nie mogę tego znieść.

- Ja też wychodzę. Mogę panią odwiedzić.

Jennifer spojrzała na Charlesa.

- Nie chcę pana specjalnie fatygować, panie Cranshaw - powiedziała Elyse.

Przeciwnie, zrobię to z przyjemnością. Obiecałem Brooke Wheeler podwieźć ją do domu, więc jeszcze jedna pasażerka nie będzie przeszkodą.

- To bardzo miło z twojej strony, Charles - powiedział Josh. - Muszę przyznać, że wolałbym zostać, a czułbym się lepiej wiedząc, że odwieziesz Elyse do domu.

Charles odwrócił się do Jennifer i pocałował ją lekko w policzek.

- Wprost brak mi słów, żeby powiedzieć, jak jestem z ciebie dumny. Żałuję tylko, że nie mogę zostać do końca.

- Rozumiem - powiedziała, chociaż chciała nie rozumieć.

- Baw się z Joshem. Jeśli spotkanie przeciągnie się dłużej, zostanę na noc w biurze.

Jennifer z Joshem obserwowali, jak wychodzą.

- Charles ma rację. Nie tańczyłaś dzisiaj, a tak się składa, że jestem absolwentem szkoły tańca Freda Astaire'a z wyróżnieniem.

Josh wziął ją za rękę i poprowadził na parkiet. Odwrócił ją tak, aby nie patrzyła na drzwi.

Parę minut po drugiej Josh znalazł Jennifer w biurze Cloud 9.

Większość gości już wyszła. Jennifer czuła się samotna. Jej noc się skończyła, a zakończenia zawsze ją przygnębiały. Przypomniała sobie, jak Charles wychodził i wyrzucała sobie, że była taka kłótniwa. Zdecydowała się zadzwonić do niego, żeby mu powiedzieć, jak bardzo się cieszy, że w ogóle przyszedł, że rozumie, jak trudno było się wyrwać i powiedzieć mu dobranoc.

- Przeglądasz rachunki? - spytał Josh, zauważając grymas na jej twarzy. Zaczął masować jej ramiona.

- Mam zamiar zadzwonić do Charlesa, żeby sprawdzić, czy jego spotkanie się już skończyło - powiedziała, wdzięczna Joshowi za ulgę, jaką sprawił masażem. - Ciekawa jestem, czy zdąży dzisiaj do domu.

- To niepotrzebne - powiedział Josh.

- Zajmie mi to tylko chwilę.

Jennifer wykręciła numer Charlesa, usiadła wsłuchując się w sygnał telefonu. Dźwięczał i dźwięczał, i dźwięczał. Po kilku minutach Josh sięgnął przez jej ramię, odebrał jej słuchawkę i odłożył na widełki.

- Musieli rozłączyć na centrali - powiedziała bez przekonania. - Prawdopodobnie są tak pochłonięci spotkaniem, że nie słyszeli telefonu. - Była lekko zniechęcona i zakłopotana.

- Możliwe. Teraz pozwól, że cię odwiozę do domu.

Jennifer siedziała wpatrując się w cichy telefon. Wykręciła numer Charlesa jeszcze raz. Słuchała, jak dzwoni, aż dźwięk ten zaczął jej huczeć w głowie. Odłożyła słuchawkę i spojrzała na Josha.

- Zabierz mnie do siebie.

## ROZDZIAŁ JEDENASTY

Jennifer czuła się nieswojo. Nigdy przedtem nie była u Josha. Nie była pewna, czego oczekiwała, ale to, co zastała, było absolutnie luksusowe. Obszerne pokoje zajmowały ponad pół piętra jednego z najokazalszych budynków na Piątej Alei.

Przeprowadził ją przez ciemny, surowo urządzonej salon do kuchni.

Tutaj Jennifer poczuła otaczające ją rodzinne ciepło. Wycinanki ze szkoły podstawowej pokrywały całą ścianę. Pokolorowane gwiazdy przywierały do drzwi lodówki pod plastikowymi magnesami w kształcie owoców. Gdy obserwowała, jak Josh szpera w lodówce, zastanawiała się, kto sprawdza prace domowe dzieci i kto zabiera je do dentysty. Zastanawiała się, czy wolno im było bawić się u kolegów po szkole i czy były kiedykolwiek karane. Nie zdając sobie z tego sprawy, nagle wypowiedziała swoje myśli.

- Czy twoja gospodyni opowiada im bajki i kupuje kapcie?

Josh oderwał się na chwilę i spojrzał na nią.

- Jennifer, czy ty pracujesz w opiece społecznej?

Roześmiała się lekko zażenowana.

- Nie. Przepraszam. Bardzo lubię twoje dzieci.

- Są fajne, naprawdę. Jeśli chcesz możesz sama zobaczyć.

Uśmiechnęła się, kiedy wślizgnął się do pokoju Rachel, a później Scotty'ego. Poprawił koce i delikatnie pocałował dzieci w puciołowate, zaspane policzki. Stała w przejściu, Josh podniósł leżącego na podłodze misia i ostrożnie położył koło Scotty'ego.

Uczucie zazdrości chwyciło ją za gardło. Kaszlnęła,

jakby przełykając za duży kawałek jabłka, który utkwił jej w przełyku.

Josh skinął, aby do niego podeszła. Chciała pocałować śpiące dziecko, ale nie zrobiła tego.

Nie mogła. Nie była matką chłopca. Dzieci były ciepłe i miłe, a ona zdała sobie sprawę, że jest tylko dodatkiem w ich życiu.

Czuła się głęboko zraniona.

Jennifer wtuliła się głęboko w kanapę w gabinecie Josha. Zdjęła buty i przytuliła się do poduszki. Josh zdjął marynarkę i krawat.

Usiadł obok niej. Jennifer czuła się dziwnie. Oto siedziała z mężczyzną, którego znała niemal przez całe życie, i starała się prowadzić z nim rozmowę.

- Mam nadzieję, że ci nie przeszkadzam. W końcu wprosiłam się sama.

- Skądże znowu - powiedział, uśmiechając się do niej.

- Jeśli tylko nie poprosisz mnie o moje akwaforty.

- To zwykle robią kobiety, które tu przyprawdasz?

Pytają o twoje szkice?

- Nie przyprawdam tutaj kobiet - powiedział.

Jennifer spuściła oczy. Była zła na siebie, na swoją nieśmiałość.

Głupio było udawać przed mężczyzną, który ją tak dobrze znał.

Przez kilka minut przesadnie się interesowała grą światła w swoim winie, odbijającego się od ognia, który Josh rozpałił w kominku.

Wstał i podszedł do paleniska, aby pogrzebać w żarzących się polanach. Stał cicho, obserwował ramę nad kominkiem pełną zdjęć rodzinnych. Przyglądał się każdemu, jakby upewniając się, że te czasy naprawdę istniały. Jennifer



podążyła za jego spojrzeniem.

Zatrzymała wzrok na zdjęciu Laury i dzieci baraszkujących w oceanie. Była to bolesna galeria.

- Laura była piękna, Josh. Żałuję, że się nie poznałyśmy.

Josh odwrócił się do niej i z posmutniałą twarzą poruszył winem w kieliszku.

- Była wyjątkową kobietą. Polubiłybyście się.

Wrócił na sofę, a Jennifer poczuła między nimi czyjaś obecność.

- Jennifer, kochasz go?

- Co?

- Czy kochasz Charlesa?

Jennifer nie odpowiedziała.

- Czy kochasz Charlesa? - powtórzył.

- Nie jestem pewna.

- Czy kiedykolwiek go kochałaś?

Wahała się, ale jego oczy przewiercały ją na wylot.

- Nie w ten sposób jak ciebie - szepnęła.

Skinął głową, jak gdyby oczekiwał takiej odpowiedzi. Gdy spojrzął na nią znów, jego twarz była dziwnie surowa.

- Dlaczego mnie odrzuciłaś?

No tak. To pytanie od dawna krążyło dookoła nich, czekając na właściwy moment. Jennifer wiedziała, że klatka się otworzyła.

Przeszłość wpadła do pokoju.

- Jennifer, zadałem ci pytanie. - Jego głos był szorstki.

Jennifer zadrzała. Unikała tego pytania przez lata. Usiadła wygodniej. W końcu spojrziała na niego.

- Naprawdę cię kochałam. Ale znałam cię przez lata i już się nie pragnęliśmy. Byłeś zbyt dostępny, zbyt stabilny. Za szybko wszystko akceptowałeś. Moi rodzice cię kochali.

Mój brat cię podziwiał, przyjaciele też. Czułam się uwięziona. Prawie manipulowana, jakby nasi rodzice podpisali kontrakt, gdy jeszcze byliśmy dziećmi. Chciałam uciec. Biec i poznać życie.

Jennifer przeszły ciarki, gdy usłyszała wymuszony chichot Josha.

- To dziwne - powiedział. - Miałem fałszywą nadzieję, że poznamy życie razem.

- Proszę, nie mówmy o tym. To było tak dawno.

Sięgnęła po jego rękę, a gdy ją cofnął poczuła się zmieszana.

- W końcu nie umarłeś z tęsknoty za mną.

- To zależy. Byłem zły. Jasno dałaś mi do zrozumienia, że nie jestem ci już potrzebny. Kilka lat minęło, a wtedy spotkałem Laurę. Uczyniła mnie szczęśliwym człowiekiem. Dała mi cel i spełnienie, by nie wspomnieć o dwójce cudownych dzieci. Na pewno nie mogę żałować lat z nią spędzonych.

- Wiem, Josh. To było niesprawiedliwe z mojej strony.

- Tak, owszem. Czy myślałaś, że będę żył w celibacie dlatego, że mnie porzuciłaś?

Uśmiech zażenowania przebiegł jej przez usta.

- Byłam niedojrzała. Odrzuciłam cię, lecz gdzieś w podświadomości oczekiwałam, że będziesz na mnie czekał. Gdy usłyszałam, że się żenisz, poczułam, że mnie opuszczasz.

- Niezupenie cię opuściłem. Przetawiałem cię tylko na inne miejsce w moim życiu. Na miejsce, gdzie mogłem kochać i Laurę, i ciebie w tym samym czasie.

Jennifer zamyśliła się, przesuając pierścioneńki ślubny dookoła palca.

- Josh, gdy umarła Laura, czy kiedykolwiek myślałeś o

nas?

- Ty już wtedy wyszłaś za męża. Byłaś panią Cranshaw, a co Bóg złączył, niech żaden dawny chłopak nie rozłącza - powiedział, lecz zaraz potem spowaźniał. - Jennie, co dzieje się między tobą a Charlesem?

Głęboko westchnęła. Gdy mówiła, jej głos brzmiał obco.

- Niewiele. Przepraszamy się cały czas. Kiedyś było inaczej, ale teraz nie mamy ze sobą wiele wspólnego.

- Zostaw go.

- Co?

- Zostaw go. Dlaczego tak cię to szokuje? Chyba jesteś bardzo nieszczęśliwa i powiedziałbym, że on też.

Jennifer wpatrywała się w niego. W tonie jego głosu było coś, co ją denerwowało.

- Nie mogę.

- Dlaczego, do cholery, nie?

- Bo nie lubię przegrywać.

- Boisz się, co ludzie mogliby powiedzieć, prawda?

Jennifer spuściła oczy.

- Wolisz być nieszczęśliwa, niż przyznać się, że popełniłaś błąd.

- Josh miał zacięty wyraz twarzy. - Boisz się rozwodu, bo uważasz, że obniżyłby twoje szanse na lepszą pracę. - Podniósł głos. - To ta twoja pieprzona ambicja trzyma cię w małżeństwie, które jest farsą.

- Nie mieszaj do tego mojej ambicji. To twoja odpowiedź na wszystko. Nie masz do tego prawa. Osiągnęłaś to wszystko, co masz, bez ambicji? Sam pieprzysz.

Oboje spojładali na siebie wrogo. Josh zmięknął pierwszy.

- Dobrze. Chcesz, żebym powiedział, co o tym myślę?

- Kolejny wykład?
- Nie, dyskusja. W porządku?
- W porządku.
- Uważam, że cały czas chcesz więcej, bez końca. -

Źle, Herr Profesor, mnie chodzi o sukces - powiedziała.

- Aha, a co to jest sukces?
- Czuję się, jakbym brała udział w kwizie.
- Bierzesz. Albo przechodzisz dalej, albo przegrywasz.

W pewnym momencie, Jennifer, musisz myśleć o innych. W przeciwnym razie nigdy nie będziesz szczęśliwa. Ty i Charles na pewno nie jesteście szczęśliwi.

- To nieprawda.

- Tak, to prawda. Poza tym zawsze byłaś poza rodziną. Robiłaś wszystko, żeby zaprzeczyć, że jesteś ładną Żydówką z Bayonne.

- Nie zaprzeczam temu.

- Oczywiście, że tak. To dlatego mnie odrzuciłaś. Czy nie byłem częścią życia, od którego uciekłaś?

Nic nie mówiła.

- Jennifer, jesteś piękną, utalentowaną kobietą. Dla ciebie była ważna kariera, ale podjęłaś zbyt wiele pośpiesznych decyzji.

- Jesteś zły?

- No pewnie. Kochałaś mnie, ale opuściłaś i wyszłaś za faceta, którego nie kochasz. Mówisz, że nie mogłaś mnie zaakceptować.

Powiem ci dlaczego, ponieważ nie mogłaś zaakceptować nawet siebie.

Jennifer po prostu wstała, próbując wchłonąć to, co mówił, czując, że jego słowa ranią, kłują jak noże.

- Mówiłaś mi wiele razy, jak bardzo kochasz moje dzieci. Dlaczego nie masz swoich?

- Charles nie chce mieć dzieci - odpowiedziała cicho.

- Nie mów tego co zwykle, bo nie uwierzę. Jennie Sheldon, którą znałem, byłaby cudowną, dbającą matką, ale Jennifer Cranshaw to nie obchodzi.

Josh chodził po pokoju, zżerała go wściekłość. Jennifer obserwowała go bez ruchu. Wyglądał jak pantera skradająca się do swojej ofiary, napinając mięśnie za każdym krokiem. Jennifer przyłapała się na tym, że ten widok ją podnieca. Był taki silny i pełen życia. Serce jej waliło. Nagle zapragnęła go bardziej niż kogokolwiek w swoim życiu. Wstała i podeszła do niego z wahaniem.

Zatrzymał się i spojrzał na nią.

- Weź mnie - powiedziała słabym i błagającym głosem. Bez słowa wziął ją w ramiona, najpierw ostro, a później delikatnie pocałował jej włosy i szyję. Trzymał jej twarz w dłoniach i szukał jej ciemnych, brązowych oczu. Delikatnie zdjął spinki i opuścił kok.

Włosy opadły jej na ramiona. Cały czas patrzyła mu prosto w oczy.

Zdjął z niej sukienkę i rzucił na tapczan. Czowała ciepło ognia na plecach, ale nie porównywała tego do wrażenia, którego doświadczała, gdy dotykał jej piersi. Dotykał ich swoimi mocnymi palcami, całując każdą delikatnie i pieszcząc, dopóki nie zrobiły się twarde. Jego ręce ześlizgnęły się do bioder, zsunął z niej pas. Stała nago przed ogniem. Rozebrał się szybko i podszedł do niej, gładził ją i całował namiętnie. Przez chwilę po prostu tam stali, czując własną obecność. Jennifer drżały kolana, gdy szła do łóżka za Joshem. Czuł rękoma ciepło jej ciała, a ona objęła go, przyciągając do siebie. Przyłgnęła do niego, drżąc za każdym razem, gdy ją pieścił, czując, że wilgotnieje. Jego palce były jak narkotyk, hipnotyzując i podniecając do szaleństwa. Przez

chwilę chciała zawyc z rozkoszy. Całował ją i pozostawiał żar w miejscach, gdzie jej dotknął. Zaczęła drżeć, uniosła ku niemu biodra. Wsunął dłoń pod nią i objął ramionami, a później obsunął się w nią. Z całej siły przepelniając ją sobą, dopóki nie poczuła zachwyty. Byli mokrzy i kleili się do siebie, jednoczyli w pasjonującym unisono, podnosząc się i opadając i wznosząc się znów do ostatecznego crescendo, kiedy z rozkoszy wbiła mu paznokcie w plecy. Zupełnie, całkowicie i do głębi Jennifer chciała, żeby ta noc nigdy się nie skończyła.

## ROZDZIAŁ DWUNASTY

Elyse de Marco stała boso na podłodze w swojej pracowni i układała w fałdy miękkie, brzoskwinowy dżersej na manekinie. W zębach trzymała garść szpilek. Nożyczki zwisały jej u pasa na długiej wstążce. Pracowała bardziej z przyzwyczajenia niż z natchnienia.

Dzwoniła dziś rano do biura Jennifer Cranshaw, lecz jej nie zastała. Specjalnie zadzwoniła, żeby pogratulować przyjęcia. Elyse naciągnęła dżersej na plecy manekina i zastanawiała się, czy tylko dlatego dzwoniła do Jennifer. Odsunęła od siebie myśl, że mogło to mieć coś wspólnego z Joshem. Jennifer nie można było uważać za rywalkę, bo nie było między nimi żadnej konkurencji. Josh był towarzyszem Elyse, partnerem w tańcu, przy obiedzie i był bardzo dobry w łóżku. Ale obydwójce byli wolnymi strzelcami. Miłość nie wchodziła w grę. Elyse spojrzała na manekin z obrzydzeniem. Wzięła głęboki oddech i ponownie skupiła się na tkaninie. Wzięła dżersej w ręce i pozwoliła śliskiej jak masło tkaninie prześlizgnąć się przez palce. Szyła tylko z takich tkanin, które miały w sobie jakąś zmysłowość, dotykały ciała. Tak więc akt ubierania i rozbierania stawał się doświadczeniem zmysłowym. Modele Elyse nigdy nie były zapinane ani na zamek, ani na guziki. Nie było nic poza metrami lubieżnego materiału. Kobiety, które wymagały uwagi i lubowały się własną kobiecością, kupowały zawsze u de Marco.

Ubiory Elyse nigdy nie były fiołkowe, orchidee tak.

Cofnęła się o krok i podziwiała swoje ostatnie dzieło. Była to ekstrawagancka sukienka z wycięciem do pasa, delikatnie splisowana nad piersią. Spływała miękko między nogami, ściągnięta ciasno dookoła pasa i pojawiała się znowu jako luźny szal na ramieniu. To była tunika godna Afrodyty.

Zacząła przypinać plisy i fałdy. Gdy jej ręce z wprawą poruszały się nad sukienką, myśli powróciły do Josha i jego oferty. Propozycja była bardziej kusząca, niż Josh mógł sobie zdawać sprawę, ale to było niemożliwe. Nie mogła mu powiedzieć dlaczego. Nigdy z nim nie była zupełnie szczerą. Zbyt wiele wchodziło w grę, żeby mogła sobie na to pozwolić.

Charles był zmartwiony. Było już prawie południe, a Jennifer wciąż nie było w pracy. Co więcej, nie dzwoniła. Dzwonił do domu wcześniej, a Hattie, gospodyni, powiedziała mu, że pani Cranshaw wyszła parę minut po dziewiątej. Gdzie, do diabła, była? Czuł się winny, ale nie mógł nad sobą zapanować. A może zadzwoniła wczoraj wieczorem do biura. Może ktoś odebrał telefon i powiedział jej, że nie ma żadnego spotkania. Może ktoś go widział. Nigdy nie chciał, żeby do tego doszło. Obłuda niszczyła go. Wciąż nie był pewien, jak dopisać zakończenie, nawet jeśli nie był to czas na ostateczne rozwiązanie. Zabrzęczał telefon. Zanim podniósł słuchawkę, do biura wsunęła się Deirdre Walling Conlon.

- Pani Conlon, co za miła niespodzianka. Co panią tu sprowadza? - wyszedł zza biurka, żeby ją powitać.

- Kaprys - powiedziała, zdejmując rękawiczki, aby uściskać jego dłoń.

Charles zamknął drzwi i zaproponował, aby usiadła. Deirdre położyła rękawiczki i torebkę na stole, zrzuciła futro z norek na jedno z krzeseł i usiadła niedbale na drugim, zakładając nogę na nogę tak, że spódnica odsłoniła jej kształtne uda. Charles usiadł naprzeciwko niej zaciekawiony.

Spotykał Deirdre wiele razy, chociaż zawsze była czarująca, jej obecność odbierała mu odwagę. Przede wszystkim była niesamowicie opanowana, była jedną z tych



kobiet, które używają swej pewności siebie równie naturalnie jak perfum po sto dolarów za uncję. Znał wiele takich kobiet jak ona. Bogatych, kapryśnych, egocentrycznych i niebezpiecznych.

- Czy ma pan przypadkiem gdzieś w tym biurze ukryty barek?

Rozmawiałam z Clairbornem Starkiem i cholernie chce mi się pić.

- Co pani sobie życzy? - Charles rozsunął blat i odkrył mały, ale dobrze zaopatrzony barek.

- Coś mocnego.

Odebrał jej słowa jako ostrzeżenie, ale zignorował je. Nappełnił dwie szklanki lodem i oryginalną rosyjską Stoliczną, wręczył jej drinka i usiadł.

- Przeglądałam z Clairbornem moje inwestycje, zanim mnie to zupełnie wyczerpało. - Zaśmiała się salonowym, pusto brzmiącym chichotem.

- Jak się pani podobało przyjęcie? - spytał.

- Ja osobiście wolę mniejsze spotkania, ale to rzecz gustu - powiedziała wznosząc szklankę w toaście. - Wstyd, że musiał pan wyjść tak wcześnie - mówiła dalej. - Przyjęcie zaczęło się dopiero po północy.

- Musiałem wrócić na spotkanie. Trwało całą noc.

- Wrócić. To wyjaśnia, dlaczego nie eskortował pan swojej uroczej małżonki na jej wieczorek taneczny.

Charles nie wiedział, dokąd zmierza ta rozmowa, ale kierunek był złowieszczy.

- Tak - odpowiedział ostrożnie. - Ktoś mnie tu zastępował, gdy byłem na przyjęciu Jennifer. To był trudny wieczór. Konflikt interesów, można by powiedzieć.

- Pańska żona musi być wyrozumiała.

- Rzeczywiście, jest wyrozumiała.

- Terk był tak zatroskany przyjęciem, że można by pomyśleć, iż łączy ich coś więcej niż praca.

Charles nie dał się wciągnąć.

- Nie pomyślałbym o tym - powiedział. - Przypuszczam, że troska pani męża dotyczyła magazynu. Wszyscy mieli jakiś interes w tym przyjęciu.

Deirdre przyglądała się Charlesowi.

- Myślę, że mamy wspólnych znajomych.

- Naprawdę?

- Wilson Gifford? Spencer Dearborn?

- Koledzy z college'u. Skąd ich pani zna?

- Poruszamy się w tych samych kręgach, kochanie. W końcu mamy takie samo pochodzenie.

- Nie jestem pewny do czego pani zmierza, pani Conlon.

- Deirdre. Mamy ze sobą tyle wspólnego, że nie ma sensu zwracać się do siebie tak formalnie.

- A co mamy ze sobą wspólnego, Deirdre?

- Przede wszystkim nasze małżeństwa są poniżej naszego poziomu, czyż nie?

- Nigdy nie wywyższałem się nad moją żonę, jeśli to masz na myśli.

- Oczywiście. Bądź taki miły i podaj mi następnego drinka.

Deirdre wyciągnęła szklanekę, a drugą ręką przeczesła blond włosy.

Gdy Charles napełniał szklanekę, spojrzął na jej odbicie w lustrze za barem. Wpatrywała się w jego plecy, a jej niebieskie oczy były rozpalone rozkoszą. Miała wilgotne usta, ledwie zabarwione szminką i oblizywała górną wargę. Charles schylił się, by nalać jej drinka. Nie zauważył, jak wstaje i podchodzi do niego. Zorientował się, że jest blisko,

dopiero gdy oparła się o niego.

- Jesteś bardzo atrakcyjnym mężczyzną, Charles - powiedziała. Jej ciepły oddech pieścił mu szyję. - Lubię atrakcyjnych mężczyzn.

Nie chciała się ruszyć, zmuszając go, żeby się odwrócił, dotykając go ciągle. Wzięła od niego swojego drinka, upiła wolno i spojrzała mu prosto w oczy. Później pogładziła go po policzku wierzchem dłoni.

- Deirdre, proszę. - Charles próbował odsunąć ją od siebie.

Odstawiła drinka i zaczęła pocierać jego ramiona swoimi dłońmi.

- Nie lubisz mnie, Charles? Wilson i Spencer uwielbiają mnie.

- Jesteś uroczą kobietą, Deirdre, ale to jest biuro, a ty jesteś moją klientką.

- Więc obsłuż mnie - powiedziała, przesuwając dłonie niżej.

Próbował się wycofać, ale oparła się o niego. Zamruczała zmysłowo.

Charles schronił się w krzesło za biurkiem.

- Nie przypuszczałabym, że lubisz się przekomarzać, Charles.

- Nie przekomarzam się.

- Ani ja. - Spojrzała na niego drwiąco zza biurka. - Jestem bardzo ważną klientką, Charles, i nie jestem przyzwyczajona, żeby mi ktoś odmawiał. Clairborn będzie zmartwiony, jeśli usłyszy, że poprosiłam cię o drobną przysługę, a ty mi odmówiłeś.

Charles przybrał swój ton biznesmena.

- Przykro mi, ale byłoby mi trudno zaspokoić panią tym razem, pani Conlon.

- Myślisz, że mógłbyś zaspokoić mnie kiedykolwiek indziej? Wątpię - zachichotała.

Podniosła rękawiczki, torebkę, nałożyła swoje futro z norek i wyszła dumnie z biura, pozostawiając go zakłopotanego i zdenerwowanego. Nie wątpił, że poszła do biura Starka z jakąś ponurą bajką. Deirdre chodziło o coś więcej niż o jego ciało, tego był pewien, ale o co? I czemu to miało służyć?

Był zdziwiony, gdy usłyszał o kolegach z Yale, ale nie zaszokowany. Miała rację. Poruszali się w tych samych kręgach i niewykluczone, że znała większość jego znajomych. W końcu pieniądze były najlepszą wizytówką. Ale jaki był jej związek z tymi mężczyznami? Jak często rozmawiali i o czym?

Wilson Gifford był bardzo zdolnym maklerem w dużej firmie. Żonaty, troje dzieci. W zarządzie Winged Foot Country Club. Członek rady miasta Rye. I wciąż robił karierę. Spotykał się z Wilsonem na lunchu, żeby porozmawiać o inwestycjach, ale nie mieli kontaktów towarzyskich przez lata. Jennifer czuła się nieswojo w obecności Wilsona i Sybil Gifford i szczerze mówiąc, on też. Co Wilson mógł powiedzieć? Nic szczególnie kłopotliwego. Nie, Charles nie martwił się Wilsonem Giffordem.

Spencer Dearborn - to co innego.

Terk Conlon wszedł do jadalni Ebena Towersa o wpół do trzeciej.

Kwadratowy, szklany stół ustawiono koło okna. Porcelanowe naczynia z połączanymi brzegami i inicjałami stały na zamszowych serwetkach. Butelka wytrawnego, białego wina spoczywała w wiaderku z lodem. Dla kogoś z zewnątrz ten widok mógł wydawać się elegancki, ale Terk nie był kimś z zewnątrz. Uważał ten pokój za drogie,

niepotrzebne podkreślenie bogactwa. Większość menadżerów z Siódmej Alei, nawet ci, którzy przychodzili do Cote Basque czy Le Cirque, nie pozwalała sobie na taki przepych. Podszedł do okna i patrzył na ruch na Broadwayu. Do pokoju wszedł Eben.

- Jeśli chcesz wyskoczyć, zrób to po lunchu. Zamówiłem łososia gotowanego w mleku i nie chciałbym, żeby się zmarnował.

Terk miał ochotę rzucić się na Towersa.

- Nie można z tobą wytrzymać. Bardzo zabawne. Może dałbyś mi drinka i zajmijmy się interesami.

- Co się stało, że jesteś taki gorliwy, Terk?

- Mam dużo roboty.

- Tylko to, co robisz dla mnie, jest ważne. Myślałem, że o tym wiesz.

Terk się zjeżył.

- Tak jest, mein kommandant. Jakie herkulesowe zadanie mam dzisiaj do wykonania? Wczoraj wyczyściłem stajnie.

Eben roześmiał się. Jego śmiech był bardziej gardłowy niż kaszel.

Dał znak Terkowi, żeby usiadł i nacisnął guzik wzywający kucharza.

Sam zajął się przyrządzaniem drinków.

- A co się teraz dzieje w Jolie? - spytał Towers.

- Wielki Ananas.

- Słucham?

- To najnowszy pomysł Brada Helmsa. Ma zamiar poświęcić cały kwietniowy numer Hawajom. Uważa, że ten błyskotliwy manewr sprowadzi pod jego drzwi tysiące chętnych z reklamami.

- Głupek, skończony głupek.

- Bez wątpienia. Myślę, że ten fragment w Przeglądzie Mody wstrząsnął nim.

- Na pewno. Jakies inne reakcje?

- Panika... - powiedział Terk, przerywając na chwilę, żeby łyknąć drinka - każdy się boi, że straci pracę. - Terk potrząsnął szklanką i zamyślił się.

- Znasz dobrze Jennifer Cranshaw?

- Całkiem dobrze. Dlaczego?

- Po prostu jestem ciekawski. Do wczorajszego wieczora nie miałem przyjemności jej spotkać. Powiedz mi coś o niej.

W ich rozmowie było coś dziwnego. Eben nigdy nie zadawał głupich pytań i nie lubił rozmawiać o niczym.

- Jennifer jest wspaniała, utalentowana, piękna, atrakcyjna.

Kierownik Działu Promocji. Niezwykle pomysłowa.

- Interesujące. - Eben był pod wrażeniem podziwu w głosie Terka bardziej niż tego, co mówił. - Mów dalej.

- W dniu, kiedy pojawił się artykuł w Przeglądzie Mody, Helms wpadł na pomysł z tym ananasowym numerem, a tubylcy byli gotowi ugotować go w oleju, dopóki Jennifer nie wymyśliła tego planu z pakietem promocji. Żałuję, że sam o tym nie pomyślałem. Dlaczego tak cię to interesuje?

- Powiedziałem ci, jestem ciekawy. - Eben powoli wypił swojego drinka.

- Jesteś bardziej niż ciekawy. Czy to jest fascynacja, czy też ta pani cię podnieca?

- Słucham?

Terk nie zadawał sobie trudu, żeby powtórzyć pytanie. Eben miał zwyczaj szeptania „słucham” za każdym razem, gdy fragment rozmowy dziwił go albo mu się nie podobał. Maniera, która doprowadzała Terka do furii.

Towers nacisnął kolejny guzik i kilku kelnerów w białych ubraniach już czekało aż dwóch mężczyzn podejździe do stołu. Bez słowa nałożyli potrawy na talerze, naleli wino, a później się wycofali.

Towers i Terk jedli w milczeniu, obaj pogrążeni w myślach.

- Masz pieniądze?

- Tutaj. W używanych banknotach - Terk sięgnął do kieszeni na piersi. Wyciągnął grubą kopertę i wręczył ją Towersowi, który położył ją na stole obok talerza.

Terk nalał do kawy śmietanki i wolno zamieszał.

- Już prawie wszystko spłaciłem - powiedział.

- Jestem tego świadom. - Eben wykrzywił wargi. - Mówisz to tak jakbym był okrutny. Nasze małe umowy były uzgodnione przez nas obu, jeśli mnie pamięć nie myli.

- Nie pieprz, Towers. Wiesz, że musiałem się na wszystko zgodzić. - Świetnie, ale teraz nie ma to żadnego znaczenia. Wkrótce będziesz wolny, Terk. Zastanawiam się, czy będziesz wiedział, co z tym zrobić.

- Twoja troska jest wzruszająca. Nie zapomnij czasem twojej części umowy.

- Czy byłbym aż taki podły?

Terkowi zrobiło się niedobrze. Czy byłby?

Nie było najmniejszej wątpliwości, że tak. Wiedział, że Terk może go oszukać i zabezpieczył się. Towers myślał, że trzyma wszystkie karty. Może kiedyś tak było, ale teraz Terk wyciągnął od niego asa z jednej talii i kiedy przyjdzie na to czas, użyje go z przyjemnością.

W piątki było w piekarni zazwyczaj najwięcej roboty, a ten nie był żadnym wyjątkiem. Sklep był pełen klientek. Plotkowały, przekrzykując się, a ich wysokie głosy mieszały się z brzękiem kasy i ciągłym szmerem maszynki do krojenia

chleba. Rose Sheldon stała w środku i nadzorowała dwie ekspedientki. Jennifer była w sklepie od piętnastu minut, aż wreszcie ją zauważyła.

- O mój Boże! Co za niespodzianka - zapiszczała głośno. - Długo tu jesteś?

- Od trzech dni. - Jennifer przywitała się z matką.

- Jak się przekomarza! Pokaż się, jak wyglądasz. - Obróciła Jennifer i przyjrzała się jej z aprobatą.

- Pani Feinstein, pamięta pani moją Jennifer? Czy nie wygląda kapitalnie? Jest teraz grubą rybą. Właściwie to ona prowadzi magazyn Jolie.

Pani Feinstein skinęła głową i mruknęła, że Jennifer była ładnym dzieckiem, po czym poprosiła o pół tuzina bułek.

- No jak przyjęcie? - spytała Rose. Rozmawiała z Jennifer, ale w tym samym czasie zdążyła odpowiedzieć na pytanie ekspedientce i nakłonić potężną Polkę, żeby kupiła więcej bułek, niż potrzebowała.

- To niewiarygodne. Nie mogę się doczekać, żeby ci o tym opowiedzieć.

- Może ciastko z kremem? - Rose zwróciła się do pani Feinstein. - Jak byłaś ubrana?

Jennifer nawet nie próbowała na to odpowiedzieć. Odeszła na bok i obserwowała wszystko w zamyśleniu. Ta scena wydawała się jej znajoma. Było pocieszające, że nic się nie zmieniło. Jej życie ulegało ciągłym zmianom, lecz to miejsce i ta kobieta za ladą pozostawały bez zmiany.

- Czekam, aż mi opowiesz, jak było wczoraj wieczorem.

Głos Rose wystraszył ją. Zarumieniła się.

- Idziemy na śniadanie - powiedziała stanowczo. - Porozmawiamy później.



- Ale dziś jest piątek.

- To zależy, jak na to spojrzeć. - Jennifer zdjęła z haka płaszcz matki. - Dla mnie to dzień po czwartku.

Kilka osób przystało, żeby posłuchać. Nawet Natalie, asystentka Rose od ponad piętnastu lat, zaryzykowała gniew pracodawczyni, odrywając się od klientów, żeby zachęcić Jennifer.

- Ogromnie bym chciała, kochanie - Rose powiedziała cukierkowo słodkim tonem - ale nie mogę.

Rose spojrzała na Jennifer, dając jej do zrozumienia, jak bardzo by chciała.

Jennifer weszła za ladę i narzuciła jej płaszcz na ramiona.

- Uważam, że czasami matki i córki powinny spędzić trochę czasu ze sobą. - Zaczęła popychać Rose w kierunku wyjścia. Jennifer wyprowadziła opierającą się Rose na ulicę do najbliższego baru.

Zanim usiadły i zamówiły śniadanie, Rose przestała już tak protestować.

- No i co, nie jest tu przyjemnie? - spytała Jennifer.

- Jest nawet bardzo miło, ale nie sprawdziłam, czy tatuś wykonał wszystkie zamówienia.

- Przestań jęczeć. Na pewno tak. A poza tym co to za różnica, jaki jest dzisiaj dzień. Nie jadłyśmy razem śniadania od wieków i na złość tobie, podoba mi się to.

Rose uśmiechnęła się, a Jennifer poczuła się nagrodzona.

- W zasadzie zdecydowałam, że będziemy robiły to częściej. - Świetnie: We wtorki, gdy sklep jest zamknięty.

Jennifer jęknęła.

- Mamo - mówiła cierpliwie. - Nie zauważyłaś, że ja też nie jestem w pracy? Jeśli ja mogę mieć wolne rano, to ty

na pewno też.

- Masz rację - powiedziała uderzając ręką w stół dla zaakcentowania słów. - To ma być mile spędzony czas, a ja cię mężkę. Przepraszam, kochanie. Już nie wspomnę o sklepie.

Wspomni. Przyzwyczajień nie można przełamać tak łatwo, ale Jennifer zauważyła wysiłek i doceniła to.

- Mam nadzieję, że wszystko w porządku - powiedziała Rose. - To znaczy, że nie jesteś tu, żeby mi powiedzieć, że coś się stało.

- Po prostu chciałam spędzić z tobą chwilę czasu. To takie proste.

Rose ulżyło. Kelnerka przyniosła jedzenie i Rose skupiła uwagę na posiłku. Poprosiła o dodatkową galaretkę, powąchała krem i obejrzała grzanekę.

- To miło z twojej strony, że zadzwoniłaś do mnie wczoraj wieczorem - powiedziała Jennifer między kęsami angielskiej bułki.

- Wiem, jakie pracowite mogą być czwartki.

- Zawsze mam kilka minut, żeby pogadać z córką.

- Powinnaś była przyjść na to przyjęcie, mamó.

Spodobałoby ci się.

Nie wiem, dlaczego nie przyszlście.

Rose posmarowała swoją grzanekę masłem.

- Nie pasowalibyśmy do twoich gości.

- Dlaczego tak mówisz?

- Przez ciebie.

- Przecież zaprosiłam cię.

- To prawda. Ale zawsze tyle mówiłaś, że nie pasujemy z ojcem do twoich przyjaciół. Nie chcieliśmy ci sprawiać kłopotu.

- Teraz mi sprawiasz przykrość. - Jennifer wzięła

matkę za rękę.

Zmusiła ją, żeby spojrzała jej prosto w oczy.

- Następnym razem, gdy cię zaproszę, lepiej przyjdź.

Rose odłożyła widelec i poklepała ją po rękę.

- Powiem ci coś. Następnym razem pozwolę ci pójść za mnie po zakupy.

- A może razem pójdziemy? We wtorek.

- Wspaniale, chociaż to brzmi jak żart.

Jennifer promieniała. Naprawdę to brzmiało jak żart. Natychmiast zaczęła się zastanawiać, gdzie mogłaby zabrać matkę.

- A co z Charlesem? Dobrze się wczoraj bawił?

Zmiana tematu była tak gwałtowna i ostra, że Jennifer głos zamarł w gardle. Sięgnęła po papierosa i szukała zapalniczki, unikając wzroku matki. Zastanawiała się, co powiedzieć. Wczoraj, gdy była z Joshem, o niczym nie myślała, nie miała żadnych obaw, żadnych wyrzutów sumienia. Teraz, gdy siedziała naprzeciw matki poczuła się winna. Była mężatką, a kochała się z innym mężczyzną. Szybko wymyśliła wytłumaczenie. Od dawna się z Charlesem nie kochali, a on, być może, przespał się z Brooke Wheeler.

- Charles musiał być z ciebie dumny - powiedziała Rose, przypatrując się córce. Jennifer drgnęła, gdy matka wypowiedziała imię Charlesa.

- Był dumny. Uważa, że wszystko było wspaniałe. - Odpowiedź Jennifer była zbyt szybka, zbyt dopasowana.

- A jak jest między wami?

- Dobrze. Jesteśmy w formie.

Rose kiwnęła głową i dokończyła śniadanie. Jennifer sączyła kawę.

Kusiło ją, żeby zwierzyć się Rose. Przez chwilę nawet

chciała zaryzykować, ale usłyszałyby „A nie mówiłam ci...” - Twój brat powinien przyjechać lada dzień.

Jennifer nie mogła uwierzyć, że Rose nie zauważyła jej zdenerwowania. Ale dlaczego zmieniła temat?

- Wiem, mówiłaś mi wczoraj - powiedziała to ze sztucznym zainteresowaniem.

Rose zaczęła opowiadać o Davidzie i o Sarze, jak wyglądali, gdy widzieli ich z Martym w Izraelu, jak chcieli powitać ich w domu wielkim przyjęciem i ile dla niej znaczyło mieć całą rodzinę razem.

Jennifer żałowała, że nie może dzielić entuzjazmu Rose, ale myśl o spotkaniu się z Davidem twarzą w twarz niepokoiła ją.

- Dzieci muszą już być duże - powiedziała Rose. - Nie mogę się doczekać, żeby je zobaczyć, uścisnąć.

Jennifer widziała swoją bratanicę i bratanka tylko dwa razy.

- Ciekawe, czy wiedzą, kim jestem...

- Nie bądź śmieszna. Wiedzą wszystko o swojej cioci Jennie. Cały czas wysyłam im twoje fotografie. Za każdym razem, gdy jesteś w gazecie.

Jennifer była naprawdę poruszona. Słyszała, że matka chwali się nią w sklepie; ale myślała, że to było tylko na pokaz. Nigdy nie wyobrażała sobie Rose kartkującej gazety i marnującej czas na wycinanie zdjęć córki.

- Nie mają tylko zdjęć z przyjęcia - mówiła dalej Rose.  
- Dzieciakom będzie się podobało.

- Jeśli już jesteśmy przy temacie, mogłabym ci o tym opowiedzieć?

- Wiem już wszystko, o ananasowym neonie, balonach i o modelkach ubranych w stylu lat pięćdziesiątych.

Jennifer była zaszokowana.

- Kto ci powiedział? Było coś w gazecie?

- Josh dzwonił do nas z rana.

- Josh? - Jennifer starała się zachować równowagę. -

Dlaczego miałby do ciebie dzwonić?

- Cały czas do mnie dzwoni.

Jennifer była pewna, że wyczuła nutę triumfu w głosie Rose.

- Dlaczego?

- A dlaczego nie? Dzwoni do mnie dwa razy w tygodniu od lat. - Rose była zachwycona reakcją Jennifer. - Czasami do nas przychodzi. Nie widzieliśmy z ojcem jego mieszkania, bo nie jeździmy często do miasta, ale bywaliśmy u niego, gdy mieszkał w Alpine, jak jeszcze żyła Laura. Co to był za dom!

- Pojechałaś do niego do domu?

- Dlaczego jesteś taka zdziwiona? Zawsze był dla mnie jak trzecie dziecko.

Jennifer była więcej niż zdziwiona. Była zmieszana, zła, że matka ustanowiła zażyłość z Joshem, żeby ją ukarać, że go odrzuciła.

Była urażona obłudnym tonem matki. Rose za wszelką cenę chciała postawić na swoim. Uważała, że wie lepiej, co jest dobre dla Jennifer, nie akceptując jej zdania.

- Nie mogę w to uwierzyć.

- A w co tu nie wierzyć. Laura była wspaniałą dziewczyną. Kiedy nas zapraszała, zawsze tam szliśmy i zawsze świetnie się bawiliśmy. A jaką była gospodynią. Co za kucharka. Ciągłe nie mogę się pogodzić z tym, że odeszła.

Raz jeszcze kusilo ją, żeby powiedzieć Rose, że spędziła noc z Joshem, ale nie dlatego, że chciała rady.

- To było nie w porządku. Ja i Josh byliśmy zaręczeni. Chodzić do niego i innej kobiety to było nielojalne. - Jennifer

była poruszona.

- Nie byłaś zaręczona i nie wyszłaś za niego.

Rose wreszcie zwróciła uwagę na reakcję Jennifer. Pomyślała, że jeśli ich romans był już tylko historią, to Jennifer nie powinna drażnić tą rozmową o Joshu.

- Jeśli byłaś na tyle głupia, żeby go wyrzucić ze swojego życia, to twój błąd i to nie znaczy, że ja też muszę być głupia i wyrzucać go ze swojego.

- Nie wyrzuciłam go ze swojego życia. Nie byłam wtedy gotowa, aby wyjść za mąż. Chciałam robić coś innego.

- Dobrze, i zrobiłaś to. A w tym czasie Josh ustatkował się, ożenił i ma dwójkę pięknych dzieci.

Jennifer znów usłyszała echa przeszłości.

- Zawsze wyrzucasz mi, że to, co zrobiłam nie miało sensu. Wyszłam za Charlesa. Zrobiłam karierę. Co w tym złego?

- Wcale nie mówię, że jest w tym coś złego.

- Ale do tego zmierzasz.

Rose oparła się łokciami na stole, żeby przybliżyć twarz do Jennifer.

- Dobrze. Chcesz, żebym była szczerą. Będę szczerą. Myślę, że dziecko byłoby dla ciebie dobrym rozwiązaniem, zanim się za bardzo nie zestarzejesz.

Jennifer rozszerzyła oczy ze zdziwienia i musiała się powstrzymać, żeby nie krzyknąć.

- Nie jestem za stara. Charles i ja czekamy.

- Na co? Na bociana?

- Zmieńmy temat.

Rose przesunęła się powolutku na koniec ławki.

- A o czym mamy rozmawiać? Nie chcesz mówić o bracie, nie pozwalasz mi mówić o Joshu. Drażni cię rozmowa o twoim małżeństwie. O czym chcesz dyskutować? O

pogodzie? Jest późno i muszę wracać do sklepu.

Wstała i poszła po rachunek. Jennifer wyrwała jej go z rąk. - Świetnie, ja też mam dużo pracy.

Zakręciła się na pięcie i poszła do kasy. Nie słyszała komentarza matki.

- Szkoda, że nie masz jej więcej.

## ROZDZIAŁ TRZYNASTY

Znakiem zodiaku Josha były bliźnięta i chociaż nie wierzył w astrologię, był prawdziwym dzieckiem Merkurego. Dowcipny, obrotny, spostrzegawczy, pełen energii i zmienny. Zmiany nastroju nie były dla niego czymś nadzwyczajnym. Jeśli chodzi o Jennifer, kochał ją.

Teraz, siedząc przy biurku, czuł jej obecność i przyływ pożądania. Walczył z tym. Przyszedł do biura, żeby uciec od tych myśli. Jednakże ani masywne biurko, ani luksusowe wyposażenie gabinetu nie poprawiło jego nastroju. Nadal zmagał się z niepewnością i słabością. Wskrzeszał przeszłość. Znowu myślał obsesyjnie o tym, co ich kiedyś łączyło. Czyżby wspomnienia te miały ich rozdzielić? Josh chciał być z Jennifer, ale dopóki ona nie opuści Charlesa, jest to niemożliwe. Musiał tak zrobić. Był to winien Jennifer, sobie i przede wszystkim Laurze.

Laura. Na początku zajęła się wystrojem jego biura, a później umeblowała jego życie. Gdy po dwóch latach jego przedsiębiorstwo zaczęło przynosić zyski, zdecydował się na kupno nowych mebli.

Przez dwa dni chodził po „Dand D”, oglądając każde stoisko. Czuł się jak krasnoludek. Wszystko było albo za duże, albo po prostu za drogie. Był już zmęczony, gdy zobaczył ją przy stoisku na dziesiątym piętrze. Była mała, miała turkusowe oczy i błyszczące, piaskowe włosy ułożone w luźny kok. Obok niej stała jakaś starsza kobieta. Laura cały czas zachwalała jej jakąś kanapę. Była cierpliwa, ale stanowcza. Klientka zaś cały czas potrząsała głową, wskazując z uporem na inną kanapę. Laura sięgnęła do dużej, płóciennej torby i wyłożyła próbki materiału. Przez chwilę starsza kobieta się wahała, a potem znowu potrząsnęła głową, wyrzuciła ramiona w geście obrzydzenia i wyszła ze sklepu.



Josh nie wiedział, czy z podziwu dla jej piękna, czy też nagłego przyływu współczucia, podszedł do niej i dotknął jej ramienia.

- Przepraszam - powiedział. - Jestem już zrozpaczony. Musi mi pani pomóc.

Przestraszył ją. Gdy się odwróciła, jej szeroko osadzone oczy zwięzły się.

- Myślę, że znalazłem kanapę moich marzeń.

- Mam nadzieję, że będzie się panu podobała.

Podniosła swoje próbki i schowała je z powrotem do torby. Była sceptyczna, ale podeszła z nim do kanapy wyściełanej materiałem w kwieciste wzory.

- I jak wygląda?

Wpatrywała się w niego. Po chwili wyprostował swoje długie nogi i zwiesił je nad poręczą.

- Idealnie pasuje, prawda?

Nie uśmiechnęła się. Nie powiedziała ani słowa. Stała tam jak krytyk teatralny pozwalający odegrać aktorowi swoją rolę. Josh nie zniechęcony zmienił pozycję, ale ona nadal się nie odzywała.

- Może nie podobają się pani kolory. Może zielone kwiaty i różowe liście?

Nagle odwróciła się i zaczęła iść w stronę drzwi.

- A może zapomnijmy o kwiatkach i weźmy na przykład ptaki? - Jego głos był żartobliwy, a zielone oczy miękkie. Jeszcze przez chwilę milczała, a kiedy w końcu się odezwała, jej usta złagodniały w uśmiechu.

- Może lepiej chodźmy na lunch.

Ich małżeństwo było szczęśliwe. Laura była spod znaku Strzelca.

Szczera, otwarta tak jak jej mąż spod znaku Bliźniąt i tak samo zdecydowana zachować wolność osobistą. Była

bystra i miała poczucie humoru. Była pierwszą kobietą od czasów Jennifer, która wzbudziła w nim uczucia. Poza tym, że byli kochankami, Josh i Laura byli przyjaciółmi. Często się nie zgadzali, ale rzadko ze sobą walczyli. Rozumiała jego potrzebę sukcesu i nigdy nie wtrącała się do jego pracy. Sama prowadziła agencję wystroju wewnątrz ze swoimi siostrami. Potem urodzili się Rachel i Scotty.

Josh sprzedał swoją firmę i zaczął myśleć o przeprowadzce.

Zbudowali na wsi wspaniałe gniazdko w New Jersey Palisades, blisko miasta, tak żeby Josh mógł dojeżdżać do pracy, a jednocześnie dość daleko, żeby mieć wrażenie, że się mieszka na wsi. Zapisali się do klubu, gdzie grali w golfa i brydża. Właśnie wtedy Josh zagubił się.

Był wschodzącą gwiazdą, człowiekiem, który sprzedawał i kupował wielkie przedsiębiorstwa. W zamkniętym kręgu nowojorskiej elity był gigantem i przez chwilę dał się złapać na lep swojej władzy.

Zakupił podupadający koncern odzieżowy, ponieważ był przekonany, że z dobrym zarządem będzie mógł doprowadzić go do normalnego stanu. Osobiście nadzorował projekt i po trochu zaraził się światem mody. Modelki włóczyły się tam i z powrotem, ubierając się i rozbierając bez wstydu, gotowe zrobić wszystko, żeby zadowolić szefa. Josh dał się skusić. Na początku było bez problemów, tu modelka, tam modelka, ale w końcu wpakował się aż w sześciomiesięczny romans. Stopniowo zaczęło gryźć go sumienie.

Pewnej grudniowej nocy poszedł do Coral Trent i powiedział, że między nimi wszystko skończone. Robiła trudności. Wrzeszczała, płakała, groziła i błagała, ale on był nieugięty. Należało w końcu skończyć ten romans, który

nigdy nie powinien był się zacząć. Tej samej nocy Laura grała w brydża w klubie. Koło jedenastej zaczęła zbierać się do domu. Padał śnieg, drogi były śliskie. Prowadziła ostrożnie. Nagle oślepiło ją jasne światło. Gwałtownie szarpnęła kierownicą. Wpadła w poślizg. Zerwała hamulce. Samochód zaczął tańczyć na lodzie. Kierowca ciężarówki próbował ją ominąć, ale stracił kontrolę nad swoim wozem. Laura zmarła na miejscu. Zanim Josh dotarł do szpitala, ciało Laury owinięto w prześcieradła.

Dotknął jej. Była taka sztywna, zimna. To nie była jego Laura.

Teraz dzieci nie miały matki, a on żony. Stał tak nad nią sparaliżowany smutkiem i przepełniony winą. Zdradzał ją. Był niewierny i to bez powodu. Nie mógł powiedzieć, że go nie rozumiała, bo tak nie było. Szukał przyjemności z inną kobietą, żeby zadowolić własne ego. W dzień pogrzebu chciał być z nią przez kilka minut sam. Otworzył trumnę. Sądził, że jej spokój przywróci mu równowagę. Umarła, a jego bolało serce. Wolno zdjął swoją ślubną obrączkę i owinął ją w koronkową chustkę, którą Laura miała na sobie w dzień ślubu. Razem z pierścionkiem położył obok niej dwie dziecinne bransoletki. Łzy go zaślepiły. Zadrżała mu ręka, gdy dotknął jej włosów. Cicho zamknął trumnę.

Wtedy i wiele razy później zastanawiał się, czy Laura wiedziała o jego romansie. Nie miało to już znaczenia, ale wiedział, że już nigdy nie zlekceważy przysięgi małżeńskiej.

Była już prawie czwarta, gdy Jennifer w końcu zadzwoniła do Josha.

Powinna była być wyczerpana nawalem pracy i przyjmowaniem gratulacji, a tymczasem była wesola. Tuziny gazet leżały w stertach, każda otwarta na notatce z przyjęcia. Reszta biurka była pełna kwiatów. Brad Helms przysłał jej

bukiet z podziękowaniami.

Gwendolyn Stuart przysłała kryształową wazę w kształcie pączka, a w swojej notatce pisała, że przyjęcie było wspaniałe. Jej własny dział promocji wyraził podziękowanie gloksynią pulchną i puszystą z szerokimi, zielonymi liśćmi. Wszystko było prześliczne. Prosta i trochę przysadzista, terakotowa doniczka z papuzimi tulipanami spodobała jej się najbardziej. Tulipany były ulubionymi kwiatami Jennifer, a te były od Charlesa.

- Czy to możliwe, żeby księżniczka wróciła?

Jennifer uśmiechnęła się, słysząc Josha. Odwróciła się od kwiatów Charlesa i zaczęła rozmawiać z Joshem.

- Szczerze mówiąc, oczekiwałem, że jakiś zachrypnięty bandyta zażąda za ciebie okupu w używanych jednodolarówkach - powiedział.

- Gdzie, do diabła, byłeś przez cały dzień? I co cię napadło, żeby tak zniknąć?

Jennifer przez chwilę milczała.

- Pojechałam do Bayonne odwiedzić matkę - powiedziała cicho.

- To dobrze - powiedział Josh. W jego głosie można było wyczuć szczerłość.

- Zjadłyśmy z mamusią śniadanie, gadając o starych znajomych, o starych sprawach. Mama przypadkiem wspomniała, że regularnie do siebie dzwonicie. Nie wiedziałam, że będę musiała walczyć o serce Josha Mandella z własną matką. - W tym momencie walczyłyby o niego z każdym. - Od jak dawna ciągnie się ten romans?

- Od jedenastego roku życia - powiedział Josh, starając się mówić normalnie. - Zawsze miałem kota na punkcie rudych niskich dziewczyn.

- Mogę cię zapewnić, że to uczucie jest wzajemne.

Podziwia cię, chociaż nie mogę zrozumieć, na czym polega to fatalne zauroczenie.

Josh nie odpowiadał. Jego milczenie dziwiło Jennifer, lecz mówiła dalej, żeby przerwać ciszę.

- A co ma znaczyć twoja długa pogawędka z moim bratem dziś rano?

- Zadzwoiłem tylko, żeby się dowiedzieć, czy mogę mu jakoś pomóc w powrocie do ojczyzny.

- Zawsze byłeś dobrym samarytaninem.

- Nie, nie zawsze. - Pragnął, żeby zaczęła mówić do rzeczy. Chciał wiedzieć, czy zastanawiała się nad jego propozycją rzucenia Charlesa. Przez chwilę kusiło go, żeby o to zapytać, ale dał spokój. - Czy mam rozumieć, że dostałaś owacje od całego zespołu Jolie?

- Dostałam - powiedziała, a jej głos był pełen satysfakcji. - Mogę ci powiedzieć, że to był cudowny dzień. Pełno kwiatów, telefonów, telegramów, cuda. Jest nawet moje zdjęcie w New York Timesie.

- To świetnie. Jestem z ciebie dumny.

- Dobrze, więc na pewno będziesz chciał uczcić mój sukces przy wieczornym posiłku, a może nie?

Jego odpowiedź była zbyt wolna.

- Nie jestem pewien.

- Jak to nie jesteś pewien? Nie masz wyboru. Bardzo tego chcę, rozumiesz, a tylko ty możesz mi sprawić przyjemność.

Znów nastąpiła długa niespodziewana cisza.

- A co z Charlesem? - spytał prosto z mostu.

- Już to wszystko przemyślałam. Nie martw się, wszystko będzie w porządku. Spotkamy się o siódmej - powiedziała. - Pasuje ci?

Trochę jej się nie podobał jego sposób rozmowy.

- Jesteś trochę dziwny. Czy ci przeszkadzam?
- Nie. - Odpowiedź była znów jakaś sztuczna, dziwna.
- Czy możemy się spotkać u ciebie?
- Wolałbym gdzieś na Hudson Street. „The Village

Green”. Dotrzesz tam sama?

„Wszystko w porządku - mówiła sobie - jest ktoś w biurze i nie może mówić otwarcie”.

- Sądzę, że tak - powiedziała na głos. - Jakoś to załatwię. Chcesz wiedzieć, dlaczego?

Nie było odpowiedzi.

- Bo będę dziś wieczór z tobą.

- Zobaczymy się o siódmej - powiedział.

- Dobrze, o siódmej. No to na razie.

Jennifer wolno odłożyła słuchawkę. Coś było nie tak, ale nie wiedziała, o co chodzi. Odnaleźli się po latach. Czy radość z tego nie była dostateczna? Czy nie mogli po prostu się kochać i zostawić wszystko inne? Czula się szczęśliwa po raz pierwszy od wielu miesięcy. Nic jej nie popsuje tego wspaniałego dnia. Miała jeszcze jeden telefon do wykonania, a potem pojedzie do domu i się spakuje. Zdała sobie sprawę, że jest zdecydowana spędzić ten weekend z Joshem.

Wykręciła numer telefonu do Charlesa i czekała, aż sekretarka ich ze sobą połączy. W tym czasie gorączkowo szukała jakiegoś wykrętu, żeby uciec do Josha.

- Jennifer! Próbowałem złapać cię cały dzień.

- Wiem, kochanie. Przepraszam, ale zanim ci wyjaśnię, dziękuję za tulipany. Są wspaniałe. Wezmę je do domu.

- To byłoby miłe. A teraz powiesz mi, gdzie byłaś?

- Pojechałam do Bayonne - powiedziała. Po chwili coś jej przyszło do głowy. - Miałam telefon od matki, dziś rano ojciec miał wypadek, upadł i zwichnął sobie ramię, źle to wygląda. Mamusia była w sklepie, a ja musiałam pojechać do

ojca do szpitala.

- Coś poważnego?

- Nie musi iść do szpitala, ale ja będę musiała przez ten weekend zająć się nim. Mamusia nigdy nie zaufa Natalie w sklepie, a ojciec oczywiście sam sobie nie poradzi.

- Nie, oczywiście, że nie. - Charles był chyba trochę zniecierpliwiony. - Nie mogłabyś kogoś wynająć? Myślałem, że spędzimy weekend razem. Tylko my, we dwoje.

Jennifer przejrzała już wszystkie gazety. Przegląd Mody zostawiła na później.

- Ostatnio rzadko się widzimy - mówił dalej.

W głosie Charlesa pojawiło się coś, co zwróciło uwagę Jennifer.

Był trochę nerwowo, prawie ją błagał. Zastanawiała się, czy odwołać spotkanie z Joshem, ale nie mogła sobie na to pozwolić.

Musiała z nim być.

- Wiem, kochanie - powiedziała. - Bardzo mi przykro, ale znasz moich rodziców. Nigdy nie wydadzą pieniędzy na pielęgniarkę, a nie pozwolą mi zapłacić. Następny weekend spędzimy razem, może gdzieś się wybierzemy?

- Kiedy wyjeżdżasz?

- Myślałam, że pojedę do domu za pół godziny. Wezmę prysznic, przebiorę się i wyjadę około wpół do siódmej. Muszę wziąć samochód. Masz coś przeciwko temu?

- Nie.

- Co będziesz robił? - Walczyła z poczuciem winy. „Przebac mi” - pomyślała.

- Chyba wezmę do domu jakieś papiery.

- A może lepiej się wyśpij. Zobaczymy się w niedzielę wieczorem.

Ręka jej drżała, gdy odkładała słuchawkę. Trudno jej

było w to uwierzyć, że tak łatwo mogła go okłamać. Jaka łatwa jest zdrada.

Ostatniej nocy zdradziła go, a dzisiaj okłamała. Czuła się winna, ale nie wstydziła się tego. Przedtem nigdy nie zdradziła Charlesa, nawet w ciągu tych długich miesięcy prawie bez seksu była mu wierna. Wmawiała sobie, że stan Charlesa był tylko chwilowy i pewnego dnia zniknie, ale nie mogła zapomnieć czaru tej nocy spędzonej z Joshem. Prawda była taka, że z nikim i nigdy nie było jej tak dobrze. Wcześniej nie zdawała sobie z tego sprawy, ale teraz już wiedziała.

Charles wpatrywał się w milczący telefon i walczył ze sobą.

Jennifer nieświadomie przedłużyła ich małżeństwo. To wszystko było takie ironiczne. Przez cały dzień Charles zamartwiał się ich sytuacją, walcząc z poczuciem winy, które zakradało mu się do serca. Godzinami zastanawiał się nad sobą, wspominając swoje kłamstwa, zdradę. Parę minut przed telefonem Jennifer zdecydował się powiedzieć jej wszystko. Teraz to musiało poczekać. Zwłoka zwiększyła szansę, że znów straci odwagę. Odsunął się od biurka i odwrócił do okna. Rozsunął ciężkie zasłony i spojrzął na kamienny krajobraz Wall Street. W sąsiednich budynkach gasły światła w oknach, w miarę jak ludzie wychodzili z biur, dołączając do tłumu, który przewijał się wąskimi ulicami finansowego centrum Nowego Jorku.

Wall Street była dla Charlesa czymś nieskazitelnym. Nie było tutaj żadnych rezydencji ani matek z wózkami, spacerowiczów, gońców z torbami, szkolnych dzwonek o ósmej i o trzeciej. Jedynymi dzwonekami były te, które oznajmiały otwarcie i zamknięcie giełdy, ale nawet ich nie było słyhać na ulicy, choć czuło się je w powietrzu. To był



świat trzyczęściowych garniturów, poważnych min, wypchanych aktówek i równo podciętych włosów. To był świat, gdzie olbrzymi sukces sąsiadował z bezdenną klęską. Świat, gdzie potęga była kluczem, a pieniądze potęgą.

Charles odwrócił się od okna. Jego pociągła twarz była bez wyrazu.

Zaczął niespokojnie chodzić po pokoju. Odłożył długopis, poprawił abażur, który ośmielił się przechylić, wyrównał książki, poukładał segregatory. W końcu upadł na skórzany fotel i spojrzał na stół stojący obok niego. Stał na nim portret Jennifer w stylu Bachracha, oprawiony w posrebrzany plastik. Siedziała zupełnie wyprostowana, wyglądała lepiej niż w rzeczywistości, z oczyma błędzącymi na boki i ustami półotwartymi w nikłym uśmiechu. Trudno ją było przekonać do pozowania. I teraz gdy tak na nią patrzył, był pewien, że na jej twarzy dostrzega wyraz rezygnacji. Zabawne.

Myślał, że jego prośba o portret sprawi jej przyjemność. Właśnie wtedy został współnikiem w firmie i zauważył, że starsi prawnicy mieli na biurkach podobne portrety swoich żon. Wyjaśnił Jennifer, że tak trzeba, że jest to częścią wyposażenia, tak jak tradycyjne meble czy ukryty barek. Powiedziała, że czułaby się głupio, bo tylko świeżo zaręczeni pozują do portretów. W końcu ustąpiła.

Patrzył teraz na nią z mieszaniną czułości i wyrzutu. Wziął portret do ręki, czując jak wspomnienia wirują dookoła wizerunku Jennifer. W gmatwaniu wspomnień najlepiej pamiętał ich pierwsze spotkanie.

Gdy przyjechał Charles, apartament Wilsona Gifforda już tętnił życiem. Ci, którzy tam byli, byli albo bogaci, albo znani, albo i to, i to. Tak jak Charles. Jennifer była nikim. Po raz pierwszy zauważył ją, gdy stała obok trójki gości w

odległym kącie salonu.

Zobaczył, że gdy inni zajęci byli rozmową, ona wylała drinka do doniczki z sięgającym sufitu fikusem. Przez skłębioną masę ludzi dostrzegł rozbawienie w jej oczach. Obserwował ją, jak sączy pustą szklanę, a gdy trójka się rozproszyła, przepchnął się w jej kierunku.

- Też nie lubię grzanego piwa.

Odwróciła się gwałtownie, trochę zaczerwieniona.

- Nie powiem nikomu, jeśli ty też nie - powiedział, wylewając swojego drinka do doniczki, jeszcze bardziej zatruwając roślinę.

Roześmiała się spontanicznie i szczerze, pokazując białe i równe zęby.

- Jestem Charles Cranshaw, kiedyś przyjaciel naszego gospodarza.

- Jennifer Sheldon, kiedyś znajoma znajomej gospodyni.

- Mogę spytać, czy jesteś tu z mężczyzną, czy z kobietą?

- Z kobietą.

- A bardzo by się gniewała, gdybym wykradł cię stąd na spokojnego drinka gdzieś w barze?

- Nie, na pewno nie, a ja ogromnie bym chciała.

Charles wpatrywał się w portret Jennifer, przypominając sobie, jak siedzieli w kiepsko oświetlonym barze na Piątej Alei, pili białe wino i rozmawiali aż do zamknięcia. Po wyjściu postanowili się przejść do jej mieszkania na rogu Siedemnastej i Trzydziestej Ulicy. Wziął ją pod rękę, a ona wtuliła się twarzą w jego płaszcz, żeby uniknąć ostrego wiatru. Pod jej drzwiami całowali się, zupełnie tak, jakby ich związek już dawno trwał. Miała delikatne usta, miękkie i drżące. Obejmował ją, a ona

nieśmiało przytuliła się do niego. Gdy otworzył jej drzwi, obiecał, że zadzwoni następnego dnia i zadzwonił. Ten telefon zmienił rytm jego życia.

Wspomnienia wyblakły. Charles poczuł nagle ból, jak gdyby coś strasznego miało się stać, jeśli się z nią nie zobaczy.

Potrzebował jej obecności, jakby to miało rozwiązać jego problemy.

Sięgnął po telefon, ale nikt nie odbierał. Już wyszła. Charles słuchał, jak dzwoni telefon, aż poczuł się zahipnotyzowany przez to brzęczenie. Nacisnął guzik, a sygnał zabrzmiał mu w uszach jak rozkaz. Przysłuchiwał się. Zastanawiał się przez chwilę i wykręcił ten numer, który miał zmienić jego życie raz jeszcze.

Jennifer przyjechała do Village Green o piętnaście minut za wcześnie i uznała swoją punktualność za sukces. Nie było łatwo znaleźć restaurację między tymi krętymi uliczkami. Każda uliczka, w którą skręcała, była nieprzejezdna. Krążyła więc wokół Hudson Street. Zostawiła samochód na najbliższym parkingu i przebyła resztę drogi na piechotę. Normalnie wolałaby wziąć taksówkę, ale żeby uwiarygodnić swoje alibi i schować torbę, potrzebowała samochodu. A teraz potrzebowała drinka. Barman postawił go jej na małej papierowej serwetce. Wino było zmieszane z likierem porzeczkowym w kieliszku przypominającym kształtem tulipana.

Zastanawiała się, czy Charles jej uwierzył. Chyba musiał, pomyślała. Nie miał powodu, żeby nie uwierzyć. Nigdy przedtem mu nie skłamała.

Mały hol był pełny. Wszystkie stoliki przy barze były zajęte, a siedzący przy nich klienci pochłonięci byli rozmową. Gdzie był Josh? Skończyła drinka i zamówiła

następnego. Spojrzała na drzwi i na zegarek. Było parę minut po siódmej. Cały czas chciała z nim być, kochać go i zmusić, żeby ją kochał. Chciała zatracić się w niezrównanej rozkoszy jego dotyku i zmysłowości. Gdzie on był?

- Przepraszam, trochę się spóźniłem.

Przestraszył ją tak, że aż przechyliła kieliszek. Złapał go w porę i postawił, uśmiechając się do niej.

- Cholernie pada i miałem trochę kłopotu ze znalezieniem taksówki, ale się opłaciło. Wyglądasz świetnie.

- Ty również wyglądasz nie najgorzej - powiedziała.

Właśnie zamówił drinka, gdy kierownik sali wskazał im ich stolik.

Zeszli na dół do małej przytulnej sali. Kelner postawił drinka i szybko wymienił potrawy wieczoru. Jennifer prawie go nie słuchała.

- Times zamieścił twoje zdjęcie - powiedział Josh. - Relacje z przyjęcia były imponujące. Powinnaś być z siebie dumna. Wytnę je sobie i schowam na pamiątkę.

- Tak jak ten ostatni artykuł o sprzedaży w Przeglądzie Mody. - Dotknęła dłońmi czoła i potrząsnęła głową. - Nie. Nie będę dziś o tym myśleć. Zapomnij, że to powiedziałam - uśmiechnęła się szeroko. - Nie pozwolę, żeby interesy zatruwały mi przyjemności... - przerwała. - Nigdy nie zgadniesz, co znalazłam - powiedziała po chwili. - Musiałam przeszukać całą najwyższą półkę w mojej szafce, ale było warto, chciałam ci zrobić niespodziankę.

Podniosła rękę i potrząsnęła nadgarstkiem, zwracając uwagę na złotą bransoletkę z okrągłą tarczą zwisającą w środku. To tę bransoletkę dał jej, gdy skończyła college. Dotknął bransoletki, tam, gdzie były inicjały. Przekreślił ją wiedząc, że napis z tyłu brzmi „dwóch za jednego”. Uśmiechnął się na wspomnienie młodocianych prób poezji.

- Nigdy się niczego nie pozbywam - powiedziała ściszym głosem.

- To dobrze. - Jego oczy spowaźniały. - Nie ścierpiałbym myśli, że to, co kupiłem po lecie harówki u Grossingera, wyrzuciłaś na śmietnik.

- Nigdy. Ocalałam mnóstwo pamiątek z tego czasu, gdy Josh Mandell pochłaniał moje myśli.

- Czy był kiedykolwiek taki czas?

- To prawie całe moje życie - odpowiedziała poważnie, a po chwili powiedziała dziewczęcym głosem. - W tej starej puszcze na cygara mam dużą, złotą literę z twojego swetra, kiedy byłeś na studiach, odznakę organizacji studenckiej, gadżet z twojego starego Chevroleta, kilka nie tak bardzo namiętnych listów miłosnych i klucz do naszego pokoju w Paul Revere Inn w Bethlehem.

Spojrzała na niego, a po chwili na bransoletkę.

- Przez godzinę przeglądałam tę puszkę dziś wieczorem - powiedziała prawie do siebie. - Wskrzeszałam naszą przeszłość. To była cudowna przeszłość.

- Tak, rzeczywiście.

- Nie uwierzysz w to, ale płakałam, gdy siedziałam na podłodze i dotykałam tych pamiątek. Chyba bardziej nad sobą niż nad kimś innym. W życiu zrobiłam mnóstwo błędów, szczególnie w ocenie ludzi, ale to nie ma nic wspólnego z tobą.

- Jennie, proszę cię, nie.

- Nic nie mogę na to poradzić - powiedziała z zamglonymi oczami. - Ciągle myślałam o tym, co mi wczoraj powiedziałeś. Byłam głupia, że cię rzuciłam.

- Jennie, to już przeszłość.

- Być może, ale to dziwne, nie uważasz, że trzymam te okruchy przeszłości? Odrzuciłam ciebie, ale trzymam się

wspomnień.

- Były tego warte - powiedział Josh, całując ją w rękę.

Przerwał im kelner, podając kolację. Nalał wina i odszedł. Nie jedli dużo. Dziobali widelcami potrawy, jakby się bawili jedzeniem na talerzach.

- Co powiedziałaś Charlesowi? - spytał.

- Powiedziałam, że zostaję na noc w Bayonne.

Josh zamówił dwie kawy. Miał kamienną twarz, gdy się odezwał.

- Nie to miałem na myśli. Kiedy mu powiesz, że to koniec?

Jennifer była zaszokowana, prawie obrażona.

- Nie wiem. Nie myślałam jeszcze o tym.

Josh wyjął długie, cienkie cygaro z kieszeni na piersi. Odpakował, odciął koniec z przesadną starannością i zapalił. Zaciągnął się mocno, aż gryzący zapach tytoniu otoczył ich stolik.

- Myślałem, że mówiliśmy o tym wczoraj w nocy.

- To ty o tym mówiłeś - powiedziała. - Nie chcę teraz o tym rozmawiać.

- Musimy.

- Dlaczego?

- Bo spędziliśmy razem wspaniałą noc. I albo będziesz uczciwa wobec Charlesa, albo nigdy się to nie powtórzy.

„Nie mówi tego serio” - pomyślała. Odsunęła od niego rękę. Poczowała kropelki potu na karku.

- Jennifer - mówił dalej. - Nie próbuję być purytański, uwierz mi.

Nie sądzę, że powinniśmy mieć romans. Jesteś mężatką i to nie jest w porządku. Nie rozumiesz tego?

- Rozumiem tylko, że jest nam ze sobą dobrze - powiedziała. - Myślę tylko o tym, żeby być z tobą tak, jak

zeszłej nocy. To takie straszne?

Przysunął krzesło do stołu, przechylił się i powiedział prawie szeptem:

- Może dla innych nie, ale z powodów, których wolałbym nie wyjaśniać, nie mogę romansować z mężatką. Nawet z tobą.

„Wszystkie moje plany, wszystkie moje kłamstwa. Nie możesz powiedzieć: nie. Po prostu nie możesz!” - pomyślała.

Jennifer oparła się o stolik i wpatrywała się w niego. Czowała ból w kręgosłupie.

- Zeszłej nocy też byłam mężatką, czy zapomniałeś o tym?

Kochaliśmy się, jeśli pamięć mnie nie myli. I oboje tego chcieliśmy. Dlaczego jesteś taki moralny?

- Bo kocham cię od zbyt dawna, żeby pozwolić sobie na taką prowizorkę. Ostatnia noc była dla mnie wszystkim, trzymałem cię w ramionach, kochałem cię, ale to wzbudziło zbyt wiele uczuć i przypomniało mi zbyt wiele niespełnionych obietnic. Nie mogę przejść przez to jeszcze raz.

Nie mogła na niego patrzeć. Czowała, że kręci jej się w głowie, że mdleje, że brakuje jej powietrza.

- Potrzebuję czasu - powiedziała. - Dlaczego nie możemy być ze sobą jeszcze raz?

Josh dostrzegł ból w jej oczach i przez chwilę chciał nawet ustąpić, ale przypomniał sobie co czuł, gdy go rzuciła.

- Nie mogę - powiedział cicho. - Nie mogę tego zrobić, ty też nie.

Poza tym nie jesteś stworzona dla potajemnych schadzek.

Wyrwała ręce, oczy jej błyszczały.

- Jaki ty jesteś rycerski. Jakie to miłe, że dbasz o moją reputację.

Nie odpowiedział. Oboje siedzieli, nie śmiać spojrzeć sobie w oczy.

- Jennifer, gdybyś była szczęśliwa z Charlesem, nie spędziłabyś tej nocy ze mną. Nie spałabyś ze mną; chyba że splatałaś mi jakiegoś okrutnego figła, a w to nie wierzę.

„Przyciskasz mnie do ściany, że nie mogę oddychać. Nie mogę sobie poradzić z tym wszystkim. Nie jestem aż tak silna”.

- Mamy z Charlesem problemy - powiedziała. - Przyznaję, ale nie mogę tak nagle wystąpić o rozwód. To mnie przeraża. Muszę przyzwyczać się do tej myśli, zrozumieć konsekwencje.

- A co ja mam robić w tym czasie? Wrócić na półkę?

- Kochaj mnie. Bądź ze mną - błagała, ale było jej już wszystko jedno.

- Nie, ty z tego robisz jakieś perwersyjne zawody. Chcesz być z Charlesem i mieć romans ze mną. Nie możesz mieć wszystkiego.

Charles jest twoim legalnym mężem, więc wygrywa. Tylko ty możesz to zmienić.

Serce jej dudniło, oczekiwała pocieszenia i pomocy, nie mogła poradzić sobie z jego oskarżeniami.

„Dlaczego jej nie współczuł? Co za powody miał na myśli?” - Wie pan co, panie Mandell - powiedziała, opierając się o poręcz krzesła. - Mówi pan jak stateczny ojciec. Możesz sobie oszczędzić rad. Pomyliłam się. Myślałam, że będzie inaczej z nami.

- Jennifer, zrozumiałaś mnie na opak. Nie opuszczam cię.

- Nie?

- Nie. Nie chcę tylko przeszkadzać, gdybyś jednak próbowała rozwiązać swoje problemy z Charlesem. Chcę ci



dać szansę, żebyś ocaliła swoje małżeństwo, jeśli tego chcesz. Poza tym jestem ostrożny. Nie chcę, żeby skończyło się tak jak ostatnio.

- Chcesz decyzji. - Wstała i oparła się o stół chwiejącymi rękami.

- Powiem ci, co zdecydowałam. Miałam rację, że zostawiłam cię wtedy. Teraz zrobię to samo.

Chwyciła torebkę i pobiegła schodami w górę, mając nadzieję, że Josh nie zobaczy łez cisnących się jej do oczu. Josh wybiegł za nią. Dogonił ją, gdy otwierała drzwi, ale wyrwała rękę z jego uchwytu.

- Nie dotykaj mnie. Nie chcę, żebyś zabrudził sobie ręce, harcerzyku!

Odwróciła się na pięcie i wybiegła z restauracji, nie odwracając głowy. Josh patrzył, jak odchodzi. Mógł ją dogonić, lecz nie ruszył się z miejsca. Zrobił to, co było najlepsze dla nich obojga. „Jeśli jestem w porządku - pomyślał - dlaczego czuję się, jakby częśćka mnie właśnie umarła?”

## ROZDZIAŁ CZTERNASTY

Nowy Jork pełen jest bezdomnych. Większość z nich to włóczędzy, którzy zaczynają i kończą dzień łykiem z butelki w brązowej, papierowej torbie. Jedni są starsi, zapomniani przez rodziny i odrzuceni przez społeczeństwo, które szanuje wszystko, co stare, za wyjątkiem ludzi. Inni są słabi i chorzy. Jeszcze inni to cwani spryciarze, którzy tylko czyhają na portfele przechodniów. I wreszcie są rozczarowani młodzi ludzie, którzy szukają ucieczki i zapomnienia. Mają domy, jednak wałęsają się po ulicach, które budzą ich ciekawość. To dobrze ubrani mężczyźni i kobiety, przesiadający w barze zbyt długo, oglądający uliczne wystawy albo rzekę o trzeciej nad ranem.

Tej nocy Jennifer Cranshaw była jedną z nich. Padał zimny zacinający deszcz. Mimo to, usiadła na ławce, na Washington Square. Miała przemoczone włosy i rozmazany makijaż na twarzy.

Wyszła z restauracji popędzana wściekłością. Wędrowała po zygzakowatych ulicach, dopóki nie poczuła bólu w kręgosłupie.

Siedziała tam od kilku godzin, nie mogąc się ruszyć. Oprócz palącej goryczy, czuła miłość, nienawiść, winę, żal. Uczucia te tak się zmieszały, że nie mogła ich rozdzielić. Oskarżył ją, że z niego okrutnie zdrawiła. Wmawiała sobie, że to on ją wykorzystał i porzucił przed laty.

Trzydzieści lat temu był upalny sierpień. Nie czuć było nawet najmniejszego powiewu wiatru, który poruszyłby zasłonę wilgoci, jaka zwisała nad Bayonne. Jennifer i Josh siedzieli na patio Skyline Beach Club. Josh zdjął marynarkę i krawat, rozpiął koszulę i wachlował się ręką. Jennifer wyciągnęła się na fotelu. Sukienka podwinęła się jej do kolan. Sączyła resztki mrożonej herbaty.

Zamknęła oczy. Josh przysunął się do jej krzesła.

- Mam nadzieję, że upał nie zepsuł ci wieczoru - powiedział i łagodnie przesunął palcem po jej gołym ramieniu.

- Jestem trochę zmęczona, ale świetnie się bawiłam.

Pocałował ją w szyję. Nie zareagowała.

- To dobrze, chciałem, żeby było świetnie. - Potarł jej ucho nosem, pocałował delikatnie w usta i wstał. Jej ciemne migdałowe oczy obserwowały go uważnie. Całą noc zachowywał się dziwnie.

Uśmiechał się, kiedy nie było nic zabawnego. Całował ją z czułością przy obcych, pytał co chwila, czy się dobrze bawi.

Wiedziała, dlaczego tak się zachowywał. Od wielu tygodni przeczuwała, że wreszcie nastąpi ta chwila, miała nawet przygotowaną odpowiedź, a mimo to była teraz zdenerwowana.

- Jennie - Josh nieśmiało ujął w dłonie jej rękę. - Jesteśmy ze sobą od dawna i nie jest żadną tajemnicą, że kocham cię do szaleństwa.

Jennifer wyrwała rękę, wytarła spoconą dłoń w spódnicę. On sięgnął do kieszeni i wyciągnął małe pudełko. Ceremonialnie ukląkł, otworzył je, żeby mogła zobaczyć diamentowy pierścionek w środku, i znów wziął ją za rękę.

- Jennie, czy wyjdiesz za mnie?

Teraz oczekiwał, że rzuci mu się na szyję, chwyci pierścionek, a może nawet zaśmieje się radośnie przez chwilę. Nie ruszyła się z miejsca. Nawet się nie uśmiechnęła. Po prostu potrząsnęła głową.

- Nie mogę.

Przez chwilę nie mógł zrozumieć, co powiedziała. Jego głos był pełen niedowierzania.

- Skończyłaś szkołę. Ja mam dobrą pracę. Nic nam nie stoi na przeszkodzie. Dlaczego nie możesz?

Powtarzała sobie tę scenę co najmniej tuzin razy, ale nadal miała tremę.

- Nie kocham cię - powiedziała zmuszając się, żeby spojrzeć mu w oczy.

- Wierz w co chcesz. To prawda.

Patrzył na nią z niedowierzaniem.

- Długo mnie tu nie było, pracowałem. Znalazłaś sobie kogoś?

Ześlizgnęła się z fotela i stanęła z dala od niego.

- Tak, znalazłam - powiedziała. - Siebie! W przyszłym tygodniu zaczynam pracę w agencji reklamowej Young and Rubicam jako praktykantka.

- Dostałaś pracę? To świetnie! A co to ma wspólnego ze mną? - zapytał sfrustrowany.

- To coś więcej niż nowa praca - to nowe życie.

- Nie chcesz być moją żoną, tak?

- Nie chcę być panią jakąś tam. Chcę znaleźć własną przyszłość. I na pewno nie w Bayonne.

Poczuł się, jakby go spoliczkowała.

- Przez lata mówiłaś, że mnie kochasz. Kiedy się to skończyło?

- Byłam młoda i byłam ci wdzięczna, że zawsze byłeś koło mnie, i w tym jest problem. Myślę, że wpadliśmy w nałóg.

Josh nie chciał jej słuchać, tego zimnego tonu, jakim to powiedziała.

- Jestem zadowolony, że mogłem ci się przydać - powiedział gorzko.

- Masz szczęście, że pewne nałogi tak łatwo rzucasz.

Powrót do domu był krótki i męcząco cichy. Josh w

ogóle nie wyszedł z samochodu. Nawet na nią nie spojrzął. Po prostu zostawił ją przed domem rodziców i odjechał. Nie widziała go od tamtej pory. Dopiero dwa lata temu spotkali się gdzieś przelotnie.

- Nic pani nie jest?

Policjant poklepał ją po ramieniu. Spojrzała zdziwiona na niego zapłakanymi i spuchniętymi oczami. I nagle poczuła się skrępowana.

- Spytałem, czy pani nic nie jest?

- Nie, w porządku, wszystko w porządku.

Zęby jej szczykały i mówiła niewyraźnie, ale widział, że nie jest pijana ani pod wpływem narkotyków.

- Co pani tu robi o tej porze?

- Ja... Mój samochód. Garaż jest zamknięty. Nie mogę dostać się do samochodu...

Sięgnęła do torebki w poszukiwaniu karty parkingowej, która potwierdziłaby jej opowiadanie.

- Niech się pani nie kłopotczy - powiedział. - Czy chciałaby pani, żebym sprowadził taksówkę?

Spojrzała na niego jeszcze raz jak dziecko, które nie chce iść do domu, ponieważ boi się kary.

- Czy ma pani dokąd pójść?

- Pójść? Tak, tak, mam. A taksówkę? Tak, byłabym wdzięczna. Bardzo mi zimno. Czy może mi pan pomóc wstać? Kręgosłup mi zeszywniał.

Gdy wstawała, krzyknęła z bólu. Powoli odprowadził ją do rogu Waverly Place. Zatrzymał nadjeżdżającą taksówkę i pomógł wsiąść.

- Czy ma pani pieniądze? - spytał.

Kiwnęła głową, otwierając portmonetkę.

- Jaki jest pani adres? Proszę powiedzieć taksówkarzowi.

Podawała taksówkarzowi adres, a potem spojrzała na zegarek.

- Panie posterunkowy, która jest godzina? Stanał mi zegarek.

Było coś tak smutnego w jej ruchach, kiedy potrząsnęła zegarkiem koło ucha i przetarła ręką twarz...

- Jestem pewien, że można go nastawić, proszę pani. Jest wpół do drugiej. Jak długo spacerowała pani tutaj?

- Trzy, cztery godziny. Ale wszystko w porządku, naprawdę. Był pan bardzo miły, dziękuję. - Uśmiechnęła się słabo.

Policjant zamknął drzwi, powiedział coś taksówkarzowi i odsunął się na bok, kiedy taksówka ruszyła z miejsca. Gdy dreszcze ustąpiły, zaczęła jaśniej myśleć. Pogrzebała w torebce i wyjęła lusterko. Usunęła bibułą rozmazany makijaż, ale nie miała ani siły, ani ochoty go poprawić. To nie było ważne.

Raz jeszcze próbowała siebie przekonać, że dzisiejszy wieczór był zemstą Joshua, ale jakoś nie mogła w to uwierzyć. Wiedziała lepiej, rozumiała nawet, co chciał zrobić i dlaczego nie pobiegł za nią.

Chciał, żeby cała wina była po jej stronie. Chciał, żeby w sprawach osobistych była tak samo twarda jak w interesach.

Rozumiała go, ale czuła się samotna.

Kiedy patrzyła, jak miasto ucieka za oknem, zastanawiała się, co powie Charlesowi. Jak mu to wytłumaczy? Bez samochodu? Ojciec nagle wyzdrowiał? Ojciec zawsze przestrzegał ją przed takimi sytuacjami: „Jeśli skłamię raz, będziesz musiała kłamać cały czas, żeby uwiarygodnić to pierwsze kłamstwo i znowu, aż zapomnisz, co powiedziałas na początku: wpadniesz we własne sidła”.

Zapłacała kierowcy i pobiegła w stronę budynku. Weszła do holu.

Miała spuchniętą nogę i uwierał ją but. Przyłożyła ucho do drzwi i słuchała. Wewnątrz było ciemno i cicho. Weszła do przedpokoju i zdjęła buty. Wrzuciła je do szafki. Po omacku znalazła gruby, drewniany wieszak, na którym powiesiła ociekający wodą płaszcz.

Przyciskając się do ściany przeszła do sypialni. Cicho uchyliła drzwi, tylko tyle, żeby przemknąć do łazienki. Zamknęła za sobą drzwi, rozebrała się, owinęła ręcznikiem, umyła i wysuszyła włosy.

Otworzyła drzwi i już miała zgasić światło, gdy coś się poruszyło.

Spojrzała w kierunku łóżka. To był Charles. Widziała jego jasne włosy w świetle, które przebijało się przez półotwarte drzwi. Spał skulony na boku, ale nie był sam. Był tam ktoś jeszcze. W jej łóżku, obok jej męża. Zesztywniała. Jak w transie obserwowała, czekała. Charles przekreślił się do tego kogoś obok i objął ramieniem... Jennifer zrobiło się mdło, słabo. Oparła się o ścianę, żeby nie upaść. Zapaliła światło i natychmiast tego pożałowała. Oba ciała podskoczyły. Przez moment Jennifer była jak sparaliżowana, nie mogła wydobyć z siebie słowa. Po chwili poczuła zwierzęcą wściekłość: obok jej męża leżał nagi mężczyzna.

- Wynoś się, wynoś się z mojego łóżka! Wynoś się z mojego domu! Ty świniu! Ty obrzydliwcu! Won z mojego łóżka.

Tygodnie stresu znalazły ujście jak lawa wulkanu. Wrzeszczała i trzęsła się z obrzydzenia. Charles patrzył na nią blady. Drugi mężczyzna szybko owinął się w prześcieradło i przebiegł obok niej do salonu. Jennifer nie odrywała wzroku od Charlesa. Obydwoje słyszeli, jak

trzasnęły drzwi wejściowe. Jennifer w tym momencie poczuła jakby w jej głowie eksplodował granat, doprowadzając ją do granic szaleństwa. Podbiegła do łóżka z zaciśniętymi pięściami i zaczęła bić Charlesa po głowie, plecach. Biła go i okładała pięściami. W końcu opadła na krzesło i zaczęła szlochać. Charles nałożył szlafrok. Czekał, aż się trochę uspokoi. Dotknął jej kolana, ale odskoczyła jak oparzona. Przestała szlochać.

- Nie dotykaj mnie, ty przeklęty pedale! - zasyczała głosem pełnym jadu. - Jak mogłeś?! Jak śmiesz pokazywać swoje zboczenie przede mną, przyprowadzać ich tutaj, do mojego łóżka?!

- Jennifer, proszę, pozwól mi wyjaśnić.

Głos miał zduszony i błagalny, ale Jennifer nie czuła współczucia.

Czuła nienawiść.

- A co tutaj jest do wyjaśniania? Te noce w biurze? Twoje wyjazdy w interesach? Myślałam, że pracowałeś. Musiałeś to uwielbiać. Ale byłam głupia! - Wstała i chodziła po pokoju. - Ilu mężczyzn przyprowadziłeś do mojego łóżka? Dziesięciu? Dwudziestu? Robiłeś to, gdy byłam w podróży, czy kiedy pracowałam wieczorem?

- Nie, nigdy przedtem. Nigdy tutaj - powiedział, patrząc błagającymi oczami.

Dalej chodziła jak opętana, miotając wyzwiska.

- Kiedyś zastanawiałam się, czy jest ktoś inny. Po prostu nie mogłam zrozumieć, dlaczego zawsze jesteś zmęczony. Mówiłam sobie, że jesteś przepracowany i źle się czujesz. Okazuje się, że miałam rację. - Odwróciła się do niego z wściekłością w oczach. - Jesteś chory! Jesteś obłąkany!

Nagle zaczęła się śmiać histerycznie. Jej śmiech



przestraszył Charlesa. Brzmiało to tak, jakby oszalała. Wstał z łóżka.

- Nie podchodź do mnie - powiedziała, cofając się. - Nawet się nie zbliżaj.

Zaśmiała się znowu, a był to pusty, gorzki śmiech, pełen wrogości i obrzydzenia.

- Myślałam, że może masz kochankę, że spałeś z Brooke Wheeler.

Nie! Nie to. To byłoby normalne. Ale ty nie jesteś normalny!

Nienawidzę cię! Słyszysz mnie? Nienawidzę cię! Wynoś się z mojego domu i z mojego życia.

Myśli i uczucia kłębiły się jej w głowie. Co spowodowało, że fundament jej życia pękł i chwiał się? Była zmęczona i przepracowana. Nie wróciła jeszcze do równowagi po niespodziewanej odmowie Josha. Zabolalo ją, że znalazła go tutaj z kochankiem.

Widziała, jak spokojnie spał, gdy ona była samotna i nieszczęśliwa. Drżała z wściekłości. Chcąc się wyładować, zaczęła rzucać buteleczkami perfum, obrazami, książkami - wszystkim, co jej wpadło w ręce trzaskała o ścianę. Charles zasłaniał się rękami. Nagle Jennifer zachwiała się i byłaby upadła, gdyby nie podbiegł do niej i nie podtrzymał. Delikatnie wziął ją na ręce, zaniósł do drugiego pokoju i położył ją na tapczanie. Pobiegł po koc, żeby ją przykryć. Wpadł do kuchni, szukając czegoś, żeby ją ożywić. Wrócił z butelką amoniaku. Podsunął jej butelkę pod nos.

Otworzyła oczy. Wpatrywała się w niego. Chwycił ją za ramiona i przytrzymał.

- Zemdlałeś - powiedział cicho. - Musisz odpocząć. A ja chcę ci coś powiedzieć.

- Nie chcę tego słuchać.

- Ale ja muszę ci to powiedzieć. Nigdy nie chciałem, żeby się tak stało, Jennifer. - Musisz mi uwierzyć. Walczyłem ze sobą. Bóg jeden wie, że walczyłem... Ale jestem tym, co powiedziałaś.

Pedałem i nic nie mogę na to poradzić - powiedział zdławionym głosem.

Jennifer odwróciła się ku niemu, ciągle pełna gniewu.

- Jak długo - powiedziała - jak długo mnie tak oszukiwałeś? Ile razy przychodziłeś do mnie po tym, jak byłeś z mężczyzną?

- Jennifer, postaraj się zrozumieć. Dopiero w zeszłym roku nie mogłem już wytrzymać. Przedtem się kontrolowałem.

- Doprawdy? - powiedziała, wstając i patrząc na niego gniewnie. - A gdy się ze mną żeniłeś, czy wiedziałeś o tym? Gdy obiecywałeś mi kochać i szanować, czy wiedziałeś?

Charles wpatrywał się w podłogę. Oddychał głęboko. Potem spojrzął jej w twarz. Był spokojny.

- Nie byłem wtedy pewien. Nie wiem, może tłumilem to uczucie, ale naprawdę cię kochałem. Chciałem ci dać szczęście, modliłem się, żebyś mi dała to samo. Prawie mi się udało.

- Oszczędź mi tej komedii. Chcę, żebyś się wyniósł!

Poszedł do sypialni. Ubrał się i spakował. Kiedy był gotowy do wyjścia, zatrzymał się w korytarzu. Siedziała błada.

- Musimy porozmawiać, Jennifer. Zadzwoń.

Potrząsnęła głową i patrzyła gdzieś w ścianę. Nie śmiała nawet mrugnąć okiem, dopóki nie usłyszała, że zamknął drzwi i kiedy była pewna, że już sobie poszedł. Bolał ją kręgosłup, oczy ją piekły.

Siedziała tak nieruchomo, nie mogąc zebrać myśli.

Była spocona i rozgorączkowana, drżała jak w febrze.

Nagle poczuła, że musi natychmiast z kimś porozmawiać. Zadzwoić do Josha. Potrzebowała go. Sięgnęła po telefon i długo wsłuchiwała się w sygnał. Wolno odłożyła słuchawkę. Co by mu powiedziała? Jak mogłaby powiedzieć komukolwiek prawdę, a w szczególności Joshowi.

To było zbyt obrzydliwe. Czowała się bardzo samotna. Nie miała się do kogo zwrócić. Znow zaczęła płakać. Płakała długo, nawet wtedy, gdy w końcu usnęła.

## ROZDZIAŁ PIĘTNASTY

W naturze istnieje pewien porządek. Po każdej śmierci - narodziny, po każdej stracie - nagroda. Jedni nazywają to losem, inni przeznaczeniem.

Terk Conlon był człowiekiem, który nigdy nie zastanawia się nad przyczynami. Interesował go tylko efekt. Cokolwiek czy ktokolwiek przywrócił mu Zenę Welles, był mu wdzięczny. Była tu, chciała się z nim widzieć i nic poza tym nie było ważne. Ani jego praca, ani żona, ani Eben Towers. Czuł się jak nowicjusz, gdy stał na schodkach domu Zeny w Chelsea, trzymając bukiet róż w jednej ręce, a butelkę Mouton - Cadet w drugiej. Gdy otworzyła mu drzwi, zabrakło mu tchu: pomyślał, że nigdy przedtem nie widział tak pięknej kobiety. Skóra Zeny była kremowobiała, w kolorze sztucznych pereł, a seledynowe oczy błyszczały. Długie, gęste rdzinkowobrazowe włosy opadały jej obficie na plecy. Pachniała tak samo jak wtedy, gdy spotkali się po raz pierwszy. Zaprosiła go do środka i zabrała paczki. Poszedł z nią do salonu, w kominku płonął ogień. Butelka zmrożonego wina już stała otwarta. Zena zaproponowała mu, żeby usiadł na tapczanie. Usiadła obok, w pewnej odległości. Nalał wina dla nich obojga i podał jej jeden z kieliszków, wznosząc toast bez słów. Ogarnął ją oczyma, a ona pozwoliła wpatrywać się w siebie, wcale nie unikając jego spojrzenia.

- Wciąż jesteś najwspanialszą kobietą, jaką znam.

Zena chciała powiedzieć, żeby zbyt dużo sobie nie obiecywał, ale tylko uśmiechnęła się blado. Czuł się niezręcznie, rozmowa była trochę sztuczna. W pokoju było pełno fotografii Zeny, więc spytał o jedną z nich, udając, że interesuje go safari w Afryce i wykopaliska w Egipcie. Prawie skończyli wino, gdy w końcu odważył się spytać o Randy'ego Webstera.

- Mieszkacie razem? - spytał rozglądając się po pokoju, jakby szukał śladów jego obecności.

- To przyjaciel. - Obserwowała go uważnie. Wiedziała, że czuje się niezręcznie i było jej go żal.

- Parę dni temu miałem wrażenie, że uważa się za kogoś więcej niż przyjaciela.

- Byliśmy ze sobą, jeśli o to ci chodzi. Ale w moim życiu nie ma miejsca na poświęcenia. Randy to rozumie. Jest rozwiedziony i nieźle się teraz bawi. Przypuszczam, że na jego liście jestem numerem pierwszym, ale na pewno jest jeszcze kilka innych.

Skinął głową, udając, że go to nie obchodzi i dopił wino. Zena przyglądała mu się z uśmiechem. Przewiercała go swoimi łagodnymi oczami na wylot.

- A co u ciebie? - spytała. - Co nowego wydarzyło się u ciebie?

- I dużo, i nic. Tak dużo się wydarzyło i tak mało się zmieniło. - Powiedział to z zażenowaniem, prawie z bólem. - Jestem z Deirdre, ale nasz związek jest bez przyszłości.

- Przykro mi. - Przysunęła się do niego i dotknęła jego ręki.

Ten dotyk rozpałił go i jednocześnie wywołał jakby uczucie rozpacz. Dotknął jej ręki.

- Dlaczego nie zatrzymałam cię, gdy miałam szansę?

Podniósł jej rękę do ust, całując ją i przytulając do swojego policzka. Zamknął oczy, smakował zapach jej skóry. Delikatnie zabrała rękę.

- Zjedźmy kolację.

Przez cały czas posiłku powstrzymywał się, żeby nie opowiedzieć jej o swoim życiu. Rozmawiali o interesach i o polityce. Skończyli drugą butelkę wina. Zena zaproponowała, żeby się napili kawy w salonie. Gdy ogień na kominku

przygasł Terk dorzucił kilka polan i pogrzebał pogrzebaczem aż ogień rozpalił się na nowo. Usiadł obok niej. Z lubością wdychał jej zapach. Czuł, że ręce mu się dziwnie, nerwowo poruszają. Ujął delikatnie jej głowę w dłonie i musnął ją ustami.

- Potrzebuję cię - powiedział, bojąc się tego, co mówi. Zena wzięła go w ramiona. Nawet po tylu latach coś w Terku wzruszało ją do głębi. Wiedziała, że ten potężny, olbrzymi mężczyzna w gruncie rzeczy był chłopcem odczuwającym ból i samotność. Dlatego się w nim zakochała. Ześlizgnęła się z tapczanu, wzięła Terka za rękę i zaprowadziła na górę po schodach do sypialni. Zaczął coś mówić, ale położyła mu palec na ustach. Obserwował, jak podeszła do szafki, zapaliła parę grubych świec i ustawiła je po obu stronach łóżka. Pokój wyglądał jak we śnie, opromieniony światłem migającym niby supernowa na zimowym niebie. Rozebrała się wolno, nie spuszczać go z oka. Gdy była już naga, podeszła i wślizgnęła się w jego ramiona. Stał jak posąg, nawet gdy go rozbierała. Powoli odpinała każdy guzik marynarki. W końcu stał przed nią zakłopotany, że był już gotów. Nie powiedziała nic, tylko gestem zaprosiła go do łóżka. Świece rzucały długie cienie na jej ciało.

Nachyliła się nad nim spokojna i opanowana. Jej włosy przyjemnie pieściły mu pierś. Zaczęła go całować. Językiem penetrowała każdy szczegół, każde zagłębienie jego ciała, pieściła, ssła. Objął ją mocno i pocałował. Był spragniony smaku jej ust. Pragnęła go tak samo mocno jak on jej. Jej biodra zafalowały. Wdarł się w nią, zatracając się w jej ciepłe i pięknie. Pograżył się w niej, kochał ją tak gwałtownie, jakby się bał, że ją straci. Pozostał w niej i patrzył jak cienie padają na jej twarz. Uśmiechnęła się. Pocałował ją delikatnie. W końcu wyślizgnęła się spod niego.

Cały czas na nią patrzył w milczeniu.

- Tym razem nie pozwolę ci odejść, Zena - powiedział ochryplym głosem.

- Nie będziesz musiał. Nie poproszę cię o to co kiedyś. Ty może jesteś w tej samej sytuacji, ale ja nie.

Wyjaśniła mu, że dla niej najważniejsza była jej praca i jeśli będzie musiała wybierać między pracą a byciem z kimś, to wybierze pracę. Terk słuchał jej, ale czuł się dziwnie. Mówiła mu, że wciąż go kocha, ale że nie ma potrzeby, żeby się ze sobą wiązać. Terk pozwolił jej mówić, lecz wewnątrz walczył ze sobą. Pragnął więzi, chciał małżeństwa. Chciał ją posiadać zupełnie, do końca. Nie marzył o niczym innym, a tymczasem ona chciała tylko romansu. To ona ustanawiała zasady, a on wiedział, że się dostosuje do wszystkiego. Świece się wypaliły. Zena wstała z łóżka i chodząc po pokoju, szukała innych. Delikatne kontury jej ciała tworzyły niebieskawą sylwetkę na tle ciemnych ścian. Była nieświadoma efektu podniecenia, jaki w nim wywoływała za każdym razem, gdy przechodziła obok niego. Była jakby magicznym amuletem migającym mu przed oczami i wprawiającym go w hipnotyczny trans.

Zapaliła nowe świece, pocałowała go w czoło i wyszła z pokoju.

Wróciła po kilku minutach z butelką brandy i dwoma kieliszkami.

Nalała trochę bursztynowej cieczy i trzymała brzuchate pucharki nad płomieniem świec przez kilka sekund. Wręczyła mu kieliszek i wślizgnęła się do łóżka. Z otwartego okna wiał chłód. Miała napięte z zimna sutki. W nagłym odruchu chciał ją objąć, wciągnąć pod siebie i kochać ją raz jeszcze. Ale Zena podciągnęła prześcieradło pod brodę i sączyła brandy. Jakby wyczuwając jego pożądanie,

oznajmiła, że chce porozmawiać.

- Wiem, że nie sprawię ci tym pytaniem przyjemności  
- powiedziała - ale powiedz mi dlaczego Deirdre wyszła za ciebie?

Pytanie zaskoczyło Terka i na początku nie wiedział, co powiedzieć.

- Pochodzicie z dwóch różnych światów. Można by pomyśleć, że jej rodzina nie pozwoli na takie małżeństwo.

Roześmiał się gardłowo.

- Próbowali, ale Deirdre jest bardzo uparta.

Tak myślałam - powiedziała, a jej zielone oczy odbijały blask świec. - Ale dlaczego ty, a dlaczego nie jakiś Lochinvar z Sutton Place? Niestety, odpowiedź była o wiele bardziej skomplikowana niż pytanie. Jak Terk miał jej powiedzieć, że według Deirdre jego główną zaletą, jako męża, był jego zwierzęcy seks? „Seks jest więzią, która łączy, powiedziała mu, a gdy to mija to też”.

- Deirdre to buntowniczka ubrana w futra i diamenty. Uwielbia szokować ludzi, szczególnie rodziców i wszystkich w wyższych sferach. Ja byłem nikiem. Cóż mogło być bardziej wyzywające, jeżeli nie małżeństwo dziedziczki z synem barmana.

Zena spojrzała w kieliszek brandy i podniosła oczy ku niemu.

Pogłaskała go po policzku.

- Ale jesteś żonaty od dawna. Czy ta gra się już nie skończyła?

- Kochanie, nie bierzesz w tym udziału, więc w ogóle nie możesz tego zrozumieć. Deirdre jest panem, jest uwikłana w ciągłą walkę ze swoim ojcem, a ja jestem pionkiem w tej grze. Parker Walling nienawidzi mnie od dnia, kiedy się spotkaliśmy.



- To byłby dobry powód, żeby cię w końcu zostawiła.  
Zena była zmieszana.

- W normalnej sytuacji miałybyś rację, ale Wallingowie nie są zwykłymi ludźmi. Deirdre i ojciec kochają się i szanują, ale obydwójce uwielbiają walczyć. Gdyby Deirdre zostawiła mnie z jakiegoś powodu, jej ojciec by wygrał, dlatego nigdy na to nie pozwoli.

- Więc dlaczego jej nie zostawisz?

- Bo wtedy ja przegrywam. Rodzina to rodzina, a Parker Walling nie byłby miły dla syna barmana, który rzuciłby jego córkę. Jest potężny i ma wszędzie coś do powiedzenia. Nigdy nie wiedziałbym, gdzie i kiedy mnie dopadnie.

- To rodzaj meksykańskiego pata?

- Chyba tak. Za każdym razem, gdy już wydaje mi się, że znalazłem wyjście, wpadam prosto na kolejną przeszkodę.

Zena siedziała nieruchomo. Wiedziała, że Terkowi niełatwo przyszło się na to zgodzić. Nie była aż taka niewinna, jak myślał, nie była też aż tak bystra, żeby się w tym połapać. Była szczerą. Unikała zagadek.

- Terk, nie może być tak dalej - powiedziała poważnie.

- Jesteś skazany, a nie wydaje mi się, żebyś popełnił jakąś zbrodnię poza tym, że urodziłeś się w niewłaściwej rodzinie.

Terk skurczył się. To, co powiedziała Zena, było prawdą, ale tylko częściowo. Nie mógł jej powiedzieć wszystkiego.

- Mam plan, Zena. Wkrótce uwolnię się od Deirdre. Potrzebuję tylko, żebyś przy mnie była.

Drżenie w jego głosie zaniepokoiło ją. Znała go lepiej, niż myślał. Terkowi bardzo zależało na wolności, a ona wiedziała, że ludzie w stresie popełniają dużo błędów. Przeszedł ją dreszcz.

Terk wziął ją w ramiona.

- Jest ci zimno. Pozwól mi się ogrzać. - Odstawił kieliszek na stolik obok łóżka i objął ją.

- Kocham cię, Zena, i nic nie przeszkodzi mi być częścią twojego życia. Nic.

## ROZDZIAŁ SZESNASTY

W Jolie kwietniowe wydanie zdominowało wszystkie rozmowy, każdy wydział był pogrążony w nudnym procesie zbierania informacji, przydzielania artykułów, rozplanowywania stron i sprzedawania reklam. Wszyscy chcieli tego samego - wygrać z konkurencją, skusić klientów i czytelników, żeby wydali swoje pieniądze na Jolie.

Marnie Dobbs czekała cierpliwie w pracowni. Zaplanowała spotkanie na 9.30, ale zbliżała się już 10 - ta, a pracownicy jeszcze się schodzili. Patrzyła na zegar i zastanawiała się, dlaczego Jennifer Cranshaw poprosiła o udział w tym zebraniu? Wiedziała, że Jennifer martwiła się o kwietniowe wydanie. Ciekawość Marnie mieszała się z niepokojem. Promocja nie miała nic wspólnego z modą. Jennifer nigdy przedtem się nie wtrącała. Dlaczego więc miałyby się mieszać teraz? Jennifer zadzwoniła do niej i powiedziała, że tym razem wszyscy mają zająć się promocją. Zrobić z Wielkiego Ananasa coś specjalnego. Marnie, mimo że była uprzedzona, zrobi oczywiście wszystko.

Sączyła kawę i patrzyła, jak zapełniają się miejsca przy stole w dużym, kwadratowym pokoju. To w tym pokoju przygotowywano kreacje na sesje zdjęciowe. Olbrzymie, metalowe stojaki stały w jednym kącie, pełne ubrań dostarczonych przez producentów, którzy chcieli zareklamować się w Jolie. Zadaniem zespołu Marnie było badanie rynku. Gdy stojaki były pełne, Marnie i piętnaście projektantek z jej wydziału oceniały każdy kawałek, krytycznie osądzając styl, wrażenie, a potem potencjalny popyt. Marnie była bardzo obowiązkowa i zawsze chciała, żeby ubrania były poselekcjonowane według przeznaczenia (wieczorowe, do pracy i sportowe), a później grzebała między nimi, żeby znaleźć temat do każdego wydania.

Wyrecytowała swoją listę kilka razy jak bramin swą modlitwę.

Styczeń był zaciszny. Luty i październik - moda w świetle reflektorów, marzec i sierpień to miesiące kariery, maj i czerwiec - skoncentrowane na kreacjach letnich, kwiecień - styl sportowy, listopad i grudzień - coś świątecznego. To było proste, niemal oczywiste.

Szeroki stół był już zastawiony kubkami z poranną kawą i posmarowanymi masłem rogalikami. Marnie spojrzała na zegarek.

Jennifer będzie tu lada chwila. Marnie odwróciła się do dziewcząt przy stole. Przyglądała się ich twarzom już od wielu lat.

Dziewczęta w wydziale mody były całkowicie oddane pracy.

Pochodziły ze wszystkich stron kraju. Początkowo pracowały jako sekretarki albo w recepcji, mając nikłe szanse, że pewnego dnia zasiądą w pracowni projektów. Każda z dziewczyn, którą Marnie przyjęła do pracy musiała mieć swój styl i coś jeszcze, czego nie da się zdefiniować. Marnie nie tolerowała amatorszczyzny.

Kochała ten zawód nawet z jego kapryśnie zmiennym snobizmem i wygórowanym mniemaniem o sobie. Dla niej to było więcej niż zawód.

Uważała, że ładne ubrania i dobry makijaż dawały więcej psychice kobiety niż lata z psychoanalitykiem, a to skłoniło ją do traktowania działalności firmy jako realizacji pewnej misji.

Kiedy weszła Jennifer, bystre oko Marnie oceniło, że tweedowy żakiet jest od Ralpa Laurena a Jennifer jest w ponurym nastroju.

Wyglądała na przeziębioną.

- Przepraszam za spóźnienie - powiedziała Jennifer zabim głosem, który potwierdzał diagnozę Marnie. - Musiałam załatwić kilka telefonów.

- Moje dziewczęta i tak nigdy nie są na czas - powiedziała Marnie z krytyką w głosie i poprowadziła Jennifer do krzesła obok siebie.

- Mówisz, jakbyś miała okropny katar.

Jennifer kiwnęła głową.

- Zmokłam w weekend - powiedziała, czując się zmuszona do wyjaśnień, a po chwili zastanowiła się, po co to zrobiła.

Gdy usiadła, czuła, że wypadaloby wyjaśnić przyczynę swojej obecności - powiedziała do Marnie, że przez chwilę zajmie się swoimi reklamami i żeby przystąpiły do zebrania tak, jakby jej nie było.

Marnie przywołała towarzystwo do porządku i przystąpiła do rzeczy.

Zadaniem jej wydziału było szukanie w sklepach na Siódmej Alei ubrań i wzorów związanych z Hawajami. Streściła im pomysł Brada, co wywołało grymasy i jęk. Jennifer słuchała uważnie. Z narzekań wyciągnęła kilka sugestii. Jedna, straszliwie chuda kobieta, z włosami ułożonymi w stylu lat czterdziestych wiedziała, gdzie znaleźć koszule z wzorami wysp oraz spódnice z oryginalnego materiału. Inna zaproponowała, żeby skoncentrować się na kolorystyce i wzorze hawajskich kwiatów. Jedna ze starszych projektantek zasugerowała, żeby nawiązać kontakt z kimś na wyspach. Jennifer zanotowała wszystko. W końcu Marnie zwróciła się do Jennifer z prośbą o komentarz. Jennifer spojrzała na zebrane i wiedziała, że trudno będzie je przekonać.

- Wiem, że niełatwo jest wam przełknąć ten pomysł

Brada - powiedziała. - Szczerze mówiąc, na początku też się przestraszyłam, ale fakty są faktami. Nasze pismo ma kłopoty, a Brad jest wydawcą.

- Jeśli jego projekt ma być lekarstwem, nic dziwnego, że umieramy.

- Złośliwa uwaga pochodziła od projektantki z kręconymi włosami.

Jennifer widziała, że wszystkie kiwają głowami, zgadzając się z tym. Zdecydowała, że nadszedł czas, żeby wstać. Podniosła się cicho, opierając się rękami o stół.

- Nie jestem tutaj, żeby bronić pana Helmsa - powiedziała. - Wszyscy możemy narzekać. Przemysślałam to i doszłam do przerażającego wniosku. To może zadziałać!

Umilkła. Większość siedziała niedbale, dając jej do zrozumienia, że musi przytoczyć mocniejsze argumenty. Kilka innych słuchało jej z uwagą. Zwróciła się do nich, świadomie pomijając inne.

- Zastanówcie się nad tym z punktu widzenia kogoś, kto się tym nie zajmuje. Brad widzi to w ten sposób i do pewnego stopnia ma rację.

I na pewno niełatwo było mi to przyznać.

Wiele projektantek uśmiechnęło się, a kilka wstało. Jennifer mówiła dalej.

- Dlaczego nie zrobić czegoś zupełnie nowego, czego Jolie nigdy dotychczas nie robiło? Coś, czego żaden magazyn nigdy nie ośmielił się zrobić.

Atmosfera zmieniła się wyraźnie. Marnie wpatrywała się w Jennifer niepewna, do czego zmierza. Instykt jej mówił, że zaraz się dowie.

- Złęczmy jakiemuś sławnemu projektantowi mody stworzenie kolekcji odwołującej się do korzeni.

Kilka kobiet otwarcie gwizdało. Inne kiwały głowami

jak w obecności wariatki. Tylko Marnie kiwała głową w zamyśleniu. Pomysł był szokujący i Marnie nie była pewna, czy jest dobry, ale magazynowi groziła plajta, więc na pewno zrobi wszystko, żeby go uratować.

- Czy proponujesz jakąś drogą kolekcję? - spytała głosem, który uciszył dyskusje przy stole.

- Myślę, że potrzebujemy kolekcji o przystępnych cenach, sygnowanej przez jakieś sławne nazwisko. Kolekcję wylansujemy w kwietniowym wydaniu. Proponowałabym też pokazy na żywo przy promocji Wielkiego Ananasa. Ocena publiczności byłaby dla nas bezcenna.

Marnie była podniecona. Podobał się jej pomysł, ale musiała wiedzieć więcej, zanim go poprze.

- Czy masz kogoś konkretnego na myśli?

- Tak, ale nie rozmawiałam jeszcze z nią. Uważam, że lepiej nie wymieniać nazwisk.

- A kiedy nam powiesz? - spytała blondynka siedząca niedaleko Jennifer.

- Nie chcę być tajemnicza, ale nie możemy pozwolić, żeby te wiadomości przeciekły do prasy wcześniej niż potrzeba. Ja chcę zaaranżować spotkanie tej projektantki z Marnie. Razem to dopracują.

- Będziemy potrzebować modelek i fotografa, którzy naturalnie dowiedzą się o naszych pracach. Dlaczego więc tylko my mamy nie wiedzieć?

Jennifer zwróciła się do małej rudej dziewczyny w wojskowej kurtce i zniszczonych spodniach.

- Mam modelkę, a fotograf dowie się, że ma być cicho, bo jak nie, to straci pracę.

Pewność Jennifer uciszyła wszelkie pytania. Spotkanie było skończone. Zwróciła się do Marnie i zaczęła rozmawiać o szczegółach podczas gdy wszyscy wychodzili.

- Wiem, Marnie, że to brzmi ryzykownie, ale myślę, że musimy spróbować albo przegramy.

Marnie była pełna sprzecznych myśli. Pierwszą była zazdrość, dlatego ona o tym nie pomyślała. Dlaczego nie wpadła na to, żeby pracować ze sławnym projektantem w celu stworzenia czegoś spektakularnego. Bo była za bardzo zajęta swoją pracą, mówiła sobie, broniąc się. Drugim wrażeniem była radość. Wszystko kłębiło się wewnątrz, wznosząc się ku powierzchni w dzikim pędzie. Przez lata promowała modę, to było jej szansą, żeby stać się kreatorem mody.

- Co będę musiała zrobić? - spytała.

- Musisz zająć się tworzeniem stylu, selekcją materiałów, kolorami. Potrzebuję twojej znajomości rynku. Zrobiłabyś to dla mnie?

- Zrobię wszystko, co trzeba - powiedziała Marnie, z trudem kontrolując głos. - To mógłby być przebój stulecia, Jennifer. Mam nadzieję, że ci się uda.

- Nam się uda. Zobaczysz.

Jennifer spojrzała na zegarek: zapomniała, że stanął. Nagle wydarzenia minionego weekendu spadły na nią jak ciężka zasłona.

Niewiele spała i przez chwilę poczuła się słabo. Podniosła się z krzesła i przez moment zakreśliło się jej w głowie. Marnie chwyciła ją za rękę.

- Nic ci nie jest?

Jennifer spojrzała na nią mętным wzrokiem.

- To tylko przeziębienie - powiedziała. - Wszystko będzie w porządku. Dzięki za wszystko. Będę z tobą w kontakcie.

- Dziękuję - odpowiedziała Marnie. Stała w pustym pokoju. Czuła jeszcze naelektryzowaną atmosferę, jaką



Jennifer wytwarzała wokół siebie.

„Nie jestem pewna, czy ona wie, że trzyma przyszłość tego magazynu w swoich rękach”.

Gwendolyn Stuart bolała głowa. Rano była z wizytą u Jennifer Cranshaw, która przekonała ją, żeby przeforsować hawajską modelkę na pierwszej stronie kwietniowego wydania. Gwen odrzuciła w ogóle taki pomysł, ale Jennifer była nieugięta, zbijając jej argumenty jeden po drugim, aż Gwen w końcu ustąpiła. Ktoś, kto potrafił przeprowadzić czwartkowe przyjęcie bez żadnego potknięcia, musi wiedzieć co robi. Przez ponad godzinę Gwendolyn błagała kierownika działu nakładu, żeby się zgodził.

Chodziła po swoim beżowym biurze, prawie nie słuchając, jak powtarza jej to samo. Wiedziała, że jedne modelki „sprzedają się” lepiej niż inne. Pewne twarze miały nieuchwytny urok dla klienta.

Po co ryzykować, skoro można zrobić coś pewnego? Gwen słuchała, jak Jack Kingsley wyjaśniał, że nikt nigdy nie próbował umieszczać egzotycznej dziewczyny z kwiatem we włosach na okładce. Gwen potrząsnęła głową niezdecydowanie, ale wiedziała, że musi przekonać Jacka albo Brada, albo Jennifer. Jack był mniejszym złem.

- Rozumiem, co masz na myśli, Jack, ale mówiłeś to samo, gdy zaczynaliśmy z czarnymi modelkami.

- Tak, to prawda, Gwen, ale to co innego. Mamy wielu czarnych czytelników.

Gwen zatrzymała się przed wmurowaną biblioteczką i uśmiechnęła do niego najwspanialej, jak umiała.

- Jack, kochanie, nie sędzę, żebyś całkiem zrozumiał sytuację. To jest specjalne wydanie poświęcone stanowi Aloha i byłoby bez sensu chwalić się Hawajami z jakąś blondynką na okładce.

- Ale statystyki wykazują, że niebieskookie, jasnowłose modelki najbardziej się podobają. - Założył nogę na nogę. Zauważyła jego wypolerowane kowbojki z ostrogami. - Odmawiamy nawet modelkom z brązowymi oczami.

Gwen wróciła do biurka. Nie lubiła kłócić się o coś, czego nie była zupełnie pewna. W części chciała sabotować plan Brada i doprowadzić do klęski wydania, ale z drugiej strony pamiętała, że jej nazwisko figurowało obok Brada. Jeśli go załatwi, załatwi też siebie.

Zwróciła się do Jacka jeszcze raz najcieplej, jak umiała.

- Drogi Jack, Brad chce mieć na okładce egzotyczną dziewczynę, a kierownik promocji zgadza się na to. Jeśli masz jakieś zastrzeżenia, przedyskutuj to z nimi.

Wyskoczył z krzesła jak oparzony stukając obcasami. Skierował się do drzwi. Otworzył usta, żeby coś powiedzieć, a jednak nic nie powiedział, mamrocząc coś do siebie.

Gwen wiedziała, że bez względu na to, co myśli, zrobi tak, jak mu kazała. Była potężna, a on był tylko trybem w olbrzymiej maszynie.

Tryby słuchają królowej i robią to, co im się mówi. Gwendolyn jednak nie wydawało się słuszne, że była tylko królową, podczas gdy Clair Corelli z Elegance była bezsprzecznie cesarzową.

Jennifer szła powoli korytarzem w kierunku wydziału Jolie, mając nadzieję, że się nie wywróci, zanim tam dotrze. Uśmiechała się do każdego po drodze, ale musiała trzymać się ściany. Wiedziała, że powinna zostać w domu, przynajmniej aż opadnie temperatura, ale nie mogła znieść widoku mieszkania. Stało się źródłem bólu, otwartą raną przesiąkniętą upokorzeniem i rozpaczą. Cały weekend

spędziła w swojej wnie, lecząc przeziębienie i próbując dojść do równowagi. Charles dzwonił kilka razy, lecz trzaskała słuchawką, gdy tylko usłyszała jego głos, a w końcu całkiem wyłączyła telefon. Musiał chyba skontaktować się z gospodynią, bo w sobotę pojawiła się Hattie. Jennifer widziała jej pytający wzrok, gdy wróciła z sypialni z roztrzaskanymi szczątkami wazy w rękach. Bez słowa posprzątała pokój i wyrzuciła całą pościel, jak jej kazała Jennifer. Ugotowała zupę i zrobiła Jennifer herbatę i grzanki. Gdy Jennifer spała, Hattie siedziała koło niej, budząc ją co jakiś czas, żeby połknęła aspirynę. O 10.00 Jennifer nie mogła już tego znieść. Błagała Hattie, żeby sobie poszła, obiecywała, że da sobie radę. Męczyła ją czyjaś obecność. Parę razy przyszło jej na myśl, żeby uciec, schronić się gdzieś, dopóki drażniący ból nie ustąpi, ale wiedziała, że nie ma ucieczki od rzeczywistości. Godziny mijały, a ona była spokojna, prawie nieprzytomna, jej umysł był pusty, wymieciony z wszelkich myśli. Nagle jednak, bez ostrzeżenia, ból powracał, doprowadzając ją do wściekłości. Smutek jej nie opuszczał, bez względu na to, jak długo krzyczała. W pewnej chwili wyszła z wnie i powlokła się do sypialni, jak gdyby ciągnął ją tam niewidzialny magnes. Nie wiedziała, jak długo tam stała i czy w ogóle o czymś myślała, lecz nagle znalazła się na podłodze, skulona w kącie przy drzwiach, szlochając i waląc pięściami w ścianę. Wyczerpana, zapadła w łaskawy sen. Trzęsła się w gorączce ze strachu. Gdy w końcu przebudziła się z okropnego koszmaru, wiedziała, co robi, by wygrać z męczącym ją demonem.

Tak jak już to robiła wiele razy: wróci do swojej pracy.

Przekonała się, że ona i magazyn byli połączeni ze sobą za pomocą jakiejś cudownej więzi. Jej związek z

Charlesem był skończony, ale małżeństwo z Jolie nadal trwało. Jolie zapełni jej pustkę. Da jej ukojenie.

Bettina Kharkowsky i jej dwie asystentki czekały na Jennifer stłoczone dookoła stolika w rogu długiego, wąskiego biura. Pokój był pomalowany na biało. Były tam paprocie, asparagusy i purpurowe serca. Biurko Bettiny stało przy oknie. Przy ścianie miały stanowiska Esnie Philips i Natalie Lewis. Jennifer usiadła obok nich.

- Chcę, żebyś sprawdziła Laudera, Ardena, Revlona i innych - powiedziała Bettina do Esnie ze słowiańskim akcentem. - Sprawdź, czy mogą nam podać kolory, jakie wybrali na ostatnie kolekcje i czy można to powiązać z Hawajami.

Zamyślona Esnie zaczęła kręcić palcem loczki w kruczoczarnych włosach, ale Natalie wtrąciła się od razu.

- Myślę, że powinnyśmy się zająć kosmetykami - powiedziała. - Z tego, co Hawaje mają do zaoferowania, dość ważna jest przyroda. Na rynku jest co najmniej pięćdziesiąt zapachów kwiatowych.

Moglibyśmy poświęcić całą kolumnę kwiatom.

- Kolory makijażu i zapachy perfum.

- To brzmi dość sensownie - Bettina zwróciła się do Jennifer, zastanawiając się jednocześnie, dlaczego jest ona tak napięta. - Co o tym myślisz?

- To jest dokładnie to, o czym myślałam - powiedziała Jennifer zachrypniętym głosem. - Nasuwa mi się pewien pomysł. Można by na twoich kolumnach pokazać trochę kwiatów Vincente'a Mateo. To on zajął się kwiatami na przyjęcie. Mógłby pracować z fryzjerem i stworzyć jakiś specjalny image. Tolie. Coś charakterystycznego dla Nowego Jorku.

Oczy Esnie zabłysły.

- Uwielbiam to. Mogę zrobić projekty bukietów i wiązanek z wplecionymi grubymi, dużymi kwiatami. Jennifer, to jest świetne.

- Dziękuję - podziękowała Jennifer smukłej brunetce z dużymi, szafirowymi oczami. - Nie wiem, czy mój pomysł jest wykonalny, ale chciałabym spróbować. Ogromnie bym chciała mieć dużo kosmetyków w tym wydaniu.

- Kosmetyki to moja specjalność - powiedziała Natalie. - Ale nie jestem pewna, co masz na myśli.

Jennifer zwróciła się do poważnie wyglądającej blondynki.

- Może producenci planują jakieś nowe perfumy? Coś egzotycznego?

Rozreklamujemy te perfumy jako zapach Jolie na lato. Niech mają nazwę wulkanu, laguny albo nawet miasta. Wszystkie hawajskie słowa są takie romantyczne. Buteleczka musi być niesamowicie elegancka, a zapach nurtujący.

Natalie słuchała uważnie, wydymając wąskie usta.

- Trzeba będzie nad tym popracować - powiedziała. - Będę potrzebowała próbnej kampanii reklamowej i materiałów do promocji.

Czy mogę liczyć na twój wydział?

- Oczywiście. Zawsze możesz na mnie liczyć.

Natalie schwyciła ołówek z biurka Bettiny i zaczęła bazgrać jakieś notatki. Jennifer widziała, że twarz Esnie ciemnieje i czuła, że przez pokój przebiega prąd rywalizacji.

- Jestem pewna, że Brad potrzebuje pokazów kosmetycznych - Esnie ucięła dyskusję o perfumach. - Zajmę się fryzjerem i kosmetyczką.

- Cudownie - powiedziała Bettina, wyraźnie zadowolona z rywalizacji między asystentkami. - Ale tym razem bez żadnych gwiazd. Targować się o cenę.

- Kto jedzie na sesję zdjęciową? - spytała Natalie. Bettina zastanawiała się nad tym. Wiedziała, że obydwie bardzo chciały się tym zająć, ale tylko jedna mogła z nią pojechać.

- Natalie, myślę, że kolej na Esnie. Ty byłaś ostatnio.

Jennifer była zafascynowana cichą wymianą spojrzeń. Zazdrość w jednych, triumf w drugich.

Bettina ciągle myślała o pokazach dla publiczności, które lubiła najbardziej. Za pomocą nożyczek i paru słoiczków z kosmetykami można było zrobić z kogoś piękność. Oczywiście modelka musiała mieć solidną budowę kości, ale niezbyt doskonałą twarz i idealnie gładką cerę. Zwykle patrzyła na dziewczynę, której uroda uderzała ją przeciętnością. Brzydkiej trudno było pomóc. Takiej nie.

Martwiło ją, gdy patrzyła na kobiety, które tłamsiły swoje naturalne piękno, dlatego że były leniwe czy też bały się zmian.

Zanim Bettina przyłączyła się do rozmowy, Jennifer już szła do drzwi. Coś w nachyleniu jej ramion zaniepokoiło Bettinę. Z Jennifer było coś nie tak. Bettina żałowała, że nie zna jej tak dobrze, żeby zapytać, lecz jej typowo europejski szacunek do czyjejś prywatności powstrzymał ją. Później będzie żałowała, że nie była bardziej agresywna.

Brad Helms nie wychodził ze swojego biura. Leżały przed nim propozycje Jennifer dotyczące Wielkiego Ananasa. Na papierze wyglądało to obiecująco. Ale czy to wystarczy? Ogarnął go strach.

A jeśli ktoś odkupi magazyn? Całkowite poparcie zespołu i dowody, że spadek sprzedaży nastąpił z powodów od niego niezależnych, mogłyby go oczyścić z zarzutów. Ale na to nie mógł liczyć. Miał tylko nadzieję, że wszystko się wyjaśni. Kalkulacje można było odwrócić. Kilka razy

zaczepnął tchu i rozluźnił mięśnie. Gdy medytował, ogarnęły go podejrzenia. Kiedy sprzedaż zaczęła spadać?

Przez pierwsze trzy lata, gdy był wydawcą, wszystko szło świetnie.

Dwa lata temu sprzedaż zaczęła spadać, ale nie aż tak, żeby się martwić. Przez chwilę starał się pocieszyć, że to wina kryzysu, ale rzeczywistość nadal go nękała. Zarówno Jennifer jak i Gwen ponaglały go, żeby podjął drastyczne kroki, jednakże on to ignorował. Był przekonany, że to nie on był odpowiedzialny za gwałtowny spadek nakładu.

Brad zaczął zapisywać nie powiązane ze sobą słowa na kawałku papieru, notując wszystko, co mu przychodziło do głowy. Tajemnica kryła się gdzieś tutaj, był tego pewien. Był ofiarą jakiegoś spisku, czuł to, wiedział jednak, że musi tego dowieść. Miał tylko nadzieję, że nie było jeszcze za późno.

## ROZDZIAŁ SIEDEMNASTY

Do środy Jennifer poczuła się trochę lepiej. Gorączka spadła, a ona stała się silniejsza. Przeprowadziła spotkania ze wszystkimi działami magazynu. Doradzała, robiła notatki, zachęcała i w końcu udało się jej przekonać cały zespół do planu Wielkiego Ananasa.

Razem z Terkiem spotykali się z ludźmi ze sprzedaży. Chociaż Terk jej pomagał, wydawało się, że robi to bez przekonania i nieszczerze. To było do niego niepodobne i zbijało ją z tropu. Od samego początku wiedziała, że nie poradzi sobie sama. Potrzebowała nieziemskiego wyczucia rynku Terka, jego śmiałego, agresywnego stylu i jego głowy do interesów. Za każdym razem, gdy się spotykali, wydawał się niechętny. Kiedyś nawet powiedziała mu, że chce doprowadzić do upadku Jolie. Jego „bez komentarza” przestraszyło ją. Brak zaangażowania niepokoił ją. Zawsze, gdy ludzie zmieniali kurs, Jennifer nabierała podejrzeń. Za wyjątkiem jednego razu. Przez kilka dni Jennifer wyrzucała sobie, że nie domyśliła się prawdy o Charlesie. Czy powinna była sprawdzać jego noce w biurze i wycieczki za miasto? Czy ci klienci, którzy dzwonili po dziesiątej, byli naprawdę biznesmenami czy jego kochankami? Czowała się jak idiotka i nienawidziła go za to.

Gardziła nim. Zdradzał ją, okłamywał i co gorsza, czuła, że ją znieważył. Czasami miała ochotę biec ulicami, krzyczeć, wrzeszczeć. Chciała, żeby świat się o tym dowiedział. Wyobrażała sobie, że purytański motłoch ukamieniuje go, ale na razie nie mogła powiedzieć o tym nikomu, ponieważ nie najlepiej świadczyło to o niej samej. Ostatnio często zastanawiała się, czy zrobiła coś, co pobudziłoby jego homoseksualizm. Unikała luster gdyż bała się, że zobaczy kobietę mało zmysłową i bardzo zajętą, taką,



która pchnęła swojego męża w objęcia innych mężczyzn. Chwyliła brzeg biurka i starała się opanować, ale łzy popłynęły jej z oczu. Usłyszała pukanie. Wytarła oczy, przeczesła włosy. Weszła Mimi z kilkoma plakatami na skleje.

- Pan Helms i pani Wheeler są w drodze - powiedziała, kładąc plansze na biurku Jennifer. - Czy ma pani ochotę na filiżankę herbaty?

- Nie! Chcę tylko wiedzieć, co to ma znaczyć i o jakim zebraniu mówisz - powiedziała ochryple.

- To są szkice sprzedaży Wielkiego Ananasa. Pan Helms i pani Wheeler chcą je z panią przejrzeć.

- Ale ja nie miałam nawet czasu na nie zerknąć - powiedziała z wściekłością.

- Czy mam odwołać zebranie? - spytała Mimi cicho. Było za późno.

Brad i Brooke już byli. Jennifer wpatrywała się w nich. Brad kończył coś opowiadać, a Brooke słuchała go uważnie, siadając z gracją w jednym z wyściełanych foteli. Nagle obecność Brooke, jej pewność siebie i wyzywająca zmysłowość rozzłościły Jennifer.

Brooke zawsze miała mężczyzn u swoich stóp. Ona nie dałaby się ogłupić Charlesowi. Ona od razu wiedziałaby, że nie jest prawdziwym mężczyzną. Na początku nikt nie zauważył jej roztargnienia. Brad wziął plansze, spojrzał na nie z uwagą i wręczył je Brooke, która też im się przyjrzała, a potem oddała.

Jennifer starała się skoncentrować. Na jednej planszy był napis „Dwoje na wyspie” na kolorowym tle. Na następnej planszy nad ręcznie namalowanym ananasm Patryka był napis „Wielki ananas - witajcie na najlepszym pokazie mody po tej stronie raj”.

Jennifer w ogóle tego nie czytała. Gdyby to zrobiła, zauważyłaby, że program promocji jest wyszczególniony na jednej planszy, a reklama na drugiej.

- Myślę, że to jest cudowne - zagruchała Brooke do Brada.

- Myślę, że to jest okropne - warknęła Jennifer z obrzydzeniem.

- Jak możesz tak mówić? - spytał Brad, zmieszany jej wściekłością.

- Jest wyraźne i wiadomo, o co chodzi. To jest ekscytujące. Twój wydział zrobił dobrą robotę.

- To jest zrobione na odwal się - upierała się Jennifer. Brooke obserwowała, jak Jennifer zacina usta i blednie. Drżały jej wargi i zaciskała pięści. Z jakiegoś powodu Jennifer nie panowała nad sobą.

- Nie wiem jak wy - Jennifer mówiła dalej - ale ja nie zaakceptuję czegoś takiego. Gdy dostanę coś dobrego, dam wam znać. Teraz, jeśli nie macie nic przeciwko temu, mam inne rzeczy do zrobienia.

Jennifer zaczęła drżeć. Co ją naszło, żeby się tak zachowywać?

Wiedziała, że zachowała się niestosownie. Brooke nie była winna za jej mękę. Ale nie mogła nic na to poradzić. W porównaniu z Brooke czuła się mała i nie na miejscu.

Brad wstał z krzesła.

- Wiem, że nie czujesz się dobrze. Porozmawiamy o tym później. - Głos miał miękki i pełen troski.

Brooke Wheeler wyszła razem z Bradem. Nie mogła uwierzyć w swoje szczęście. Od kiedy Brooke dowiedziała się, że Jolie ma kłopoty, przyspieszyła realizację swojego planu przejęcia posady Jennifer.

Najpierw zaprzyjaźni się z Gwendolyn i Bradem.

Potem zapędzi Jennifer w róg, gdzie ta popełni błąd. Jej osiągnięcia i popularność były dość poważnymi przeszkodami, lecz Brooke wierzyła, że nawet najsilniejsze twierdze można zniszczyć, jeśli wyciągnie się odpowiednią cegłę. Stan Jennifer mówił Brooke, że teraz nadszedł czas, aby wyciągnąć tę cegłę.

Brzęczenie interkomu zaniepokoiło Jennifer. Dlaczego nie powiedziała Mimi, żeby wstrzymać wszelkie telefony. A jeśli to był Charles? Podniosła słuchawkę ostrożnie.

- Cześć, bobasie.

Przez chwilę nie kojarzyła głosu, lecz gdy go rozpoznała od razu poczuła się lepiej.

- Kto tam? - przekomarzała się.

- To, moja niedoinformowana dziewczucho, David Sheldon, doktor chirurgii ortopedycznej.

- Nie mogę uwierzyć! Jak to dobrze cię słyszeć.

- Załóż się, że mówisz to wszystkim lekarzom.

- Tylko tym, z którymi jestem spokrewniona. - Wytarła łzę. - Jak tam? Gdzie jesteś? Jeśli właśnie nie wyszedłeś z samolotu, to jesteś gówniarzem, że nie zadzwoniłeś wcześniej.

- Twoja złośliwość zapamiętana. Przepraszam w drodze. Próbowałem dodzwonić się do ciebie przez całą niedzielę, ale musiało cię nie być.

- Nie było nas z Charlesem - skłamała. - Szkoda, że mnie nie zastałeś. Od razu przyszlibyśmy do ciebie. Jak tam Sara i dzieci?

- Sama możesz zobaczyć. Mamusia chciała, żebyście jutro przyszli do rodzinnej rezydencji. Możesz to załatwić?

Jennifer zaczęła się pocić. Nienawidziła kłamać Davidowi. Nie tylko współczuł, ale zawsze wyczuwał prawdę. A jednak musiała zaryzykować.

- Charles ma grypę - powiedziała spokojnie. - Przemókł w piątek na deszczu. Ale ja jestem w porządku i przyjdę na pewno.

- Powiedz Charliemu, że życzę mu zdrowia. Szkoda, że nie może dołączyć, ale chyba damy sobie bez niego radę.

Jennifer skrzywiła się. Nawet po tych wszystkich latach wrogość Davida do Charlesa się nie zmniejszyła. Nigdy nie zaakceptował go na miejscu Josha. Zawsze nazywał go Charlie, gdy chciał wyrazić niezadowolenie.

- Posłuchaj - mówił David. - Jutro muszę być w Nowym Jorku, więc może bym po ciebie przyjechał? Jestem wyjątkowo uczynny.

- W takim razie skorzystam ze sposobności i spotkamy się na dole o piątej. - Świetnie. Będę miał goździk, żebyś mnie poznała.

Jennifer była wzruszona. David był w domu. Czowała się tak, jakby właśnie znalazła koc z dzieciństwa, który leżał złożony na strychu. To było przeznaczenie, że David wrócił właśnie teraz. Nie pamiętała, żeby miała problemy i nie mogła się zwierzyć Davidowi.

Tym razem nie będzie mógł jej pomóc, lecz napełni ją swoją energią. Chwyciła torebkę i poszła do windy osłabiona z radości.

David załatwi wszystko. Wszak zawsze tak było.

Butik de Marco zajmował drugie piętro białego, kamiennego budynku.

Na niższym piętrze mieścił się salon piękności wyróżniający się śmiałym baldachimem w żółto - białe paski. Jennifer wspięła się po schodach i pchnęła ciężkie, metalowe drzwi, które prowadziły do sklepu. Młoda ekspedientka pojawiła się zza jednego z metalowych stojaków. Miała blond włosy i była szczupła. Miała na sobie wiśniowy uniform i

nakrochmaloną, męską koszulę z podwiniętymi rękawami i podniesionym kołnierzykiem. Spytała, czy może w czymś pomóc, lecz Jennifer powiedziała jej, że będzie tylko oglądała.

Podeszła do części z wiszącymi ubraniami, gdy nagle czyjaś ręka delikatnie dotknęła jej ramienia.

- Jennifer Cranshaw! Co za miła niespodzianka!

Jennifer odwróciła się i uśmiechnęła na widok Elyse de Marco.

- Dzwoniłam do ciebie w zeszłym tygodniu, żeby pogratulować tego wspaniałego przyjęcia - powiedziała Elyse. - Jednak nie było cię w biurze.

- Miło, że o tym pomyślałaś.

- Mogę w czymś pomóc?

- Chyba tak. Przyszłam tutaj z propozycją handlową, lecz zatrzymałam się przy ubraniach. Jeśli masz czas, mogłybyśmy porozmawiać teraz, a zakupy zrobię później.

- Dlaczego nie najpierw - powiedziała z entuzjazmem.

- Szukasz czegoś specjalnego, czegoś modnego?

- Sama nie wiem. I wszystkiego, i niczego.

Jennifer przeszła przez sklep z zainteresowaniem. Próbowała zapamiętać, jak w poniedziałek, w przyływie wściekłości, wyrzucała z szuflad i szaf wszystko, co kupił jej Charles. Każdy drobiazg, który mu się podobał. Następnego dnia rano zwinęła wszystko dokładnie i oddała do opieki społecznej jak rzecz kogoś, kto umarł.

Elyse wprowadziła Jennifer do przymierzalni i przez godzinę zajmowała się tworzeniem całkiem nowej osoby. Jennifer nieświadomie wybierała najbardziej zmysłowe projekty Elyse - miękkie spodenki, luksusowe bluzki z jedwabiu opadające aż do pasa z plisami przy rękawach. Przyniosła nawet kilka obcisłych uniformów ze śliskich

tkanin, które podkreślały jej kształty.

Elyse stała z boku i przyglądała się Jennifer z szacunkiem dla jej wyczucia elegancji. Zachwycąca się jej znajomością kolorów.

Potrafiła po mistrzowsku łączyć purpurowy z czerwonym oraz trzy różne odcienie zieleni, uzyskując niesamowity efekt. Jedyнным kolorem, którego Jennifer chyba nie lubiła był niebieski, lecz po długim wahaniu zdecydowała się na jeden niebieski sweter, tylko dlatego, że dobrze pasował do kremowego kostiumu.

Gdy zostawiła wszystko przy kasie, Elyse poprowadziła Jennifer na zaplecze, gdzie zaproponowała jej kawę.

- Zdziwiasz mnie - powiedziała Elyse, gdy obie wygodnie usiadły.

- Uznałam, że jesteś elegancka na sposób klasyczny.

Jennifer wciąż była rozbawiona swoimi zakupami.

- Czas na zmianę.

- Cóż, jestem zadowolona, że wybrałaś de Marco dla swojej metamorfozy.

Jennifer uśmiechnęła się i obserwowała Elyse, gdy podeszła do szafki ze sprzętem stereo i nastawiła płytę. Nawet w bufiastych, tweedowych spodenkach, zamszowej koszuli i z włosami w koński ogon wyglądała wspaniale.

Była energiczna, miała egzotyczną urodę i sex - appeal. Nagle Jennifer ogarnął smutek. Nie można było patrzeć na Elyse i nie myśleć o Joshu. Przez prawie tydzień dawała sobie jakoś radę.

Teraz, na widok tak wystrzałowej kobiety, powróciły wspomnienia.

Elyse usiadła koło Jennifer na sofie i podkurczyła nogi jak kot.

- Co to za propozycja, o której mówiłaś?

Jennifer przełknęła kawę, próbując zapomnieć o Joshu i zająć się interesami.

- Jolie poświęca cały kwietniowy numer Hawajom. Wpadłam na pomysł, który przyniosłby zysk zarówno tobie jak i magazynowi.

- To brzmi interesująco - powiedziała Elyse, unosząc brwi.

- Chciałabym, żebyś zaprojektowała specjalną kolekcję dla Jolie.

Coś nowego, kipiącego życiem i tropikalnego.

- Pod nazwą de Marco? - Entuzjazm Elyse jakby opadł.

- Nie, pod całkiem nową nazwą. - Jennifer zastanawiała się, dlaczego Elyse nagle zeszywniała. - Zamierzam wylansować pomysł i kolekcję jednocześnie. Wydanie będzie promować modę, a moda wydanie.

- Josh cię do tego namówił. - Elyse zesza z tapczanu i podeszła znów do stereo.

- Być może będziemy musiały skorzystać z pieniędzy Josha, ale to tylko plan. Nie rozmawiałam z nim jeszcze. Jestem przekonana, że to dobry pomysł.

Elyse wyłączyła muzykę.

- Nie mogę - powiedziała.

- Dlaczego?

- Po prostu, Jennifer. Ale dziękuję za propozycję. - Podeszła do okna i oparła się o parapet. Jennifer zorientowała się, że coś ją męczy.

- To dlatego, że Josh będzie finansował?

- Nie chodzi tu o Josha ani o ciebie. Czy możemy zmienić temat? - Elyse stała tyłem do pokoju.

- Nie mogę przestać, Elyse. Jest to dla mnie zbyt

ważne i myślałam, że może być ważne również dla ciebie. Chciałam nawet cię poprosić, żebyś wystąpiła jako modelka. Wyglądasz świetnie, a nasi czytelnicy z chęcią zobaczyliby projektantkę w jej własnych ciuchach. - Jennifer nie mogła się zorientować, czy to mówiła docierało do Elyse. - Nie możesz mnie zawieść.

- Muszę - powiedziała Elyse ledwie słyszalnym szeptem.

Jennifer stwierdziła, że Elyse pewnie musi mieć kłopoty, współczuła jej. Odstawiła kawę i podeszła do Elyse obejmując ją ramionami.

- Dlaczego? - spytała łagodnie. - Dlaczego odmawiałaś Joshowi, gdy cię o to prosił, a teraz mnie? To nie ma sensu. Jesteś świetną projektantką i chyba dobrze o tym wiesz. Nie chcesz być bogata?

Elyse walczyła ze sobą, chcąc wyrzucić z siebie to, co tłumila od dawna. Podniosła głowę i uważnie spojrzała na Jennifer, badając, czy może jej zaufać.

- Mój mąż kontroluje ten biznes - powiedziała tak cicho, że Jennifer musiała się nachylić, żeby ją usłyszeć. - To trudny człowiek i krótko mnie trzyma. Nie mogę pracować na własny rachunek, a o to mnie z Joshem prosicie.

Jennifer zakreśliło się w głowie. Josh przecież nie spotykał się z mężatkami, tak powiedział. Nie mógł. Kłamał. Powiedział, że ją kocha i skłamał w tej samej chwili. Próbowала poczuć gniew, lecz słowo „mąż” rozbrzmiewało jej w uszach. Spojrzała na Elyse uważnie.

- Nie wiedziałam, że jesteś mężatką - powiedziała. - Josh nigdy o tym nie wspominał.

- Nie mieszkam ze swoim mężem - powiedziała Elyse.

Jennifer złożyła ręce na piersi i zaczęła chodzić po pokoju.



- Od jak dawna jesteście w separacji?

- W zasadzie od lat. - Elyse nie rozumiała. Wyczuła oskarżenie w pytaniach Jennifer. Nie знаła żadnego powodu do osobistej niechęci ze strony Jennifer, więc mówiła dalej.

- Myślę, że jesteśmy w separacji dłużej, niż byliśmy razem.

Pracuję dla niego i często rozmawiamy o interesach, ale mieszkamy osobno.

- Dlaczego nie możecie się rozstać? - spytała. - Daję ci inną pracę. Dlaczego nie weźmiesz tego pod uwagę?

- To bardzo skomplikowane, Jennifer. Jestem związana z Mario nie tylko przez butik i małżeństwo. Nie mogę go opuścić.

- Elyse, potrzebuję cię, musisz to dla mnie zrobić. Nie wiem, co przede mną ukrywasz, nie moja sprawa, ale tylko ty możesz mi pomóc. - Wzięła Elyse za rękę i trzymała ją mocno, mówiąc tak przekonywująco, jak tylko mogła. - Kolekcja będzie utrzymana w tajemnicy. Daję ci moje słowo. Nie chcę reklamy aż do końca marca.

Daję ci prawie cztery miesiące na rozwiązanie twoich problemów.

- Nie będzie mi łatwo.

- Nigdy nie jest łatwo - powiedziała Jennifer z naciskiem. - Musisz walczyć o swoje życie. Uwierz mi.

Elyse poczuła nagle przyływ energii. Stała się silna po raz pierwszy od lat. Wzruszyła się tak mocno, że aż zaczęła płakać.

- Boję się okropnie - powiedziała. - Jeśli mi jednak pomożesz, zrobię, co chcesz.

Jennifer poprowadziła Elyse do krzesła. Poczuła nagle, że rodzi się między nimi więź przyjaźni. Przez dłuższy czas siedziały, nic nie mówiąc, każda zamknięta w sobie z

ciemnymi, bolesnymi tajemnicami, które uwierały jak kajdanki.

- Pomożemy sobie - powiedziała Jennifer prawie do siebie.

## ROZDZIAŁ OSIEMNASTY

- Wyglądasz fantastycznie.

Terk stał w drzwiach biura Jennifer. Jennifer przyjęła komplement delikatnym skinieniem głowy i zaprosiła go, żeby usiadł.

- Miło mi, że ci się podobam - powiedziała, zadowolona z jego reakcji.

- Nigdy nie wyglądasz źle, lecz dzisiaj wyglądasz naprawdę świetnie. - Usiadł i ruchem ręki kazał się jej obrócić.

Jennifer miała na sobie kremowe spodnie i niebieski sweter, które kupiła u de Marco: czuła się w tym cudownie. Przespacerowała się po pokoju i zrobiła piruet. Spodnie były lekko plisowane, z rozszerzonymi ku dołowi nogawkami. Zapięła żakiet na jeden guzik i wzruszyła ramionami, żeby zauważył poduszki. Po chwili zdjęła go, z pełną pompą odsłaniając oślepiająco niebieski, kaszmirowy sweter. Miał tak głęboko wycięty dekolt, że Terk mógł zobaczyć okrągłości piersi Jennifer. Gdy obserwował jak się obracała, chłonał jej nadzwyczajną żywotność. Wibrujący błękit zwiększył czerwonawy blask włosów. Ciemne oczy Jennifer błyszczały. Był w niej jakiś żar, promieniowała ciepłem jak podmuch sierpniowego wiatru. Rozpaliła jego zmysły.

- Poczekaj, aż zobaczą cię w Los Angeles - powiedział, spoglądając na nią, gdy siadała za biurkiem.

- Los Angeles? Kto jedzie do Los Angeles?

- Lecimy razem, kotku, w przyszłym tygodniu.

- A co z Bostonem?

- Zrzekłem się na korzyść innych.

- Terk, kochanie, to nie ma sensu. Czy mógłbyś mi to wszystko wytłumaczyć?

- Oczywiście - powiedział z błyskiem zdziwienia w

oczach. - Żeby ci pomóc zrobić z tego Ananasa sukces stulecia, skontaktowałem się z paroma gośćmi z „Neiman and Marcus”. Spotkamy się z nimi w Los Angeles, a także z ludźmi z sieci sklepów The May Company.

Następną grupę wysłałam do Bostonu, żeby się zajęli Jordanem Marshem. No! Nie krępuj się i powiedz, że mnie kochasz!

- Bardzo. - Jej oczy zabłyszczały w podnieceniu. - Kiedy jedziemy i jak długo tam będziemy? O Boże, to niesamowite!

- Wylatujemy w poniedziałek. Będziemy tam jakieś 4 lub 5 dni.

Zrobiłem rezerwację w Beverly Wilshire.

- Czy zdajesz sobie sprawę, co to byłoby za sukces dotrzeć do „Neiman and Marcus”?

- Przeszło mi to przez myśl - powiedział pewny siebie.

- Muszę natychmiast dostać wszystkie informacje o sprzedaży i promocji, natychmiast! Będę potrzebować próbek, żeby je ze sobą zabrać i druków firmowych. Nie wyrobię się!

Terk zaczął się śmiać, jego życzliwy rehot sprawił, że i ona zaśmiała się z siebie.

- Myślałaś, że się nie staram w tej owocowej kampanii - powiedział. - Czy teraz mi wierzysz, że jestem po twojej stronie?

- Dobrze, że się w końcu przyznałeś, że zachowywałeś się jak duppek. Co się stało, że zmieniłeś zdanie?

- Wielki Człowiek kazał mi pomóc Jennifer Cranshaw. Zawsze robię, co mi każe Wielki Człowiek.

- Cóż, jestem zadowolona. A nawiasem mówiąc, ta małutka dziewczynka ma zamiar cię stąd wygonić, żeby troszeczkę popracować, więc wychodząc, czy mógłbyś

powiedzieć Mimi, żeby przyszła?

- Każde twoje życzenie jest dla mnie rozkazem - powiedział, kłaniając się do pasa.

Patrzyła, jak dumnie podchodzi do biurka Mimi, pochyla się i szepcze jej coś do ucha. Była zdziwiona, gdy zobaczyła, że Mimi sztywnieje. Jennifer pomyślała, że zrobił jakąś dwuznaczną uwagę, ale Mimi powinna już być do tego przyzwyczajona. Po chwili Mimi weszła do biura sztywna i błada.

- Mimi, potrzebuję kopii i wszystkich propozycji Ananasa - powiedziała, przypatrując się uważnie swojej sekretarce.

Mimi kiwnęła głową, nie spuszczać oczu ze stenogramu, trzęsły się jej ręce.

- I czy mogłabyś znaleźć plansze reklamowe?

Mimi kiwnęła głową w odpowiedzi, lecz oczy miała nadal utkwione w stenogramie. Jennifer obserwowała ją. Na jednym ramieniu zauważyła wyraźną, purpurową plamę, która wyglądała jak okropny siniak.

- Mimi, jeśli Terk powiedział coś, żeby cię zdenerwować, powiedz mi. Poproszę go, żeby cię zostawił w spokoju.

Jennifer czekała na odpowiedź, ale Mimi się nie odezwała.

- Zdenerwował cię? - spytała delikatnie.

- Nie. Ostatnio nie czuję się dobrze i przypuszczam, że straciłam poczucie humoru.

- Uważaj na siebie - powiedziała Jennifer za wychodzącą Mimi.

Podświadomie czuła, że Mimi kłamie. Już od wielu tygodni była nerwowa. Nie pamiętała, kiedy ostatni raz widziała śmiejącą się Mimi. I to ją martwiło. Może ma

kłopoty w domu? Mimi Holden była najstarszą z czterech córek bogatej rodziny z Houston. Jej rodzice byli filarami śmietanki towarzyskiej w Teksasie. Z tego, co mówiła była faworytką potężnego ojca. „Jego słoneczkiem”. To on układał jej życie. Wybierał szkoły, ubrania, przyjaciół, i w końcu narzeczonego. Mimi dała się namówić do zaręczyn, lecz dwa dni później uciekła do Nowego Jorku. Rodzice jednak ją wysłędzili i po długiej dyskusji zawarli próbny rozejm. Holden dał Mimi dwa lata na pobyt w Nowym Jorku.

Jennifer wychyliła się zza biurka, żeby zobaczyć Mimi. Szukała czegoś w papierach z zaciętą miną. Wyraźnie straciła na wadze.

Jennifer była przekonana, że coś ją gryzło. Na pewno trudno jej było utrzymać się z pensji sekretarki, jeśli była przyzwyczajona do mnóstwa pieniędzy, jednak Mimi jakoś sobie radziła.

Jennifer zanotowała w kalendarzu, żeby pójść z Mimi na lunch.

Podkreśliła notatkę trzy razy.

Mimi położyła plansze na jej stole i odeszła bez słowa. Jennifer patrzyła, jak podchodzi do swojego biurka. Na nodze miała purpurową pręgę.

Przy planszach była przypięta wiadomość od Patricka Grahama, że poprawił plansze, jak mu kazała Brooke Wheeler. Jennifer była zakłopotana, gdy oglądała plansze. Były doskonałe. Zdała sobie sprawę, że nawet na nie nie spojrzała za pierwszym razem. Była jednak ciekawa, dlaczego Brooke rozkazywała Patrickowi i dlaczego nie skonsultowano tego z Jennifer.

Gdy Terk wrócił z lunchu, czekała na niego niespodzianka. Na sofie w gabinecie siedziała jego żona.

- Coś takiego, to musi być szczęśliwy dzień! -

powiedział podchodząc do biurka. - Co cię sprowadza do miasta?

Deirdre uśmiechnęła się.

- Miałam atak miłości, mój drogi. Pomyślałam, że wpadnę i mój kochany mąż weźmie mnie na lunch. Ale cóż, mój mąż już wyszedł.

Czy lunch też był egzotyczny?

- Zjadłem sandwicza z jednym z ekspedientów - powiedział urywanym głosem. - Czy dla ciebie to takie egzotyczne?

- Każdy ma swój gust - powiedziała.

- Deirdre, jestem zajęty. No dobrze, a teraz czego chcesz?

Deirdre przysunęła się i położyła brodę na jego rękach. Włosy opadły jej na twarz. Szeroko osadzone oczy wpatrywały się w niego.

Gdy mówiła, jej głos był ochryply.

- Chcę się z tobą trochę pobawić, kochanie.

Czuł, że go podnieca i nienawidził się za to. Wstała z sofy, podeszła do drzwi i zamknęła je. Potem zbliżyła się do niego wolno, ani przez chwilę nie spuszczać z niego oczu. Nie był w stanie nic zrobić. Zawsze, gdy czuł jej bliskość, ogarniało go pulsujące ciepło.

- To było już tak dawno, kochanie. - Jej głos był niski i gardłowy. Gdy przysunęła się bliżej, jedna strona jej jedwabnej bluzki opadła i odsłoniła piersi. Nie mógł się oprzeć widokowi twardniejących sutków. Wolno rozpinając bluzkę. Każdy ruch jej palców działał jak narkotyk. Uśmiechała się, wpatrując się w niego. Wreszcie opadła na niego i jednym ruchem położyła swoją pełną pierś koło jego ust, sprawiając mu ból pełen przyjemności.

Terk już się nie kontrolował. Bez względu na to jaka

była, była najbardziej zmysłową kobietą, jaką znał, i przez chwilę jego nienawiść zmieniła się w namiętność. Zatracił się w niej, dotykając ustami jej ciała. Grzebał przy rozporku jak sztubak.

Czuł się niezdarny, ale położył ją na podłodze. Sam gorący i napięty pieścił ją całą, a każdy jej ruch zwiększał pożądanie.

Była doskonale zbudowana do miłości, pełne piersi odpowiadały na jego gorliwy język, małe biodra, które poruszały się w taki niesamowity sposób, że prawie mógł pozostać nieruchomo. Owinęła go długimi i szczupłymi nogami i przyciągnęła do siebie. Całowała w szyję i po piersiach. Dysząc namiętnie, gryzła i pieściła wszędzie językiem. Poruszał się automatycznie, próbując schwycić i zawładnąć nią.

Działali jak doskonale nastrojone instrumenty. Podnosili się i opadali w koncercie, tworzyli harmonię, której nigdy nie osiągnęli poza łóżkiem. To im wychodziło najlepiej. Tylko wtedy rozumieli się naprawdę.

Deirdre czuła, jak Terk twardnieje i przyciągnęła go bliżej podnosząc biodra i wciągając go jeszcze głębiej w siebie. Terk był czerwony, rozpalony i pijany z rozkoszy. Gdy poczuł, że Deirdre drży w szczycie, on też wybuchł. A potem opadł, miękki, oddychając ciężko. Deirdre leżała cicho. Terk oparł się na łokciach i spojrzał na nią. Przez chwilę w jego oczach było coś jak czułość, ale zaraz znikło.

- Mówiłam ci, że chciałam pójść na prywatny lunch - powiedziała. - A ja zawsze dostaję, czego chcę.

Podniosła się triumfalnie, ubrała z roztargnieniem jak przed rodzinnym lekarzem. Przebiegła palcami po włosach, odświeżyła makijaż i ruszyła w kierunku drzwi. Gdy dotknęła klamki, Terk zdał sobie sprawę, że wciąż leży półnagi na



podłódze. Zerwał się zły i zakłopotany.

- Gdzie ty idziesz?

Grzebał przy rozporoku, próbował wsadzić koszulę w spodnie.

Wiedział, że wygląda głupio.

- Idę na zakupy. Nie spóźnij się na obiad.

Odwróciła się i wyszła. Znowu wygrała. Zawsze wygrywała. Gdyby tylko oderwał się od seksu, byłby wolny. Jednak to było najtrudniejsze. Nagle poczuł przygnębienie. Myślał o latach, które spędził z Deirdre, a mógł spędzić z Zeną. Deirdre miała rację - miała wszystko, co chciała. Nie był mężczyzną. Gdy Deirdre go chciała, ulegał, jeśli nie, cierpiał bez słowa. Dom należał do niej i on również.

Położył się na sofie. Chciał należeć do siebie i chciał ułożyć sobie życie z Zeną. Dwa razy obiecał jej, że tak będzie. Wiedział, że nie dostanie trzeciej szansy.

Brad Helms marzył na jawie, stojąc w oknie. Patrzył, jak Jennifer wychodzi z budynku i biegnie w ramiona krzepkiego, opalonego mężczyzny. Obcy trzymał ją mocno, pocałował i pobiegli do samochodu. Brad spotkał jej męża kilka razy na przyjęciach, lecz ten przystojny, ciemnowłosy mężczyzna to nie był Charles Cranshaw.

Zastanawiał się, czy ten facet był jej kochankiem. Ta myśl go intrygowała. Znał reputację Charlesa jako świetnego prawnika, ale Brad uważał, że Charles nie wydawał się wystarczająco zmysłowy dla Jennifer. Przypomnił sobie, że już kiedyś o tym myślał. Myślał też, że on, Brad, byłby dla niej dobry, lecz była to tylko fantazja. Kiedy patrzył na odjeżdżający samochód, zdał sobie sprawę, że ostatnio często myśli o Jennifer. Pantoflową pocztą dowiedział się w jaki sposób Jennifer ma zamiar zorganizować kampanię reklamową, i upewniło go to, że Wielki Ananas odniesie

sukces. Oczywiście miała dość talentu, entuzjazmu i energii, żeby to osiągnąć. Był jej wdzięczny, że miała tyle taktu, łącząc swoje nazwisko z nim na naradzie, pomagając tworzyć iluzję, że był zaangażowany w powstawanie projektu.

Brad przypuszczał, iż część zespołu wiedziała, że jego współpraca zaczęła się i skończyła na początkowym pomysle. Bez udziału Jennifer większość wydawców odrzuciłaby pomysł. Jennifer uratowała projekt i przez to jego pozycję. Problem tkwił w tym, że jeśli pomysł uratuje magazyn, to gdzie będzie jego miejsce? To Jennifer rozstawiała zawodników, on był na ławce rezerwowych. Jego duma była urażona. Koniecznie musiał rozwiązać zagadkę spadku sprzedaży.

Musiał złożyć brakujące kawałki w całość. Gdyby mógł udowodnić spisek, chęć sabotowania, zostałby na stanowisku wydawcy niezależnie od tego, czy Jolie byłoby sprzedane czy nie. Już nie pamiętał, ile godzin spędził, przeglądając liczby i rachunki, próbując znaleźć powód spadku nakładu. Jak dotychczas były tylko ślady, nic konkretnego.

Dziś wieczorem będzie tak samo, tylko to pozwalało mu zapełnić puste godziny po pracy. Brad cierpiał na samotność. Nie mógł patrzeć na te ciche pokoje i puste łóżka. Miał tego dosyć już w czasie małżeństwa. Mieli z Ivy wspólny dom, członkostwo w klubie, wspólny rachunek w banku i opiekowali się dziećmi, ale nie spali razem i prowadzili oddzielne życie.

Brad podniósł ceramiczną popielniczkę z odbiciem dziecięcej rączki. Zrobił mu ją syn ostatniego lata na wsi. Gdy dotykał jej, usiłując dopasować tam rękę, poczuł niechęć do Ivy. Ale przeczeka to, pójdzie do sądu i upomni się o opiekę nad dziećmi. I wygra.

- Czy wszyscy wydawcy siedzą w biurach, gdy już nikogo nie ma? - Do pokoju weszła Brooke Wheeler i usiadła przy biurku.

- Mam ananasy w głowie - powiedział zadowolony z wizyty.

- Ja też - powiedziała unosząc spódnicę, żeby odsłonić kolano. - To jeden z powodów dlaczego tu wpadłam. Niepokoi mnie realizacja projektu.

- Tak jak wszystkich. - Zakreśliło mu się w głowie od oszałamiającego zapachu perfum. - Co cię martwi?

Brooke westchnęła unosząc piersi.

- Nie wiem, jak to powiedzieć, żeby nie być złośliwa, ale Jennifer chce wszystko zrobić sama.

Brad musiał oderwać wzrok od jej piersi i spojrzeć na jej usta, które błyszczały krwistoczerwoną szminką.

- Z tego co słyszałam - Brooke mówiła dalej całkiem świadoma efektu, który zrobiła na Bradzie - zajęła się modą, urodą, korespondencją. Może się mylę, ale czy to nie przekracza jej kompetencji?

- I tak, i nie - powiedział Brad. - To wydanie kwietniowe jest wyjątkowe, jest bardzo związane z promocją i reklamą. Jennifer chce to wszystko jakoś połączyć.

Brooke odrzuciła włosy na plecy i obserwowała Brada swoimi szarymi oczami.

- Obawiam się, że woda sodowa uderzyła Jennifer do głowy.

Przypomnij sobie, jak nas odesłała parę dni temu. Trochę za bardzo chce władzy. Wiem, ile dla ciebie znaczy Jolie i jak bardzo chcesz, żeby to wydanie odniosło sukces. Chciałabym pomóc, lecz nie mogę wchodzić Jennifer w drogę.

Uwagi Brooke rozbudziły w nim wcześniejsze

wątpliwości. Być może, Jennifer nie była aż tak niewinna. Być może, chciała na tym po prostu zarobić. Jeśli będzie stał na boku i pozwoli jej działać, może go wyrolować. Nigdy przedtem nie pomyślałby o Jennifer w ten sposób, ale nigdy wcześniej nie stali w obliczu katastrofy.

Brooke patrzyła, jak Brad się zastanawia nad tym, co powiedziała.

Wiedziała, że zasiała w nim ziarno wątpliwości. To było łatwiejsze niż myślała. Teraz musiała go przekonać, że ona była doskonałym towarzyszem. Każdy wiedział o jego rozwodzie i niebezpiecznej sytuacji, w jakiej się znalazł. Brooke była w zasięgu ręki. Wstała i podeszła do drzwi.

- Chyba już pójde - powiedziała. - Mam nadzieję, że ci w niczym nie przeszkodziłam.

Brad wstał i podszedł do niej.

- Posłuchaj, jest wpół do szóstej. Według mnie czas na drinka.

Masz trochę czasu?

Brooke uśmiechnęła się. Miała cały czas na świecie.

## ROZDZIAŁ DZIEWIĘTNASTY

Był dopiero początek listopada, ale wiele ulic w Bayonne błyszczało już od świątecznych świateł. Święty Mikołaj machał do przechodniów z prawie każdego dachu, a na trawnikach stały starannie zrobione żłobki.

Bayonne było miastem robotniczym. To było miasto emigrantów - Polaków, Czechów, Litwinów, z dużą ilością Żydów, Irlandczyków i Włochów. Tylko na głównych arteriach handlowych wszyscy się mieszały.

Gdy David przejeżdżał samochodem przez znajome ulice, Jennifer czuła dziwną chęć ucieczki stąd. Przez cały czas David opowiadał jej, jak spędził z Sarą ostatnie pięć lat w Izraelu. Kiedy David spytał o jej życie, stwierdziła, że ma zaskakująco mało do powiedzenia. Nie chciała rozmawiać o swoim małżeństwie i mówiła tylko o kłopotach magazynu. Pięć lat jej życia ograniczyło się do losu pisma i nawet w jej uszach brzmiało to słabo.

Wpatrywała się w brata. Nagle poczuła się jak dziecko, patrzące na swojego przewodnika. Zawsze przy niej był, i znów miała ochotę zmusić go, żeby jej opowiedział bajkę na dobranoc i pocieszył ją.

Jednak tym razem obawiała się, że jej opowieść byłaby zbyt skomplikowana.

- Jennifer, myślę, że powinniśmy porozmawiać. - David patrzył przed siebie na szosę, lecz wyciągnął rękę do Jennifer. - Wiem, że pogodziliśmy się przez pocztę, ale chciałbym przypieczętować to przeprosinami twarzą w twarz.

Gdy oznajmiła, że nie wyjdzie za Josha, rodzina się sprzeciwiła, szczególnie David. Po jej ślubie z Charlesem, nie akceptował go w rodzinie. Jennifer też uważała, że przeprosiny były potrzebne, jednak brakowało jej odwagi.

- Nie miałem racji, krytykując Charlesa. - Sam fakt, że

David powiedział „Charles” już coś znaczył. - Miałaś prawo sama zdecydować, z kim chcesz być.

„Ironia losu - pomyślała - David daje błogosławieństwo małżeństwu, które już nie istnieje”.

- Chyba miałem do tego zbyt osobisty stosunek - powiedział David, nieświadomy skrępowania Jennifer. - Kiedy rzuciłaś Josha, poczułem się tak, jakbyś rzuciła mnie. Myślałem zawsze, że jesteśmy z Joshem drużyną, tak jak zawsze ty z nim będziecie parą. Myślałem, że uważasz tak samo. Ale nie, i było mi przykro. Chciałem tylko, żebyś była szczęśliwa.

Jennifer nie mogła na niego patrzeć. Bała się, że odczyta prawdę w jej oczach. Zanim zdążyła się zastanowić, co powiedzieć, samochód nagle zatrzymał się przed małym, szarym domem.

Jennifer poczuła ulgę. David wziął ją pod ramię i weszli po schodach. W powietrzu unosił się ostry zapach kolacji, którą zrobiła Rose.

Gdy weszli Rose podskakiwała od jednego do drugiego. Gdy Marty obejmował syna, Jennifer podeszła prosto do Sary. Objęła bratową i zdała sobie sprawę, jak bardzo za nią tęskniła. Jennifer miała koleżanki w pracy, lecz były to jedynie koleżanki. Sara знаła całą Jennifer. Jej historię, marzenia, frustracje i wady. Gdzieś między „nigdy nie uwierzysz” a „poczekaj, zanim usłyszysz o” Asa i Lia odpychały matkę na bok i żądały uczucia od ciotki. Lia miała 10 lat, Asa - 7. Lia miała długie, ciemne włosy i duże brązowe oczy.

Była szczupła, miała długie nogi, widać było, że będzie piękna.

Asa była jaśniejsza, psotna i mocno opalona. Jennifer wzięła je na ręce i bawiła się, dopóki nie wywróciły się na

tapczanie ze śmiechem. Potem rywalizowały o jej uwagę, recytując wiersze po hebrajsku, licząc do stu po arabsku i opowiadając historyjki. Pod koniec tego zaimprovizowanego recitalu Jennifer dała każdej z nich torbę pełną drobiazgów od F.A.O. Schwarz. W końcu dzieci usadowiły się wśród sterty zmiętego papieru i wstążek. Dorośli też usiedli.

Tylko Rose nie chciała się przysiąść. Krzątała się po pokoju z tacką posiekanej wątróbki, każąc Marty'emu wstać i zrobić drinki, uśmiechając się przez cały czas. Dla Rose cała rodzina w komplecie to był powód do radości. Wzięła dzień wolny. Coś, co zrobiła do tej pory tylko trzy razy: na pogrzeb prezydenta Kennedy'ego i z okazji ślubu dzieci.

W zwyczaju Sheldonów było, że wszyscy mówili naraz, na poziomie decybeli wystarczająco wysokim, żeby zagłuszyć dźwięk dzwonka. Gdy Josh i jego dzieci weszli do pokoju, ich obecność była dla wszystkich zaskoczeniem, za wyjątkiem Rose.

David podbiegł, żeby objąć przyjaciela. Rachel i Scotty przyjęli krótkie uściski od dorosłych, a później poświęcili całą swoją uwagę Asie i Lii.

Jennifer zwlekała. Patrzyła, jak Josh, Sara i David witali się i wycierali łzy. Rose i Marty też podeszli do Josha, lecz Jennifer wciąż czekała. Potrzebowała czasu, żeby zrozumieć swoje uczucia.

Widziała go po raz pierwszy od tamtej strasznej nocy. Była wszystkim wdzięczna, że nie pozwalali im zostać sam na sam.

Wieczór należał do Sary i Davida, i Josh bez względu na to, co czuje będzie miły i towarzyski. Gdy do niej podszedł, modliła się, żeby nie zdradził jej rumieniec.

- Stary łapiduch wygląda całkiem nieźle, nie sądzisz? - Odwrócił się zanim odpowiedziała. - Nie wygląda źle jak na

faceta, który pilotował czterocylindrowe wielbłądy.

- Pięcicylindrowe - poprawił David z miną lekkiej obrazy.

- Z dopasowanymi garbami.

Jennifer dotknęła koniuszkami palców brzegu tweedowej marynarki Josha. Myślała, że zatrzyma się na chwilę, ale teraz on i David docinali sobie z czułą rubasnością dwóch starych przyjaciół.

Wydawało się, że zapomnieli o niej i jeszcze raz była opuszczona.

- Nic nie mówiłaś, że zaprosiłaś Josha - powiedziała do matki.

- Nie pytałaś. - Rose oblewała olejem indyka, poklepując przy tym złocistego ptaka drewnianą łyżką.

- Myślałam, że spotkamy się w rodzinnym gronie.

- I tak jest. - Rose otworzyła piecyk, żeby obejrzeć pudding. - A poza tym, co to za różnica? - Żadna. Po prostu byłam zdziwiona. To wszystko.

Rose spojrzała na córkę uważnie. Dawno już nauczyła się nie wtrącać w prywatne sprawy Jennifer, lecz była matką i martwiła się.

- Zadzwoń do Josha, gdy powiedziałaś, że Charles jest bardzo chory i nie przyjedzie - powiedziała. - Wiesz, że nie cierpię nie zapełnionego stołu. Jak tam Charles?

- To tylko przeziębienie mamó. Nie przejmuj się tym.

- Dam ci dla niego trochę zupy.

- Nie będę targać rosołu do domu w ciekącym pojemniku!

- Tylko proponowałam. Nie ma co się denerwować. - Rose wyjęła indyka z piecyka i położyła na stole.

Jennifer pożałowała swojego wybuchu. Pocałowała matkę w policzek.



- Przepraszam, mamo, nie chciałam być złośliwa, ale mam tyle pracy, to całe przyjęcie w Jolie i to wszystko.

Rose poklepała ją po ramieniu. Ani przez chwilę nie wierzyła, że rozdrażnienie Jennifer miało coś wspólnego z pracą. Jennifer kwitła, gdy miała dużo roboty. Zawsze tak było. Nie! To było coś innego. Rose nigdy nie wtrącała się do życia Jennifer.

Zastanawiała się, czy teraz nie nadszedł czas, żeby zerwać ten niepisany pakt.

Od pewnego czasu Rose podejrzewała, że Jennifer z Charlesem się nie układa, ale nic nie mówiła. Z jednej strony przeżywała męki na myśl o rozwodzie, ale z drugiej była uszczęśliwiona. Nigdy nie zaakceptowała Charlesa. Po pierwsze Charles nie był Żydem, po drugie drażniła ją jego arystokratyczna rezerwa, a po trzecie Rose nigdy nie wierzyła, że Jennifer naprawdę kochała Charlesa.

Uważała, że Jennifer należała do Josha i gdyby przez magiczny splot przypadków mogli ze sobą być, byłaby szczęśliwa.

- Czy zjemy coś, czy dopiero w następnym stuleciu?

David wetknął głowę do kuchni, trzymając się za żołądek, jakby śmierć była już blisko.

- Chcesz jeść? - spytała Rose. - Bierz talerz.

Obiad był prawdziwym widowiskiem, każdy opychał się pieczenią z mostka cielęcego, indykiem i rostbefem.

David i Sara zabawiali wszystkich ciekawymi historyjkami z pobytu w Izraelu. Chociaż Jennifer próbowała brać udział w rozmowie, krępowała ją obecność Josha. Po obiedzie, gdy dzieci bawiły się w pokoju Rose, Jennifer siedziała skulona koło Josha. Na szczęście on z Davidem rozmawiali o polityce na Bliskim Wschodzie, a Sara wyjaśniała Marty'emu na czym polegała jej praca w

Ambasadzie Amerykańskiej, więc nikt nie zauważył jej skulonej w kącie. Nikt, z wyjątkiem Rose. Gdy przechodziła obok, kiwnęła głową w jej kierunku.

Niezbyt subtelne skinienie Rose było niepotrzebne. David był świadomy nietypowego zachowania Jennifer. Czasami, gdy myślał, że się roześmieje, nie wyglądała na rozbawioną, a coś co normalnie sprowokowałoby sprzeczkę, przyjmowała z potulną biernością. Zdał sobie sprawę, że nie zapytał o zdrowie Charlesa. Co więcej, podczas obiadu nikt nie wspomniał o jego istnieniu. Może Jennifer czuła się dotknięta. Zaczął się jej bacznie przyglądać. Gdy ją obserwował, zauważył, że z Sarą czuła się swobodnie, nawet z rodzicami, jemu też odpowiadała ciepło. Im dłużej ją obserwował, tym bardziej stało się oczywiste, że to Josh wzbudzał niepokój Jennifer. Za każdym razem, gdy się do niej zwracał, była napięta.

Co innego martwiło Davida. Siedziała zgarbiona, a błysk w jej oczach był o ułamek sekundy za długi. Dla kogoś obcego nie miało to znaczenia, jednak dla Davida były to ważne sygnały. Czuła skurcze w kręgosłupie, a wiedział dobrze, że te skurcze były wynikiem wielkiego stresu. Jako brat pragnął objąć ją ramieniem i ukoić. Nie mógł od niej żądać wyjaśnień ani nie miał prawa się wtrącać.

Koło północy Marty wyszedł. Rose pozbierała naczynia i przypomniała Sarze i Davidowi, żeby zobaczyli co robią dzieci.

Nagle Jennifer i Josh zostali sami. Josh zazwyczaj swobodny, z trudem szukał odpowiednich słów. Widział ból w jej oczach i wiedział, że on jest jego przyczyną. Nie wiedział o Charlesie.

- Proszę, Jennifer, nie odcinaj się tak ode mnie. Rozmawiaj ze mną. - Wyciągnął rękę i pogłaskał ją po

policzku, ale ona cofnęła się głębiej.

- Nie ma o czym mówić.

Wiedziała, że to nieprawda.

- Skrzywdziłem cię - Josh mówił dalej, żałując, że zamiast tego nie powiedział „kocham cię”.

- Poradzę sobie.

- Mogę cię odwieźć do domu?

- Wezmę wóz Davida - powiedziała łagodnie, chociaż chciała krzyknąć: „Dlaczego nie wzięłaś mnie do siebie w zeszły piątek wieczorem? Dlaczego mnie nie kochałeś i nie uchroniłeś przed prawdą o Charlesie? Okłamałam Charlesa, żeby być z tobą, lecz ty odmówiłeś. Nie będę dzielić z tobą wstydu i zakłopotania.” - Kilka dni temu rozmawiałam z Elyse de Marco o ewentualnym przekształceniu jej firmy. Miałam na myśli nową firmę. - Handlowy ton głosu Jennifer zbił go z tropu. - Na ile byłeś szczery z tym poparciem dla Elyse?

- Nie chcę rozmawiać o Elyse i o interesach.

- Ale ja chcę! - powiedziała twardo. - Chcesz ją poprzec?

- Myślałem, że nie chce produkcji masowej. Zawsze mówiła, że woli robić pojedyncze projekty dla swojego butiku.

Jennifer świdrowała Josha oczami.

- Ich butiku. Elyse jest współwłaścicielką razem ze swoim mężem.

Josh zbladł. Nagle zrozumiał jej oziębłość. Jennifer myślała, że ją okłamał.

- Nie wiedziałem. Musisz mi uwierzyć, Jennifer. Nie miałem pojęcia, że jest mężatką.

- Nie ma znaczenia, czy wiedziałeś, czy nie - powiedziała lodowatym głosem. - Interesuje mnie tylko, czy

założysz nową firmę, czy nie.

Nie uwierzyła mu. Ani śladu delikatności. Spojrzała na niego nieustępliwie.

- Porozmawiam ze swoim adwokatem i zredaguję dokumenty, jak najszybciej.

David stał na zakręcie schodów. Czuł się jak nastolatek kibicując im, lecz nastolatki nie mówiły z bólem w głosie i nie ukrywały swoich uczuć jak tych dwoje w salonie rodziców. David cierpiał za nich, umierał, żeby wpaść do pokoju i zmusić ich, żeby się objęli, jednak kulił się w ciemnościach, dopóki nie był pewien, że rozmowa się skończyła i dopiero później dołączył do nich.

Wróciły Sara i Rose, ale przyjęcie skończyło się. Nikt nie wspomniał o Charlesie.

## ROZDZIAŁ DWUDZIESTY

Samolot American Airlines leciał do Kalifornii. Jennifer była spokojna po raz pierwszy od tygodnia. Jej złość malała, lecz ból pozostawał.

- Dolara za twoje myśli.

Jennifer odwróciła się do Terka, który podał jej filiżankę kawy.

Zastanawiała się, czemu tak dziwnie się jej przyglądał i co zobaczył.

- Dlaczego dolara? - spytała, dmuchając na dymiącą filiżankę.

Terk udawał zdziwionego.

- Dziwię ci się - powiedział potrząsając głową. - W autobusie, gdy koło kogoś siedzisz, dajesz mu centa za jego myśli. Tu jest pierwsza klasa. A może nie zauważyłaś specjalnego zakwaterowania?

Jego beztroski nastrój był zaraźliwy. Jennifer nie mogła myśleć o swoich troskach.

- Przepraszam - powiedziała, chcąc wyglądać na skruszoną. - Na wysokości trzydziestu tysięcy stóp mam luki w pamięci.

- Dobra, weź się w garść i powiedz mi, co się roi w twojej ślicznej główce.

Kusiło ją, żeby mu powiedzieć wszystko, ale nie była dzieckiem.

Jennifer uważała, że dorośli nie rozmawiają o takich sprawach ze znajomymi.

- Nie uwierzysz, ale oglądałam widoki.

Terk wlał do kawy śmietanki.

- Masz rację - powiedział. - Nie wierzę ci. Założę się o sto docłów, że martwiłaś się losem magazynu.

Jennifer wyczuła w jego głosie cień dezaprobaty i

wywołało to u niej odruch obronny.

- Nie jestem zmartwiona, po prostu, chcę zrobić tę robotę. W gruncie rzeczy teraz najlepiej zastanowić się nad naszą strategią.

- Powiedziała to sztucznie.

- Chciałbym porozmawiać o interesach, ale tu nie wolno - powiedział.

- Słucham?

- Gdy prowadziłaś badania na temat formacji chmur, ci z obsługi rzucili parę tekstów jak zawsze przed lotem. Na pewno nie usłyszałaś, że na pokładzie nie wolno pracować.

- Naprawdę? - Jennifer zauważyła błysk w jego oczach.

- Absolutnie. Pasażerowie mają odpocząć, a lot ma im sprawiać przyjemność. Poza tym będzie mnóstwo czasu, kiedy wylądujemy.

- Ale mamy pięć godzin, zanim wylądujemy. Jeśli będziemy cicho, nikt się nie dowie.

- Masz obsesję. Chciałbym wiedzieć skąd ci się to wzięło.

- Od Bloomingdale'a. Drugie piętro, obok szatni.

- No tak. Na punkcie tej ananasowej promocji masz już lekkiego świra i przysięgam na życie, nie wiem dlaczego.

Jennifer wiedziała, nawet za dobrze. Jednak nie mogła i nie chciała wyjaśniać tego Terkowi. Prawda była taka, że nie miała nic, prócz Jolie, co by ją ekscytowało.

- Duma, drogi Watsonie - powiedziała. - Nie mogłabym siedzieć z założonymi rękami i patrzeć, jak Fellowsowie wyrzucają Jolie, niczym zbędny bagaż. Jeśli mają nas sprzedać, niech to zrobią dlatego, że jesteśmy dobrzy, a nie dlatego, że nie ma z nas żadnego pożytku.

- Jeśli ktoś chce kupić Jolie - powiedział Terk - musi

wiedzieć, co robi. Nikt nie wybuli paru milionów dolarów na białe myszki.

- Być może, ale boję się, że nowy właściciel całkowicie zmieni profil pisma. Już tak bywało.

- No to co, skoro nie przynosi zysków. - Jennifer spojrzała na Terka pytająco. - Na przykład ten facet, Towers. Stwierdził, że Jolie zaprzedało się wszechwładzy sławnych projektantów i na tym traci. Może on ma rację, a nie my?

W tym, co mówił Terk było trochę logiki. Jennifer próbowała przypomnieć sobie rozmowę z Towersem, lecz bardziej pamiętała twarz niż słowa.

- Przyznam, że na pozór miał dużo racji - powiedziała. - Ale coś mnie do niego zniechęciło. Nie ufam mu. W jego podejściu do mnie było za dużo wrogości, żeby brać jego opinię poważnie.

Tym razem Terk nic nie powiedział. Bardziej niż kto inny wiedział, ile miała racji.

- Towers czy nie Towers, ważne jest, żeby Jolie stanęło na nogi.

Jeśli uważasz, że pomysł Brada może pomóc, pomogę ci - powiedział mrugając do niej okiem. - Jak nam się uda, zostaniemy bohaterami.

- Najpierw zajmijmy się finansami, a później sławą.

Terk nagle splótł ramiona na piersiach.

- Nie będzie ci się podobało, gdy mnóstwo ludzi będzie skakać dookoła ciebie i obwoływać czymś najwspanialszym od czasów masła orzechowego?

Jennifer uśmiechnęła się, ale Terk dotknął czulego miejsca.

- Uwielbiałabyś to - powiedział. - Nie próbuj mi wmówić, że nie.

Oczywiście jesteś ode mnie ładniejsza, ale obydwójce

mamy jedną cechę wspólną.

- A mogę spytać, jaką?

- Dam ci wskazówkę. To jest prawie tak samo podniecające jak seks.

Masz 30 sekund na prawidłową odpowiedź.

Jennifer udawała, że myśli, a później spojrzała na Terka z twarzą rozjaśnioną odkryciem. - Śpiewy gregoriańskie! No nie? Obydwoje uwielbiamy śpiewy gregoriańskie. No i co teraz? Wygrałam lodówkę?

- Za taką odpowiedź tylko tyle ci się należy. - Rzucił jej foliową paczkę galaretki.

- Wolałabym lodówkę.

- Prawidłowa odpowiedź brzmi: ambicja, kochanie. Jesteś córką piekarza, a ja synem barmana. Nasze pochodzenie jest skromnie mówiąc mniej niż spektakularne i dlatego jesteśmy tak ambitni.

Chociaż mówił swobodnie i z poczuciem humoru, miał dużo racji. Na swój sposób Terk wytworzył między nimi pewną więź.

- Twój problem - mówił dalej - polega na tym, że dla ciebie ambicja jest złem. Dla mnie nie. Dzieci nędzy chcą pieniędzy.

Ludzie, których nikt nie zauważał, gdy byli dziećmi, chcą uznania jako dorośli. To uniwersalna prawda.

- W porządku. Przyznaję się. - Jennifer podniosła obie ręce w geście kapitulacji. - Mam świra na punkcie ambicji i nie spocznę, dopóki moje biurko nie będzie stało na Kapitolu. Jesteś zadowolony?

- Nie całkiem - powiedział. - Namiętni faceci nigdy nie są zaspokojeni. Zawsze chcą więcej.

- Musisz być wyjątkowo namiętnym facetem.

- Jestem i wierz mi, możesz się przekonać, kiedy tylko



będziesz chciała.

Jennifer odwróciła się ukrywając nagłe zmieszanie na twarzy. Terk szybko zmienił temat.

- Mniej więcej za trzy minuty zacznie się film. Jeśli chcesz go obejrzeć, zgoda. Ale uprzedzam cię, że to straszny knot.

- A jaki mam wybór?

- Możesz pobawić się słuchawkami, przeczytać New York Timesa albo porozmawiać ze mną.

Rozmawiali. Przez kilka następnych godzin Jennifer opowiedziała Terkowi historię swojego życia. W końcu nawet wyznała, że jest z Charlesem w separacji. Tak dawno nie zwierzała się nikomu.

Potrzebowała dać coś mężczyźnie z siebie, nawet jeśli miałyby to być tylko słowa. Terk był bez wątpienia mężczyzną godnym pożądania. Dla Jennifer takie stwierdzenie znaczyło teraz dużo.

Chciała odpocząć. Terk nakłaniał ją do snu, aż w końcu usnęła.

Myślał o ich rozmowie. Znalazł coś nowego w jej pozie - nogi podkulone, ręka delikatnie podpierająca brodę, kilka kosmyków spadało jej na twarz. Wydawała się delikatna i podatna na zranienie. Do dzisiaj znał ją jako kobietę silną i zdolną, pełną ognistego temperamentu, któremu nie można się było oprzeć.

Jennifer otworzyła się przed nim i chociaż był zadowolony, że mógł jej pomóc, zazdrościł jej. Też chciałby zrzucić maskę. Jednakże Terk nie był kimś, kto komukolwiek by ufał.

Jennifer poruszyła się, Terk okrył ją kocem. Sen zabarwił jej policzki na różowo. Wyglądała jak niewinne dziecko, lecz nie była dzieckiem, pomyślał Terk, ani on. Byli

dorośli i znając siebie, wiedział, że dorośli byli rzadko niewinni. Każdy miał jakieś sekrety.

Devon Bovary z sekcji handlowej Jolie wskazywała palcem dziewczyny. Wybierała ostatnie ochotniczki, które miały wziąć udział w pokazie organizowanym w siedzibie The May Company. Za każdym razem, gdy Devon wybierała kogoś, pozostałe ręce wyciągały się jeszcze wyżej przy akompaniamencie cienkich głosów, błagających o szansę pokazania się na scenie.

Jennifer w jedwabnym kostiumie koloru świeżo dojrzałych bananów stała w tyle i zachwycała się entuzjazmem tłumu o 5 rano. Kobiety w wieku od 17 do 30 lat ubrane przeróżnie, od kostiumów plażowych do ubrań biurowych siedziały na podłodze ze skrzyżowanymi nogami.

Dwie olbrzymie choinki ozdobione miniaturowymi okładkami Jolie i świecące złote piłki stanowiły tło. Po jednej stronie fryzjer ze swoimi asystentkami zajmował się brunetką z włosami do pasa, podczas gdy ludzie od makijażu mieszały kolory i nakładali śniady podkład na twarz ochotniczki z chłopięcą fryzurą.

Devon poszła z kilkoma dziewczynami do garderoby. Pozostałe dziewczyny usiadły obok ekspertów od urody. Jennifer zdała sobie sprawę, że Devon zaraz przedstawi sześć kobiet, które będą reprezentować oddział Jolie w Los Angeles.

Pojedynczo przeszły po podium, jakby robiły to codziennie. Każda obracała się i robiła miny w świetle reflektorów, kiedy Devon szczegółowo opisywała wyjątkowo modne elementy ich ubiorów. Potem poprosiła każdą, żeby wyjaśniły, jak przystosowały najnowsze trendy mody do stylu ich życia.

Jennifer to nie interesowało i skupiła się myślami na

Terku, który nadskakiwał ludziom z „Neiman and Marcus”, próbując przekonać ich, że promocja Jolie przyniesie olbrzymie zyski sklepom. Jennifer zaproponowała, że pójdzie z nim, ale Terk powiedział, że nie trzeba. Wiedział, że Jennifer wolą sprawdzić szczegóły planowanej promocji, a poza tym był przyzwyczajony robić to sam.

Dla Jennifer te kilka minut było okazją, żeby przesłuchać telefony z Nowego Jorku. Od trzech dni, gdy była w Los Angeles, ze Wschodniego Wybrzeża słyszała tylko krakanie.

Brad był pierwszy. Grupie, która pojechała do Bostonu, nie udało się. Chociaż Jordan Marsh nie powiedział otwarcie „nie”, wyraził sceptycyzm, jeśli chodzi o płatną promocję.

Gwendolyn Stuart spotkała się z Saksem z Piątej Alei i nawet jej autorytet go nie przekonał.

Brooke Wheeler wysłała jednego ze współpracowników do Richa w Atlancie, Hudsona w Detroit i do „Woodward and Lothrop” w Waszyngtonie. Odpowiedzią było: „Dowiedzmy się, kto to robi”.

Wszyscy czekali na pierwsze spotkanie.

Brad informował ją też, że napływ ogłoszeń był powolny. Producenci wahali się. Nie chcieli ryzykować z tropikami. Brad obawiał się, że Jolie poniesie największą stratę w swojej historii.

Pokaz trwał już godzinę i wchodził teraz w ostatnią fazę. Szukała Terka i jego grupy. Koniecznie musieli zobaczyć reakcję tłumu.

Wszystko się teraz mogło zdarzyć.

Devon poprowadziła kilka dziewczyn przed podium. Miały miękkie fryzury i delikatne makijaze. Ubrania były kapitalne. Każda miała jakiś podstawowy kostium, jedno w

spodenkach, inne w spódnicach, wszystkie w czymś zaprojektowanym na wakacje. Nagle Devon wkroczyła do akcji. Przykryła jedwabną kamizelkę marynarką z piórami i zrównoważyła wyrazistość czarnego swetra żabotem z koronkami. Ułożyła jasny szal na prostej koszuli. Rozpostarła w tęczę trzyczęściowy jedwab w kolorze kości słoniowej pełen różnokolorowych paciorków, a jedno pióro wetknęła w kok. Dodała torbę z przyszywanymi cekinami do skórzanych spodni i jedwabnej koszuli w duże wzory i dała jednej z kobiet w chińskim zakiecie elegancki wachlarz jako ozdobę nadgarstka. Publiczność wybuchnęła, oklaskując każdy szczegół. Dwanaście ochotniczek przeistaczało się po kolei w elegancki, a później ustawiało się w szeregu. Devon czekała, aż oklaski zamilkną, i wyszła na środek.

- Jestem Devon Bovary, w imieniu magazynu Jolie oraz The May Company życzę wam szczęśliwych i pogodnych Świąt Bożego Narodzenia.

Tłum się rozproszył. Jennifer zwróciła uwagę, ile osób podeszło do stoisk ze strojami. Głównym celem tych pokazów była promocja sklepów. Młodsze kobiety podeszły do stoiska Jolie. Z westchnieniem ulgi Jennifer zauważyła długie kolejki przy kasie.

Ale gdzie był Terk?

Czekając na niego sięgnęła do torebki, żeby obejrzyć próbki ogłoszeń, jakie dostała dzisiejszą pocztą. Te ogłoszenia wymyślił Patrick Graham. Butelka była wykrzywiona jak bulwiaste drzewo z korkiem, przypominającym liść palmy. Obok butelki była sylwetka nagiej kobiety z pięknymi włosami opadającymi na plecy i ramionami wyciągniętymi w tęsknej pozie. Napis brzmiał: „Owiń się w sarong, to dotyk raju”. Takie proste, ale tak czarujące. Jennifer zadzwoniła, żeby pogratulować

Patrickowi, ale telefon odebrała Brooke Wheeler. Według niej, musiała mu stać nad ramieniem i pomagać. Jennifer była wściekła i powiedziała jej to. Wiedziała, że Brooke kłamie.

- Widziałem cię już przed tym. A teraz chciałbym zobaczyć cię po.

- Terk zaszedł ją od tyłu i objął w pól.

- Po czym?

- Po tym, czego będziesz chciała - powiedział ściskając ją.

- Czy możemy to kontynuować kiedy indziej? -

Jennifer rozejrzała się, by sprawdzić, czy ktoś ich nie widział.

- Gdzie są chłopcy od Neimana?

- Wyszli. - Ręce Terkowi opadły.

- Co powiedzieli? - Jennifer pociemniała na twarzy.

- Powiedzieli, że spotkają się z nami w Różowym Tulipanie, najmodniejszej dyskoteci w mieście. Przebierz się, zjedz coś, włóż jakieś buty do tańca i lecimy.

- Nigdzie nie idę, dopóki mi nie powiesz, co powiedzieli o kupnie Wielkiego Ananasa. Nie podobał im się pokaz? Nie widzieli reakcji tłumu? - Głos Jennifer był natarczywy.

- Zostawiłem ich na boku, gdzie mogli widzieć wszystko. Chyba im się podobało, skoro klaskali. Ale nic nie podpisali.

Jennifer wyglądała na zdenerwowaną.

- No, kochanie. Nie myślałem, że coś dzisiaj załatwimy. - Terk położył rękę na ramieniu Jennifer. - Cierpliwości, moja droga, cierpliwości.

Terk zaczął ją prowadzić w kierunku biura koordynatora mody.

- Bądźmy mili dla tych gości tutaj. Zobaczymy, co jest w kasie.

Powiem tym wsiochom, jak The May Company rozplywała się w podziękowaniach dla ekstrawaganckiego pokazu Jolie. A potem, kotku, idziemy się zabawić.

Kiedy Terk zostawił Jennifer w pokoju, było wpół do trzeciej rano.

Była trochę pijana, bolały ją plecy i była pewna, że stopy już jej odpadły. Chociaż umierała z tęsknoty za gorącym prysznicem, rozebrała się i położyła na dywanie, żeby zrobić kilka ćwiczeń. W tym czasie przypomniała sobie cały wieczór i podsumowała go jednym pełnym ironii słowem. Jedli z Terkiem w Le Bistro, gdzie samo otoczenie wzbudzało chęć do szampana i jednoznacznych komplementów, których Terk dostarczał w dużych ilościach. Jennifer wyszła z restauracji, czując się piękną i pożądaną. Ale gdy tylko weszli do Różowego Tulipana, poczuła panikę. Dookoła niej byli homoseksualiści skapo ubrani w podkoszulkach i szortach albo z gołym torsem i w obcisłych dżinsach. Trzymali się i tańczyli ze zmysłowością, która ją dręczyła. Wszędzie, gdzie spojrzała, byli mężczyźni z mężczyznami albo kobiety z kobietami. Prawda, że było też trochę normalnych par, ale były one kroplą w morzu, gdy Jennifer rozglądała się po sali.

Zmusiła się do tańczenia, raczej żeby działać, niż poddać się wirowi wrażeń napływających zewsząd. Udawała, że mężczyźni dookoła niej nie przeszkadzają jej, że nie przypominają jej o Charlesie i że ich widok nie jest dla niej bolesny. Zastanawiała się, czy Charles przychodził kiedykolwiek do takich miejsc i czy pokazywał swoje prawdziwe oblicze tak otwarcie. Nie mogła sobie tego wyobrazić, ale z drugiej strony przecież także nie podejrzewała, że jest homoseksualistą.

Kobiecie przyzwyczajonej, jak ona, do spojrzeń

pełnych podziwu, trudno było się pogodzić z rolą cienia. Miała kostium w kolorze czerwonej szminki, piękne nogi i bluzkę z jednym ramieniem.

Wyglądała świetnie, ale nie znalazła tu aplauzu. Czowała się nie na miejscu, jak gość w obcym kraju, gdzie nikt nie mówi jego językiem i nie zna jego zwyczajów. Przez chwilę zastanawiała się, jak homoseksualiści czują się w towarzystwie normalnych ludzi i poczuła zadziwiającą falę sympatii.

Gdy muzyka zwolniła tempo, przyłgnęła do Terka, próbując zatracić się w dotyku jego ciała i silnym męskim zapachu jego wody kolońskiej. Po chwili poczuła się mniej zagrożona. To było dość dziwne, ale poczuła, że ją podnieca otaczający ich seks. Jennifer przysunęła się bliżej do Terka.

Gdy zostawił ją na progu pokoju, nie pytając nawet, czy może wejść, była trochę zawiedziona. Teraz stwierdziła, że ona była w separacji, a on nie. Może uznał, że lepiej nie zaczynać czegoś, czego żadne z nich nie będzie umiało skończyć. Może nie był nią zainteresowany. Tak czy inaczej, była sama i poszła do łazienki.

Nie słyszała nawet, kiedy drzwi się otwierają, więc gdy Terk wszedł do niej pod prysznic, Jennifer była zaskoczona. Zaczęła protestować, ale gdy zobaczyła go całkiem nago, trzymającego butelkę szampana w jednej ręce i dwa kieliszki w drugiej, mogła się tylko śmiać.

- Myślałem, że może masz ochotę na poobiedniego drinka - powiedział. Ton jego głosu był tak rzeczowy, że Jennifer przestała być świadoma swojej nagości.

Nalał do obu kieliszków i podał jej jeden stawiając butelkę na podłodze poza prysznicem.

- Za Jennifer Cranshaw. - Wzniósł kieliszek w toaście.  
- Poprosiłbym o twój autograf, ale nie mam chyba przy sobie

długopisu.

Jennifer znów się roześmiała. Cała sytuacja była absurdalna. Dwoje ludzi zupełnie nago pod prysznicem prowadzących zupełnie normalną rozmowę. Terk również się uśmiechnął, ale nie spuszczał z niej wzroku. Wiedziała, że nie przyszedł bez powodu.

Woda obmywała ich ciała, chlapała dookoła nich, rytmicznie pluszcząc, a oni po prostu tam stali, wpatrując się w siebie i pijąc szampana.

Terk wziął oba kieliszki i postawił je na parapecie. Podniósł dzwignię, żeby zatrzymać wodę w brodziku. Dotknął palcami jej włosów, skrzył w bok i po chwili odrzucił na plecy. Strumienie wody opływały jej ramiona. Musnął ustami jej policzek, ucho i wtulił się w szyję. W końcu, gdy dotarł ustami do jej ust, przyciągnął ją do siebie. Woda nadal opływała ich w uwodzającym pyle ciepła, gromadząc się dookoła stóp w delikatnych falach. Powoli jego dłonie ześlizgnęły się po jej plecach i piersiach. W jego dotyku był miły szacunek, który sprawiał, że czuła się jak bogini.

Terk pochylił się ku jej piersiom. Jennifer czuła się dziwnie, widząc go przy swoich piersiach i jednocześnie czując, jak potężnieje przy jej udach. Czuła się jak podglądaczka, ale podniecało ją to. Zsunęła rękę, chcąc chwycić jego męskość, pragnąc dotykać jej i trzymać. Drżały jej kolana, gdy pozostawił piersi i powędrował w dół. Wyrwał się jej głęboki jęk rozkoszy, gdy Terk rozsunął jej uda i zaczął pieścić jej kobiecość z delikatnością, której nie spodziewałyby się po nim. Terk przysunął się blisko, całując ją, pozwalając jej czuć, jak jego męskość pulsuje. Wszystko przestało się liczyć. Potrzebowała Terka.

Potrzebowała tego uczucia, że jakiś mężczyzna pożąda



jej. Terk wszedł w nią i oboje zapomnieli o wszystkim, prócz intensywnej przyjemności dwóch ciał złączonych w jedno.

Jennifer zakręciło się w głowie. Ostre szpilki kłuły ją w piersi.

Była gotowa już teraz. Nogi jej zeszywniały. Oddech zamarł w gardle. Chciała przedłużyć tę chwilę podniecenia. Została porwana w wir namiętności, a potem poczuła. Wstrząs. Wilgoć. Spazm i wyzwolenie. Poczuła, że on też doznał rozkoszy. I była zadowolona.

- Twój mąż to palant.

- Słucham?

Leżeli w łóżku Jennifer, pili kawę i jedli ciastka. Mimo lekkiego kaca od szampana Jennifer czuła się cudownie.

- Gdybym się z tobą ożenił, nie wypuściłbym cię z łóżka.

- Nie jesteś kiepski, panie Conlon.

- Miło mi, że tak myślisz. Więc pochwalisz pewnie mój plan na spędzenie tego dnia.

Jennifer przyjrzała mu się pytająco.

- Na pewno zadzwoni do nas ktoś z Nowego Jorku, jest też możliwe, że zadzwoni ktoś od Marcus - Neiman. Lepiej więc zostań blisko telefonu.

- Blisko którego telefonu?

Terk sięgnął przez nią po telefon i położył go na jej brzuchu.

- Na wszelki wypadek, gdyby zadzwonił. - Oparł się i wtulił nos między jej piersi.

- Nie chcę psuć zabawy - powiedziała Jennifer. - Ale co będzie, jeśli zadzwoni twoja żona?

- Na szczęście będę zajęty, a ty możesz to powiedzieć z czystym sumieniem. - Terk usiadł i zaczął jeść ciastka.

- Terk, to, że byliśmy ze sobą tej nocy, o niczym

jeszcze nie świadczy. To był tylko seks. Nieskomplikowany seks. Podobało mi się, jednak nie chcę rozbijać czyjegós małżeństwa.

Terk znów nalał jej kawy.

- Jennifer, jesteś niesamowicie seksowna i to oczywiste, że pożądałem cię już od dawna, lecz nie rozbijasz szczęśliwego małżeństwa. Moja żona już to zrobiła.

W słowach Terka było dużo smutku. Jennifer chciała, żeby opowiedział o swoim małżeństwie. Może mu to pomoże. Może jej.

- Kochałeś Deirdre, gdy się z nią ożeniłeś?

Terk przez chwilę nic nie mówił.

- Tak, kochałem. Jest podniecająca, ruchliwa, agresywna, dzika, bystra, piękna i świetna w łóżku. Byłaby ideałem, gdyby nie to, że chce zniszczyć każdego faceta. Chyba jednak nikt nie jest doskonały.

- Chyba nie - powiedziała Jennifer cicho.

Terk mówił o życiu z Deirdre. Opowiadał Jennifer, jak chciwość i pieniądze Deirdre zniszczyły ten związek. Powiedział nawet o Zenie Welles. Co znaczyła dla niego kiedyś i kim jest teraz.

- Miałeś rację, kiedy mówiłeś, że jesteśmy podobni. Zawarliśmy małżeństwa z osobami o zbyt wysokiej dla nas pozycji. Oboje związaliśmy się z ludźmi, którzy - jak nam się wydawało - mieli to, czego nam brakowało.

- To przez dumę jesteśmy tacy. Wżeniliśmy się w bogaczy, lecz - I to ciągle nie wystarcza - powiedziała Jennifer na wpół do siebie.

- Przynajmniej nie zapieprzałaś tak jak ja.

- O czym ty mówisz?

- Musisz coś w sobie mieć, skoro mam ochotę ci się wypowiadać.

Wytrzymasz historię mojego życia?

- Poproszę o tę historię.

Terk opowiedział jej o swoich kłopotach. Powiedział o swoich długach i matactwach, nie wspomniał, że chodziło o Towersa.

Niemniej jednak już to co jej powiedział, przeraziło ją.

- Jak mu płacisz?

- Funtem mięsa za każdym razem.

- Terk, ja mówię poważnie. Skąd bierzesz pieniądze?

- Mam mały interes na boku, dobrze idzie.

Jennifer miała tysiące pytań, ale wiedziała, że więcej jej nie powie.

- Nigdy nie spotkałam tego faceta, lecz mam wrażenie, że jeśli jeszcze raz mu podpadniesz, to rzuci cię wilkom na pożarcie, nim zdążysz cokolwiek powiedzieć.

- Masz rację, ale nie martw się. Uważam na siebie i mam na niego haka.

- To wszystko mi się nie podoba.

- Nie zależy mi aż tak na sobie, lecz mam w życiu Zenę, a teraz trochę i ciebie, więc czy mogę się pomylić?

- Mogę ci nawet powiedzieć jak.

- Mam cię też w łóżku - powiedział Terk, przysuwając się do niej.

- A nigdy nie byłem facetem, który przepuściłby okazję.

## ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIERWSZY

Elyse uderzyła głową w róg stolika do koktajli. Chciała się bronić przed bezlitosną pięścią, podnosząc ręce, ale na próżno.

Przytrzymała się stołu, i wstała. Chciała uciec, ale z nosa ciekła jej krew, usta miała spuchnięte. Wtedy poczuła przenikające ukłucie, które powaliło ją na kolana. Kręciło jej się w głowie.

Próbowała się odczołgać, lecz ręka wciąż jej dosięgała. Ktoś błagał o litość. Elyse stwierdziła, że to ona. Pięść jednak była nieubłagana. Ciągłe padały ciosy pełne furii, wymierzające uderzenia w twarz. Zaatakowana w brzuch zwinęła się w konwulsjach.

W oddali słyszała skowyt. Błyskawice przemknęły jej przed oczami.

Ogarnął ją przygniatający ból. A potem nie było nic, oprócz ciemności.

Gdy w końcu otworzyła oczy, zobaczyła sylwetkę mężczyzny stojącego obok łóżka. Zamrugła i przetarła oczy, starając się skoncentrować spojrzenie. Mężczyzna zostawił jej trochę czasu, żeby oprzytomniała. Nic nie mówiąc zbadał jej puls, a potem zaczął coś czytać w karcie.

- Jestem doktor Sheldon i ponoszę całkowitą odpowiedzialność za tę kłamrę, która spina pani żebra. - Elyse dotknęła się, na jej brzuchu był zimny sztywny gips.

- Już jest lepiej - powiedział David. - Sądząc z tego, jak pani wygląda, musiała pani przejść przez 15 rund. - Otulił ją kocem.

- Upadłam - powiedziała, czując się zobowiązana do wyjaśnień.

Oboje wiedzieli, że kłamała, lecz David ją rozumiał. Miał już do czynienia z ofiarami pobić.

- Nie interesują mnie szczegóły, ale widać, że ktoś bestialsko panią pobił. Gdybym mógł, nieźle bym temu facetowi przyłożył, ale ja mam postawić panią na nogi i zrobić to.

- Dziękuję - szepnęła Elyse. Głos Sheldona był tak spokojny, że przestała się bać. - Od jak dawna tu jestem?

- Od trzech dni, czterech godzin i dwudziestu dwóch minut. Wiesz, nikt tego nie liczy. Poza tym, nie wiem, czy wiesz, że nasz świetny personel nie tylko kłuje cię igłami, lecz także zajął się twoją kwaciarnią. - Wskazał ręką w kierunku stolika na kółkach, który był pełen kwiatów.

Obok na krześle siedział olbrzymi, pluszowy miś z koszykiem różowych róż. David przeczytał załączoną do nich wizytówkę jako pierwszą: „Pomyślałem, że możesz potrzebować przyjaciela”. Na innych kartkach były pozdrowienia i wiersze od znajomych, od personelu butików i od dostawców. Łzy wezbrały w jej opuchniętych oczach, gdy David wskazał na pojedynczy pączek białej róży.

- Tu nie było żadnej kartki - powiedział David. Stał obok niej i wytarł jej oczy rogiem bawełnianego ręcznika. - To musi być ktoś szczególny.

- Tak.

David zaczął się dopytywać, ale szybko zorientował się, że Elyse jest wyjątkowo skryta.

- Chciałabyś gościa?

- Kto to? - W jej oczach znowu pojawiło się przerażenie.

- Facet, który nazywa się Joshua Mandell. - Elyse odprężyła się. - Tak się składa, że znam Josha i mogę pozwolić na tę wizytę, pod warunkiem, że jesteś dość silna, żeby go przyjąć.

- On mnie tu przywiózł?

- Nie, jakaś kobieta. Ardis Cohen? - Elyse kiwnęła głową. - Przyszła do ciebie po pracy. Gdy nie otwierałaś, zmusiła stróża, żeby jej otworzył. Na szczęście od razu zadzwoniła na pogotowie.

- Jak Josh się dowiedział?

- Ta Cohen zadzwoniła do Josha, żeby polecił jej znajomego lekarza. Podał moje nazwisko i gdy przyjechała karetka, już czekałem.

- Cieszę się.

- Ja też.

Poklepał ją po rękę. Mimo siniaków, widać było, że jest wyjątkowo piękną kobietą. Przypominała mu siostrę. Nie wiedział, czy są koleżankami, wiedział jednak, że się znają. Podśledzał, jak Josh i Jennifer wspominają o Elyse de Mat'co, ale nie wiedział, jaki istnieje związek między nimi. Coś mu mówiło, że Elyse stała się nieumyślnie częścią napięcia między Joshem a Jennifer. Miał tylko nadzieję, że nie byli odpowiedzialni za to, co jej się przydarzyło.

David podszedł do drzwi i wpuścił Josha. Elyse wyczytała w jego oczach zarówno ulgę, jak i troskę. Próbowała się uśmiechnąć, ale mogła się zdobyć tylko na grymas.

Gdy Josh i Elyse rozmawiali, David obserwował ich dokładnie.

Stwierdził, że byli, albo jeszcze są kochankami. Intrygowało go to, że nie można było między nimi wyczuć miłości. Dotykali się i rozmawiali ze sobą po przyjacielsku, ale czegoś brakowało. David wyrzucał sobie, że jest taki wścibski. W końcu Jennifer miała męża i jeśli Josh był zakochany w innej kobiecie, powinien mu dobrze życzyć. Dlaczego się wtrącał? Bo David nie mógł zapomnieć tamtego wieczoru w Bayonne. Bali się siebie dotknąć nawet przez

przypadek, bali się siebie obrazić, uważali na każde słowo i gest. Coś dziwnego istniało między nimi. David był tego pewien.

- Kto ci to zrobił? - zapytał Josh, przerażony widokiem jej siniaków. - Co za drań cię tak pobił?

- Josh - powiedział David - Elyse jest moją pacjentką i jeśli ją zdenerwujesz, wyrzucę cię.

Josh ledwie spojrzał na Davida. Zaciśnął ręce w kieszeniach i podszedł do okna. David sprawdził puls Elyse.

- Skąd wy się znacie? - Elyse miała nadzieję, że odwróci uwagę Josha.

Nie odpowiadał.

- Razem dorastaliśmy - powiedział David i nacisnął guzik, by wezwać pielęgniarkę. - Myślę, że znasz moją siostrę Jennifer Cranshaw.

Elyse spojrzała na Davida, jak gdyby zobaczyła go po raz pierwszy.

Miał te same, szeroko osadzone oczy i te same pełne usta.

- Przykro mi, David, ale muszę wiedzieć, co się stało!

Wybuch Josha przeraził Elyse. Gdy odwrócił się do Davida, zobaczyła po jego zaciętych ustach, że gniew nie minął.

- Josh, Elyse jest moją pacjentką. Jej zdrowie jest ważniejsze od twojej ciekawości.

Weszła pielęgniarka i dała Davidowi tabletki, które podała Elyse wraz z filiżanką wody. Gdy poprawiła się na łóżku, próbowała ocenić napięcie w pokoju. Josh cofnął się raz jeszcze do okna cały spięty. David też wydawał się zmartwiony, a ona czuła się jakoś za to odpowiedzialna.

- Mój mąż mnie pobił - powiedziała po kilkuminutowym zastanowieniu. - Nie mógł się opanować.

- Pieprzysz! - krzyknął Josh. - Przez cały czas naszej znajomości ani razu nie wspomniałaś, że masz męża. Teraz wiem dlaczego. Ten facet to świnia!

Zauważył, że strach przemknął po jej twarzy i zmusił się do opanowania.

- Elyse - powiedział delikatnie - on ciebie prawie zmasakrował. I założę się, że to już nie po raz pierwszy.

- Nie, ale tym razem było najgorzej.

- Więc dlaczego ciągle z nim jesteś? - „Dlaczego ja zawsze każę kobietom zostawiać mężów?” - pomyślał.

- Nie mogę go opuścić.

„I dlaczego te kobiety zawsze mi dają taką samą odpowiedź?” - Dlaczego nie? - Ciekawość Davida wzrosła.

Elyse odwróciła się do Davida, czując, że łatwiej jemu będzie to wyjaśnić niż Joshowi.

- Chyba przez lojalność, wdzięczność i przez pochodzenie. Mario jest bardzo dumny. Przed laty wyrzuciłam go z mojego domu, lecz zgodnie z jego włoską mentalnością wydaje mu się, że wciąż jestem jego żoną. Gdybym kiedykolwiek dostała rozwód, on straciłby twarz.

Na to nigdy nie pozwoli.

- Nie możesz przez resztę życia być przywiązana do nie istniejącego małżeństwa.

- Są pewne powody - powiedziała Elyse.

- Jakie? - David nie chciał naciskać, lecz widział, że chce się zwierzyć.

- Takie jak ta biała pojedyncza róża. - Oczy Elyse zasły mgłą, gdy dotknęła dziewiczego pączka i wyjęła go z wazonu. - To moja więź z Mario de Marco.

Powoli opowiedziała całą historię.

Lanzanowie mieszkali w Greenpoint w Brooklynie w środowisku robotników, głównie Włochów. Ojciec Elyse,



Wielki Gianni, był dokerem, jak większość mężczyzn z okolicy, natomiast matka pracowała jako szwaczka w jednej z miejscowych fabryk. Z dwójką dzieci mieszkali na pierwszym piętrze jednego z najładniejszych dwurodzinnych domków w okolicy. Mieli też używanego Chevroleta.

Jak na syna rybaka z Neapolu powodziło się im nieźle.

Wielki Gianni przyjechał do Stanów zaraz po ślubie z Anną i jak większość Włochów był bardzo tradycyjny. W domu mówił tylko po włosku i uważał się za niekwestionowaną głowę rodziny. Nie widział też nic nieodpowiedniego w kojarzeniu małżeństw swych dzieci.

Jeszcze, gdy była dzieckiem, została przyrzeczona Mario de Marco, najstarszemu synowi najlepszego przyjaciela Wielkiego Gianniego.

Gianni uważał, że to doskonała partia dla jego córki, bo Mario był chłopakiem z przyszłością. Jego ojciec był kierowcą ciężarówki. To był solidny interes. Poza tym Mario był przystojny i Wielki Gianni uważał, że ożeniony z jego molto bella Elyse przysporzy mu najpiękniejszych wnuków na Greenpoint. Anna pracowała w fabryce ubrań, która znajdowała się w zaniedbanym budynku. Warunki pracy były kiepskie, właściciel ciągle stał na skraju bankructwa. Ale Vittorio Tierone był jednym z nich. Pozwalał pracownikom na zwolnienia, gdy ich potrzebowali, zawsze wkładał coś ekstra do ich kopert na Święta, bez względu na to, czy rok był trudny, czy nie.

Pewnego popołudnia podczas szycia spadła Annie szpulka nici na podłogę. Schyliła się, żeby ją podnieść i wtedy potrafiła ręką drewnianą płytę, która przytrzymywała maszynę do szycia. Śruby, którymi maszyna była przykręcona do stołu, obluźowały się już dawno, ale nikomu nie chciało się ich przykręcić. Potracona maszyna ześlizgnęła

się i spadła Annie na plecy. Anna została kaleką do końca życia. Miesiącami lekarze próbowali przywrócić jej władzę w nogach, ale jej stan był beznadziejny. Kiedy w końcu wróciła do domu, była przygnębiona. Już nigdy nie będzie chodzić, czuła się niepotrzebna. To prawda, była wdzięczna, że żyła, ale musiała się opiekować dziećmi. Z każdym tygodniem popadała w coraz większą depresję. Przestała płakać. Przestała mówić. Wpatrywała się tylko w jeden punkt. Wielki Gianni błagał ją, żeby się nie martwiła. Powtarzał jej, że wszystko będzie w porządku.

Elyse w chwili wypadku matki miała 12 lat i była za młoda, żeby pojąć, co się stało. Mały Gianni miał wtedy 7 lat i musiała się nim zajmować. Niemal stała się jego matką. Robiła mu obiady, pomagała w lekcjach, odprowadzała i przyprowadzała do kolegi, kąpała, karmiła. Robiła wszystko, co powinni robić rodzice. Jednak jej największą troską było wyrwanie matki z marazmu. Pewnego razu Vittorio Tierone pokazał Annie specjalną maszynę do szycia, na której mogła szyć łokciem. Elyse poczuła się tak, jakby właśnie znalazła świętego Graala. Wydawało się jej, że Anna wróci do szycia, że odzyska wiarę w siebie, jednak ona nie chciała szyć.

Elyse płakała, tupała nogą, lecz Anna odmawiała, przepraszając za bezradność bezbarwnym głosem. W końcu przyszło Elyse do głowy, że głównym zmartwieniem Anny był brak pieniędzy. Po kilku dniach uporczywych rozmyślań wpadła na pomysł. Nie mówiąc nic matce, porozwieszała w kilku sklepach ogłoszenia reklamujące usługi doświadczonej krawcowej po przystępnych cenach. Czekwała cierpliwie na pierwszego klienta, lecz gdy przez dwa tygodnie nikt nie przyszedł, Elyse zastosowała drugi wariant. Następnego dnia Amalia de Marco, matka Mario i najlepsza przyjaciółka Anny, przyszła, żeby poprosić Annę o przysługę. Carmine

musiał pójść na dwa ważne przyjęcia i potrzebowała jakiejś kreacji. Pomyślała, że może Anna mogłaby coś zrobić z jej starych sukienek, ponieważ na kupno nowych nie mogła sobie pozwolić. Anna patrzyła tylko i próbowała przeproszać, ale Amalia nie chciała o tym słyszeć i upierała się, że tylko Anna może jej pomóc.

- Ale jak ja mam pobrać miarę? - powiedziała kwaśno.

- Nie mogę się schylać.

Głos Anny był tak pełen bólu i wyrzutu, że Amalia niemal się zawstydziała. Chciała wziąć przyjaciółkę w ramiona i przytulić ją, ale spojrzenie Elyse nakazywało, żeby mówiła dalej.

- Elyse może ci pomóc. - Amalia powiedziała to tak spontanicznie.

- Powiesz jej, co ma zrobić i na pewno ci pomoże.

Na początku Anna nie chciała o tym słyszeć, lecz Amalia była tak pewna wyników, że wreszcie zdecydowała się spróbować. Wkrótce potem przyszło kilka innych znajomych, każda z wymyślonymi wymówkami, że nikt oprócz Anny nie może im pomóc. Żadna nie chciała, żeby Anna szła za darmo. Anna zrobiła cennik i chociaż wolałaby nie brać pieniędzy, była zadowolona. W ciągu pół roku Anna i Elyse miały kwitnący interes. Wkrótce szyły sukienki dla wszystkich kobiet z Greenpoint. Kupili dla Elyse maszynę do szycia i codziennie Anna uczyła Elyse krawiectwa. Elyse uczyła się szybko. Matka hołdowała klasycznej modzie, natomiast Elyse zawsze dodawała do sukienki jakiś szczegół, który sprawiał, że stawała się ona oryginalna.

Przekrzywiała kieszenie tam, gdzie powinny być przyszyte prosto, używała „gryzących się” kolorów przy kołnierzykach i mankietach, dodawała koronki do sukienek z ciężkiej wełny. Robiła wszystko, co mogło odróżnić jedną

sukienkę od drugiej. W końcu klientki zaczęły oczekiwać od Lanzańów wymyślnych wzorów i krojów.

Elyse mając 21 lat wyszła za mąż za Mario de Marco, co nie zdziwiło nikogo. Pierwsze trzy lata spędzili w Greenpoint. Mario pracował z ojcem, a Elyse dalej pracowała u matki, ale teraz zabierała pieniądze do własnego domu. Tak jak matka, Elyse nigdy nie wspominała o swoim finansowym wkładzie do małżeństwa, natomiast Mario tak jak ojciec nigdy nie zwracał na to uwagi.

Mieli małe mieszkanie i często spotykali się z przyjaciółmi. Udało im się zaoszczędzić niezłą sumkę.

Elyse była szczęśliwa. Nie miała powodu, żeby nie być. Jej życie było proste i nieskomplikowane, a mąż był nie tylko najprzystojniejszym mężczyzną w Greenpoint, ale też wspaniałym kochankiem. Był namiętny i pomysłowy w czasie tych wczesnych lat i Elyse kochała go bardziej, niż myślała, że to jest możliwe. Mario też był szczęśliwy przez pewien czas. Gdyby nie jego praca, byłby zupełnie zadowolony. Miał jednak tyle marzeń, których nie mógł zrealizować, będąc kierowcą ciężarówki. Widział siebie na lepszym stanowisku. Chciał być kimś, kto ma znaczenie i szacunek. Każdego dnia, gdy jeździł po mieście ciężarówką ojca jego niezadowolenie wzrastało. Obserwował bogatych i zazdrościł im. Wśród tych, którzy wzbudzali jego zazdrość, wielu pochodziło z takich rodzin jak on.

Własną pracą dorobili się majątku. Trzeba było tylko być na właściwym miejscu o właściwej porze i z właściwym pomysłem. Zaczął się zastanawiać, w jaki sposób mogliby zarabiać dużo pieniędzy.

Pewnego razu jechał Madison Avenue, tak jak setki razy wcześniej, ale tego dnia zainteresował się po raz pierwszy sklepami z eleganckimi ubraniami. Bogate kobiety

spacerowały po ulicy, wchodziły do sklepów i wychodziły z pudełkami, po których widać było, że zawierają kosztowny zakup. Elyse była jego zbawieniem.

Uwielbiała szyć i każdy mówił, że miała do tego talent, prawdziwy geniusz. I wtedy zdecydował się otworzyć sklep. Elyse będzie szyła, a on sprzedawał. To miało sens. Elyse będzie teraz zarabiała projektując sukienki. Mario był jej mężem i wszystko, co zarobi, prawnie będzie należało do niego. Mario nie wyjawiał swoich planów, dopóki nie znalazł małego sklepiku, blisko Drugiej Alei, na którego wynajęcie mógł sobie pozwolić. Mimo zastrzeżeń i obaw Elyse wyprowadzili się z Greenpoint i wstawili swoje meble na zaplecze sklepu. Mario postawił maszynę do szycia tuż obok łóżka.

Gdy Elyse próbowała coś wymyślić, Mario zajął się dekoracją sklepu. Chodził po modnych salonach i próbował zapamiętać ich luksusową atmosferę. Małym kosztem udało mu się stworzyć eleganckie tło dla wzorów Elyse.

W czasie swoich podróży patrzył, jak kobiety szperają w stosach ubrań. Zauważył, że często wydawały się zawiedzione, jakby szukały czegoś szczególnego i nie znajdowały tego. Powiedział Elyse, żeby puściła wodze fantazji i tworzyła takie ubrania, którym bogaci nie mogliby się oprzeć. Ekskluzywność była kluczem do sukcesu. Elyse zastosowała się do jego życzeń i wkrótce pierwszy butik de Marco zaczął przynosić dochody, mimo że Mario nie mógł sobie pozwolić na kosztowną reklamę. Mario był jednak bardzo przystojny, jego urok był wystarczającą reklamą. Chodzili razem na przyjęcia, gdzie poznawali wielu ludzi. Z czasem zauważył, że działa na kobiety jak magnes. Wcale nie miał zamiaru zranić Elyse i autentycznie był zdziwiony, kiedy wpadła w szal, gdy się dowiedziała o jego zdradzie.

Mnóstwo mężczyzn zdradzało swoje żony, co nie znaczyło, że ich nie kochają. Elyse widziała jednak wszystko w innym świetle.

Po wielu kłótniach Mario zgodził się na krótką separację, pewny, że po paru miesiącach bez seksu Elyse wróci do niego na kolanach.

Jednak się mylił.

Mario zaczął być brutalny dopiero wtedy, gdy Elyse powiedziała mu, że chce zostawić butik. Był już wystarczająco poniżony, gdy odseparowała go od łóżka, ale gdyby zostawiła interes, byłby zrujnowany. Zbyt wiele go kosztował, żeby pozwolić jej odejść tylko dlatego, że zranił jej dumę. Mieszkali teraz w szykownym sąsiedztwie na 72 ulicy, pracowali dla najbogatszych i nakładali niesamowite ceny na swoje projekty. Mario robił karierę i nie miał zamiaru zrezygnować. Elyse nalegała na rozwód i podział wpływów ze sprzedaży. Mario sięgnął więc po swoją jedyną broń. Powiedział, że jej brat zdefraudował dużą sumę i jeśli Elyse go zostawi, to Mario postara się, żeby dowiedzieli się o tym ludzie, dla których Mały Gianni pracował. Elyse wiedziała, że jeśli Mario dotrzyma obietnicy, jej brat będzie trupem. Nigdy już nie wróciła do łóżka Mario, ale od tego momentu nie opuściła ani jednego dnia pracy.

- Gianni tylko raz popełnił błąd - powiedziała Elyse, widząc smutny wyraz oczu Josha. - To był tylko jeden raz, ale z mafią nie ma żartów.

- Skąd wiesz, że Mario nie blefował? - David nie mógł uwierzyć w to, co słyszał.

- Nie wiem. Wiem tylko, że kiedyś Gianni zniknął na dwa miesiące, kiedy Mario mnie pobił. Znowu zagroziłam, że odejdę, wówczas Mario powiedział, że go wyda. Dopóki nie dostałam od brata wiadomości, że jest bezpieczny, moje życie

było piekłem. Nigdy nie powiedziałam Gianniemu o pogroźkach Mario, ale upierałam się, żeby przez cały czas mówił mi, gdzie jest. Zmusiłam go też do obietnicy, że nie będzie więcej kombinował. Teraz, gdy znowu zniknął, przysłała mi białą różę. Zbyt go kocham, żeby ryzykować jego życiem. I Mario o tym wie.

- Co go teraz zdenerwowało?

Elyse zastanawiała się, dlaczego to David zadaje najwięcej pytań, a Josh jest dziwnie cichy.

- Twoja siostra przekonała mnie, żebym robiła specjalną kolekcję samodzielnie. Na początku myślałam, że sobie poradzę, ale teraz widzę, że się pomyliłam. Mario zobaczył, że pracuję nad nowym projektem. Wściekł się i, o ile wiem, pobiegł prosto do Greenpoint.

- Elyse, wiem, że to brzmi może głupio, ale twój brat jest już dorosły i sam za siebie powinien odpowiadać.

Josh słuchał Davida i aż go kusilo, żeby mu przytaknąć, ale czuł, że Elyse się boi. Bardzo chciał jej pomóc. Podejrzewał, że Mario de Marco wcale nie jest taki niewinny. Mógł postawić cały swój majątek na to, że Mario miał swoje sekrety. I Josh postara się je odkryć.

## ROZDZIAŁ DWUDZIESTY DRUGI

O kurde! To jest niezłe. - Buzzy Stoller zaśmiewał się przepitym głosem, który odbijał się po ścianach ciemni.

Nawet w ciemnym purpurowym świetle małej zagraconej salki Zena mogła zauważyć lubieżny błysk w oczach Buzzy'ego.

- Ludzie! Chciałbym wpaść w majtki tej panience na tydzień albo na dwa. Ale dupa!

Zena stała po drugiej stronie z rękoma w pojemniku wypełnionym roztworem do wywoływania. Bujała papierem w cieczy i patrzyła, jak Buzzy przegląda rolkę filmu.

- Wiem, że chciałbyś mi powiedzieć, nad czym pracujesz, więc mów.

Buzzy pokazał rolkę Zenie.

- Mam tu w rękach jeden z najlepszych pornosów, jakie widziałem.

Nie dość, że jest ostry, to na dodatek ta panienska, która tu gra, jest niesamowita.

Wziął film pod czerwone światło, jakby chciał się upewnić, że obiekt jego uwielbienia nie zniknął.

- Jest taka podniecająca, bo nie wygląda na taką, która musi przespać się z każdym, żeby zostać gwiazdą. Wiesz, co mam na myśli.

- Nie sądziłam, że Harry zajmował się czymś takim - powiedziała Zena. Wynajmowała od Harry'ego ciemnię od lat i zawsze uważała, że większość jego klientów to fotografowie z magazynów, katalogów i wolni strzelcy tak jak ona.

- To nie on - powiedział Buzzy, nawijając film na metalową szpulkę. - Facet, który się tym zajmuje niezłe to załatwił. Ja mam z tego trochę szmalu. On załatwia materiał pierwszej klasy. Harry nic o tym nie wie. Świetna sytuacja.

Zena dzieliła z Buzzy'ym ciemnię wystarczająco



długo, żeby wiedzieć, że lubi pogadać podczas pracy. Ale dziś wieczorem nie miała na to ochoty. Miała za dużo spraw na głowie. Terk był na służbowym wyjeździe. Ona zaś miała mieszane uczucia. Była wprawdzie zadowolona, że ma czas do namysłu, jednak musiała przyznać, że bardzo za nim tęskniła. Na pozór Terk zmiękł. Szukał stabilizacji i porządku. Gdy go spotkała pierwszy raz, był żądny przygód. Teraz wydawało się, że patrzy w obie strony, zanim przejdzie przez jezdnię. Zena też się zmieniła. Kiedyś pozwalała, żeby jej życiem rządziły uczucia. Teraz planowała swoje ruchy dokładnie i na zimno. Gdy go rzuciła zamieniała namiętność w żądę kariery. Postawiła sobie pewne cele i pracowała, żeby je osiągnąć, nie pozwalając, żeby coś lub ktoś się w to wmieszał.

- Chcesz zobaczyć powiększenie Ślicznotki? - spytał Buzzy.

- Kogo? - Zena była taka zajęta, że zapomniała zupełnie o Buzzy'ym i jego filmie. - Ślicznotki. Gwiazdy porno, o której ci mówiłem.

Zena się zawahała. Oglądanie bogiń seksu było ostatnią rzeczą, na którą miała ochotę.

- No, nic obleśnego.

Buzzy zeskoczył z krzesła i podszedł do swojej torby.

- Zrobiłem parę dodatkowych, żeby sobie powiesić na ścianie.

Kiedy Buzzy szukał kliszy Zena powiesiła swoją fotografię do wysuszenia. Olbrzymi biegnący nosorożec wpatrywał się złym okiem w małego ptaszka, siedzącego mu na pysku, z którego wyciekała mu przeżuta trawa i długi przejrzysty strumień śliny.

- Oto ona. - Buzzy pokazał zdjęcie Zenie.

Dziewczyna była piękna. Długie, jedwabiste włosy

przykrywały jej nagie ramię. Jedną ręką trzymała kawałek koronki przy piersiach jak tarczę. Przez dziurki Zena ujrzała pełne i jędrne piersi młodej kobiety. Ciemne sutki przedzierały się przez kremową koronkę. Bardziej od pozy dziewczyny zainteresowała Zenę jej twarz. Ślicznotka przed kamerą wpatrywała się śmiało w publiczność, oblizując językiem górną wargę i obiecując przyjemności, które miała do zaoferowania. Oczywiście jednak były pełne dziwnej nieśmiałości. Wyzierał z nich smutek i żal za popełnione błędy. Zena czuła przypływ sympatii do nieznanym. Ona w swoim życiu też żałowała pewnych decyzji, które teraz ją bolały.

Zastanawiała się, co skłoniło tę przystojną dziewczynę, żeby sprzedawać swoje ciało ku lubieżnej satysfakcji innych.

- Wiem, że to brzmi głupio - powiedziała do Buzzy'ego, który krążył nad zdjęciem jak dumny ojciec. - Ale na pewno już ją gdzieś widziałam. Czy ona kiedyś występowała w jakimś normalnym filmie albo była modelką?

- Na pewno nie. Facet, który prowadzi ten interes, trzyma wszystko w tajemnicy. Sprzedaje filmy tylko znanym klientom za kupę szmalu.

Wiesz, paru lubiącym się pieprzyć szefom, którzy mają radochę, jak dadzą znajomym do pooglądania coś ostrego, a później się bawią w „Simon Mówi”.

- „Simon Mówi”?

- No wiesz, najpierw pokazują ci takiego pornosa, a potem każdy łapie swoją panienkę i robi replay.

- A dziewczyna?

- Mówię ci, że wszystko jest naprawdę po cichu. Szef łapie ludzi z ulicy i płaci im kupę szmalu za to, co robią przed kamerą. A te filmy są dlatego takie niezłe, że tło jest zawsze

cacy, a oni też są nieźli.

- Co to za facet? - Zena nie mogła oderwać oczu od Ślicznotki.

- Kto to wie? Założę się, że nazwisko, które mi podał to lipa.

Zena znów spojrzała na zdjęcie. Ślicznotka - kolejne ciało rozszarpywane przez sępy. Zena nie miała wątpliwości, że już gdzieś tę kobietę widziała. Nie mogła sobie tylko przypomnieć gdzie, ale czuła, że musi się dowiedzieć.

- Mario de Marco nigdy już nie będzie cię dręczył.

Jennifer i David stali przy oknie w pokoju Elyse i patrzyli, jak Josh delikatnie głaszcze rękę Elyse. Jennifer wróciła z Los Angeles już tydzień temu. Większość siniaków zdażyła już zzielenieć, jednak Jennifer wciąż mogła zobaczyć, jak brutalny musiał być napastnik.

- Skąd jesteś taki pewny? - spytał David.

- Wynająłem detektywa - powiedział Josh, kierując odpowiedź do Elyse. - Sprawdziłem też jego interesy. Chociaż ma dużo przyjaciół w mafii, nigdy nie wziął od nich ani grosza.

Elyse zbladła.

- Mówiłam ci - powiedziała nieśmiało. - Podlizuje się ich żonom.

Dla nich jest tylko dobrym chłopakiem z Greenpoint. Ufają mu i to mnie przeraża. Powie tylko słowo, a mój brat będzie skończony.

Jennifer przez kilka ostatnich godzin słuchała historii Elyse z detalami i chociaż była przerażona, współczuła jej. Teraz coś w tonie Elyse wzbudziło w niej złość. Niepokoju i troski doświadczała często. Ale ten strach niszczył ją od środka.

Nienawidziła mężczyzny, który to spowodował. Nikt

nie miał prawa sprawiać takiego bólu.

- Dzwoni do niej codziennie - powiedziała Jennifer, powtarzając, co jej powiedział David. - Miał nawet tupet, żeby tu przyjść.

- Wiem to wszystko - powiedział Josh cierpliwie. - Ale już tego więcej nie zrobi. - Kiwnął do Jennifer i Davida, żeby się przysunęli do łóżka Elyse.

- Według mojego detektywa, a jest on dobrym fachowcem, Mario de Marco to zazdrosny Romeo, który zdecydował się zrobić z przyjemności interes.

- Nie mów, że jest alfonsem - głos Davida był pełen obrzydzenia.

- Zupełnie na odwrót - powiedział Josh. - Mario sam się zatrudnia.

Dostarcza usług znużonym, lubiącym się puszczać babkom z bogatych sfer. Mario spotyka je na przyjęciach. Zaprasza na lunch, a gdy nie ma męża idą na zakupy. W sklepie wspomina mimochodem, że podobają mu się spinki do mankietów z lapis lazuli albo że uwielbia kaszmirowe marynarki. Potem idzie z taką chętną do łóżka.

Wtedy Mario zaczyna marudzić, że nie dostał jeszcze ani marynarki, ani spinek. Potem należy do nich, jak długo chcą.

- To obrzydliwe - Jennifer była przerażona.

- Niestety, Jennifer. Mario nie jest jedynym facetem wykorzystującym sfrustrowane kobiety.

David mógł przewidzieć reakcję Jennifer, natomiast Elyse go zaskoczyła. Oczekiwał gniewu i zakłopotania, a zobaczył lekki uśmiech na jej ustach.

Elyse przypomniała sobie, jak kochała się z Mario. Ona bardziej niż kto inny wiedziała, że każda kobieta, która choć raz była z nim w łóżku, będzie chciała być tam zawsze.

- Zazwyczaj to nie trwało długo - mówił dalej Josh. - W końcu mąż wracał, a żona mówiła: kociu żegnaj. Dobrze mu to szło, bo był wystarczająco bystry, żeby się nie wiązać z kobietami, których mężowie mogli mu przetrącić nogi. Ale jednak sprawę spieprzył.

Dosłownie. - Josh pochylił się bliżej do Elyse, która bawiła się sznurkami swojej koszuli. - Jakies cztery miesiące temu spotkał wyjątkowo piękną kobietę, która mieszkała w modnym domu, jeździła po mieście limuzyną i chodziła do Harry'ego Winstona i Bulgari.

Przez pewien czas byli ze sobą, ale ona udawała, że nie rozumie dwuznacznych uwag Mario. Parę tygodni temu zaczął zachowywać się bezczelnie. Powiedział jej, że jego butik ma kłopoty finansowe i potrzebuje wsparcia. Ona odmówiła i chyba to go rozeźliło, bo niezle ją stłukł. To była jego wielka pomyłka.

- Poda go do sądu? - zapytała Jennifer, próbując nie patrzeć, jak Elyse trzyma Josha za rękę.

- Chociaż ogromnie bym chciał, żeby tak się stało, nie rozwiąże to problemu Gianniego. Jednak mój człowiek zaczął za nią chodzić i dowiedział się, że jest kochanką jakiejś grubej ryby z Greenpoint.

Elyse była zbyt oszołomiona, żeby zareagować.

- Powiedziała swojemu sponsorowi, co się stało? - David wciąż nie był pewien, dokąd to wszystko prowadzi.

- Bała się przyznać, że go zdradziła.

- Więc Mario wyjdzie z tego cało? - powiedziała Jennifer.

- Chyba, że jakoś zadziałam - Josh zwrócił się do Elyse. - Przeczuwałem, że Mario nie wie, kim jest jego najnowsza zdobycz, więc zaryzykowałem i złożyłem mu wczoraj wizytę. Powiedziałem mu, czyją jest kochanką.

Dałem mu do zrozumienia, że byłem z nią w kontakcie. Prawdopodobnie ona nic nie powie, ale uświadomiłem mu, że ja mogę to zrobić. Zaproponowałem, żeby dał Elyse rozwód, podzielił interes po równo i zapomniał wszystko, co wie o Giannim.

Gdy odmówił, ostrzegłem go, że jeżeli piśnie słowo o bracie Elyse, za dwadzieścia cztery godziny ta sama osoba dowie się o jego długich rękach.

Jennifer była przerażona po raz pierwszy tego popołudnia.

- A jeśli będzie chciał się zemścić na tobie?

- Nie robi tego. - Głos Elyse był prawie niesłyszalny - Mario boi się silnych mężczyzn. Chyba dlatego wyżywa się na kobietach. Przez to czuje się dowartościowany.

- Można powiedzieć, że już nic od ciebie nie będzie chciał. - Josh pochylił się i delikatnie pocałował Elyse. - Możesz opuścić butik i skupić się na nowym projekcie.

Elyse zabrało kilka minut, żeby się skupić. Pozostali milczeli.

- Skończyłam już wszystkie szkice i gdy stąd wyjdę, zobaczę, jak to wygląda na tkaninach.

Była taka nieśmiała i przerażona, że Jennifer chciała ją przytulić.

- Nie martwmy się tym teraz. Najpierw wyzdrowiej.

- Jak tam w Los Angeles? - spytał David, próbując zmienić temat.

- Mam nadzieję, że wszystko będzie w porządku.

- A ja uważam, że przeszkadzamy Elyse odpocząć - powiedział Josh.

Wstał i spojrzał na Jennifer. - Twój brat przybrał postawę lekarza i widać chce, żebyśmy sobie już poszli. Idziemy.

Wychodząc ze szpitala, Jennifer starała się zrozumieć swoje uczucia. Wpadały na siebie jak samochodziki w wesołym miasteczku.

Ani oburzenie zachowaniem Mario, ani odwaga Josha nie mogły zatrzeć obrazu Elyse Ignącej do Josha.

- Nie mogę uwierzyć, że ten facet naprawdę myślał, że ujdzie mu to na sucho - powiedział Josh, pomagając jej wsiąść do samochodu.

Musiał wiedzieć, że prędzej czy później wpadnie w sidła.

Charles wpadł we własną pułapkę, - Jennifer zastanawiała się, czy on też myślał, że będzie mógł prowadzić podwójne życie. Dużo o nim myślała, kiedy słuchała Elyse. Porównywała swoją sytuację i jej.

To prawda. Charles maltretował ją emocjonalnie. Ale czy robił to umyślnie? Czy chciał ją skrzywdzić tak jak Mario Elyse? Jakoś nie mogła w to uwierzyć.

- Nie bronię go, jednak czasami ludzie robią rzeczy wbrew sobie - powiedziała. Myślała o Charlesie, ale też o Terku.

Od czasu Los Angeles miała wrażenie, że Terk wplątał się w coś, co mogło go zgubić. Chociaż ich związek miał z powrotem aseksualny charakter, byli sobie bliżsi niż przedtem. Wiedziała na przykład, że miał zamiar zostawić Deirdre. Wiedziała też, że chce spłacić resztę długu, ale coś go gryzło. Coś, czego jej nie powiedział.

Chciała mu pomóc, lecz nie wiedziała jak. Było zbyt wiele niewiadomych, które ją przerażały.

- Jak tam Charles? - Josh zatrzymał się przed jej domem.

- Dobrze - powiedziała, szukając kluczy.

- Jennie...

- Josh, proszę cię.

Wziął ją w ramiona i zmusił, żeby spojrzała mu prosto w oczy.

- Kocham cię, Jennifer. Co więcej, myślę, że ty też mnie kochasz.

„Dopiero teraz zaczynam sobie zdawać sprawę, jak bardzo mi na tobie zależy” - pomyślała, żałując, że nie ma odwagi mu tego powiedzieć.

Uniósł jej brodę do góry. Gdy spojrzał jej w oczy, zobaczył w nich miłość. Nagle chciała powiedzieć mu wszystko i zdać się na niego.

Coś jej mówiło, że tak trzeba. Wszystko, oprócz dumy. Wszystko wydawało się takie głupie. Odrzuciła go w młodości w pogoni za marzeniami. Wtedy myślała, że nie dawał jej wystarczająco dużo.

Teraz okazało się, że miał wszystko, ale ona zrozumiała to zbyt późno. To było śmieszne, że w jego oczach i może reszty świata była kobietą silną i pewną siebie. Prawdę powiedziawszy, zawsze polegała na mężczyznach. Najpierw na bracie, później na Joshu, potem na Charlesie, a ostatnio na Terku. Nie mogła już sobie na to pozwolić. Musiała należeć do siebie. Przede wszystkim chciała zaakceptować samą siebie. Dopiero wtedy będzie mogła poświęcić się dla kogoś, dla Josha. Ale do tego czasu musiała być sama.

- Jennifer, nie wiem, co się dzieje w twojej ślicznej główce, ale ja mam nadzieję, że to jakoś załatwisz. Dla naszego dobra.

Jennifer otworzyła drzwi i odwróciła się do Josha zamyślona i trochę przestraszona.

- Ja też mam taką nadzieję - powiedziała.



## ROZDZIAŁ DWUDZIESTY TRZECI

- Nie pozwolę na to!

- Nie wydaje mi się, żebym się ciebie pytał o zdanie - powiedział Terk. - Opuszczam cię i nie ma o czym mówić.

Gdy Terk się pakował, Deirdre spoglądała na niego czerwona z wściekłości.

- Będę walczyć, słyszysz?

Terk zatrzasnął walizkę i zaczął iść do drzwi, ale zabiegła mu drogę.

- Dlaczego? - Terk miał ochotę ją odepchnąć. Chciał już mieć to za sobą. - Pomyśl o tym - powiedział. - Beze mnie możesz już zawsze żyć szczęśliwie. Jestem pewny, że twój ojciec nie będzie się posiadał z radości. Może ci kupi Ohio na otarcie łez.

- Nie rób mi tego. - Deirdre schwyciła go za ramię. - Potrzebuję cię.

- Po co? Jako chłopca do bicia? - Przecisnął się do drzwi. - Zrobiłaś z mojego życia piekło, kochanie.

Otworzył drzwi i przeszedł korytarzem w kierunku schodów. Nie słyszał za sobą żadnych kroków, pomyślał więc, że Deirdre pogodziła się z porażką. Lecz gdy stanął na pierwszym stopniu, usłyszał za sobą jej głos.

- Potrzebuję cię - mówiła płaczliwym, pełnym paniki głosem. - Nie wierzysz mi?

- Szczerze mówiąc, nie.

- Ale ja zawsze ci wierzyłam. Jak myślisz, dlaczego za ciebie wyszłam? Tak jak powiedziałeś mogłam mieć każdego, kogo chciałam.

Miałaś rację. Mogłam. - Schodziła za nim po schodach, prawie krzycząc. - Ale ja potrzebowałam mężczyzny. Mężczyzny, który będzie mnie kochał i pozwoli mi się kochać. Mężczyzny, który sprawi, że będę się czuła jak

kobieta, a nie jak banknot.

- Próbowałem - powiedział. - Bóg mi świadkiem, że próbowałem.

- Naprawdę? - Deirdre stanęła pod kryształowym żyrandolem. - Tak broniłeś swojej dumy, że nie pozwoliłeś mi się kochać. Tylko ze mną walczyłeś.

- Ale ty zawsze wygrywałaś, czyż nie?

- To ty tak myślisz. - Zaczęła płakać. - Do małżeństwa trzeba dwojga, Terk.

Jej słowa raniły go i przez chwilę przyznał jej rację, ale zbyt długo chciał się od niej uwolnić, żeby teraz rozważać zawilości ich małżeństwa. Wziął walizkę i nie patrząc na nią poszedł do drzwi.

- Kocham cię. - Jej słowa były zduszone, ale ukłuły go wystarczająco, żeby się odwrócił.

Siedziała skurczona na podłodze jak połamana lalka, z twarzą schowaną w dłoniach. Gdy spojrzała w górę, po policzkach ciekły jej łzy i przypominała wyczerpane dziecko, które nie chce już bawić się w dorosłych i chciałoby powrócić do mamy.

- Kocham cię - powiedziała znów, łkając. - Nie rozumiesz tego?

Zawsze cię kochałam. Byłeś moją podporą. Nie mogę bez ciebie żyć.

Terk oczekiwał złości, nawet trochę łez, tymczasem w jej oczach zobaczył rozpacz, która go drażniła.

- Dziwnie wyrażasz miłość, Deirdre.

- Zmienię się. Przynajmniej obiecuję spróbować. Tylko nie odchodź.

Pomóż mi, nie umiem inaczej.

Wpatrywał się w nią, jak w kogoś obcego. Wyglądała w tym momencie tak wzruszająco bezradnie!

- Nie wierzę, że umiesz inaczej. Dlatego myślę, że nigdy nie będzie nam ze sobą dobrze.

- Może nam być ze sobą dobrze. Wiem to.

Spojrzała na niego błagalnie, jednak on stał bez ruchu.

- Zawsze byłeś taki, myślałam, że potrzebujesz kobiety, która dorównywałaby ci. Nie chciałam, żebyś mnie odrzucił albo zignorował tak jak mój ojciec matkę. Była słaba i uległa, a on ją lekceważył. Przysięgam sobie, że ze mną nigdy tak nie będzie.

- Może za bardzo przejęłaś się swoją rolą - powiedział Terk zdziwiony. - Już za późno, Deirdre. - Poszedł w kierunku drzwi, chociaż nie był już tak pewny tego co robił, jak na początku.

- Popelniasz błąd. Zobaczysz.

Terk próbował jej nie słuchać, jednak jej głos odbijał się głośnie echem o ściany. Dziwne, lecz brzmiało to jak ostrzeżenie, a nie jak wrogość. Wpatrywał się w kobietę, która była jego żoną. Jej jasne włosy były w nieładzie, atlasowa suknia pognieciona. Deirdre wydawała się taka bezbronna nawet teraz. Przestraszył się, gdyż przez chwilę miał wrażenie, że jakiś magnes ciągnie go w jej kierunku, wbrew jego woli. Szybko przekręcił mosiężną gałkę drzwi.

Zamknięcie tych drzwi za sobą było jedną z najtrudniejszych rzeczy, jakie musiał kiedykolwiek zrobić.

Deirdre nie wiedziała, jak długo leżała na podłodze w korytarzu, lecz gdy w końcu wstała i poszła do biblioteki, nogi jej drżały i było jej zimno. Nalała sobie brandy i dorzuciła trochę drewna do kominka. Po chwili ogień zaczął trzaskać, zapełniając ciszę.

Zastanawiała się, czy Terk jest z Zeną, czy trzyma ją teraz w ramionach i kocha się z nią. Widziała, jak ją głaszcze i pieści, jak ją całuje. Aż wreszcie gorące lzy zburzyły tę

niepokojącą uludę. Nie chciała, żeby tak się skończyło ich małżeństwo, jednak może Terk miał rację. Teraz było już za późno. Więc odszedł. Tak, ojciec będzie wstrząśnięty. Lecz łóżko jej ojca nie będzie puste i zimne z powodu nieobecności Terka, i to nie jego życie nagle stanie się puste.

Deirdre znów nalala sobie brandy i chodziła po bibliotece próbując zebrać myśli. Kochała Terka i chciała go odzyskać. Wymyślała jedną intrygę po drugiej i odrzucała każdą. Tak oto go straciła. Po tym wszystkim Deirdre skontaktowała się z jedyną osobą, która mogła jej pomóc. Zadzwoiła do matki.

## ROZDZIAŁ DWUDZIESTY CZWARTY

Kalendarz Jennifer był przepelniony jak autobus w godzinie szczytu. Przez cały dzień miała spotkania w biurze i na mieście.

Obserwując padający śnieg za oknami, zastanawiała się, czy będzie padało do wieczora. Żałowała, że nie może zmienić rozkładu zajęć.

Mogła sobie pozwolić tylko na lunch z Elyse i na rundkę ping - ponga o 5.30. Miała właśnie zadzwonić do Elyse, gdy weszła Hilary West, ubrana w bryczesy ze sztruksu, kozaczki i kowbojską koszulę z frędzlami.

- Przyjrzyj mi się dobrze - powiedziała Hilary, przesuwając okulary na czubek głowy. - Następnym razem, gdy mnie zobaczysz, będę miała na sobie kaftan bezpieczeństwa.

Hilary opadła na fotel po drugiej stronie biurka Jennifer.

- Może chciałabyś napić się kawy?

Hilary kiwnęła głową, a Jennifer nalala do dwóch filiżanek gorącej kawy z dzbanka, który stał obok biurka.

- Dzięki Bradowi i Gwen nie ma w tym kraju nikogo, kto by powiedział, że jestem normalna. - Hilary łyknęła kawy i mówiła dalej. - Z tego konkursu dziewczyn na okładkę do kwietniowego wydania zrobili niezłe zawody. Przysłali mi co najmniej dwadzieścia świetnych modelek, ale żadna nie ma nic wspólnego z Hawajami. Wydaje mi się teraz, że Nowy Jork jest bardzo orientalnym miastem.

- W żadnej agencji nie ma hawajskich dziewczyn?

- Ani jednej, chyba jednak rozwiązałam nasz problem.

- Nie możemy wysłać załogi na Hawaje. Nie ma czasu!

- Ani potrzeby. Zadzwoniłam na uniwersytet i

spytałam, czy mają studentki z Hawajów. Tu obok czeka parę autentycznych dziewczyn z wysp.

- Nie bądź taka zadowolona. Zobaczymy je.

Hilary wyszła i wróciła po chwili z kilkoma oszałamiającymi dziewczynami. Jennifer uśmiechnęła się do siebie.

Zwróciła uwagę na trzy nerwowe dziewczyny próbując je uspokoić.

Zaczęła rozmowę o szkole i wakacjach, Hilary włączyła kamerę i robiła zdjęcia każdej kandydatce. Następnie podała zdjęcia Jennifer, która stwierdziła, że trzy z nich były do niczego.

Kamera albo spłaszczała ich twarze, albo podkreślała kanty: były nieatrakcyjne. Dwie pozostałe, Nina Kamala i Loki Pouna, były niezłe. Podobała jej się Loki, lecz to Nina Kamala była dziewczyną na okładkę. W jej dużych niebieskich oczach widać było delikatną zmysłowość. Miała gładką, mleczną skórę, która przypominała cappuccino i była kapitalnym podkładem do jasnego, wiosennego makijażu. Jennifer wyobrażała sobie jej zdjęcie z czerwonym hibiscusem - hawajskim kwiatem wetkniętym za ucho i wiankiem kwiatów na nagich ramionach.

Jennifer porozmawiała z każdą i poprosiła o wypełnienie formularzy. Potem Hilary wyprowadziła je do poczekalni.

Po kilku minutach wróciła po decyzję Jennifer.

- Zaprowadź Ninę i Loki do Gwen, Brada, Bettiny i Marcusa - powiedziała Jennifer. - Chyba nie możemy wykorzystać trzech pozostałych do zdjęć, możemy z nimi jednak zrobić wywiady o Hawajach. Jeśli chodzi o ciebie, możesz sobie pogratulować dobrego wyboru. Nina i Loki są doskonale. Dobra robota, pani West.

- Dziękuję, pani Cranshaw - skinęła Hilary. Była rozpromieniona. - Mam jeszcze jedną sprawę. Z tego co wiem, w kwietniowym wydaniu ma być jeszcze jedna kolekcja. Nic o niej nie wiadomo. Jeżeli szukasz modelek, to trochę za późno.

Jennifer uśmiechnęła się do Hilary. Znała się na robocie. Pełna poświęcenia i entuzjazmu.

- Mam modelkę, jednak dziękuję za przypomnienie. Zaraz się tym zajmę. Aha, czy mogłabyś powiedzieć Patrickowi, żeby tu przyszedł?

Czekając na Patricka znów przejrzała swój kalendarz. Dni były pełne spotkań. Jeśli miała jakieś wolne godziny, chodziła na ćwiczenia, od czasu do czasu do teatru z Sarą, albo na obiad z Elyse.

Kiedyś chodziła z Charlesem na koncerty do Filharmonii lub na występy baletu do Nowojorskiego Teatru Stanowego. Była na każdej premierze na Broadwayu. Co robili w weekendy? Jakoś nie mogła sobie przypomnieć. Ostatnio oboje dużo pracowali. Jennifer grała w ping - ponga i w tenisa. Charles grał w piłkę ręczną i pływał.

Czasami przeglądał swoje znaczki, natomiast Jennifer robiła na szydełku. W telewizji oglądali inne programy i czytali inne gazety. Często, życie bez Charlesa było takie samo jak życie z Charlesem. Przeszkadzało jej to.

- Chciałaś się ze mną widzieć? - Patrick stał przed jej biurkiem, jak zwykle roztargniony.

- Chcę, żebyś zrobił dla mnie serię zdjęć - powiedziała, zastanawiając się, dlaczego cały czas patrzył na drzwi. - Jak wiesz, zaprojektowaliśmy specjalną kolekcję do wydania kwietniowego. Chciałabym sfotografować Elyse de Marco w jej własnych strojach.

- W porządku. - Odpalił jednego papierosa od

drugiego. - Czy wiesz, jak to ma wyglądać? Coś specjalnego?

Był trochę nerwowy i dziwnie niepewny.

- Pomysł jest zupełnie nowojorski - powiedziała, uważnie przyglądając się Patrickowi. - „Raj przyjeżdża do wielkiego miasta”. Coś takiego. Sprytne, zgrabne i trochę niekonwencjonalne.

Wymyśl coś. Będzie ci się dobrze pracowało z Elyse, ale nie można podać jej nazwiska. Nie chcę żadnych przecieków do prasy, zanim nie będziemy gotowi z kampanią reklamową.

- Jennifer, ja nie chcę się wplątać w jakieś rozgrywki osobiste.

- O czym ty mówisz?

- Brooke Wheeler właśnie mi powiedziała, że jeśli planujesz jakąś sesję zdjęciową, mam jej o tym powiedzieć, żeby mogła ją nadzorować.

Jennifer była zaskoczona i zła. Brooke znowu przekroczyła swoje uprawnienia, tym razem o krok za daleko.

- Co jeszcze powiedziała Brooke? - Jennifer wiedziała, że Patrick był po jej stronie.

- Powiedziała mi, że Brad zlecił jej nadzorowanie tego projektu.

Poza tym chce znać nazwisko projektanta. Ty mi mówisz, że jest to tajne. O co tu chodzi?

- Nic, z czym nie mogłabym sobie poradzić - powiedziała Jennifer, tłumiąc wściekłość. - Ten projekt ma pozostać tajny. Rozmawiałam o nim tylko z Bradem. Zgodził się, że znajdę projektanta.

- Co mam powiedzieć Brooke? - Żeby się ze mną zobaczyła.

Padał śnieg. Płatki spadając sklejały się w duże białe kulki, które zamieniały się w szarą, brudną breję, gdy tylko



dotknęły ulicy. Jennifer wyszła z General Motors Building, gdzie przez dwie godziny prowadziła rozmowy z Revlonem na temat reklam. Postanowiła pójść do domu na piechotę. Dookoła ludzie tłoczyli się do autobusów i pchali do taksówek. Uważając na śliskie chodniki, Jennifer przemknęła obok grupy przechodniów i kupujących. Był drugi tydzień grudnia i już się zaczęła przedświąteczna bieganina.

Miasto wyglądało szycownie ze sklepami ubranymi w świecidełka i pełnymi świątecznych prezentów.

Gdy przechodziła przez Madison Avenue, oglądając po drodze wystawy, żałowała, że nie może poczuć choć trochę tego nastroju.

Jennifer zawsze cierpiała na depresję w czasie świąt, prawdziwy smutek, który ją przygniał każdego roku. Dla niej był to czas samotności, który przynosił wspomnienia szkolnych ferii spędzanych samotnie w pustym domu, a później nocy w piekarni, gdy inne dziewczyny w jej wieku się bawiły. Piekarnia była otwarta sześć i pół dnia na tydzień od święta Dziękczynienia aż do Nowego Roku, dla Jennifer Świąta były testem na wytrzymałość fizyczną.

Przez ostatnie osiem lat, dzięki Charlesowi coroczna melancholia Jennifer zniknęła w wirze strojenia choinki i chodzenia na przyjęcia. W tym roku nie będzie choinki i chodzenia na przyjęcia.

Nie będzie też żadnych uroczystości u Cranshawów, przynajmniej nie dla Jennifer i będzie jej tego brakowało.

Zazwyczaj był to cudowny dzień, ogień w kominku, mieszkanie pełne ludzi, grzany jabłecznik i mnóstwo kolęd. Zastanawiała się, czy Charles przyjdzie i co powie rodzinie. Jedno było pewne. Będzie na Wigilii u Celeste i Wyatta. To była kolejna tradycja Cranshawów, ale Jennifer nigdy nie brała w niej udziału. Tam nikt nie będzie żałował jej

nieobecności. Gdy o tym teraz myślała, chodząc po sklepach, zdała sobie sprawę, że krótka samotność zawsze prowokowała nawrót świątecznego smutku. Spędzała ten wieczór, czekając na Charlesa i chociaż zawsze znajdowała sobie coś do roboty, oglądała ostatnie prezenty czy stary film w TV, ten wieczór dawał jej wyraźnie do zrozumienia, że nie należy do Cranshawów.

Nagle zaczęła się niepokoić o Charlesa. Zawsze miał takie mieszane uczucia, jeśli chodzi o święta z rodzicami. Uwielbiał tradycję, choinkę i stół pełen jedzenia. Ale Wyatt zawsze był bardzo skąpy w uczuciach i nigdy nie chwalił Charlesa. To dotykało go głęboko.

Rzadko coś mówił, ale Jennifer wiedziała, że to go boli. Teraz wydawało się jej, że wie, że coś go rani, że był zdenerwowany albo zły. Jak mogła być taka wrażliwa na drobiazgi, a tak ślepa na najważniejsze.

Zanim dotarła do 72 ulicy, miała już kilka dużych paczek. Kupiła prezenty na święto Hanuk dla Asy i Lii, piękną, ręcznie robioną sukienkę dla Elyse i szklaną świnkę wypełnioną popcornem dla Mimi, którą odesłała do biura. Przypomniała sobie wtedy, że Mimi mieszka w tym bloku. Pod wpływem chwili nacisnęła dzwonek z jej nazwiskiem „Holden” i czekała, aż Mimi podniesie domofon. Miała już odejść, gdy Mimi się odezwała. Gdy doszła na czwarte piętro, była wykończona. Nie zdawała sobie sprawy, jak męcząca była ta wspinaaczka. Kiedy drzwi się otworzyły, Jennifer zapomniała o zmęczeniu. Mimi wyglądała przerażająco. Miała włosy uczesane w kucyk i była bardzo blada.

- Przechodziłam obok, więc pomyślałam, że zajrzę - powiedziała Jennifer, opierając parasol o ścianę i strząsając śnieg z płaszcza. - Jeśli nie masz nic przeciwko niespodziewanemu gościowi, chętnie bym weszła.

Jennifer nie mogła się zorientować po uśmiechu Mimi, czy była zadowolona z wizyty, czy tylko uprzejma. Wpuściła ją do mieszkania, podnosząc po drodze gazety. Wzięła od niej płaszcz.

Jennifer zdjęła buty i chuchała w ręce.

- Właśnie miałam sobie ugotować zupę - powiedziała Mimi. - Zjesz ze mną?

Jennifer chciała jej pomóc, ale Mimi zajęła się sama obiadem, pokazując Jennifer krzesło. Usiadła na nim i przyglądała się bałaganowi. Mimi była chora z przerwami od kilku tygodni i za każdym razem, gdy coś było nie tak, Mimi wymyślała kolejną chorobę. Utrzymywała, że ma grypę albo przedłużające się przeziębienie. Nigdy jednak nie miała kataru ani kaszlu, które potwierdzały by jej opowiadania. Nawet teraz Jennifer nie mogła zauważyć jakichkolwiek śladów lekarstw, tylko brudne kubki po kawie i puste pudełka po ciastkach.

Mieszkanie Mimi znajdowało się na ostatnim piętrze. Nad sofą było ogromne sufitowe okno. W kątach stały dwa miękkie fotele pokryte narzutą w drobny wzór, dębowy stół z czterema windsorskimi krzesłami i biurko ustawione przy ścianie dopełniały umeblowania.

Mimo bałaganu Jennifer zauważyła, że meble były dobrej roboty, a bibeloty na etażerze z kutego żelaza dość drogie.

Mimi miała kominek, ale nie dawał on zbyt wiele ciepła, ponieważ Jennifer czuła przeciąg.

- Jak się czujesz? - spytała.

- O wiele lepiej. - Mimi stała tyłem do pokoju i mieszała zupę z puszki, jakby jej smak zależał od dokładnego mieszania. Jennifer widziała, że Mimi nie była w nastroju do rozmowy, więc wzięła jedną z gazet leżących obok krzesła.

Była z Houston, otwarta na stronie zawierającej kronikę towarzyską. Od razu wpadł jej w oczy artykuł o Mary - Beth Holden. Twarz na fotografii nosiła silne podobieństwo do Mimi. Mary - Beth miała takie same jasne włosy, może trochę krótsze, tę samą arystokratyczną szyję i ten sam uśmiech, chociaż miała trochę mniejsze, nie tak kuszące usta. Jennifer szybko przejrzała artykuł. Na ślubie panny Holden z Marcusem Canffeldem Eganem towarzyszyły jej dwie młodsze siostry. Przyjęcie odbyło się w posiadłości Holdenów.

Mimi postawiła zupełnie na stole razem z bochenkiem francuskiego chleba i tacką masła. Jennifer była tak pochłonięta detalami ślubu Mary - Beth, że Mimi musiała ją wołać dwa razy, żeby podeszła do stołu.

- Widzę, że twoja siostra wyszła za mąż - powiedziała Jennifer, mając nadzieję, że rozjaśni ponury nastrój Mimi. - Znasz pana młodego?

- No pewnie! O mało sama za niego nie wyszłam. - Głos Mimi był pełen goryczy, lecz nie zazdrości. - Tatuś nie mógł wcisnąć mi tego palanta, więc Mary - Beth załapała się na to czego ja nie chciałam.

- Może to był wybór twojej siostry?

Mimi posmarowała masłem grubą kromkę francuskiego chleba. W jej nastroju było coś twardego, nieustępliwego.

- Wątpię. Moje siostry wiedzą, co dzieje się z dzieckiem, które nie słucha tatusia. Boją się, że je wydziedziczy.

Serwetka Jennifer zsunęła się z kolan na podłogę i gdy schyliła się, żeby ją podnieść, zauważyła purpurową pręgę na nodze Mimi.

Widziała te pręgi już wcześniej i zawsze się chciała o

to spytać Mimi, nigdy jednak nie miała odwagi. Może dzisiaj?

- Byłaś zaproszona na ślub?

- Prawie nie. Nie wolno mi wchodzić na farmę, a co dopiero mówić o salonach. - Jennifer czuła złość i urazę w jej głosie. Chciała uspokoić Mimi, nie wiedziała jednak jak.

Skończyły obiad. Jennifer posprzątała ze stołu. Mimi milczała. Gdy podciągnęła rękawy, żeby pozmywać talerze, Jennifer wyśledziła pręgę na przedramieniu.

- Kochałaś tego Marcusa Egana?

- Nie.

- Więc dlaczego byliście zaręczeni?

Mimi podawała czyste talerze, a Jennifer układała je na małej szafce nad zlewem. Mimi nie spieszyła się z odpowiedzią. Gdy w końcu przemówiła, brzmiało to tak, jakby mówiła raczej do siebie, niż do Jennifer.

- Zawsze starałam się zadowolić swoich rodziców - powiedziała ze wzruszeniem ramion. - Randki z Marcusem były dla mnie tym samym co dobre stopnie w szkole. Próbowałam powiedzieć ojcu, że nie kocham Marcusa i że nie będzie nam ze sobą dobrze, ale ojciec nie chciał mnie słuchać. Marcus Egan był jego protegowanym, żeby przywiązać go do Holden Enterprises trzeba było wżenić faceta w rodzinę. Ja byłam najstarsza.

- A co skłoniło cię do wyjazdu?

Mimi wytarła dłonie w ręcznik i naląła kawy do kubków. Gdy usiadły już na tapczanie, Mimi pochyliła się i spojrzała prosto w oczy Jennifer.

- Lubisz seks?

Pytanie zaskoczyło Jennifer.

- Tak, lubię.

- Ja też. To dlatego nie mogłam wyjść za Marcusa. Nie

był pierwszym facetem, z którym spałam, ale na pewno był najgorszym.

Nie mogłam przecież stanąć przed Bogiem i przysiąc, że pozostanę wierna mężczyźnie, który mnie nie pociągał. Miałabym romans już w czasie miodowego miesiąca, dla mnie byłoby to gorsze niż odmowa ojcu.

- Więc uciekłaś?

- Najdalej jak mogłam. Wcale nie powiedziałam ojcu, jaki był prawdziwy powód. Na pewno myślał, że wszystkie jego córki są dziewicami. Wiem, że nie muszę tego wyjaśniać, lecz wierz mi, nie spałam z połową Teksasu. Prawdę powiedziałam matce. Myślałam, że przynajmniej ona mnie zrozumie. Romansuje cały czas, ale chyba się bała, że jeśli stanie po mojej stronie, to ojciec też ją wyrzuci.

- Wciąż cię to boli?

Mimi podniosła wzrok i Jennifer zdawało się, że zobaczyła w jej oczach łzy, lecz usta Mimi były zaciśnięte.

- Miałam nadzieję, że bardziej będzie mu zależało na moim szczęściu.

- Wyśledził cię aż tutaj?

- Tak. - Mimi wstała z tapczanu i dorzuciła drewna do ognia. - Zaczęliśmy się kłócić i w końcu powiedziałam, dlaczego kopnęłam jego wymarzonego zięcia. Powiedziałam mu, że jego cudowny protegowany jest cholernie kiepski w łóżku. - Stała tyłem do Jennifer, lecz po jej sztywnych ramionach było widać, że ból pozostał.

- Wiesz, co zrobił? - Mimi odwróciła się, ze łzami w oczach. - Powiedział mi, że jestem dziwką i że nie chce mnie więcej widzieć.

Jennifer czuła się, jakby ktoś ją ogłuszył. Czuła złość, żal i smutek. Mimi walczyła ze sobą, żeby się nie rozkleić, lecz gdy z powrotem usiadła na tapczanie, zaczęła płakać.

Jennifer podeszła do niej i wytarła jej oczy chusteczką.

- Mimi, zauważyłam, że co pewien czas masz siniaki na rękach i nogach. Jesteś od dawna chora. Czy to ma coś wspólnego z twoim ojcem?

- W pewien sposób.

- Czy chciałabyś mi o tym opowiedzieć?

- Nie sądzę, żebyś chciała tego słuchać.

- Nie ma się siniaków z niczego.

Mimi szukała papierosów między poduszkami. Zapaliła jednego i patrzyła, jak dym wznosi się ku sufitowi.

- Czy kiedykolwiek słyszałaś o Ślicznotce? - spytała.

- Chyba nie. A powinnam?

- Niezupełnie. Ślicznotka to gwiazda porno. Robi „to” z wynajętymi facetami i w pewnych kręgach jest dość znana.

Jennifer wpatrywała się w Mimi.

- Ty jesteś tą Ślicznotką? - spytała miękko, mając nadzieję, że Mimi zaprzeczy, wiedząc jednak, że powie tak. - Ślicznotka, gwiazda zakazanych filmów, królowa pewnych sfer - to ja.

- Dlaczego?

Mimi zaciągnęła się papierosem, zastanawiając się nad odpowiedzią.

- Pieniądze, zemsta, złość. Może wszystko na raz? Nie jestem pewna.

- Jak to się zaczęło?

- Niezbyt niewinnie. Natknęłam się na faceta. Myślałam, że jest fajny, że będzie niezły w łóżku i byłam raczej bezczelna. Potem powiedział mi, że powinnam występować w filmach, w brudnych filmach. Nie wiem, co mnie napadło, ale się zgodziłam.

- A siniaki?

- Na samym początku wszystko było w najlepszym

porządku. Wszyscy robiliśmy to dla pieniędzy, nawet faceci. Większość robiła coś takiego po raz pierwszy. - Nagle Mimi stała się nieśmiała. - Możesz mi wierzyć albo nie, ale z jednym z nich widuję się regularnie. Naprawdę go lubię, Jennifer. Wiem, że brzmi to śmiesznie, ale on jest naprawdę fajny.

Jennifer nie pamiętała, żeby kiedykolwiek widziała film porno, nie mówiąc już o tym, aby znała kogoś, kto w nich grał. Była zaszokowana i może czuła trochę obrzydzenia, ale Mimi cierpiała i trzeba jej było pomóc.

- A siniaki?

- A tak! Przez pewien czas wszystko było w porządku, lecz potem, ten cały reżyser zaczął mieć dziwne upodobania. Koniec z miłymi facetami. Na ich miejsce zaczął przyprowadzać obleśnych gości, którzy robili sobie dobrze, bijąc dziewczyny. Jennifer, wiem, że próbujesz mi pomóc, ale naprawdę to tylko pogorszyłoby sytuację, gdybym mówiła dalej.

Jennifer objęła Mimi i podniosła jej brodę, żeby spojrzeć jej w twarz. W jej oczach było tyle żalu i upokorzenia, że wszystkie myśli Jennifer o aprobacie czy dezaprobatie zniknęły.

- Nie musisz mi nic mówić, chyba że chciałabyś powiedzieć mi nazwisko tego drania, który cię w to wszystko wpakował.

Mimi się cofnęła.

- Nie mogę tego zrobić.

- Dlaczego?

- Ponieważ naprawdę jest fajny. On też nie miał wyboru. Nie chciał się pakować w ten interes, lecz miał dług do spłacenia.

Po plecach Jennifer przebiegł dreszcz. Zaczęła w niej



kielkować pewna myśl. Za każdym razem, gdy Terk rozmawiał z Mimi, wydawała się ona spięta. Terk też miał dług do spłacenia i był cudownym kochankiem. Powiedział kiedyś, że ma interes na boku. Jennifer potrząsnęła głową. Nie powinna o tym myśleć.

- A co to ma wspólnego z twoim ojcem?

- Wyzywał mnie od dziwek. Chciałam mu udowodnić że do pewnego stopnia ma rację. - Nie mogła powstrzymać łkania. - Czy chcesz wiedzieć, czego najbardziej bym chciała? To już się stało wręcz chorobliwe. Kiedyś modliłam się, żeby mój ojciec i jego wspaniali znajomi, którzy się spotykają, przynajmniej raz w miesiącu, żeby pooglądać pornosy, puścili jakiś, w którym będę grała. Chciałabym tylko, żeby mnie tam zobaczył, kiedy to robię z facetami.

Przydałoby mu się. Upokorzyłoby go to tak, jak on mnie upokorzył.

- Może wystarczająco go zraniłaś, uciekając z domu? Może po prostu nie potrafi wyrazić swojej miłości. Był zły. Nie zastanawiał się co mówi, założę się jednak, że w głębi serca chciał cię spakować i zabrać do domu.

- Dlaczego więc tego nie zrobił? - Mówiła jak mała dziewczynka.

- Ponieważ każdy człowiek, który osiągnął coś w życiu jak twój ojciec, jest cholernie dumny. I uwierz mi, że przez głupią dumę możesz nie zrobić czegoś, co uczyniłoby cię najszcześniejszą na świecie.

- Uważasz, że powinnam pojechać do domu?

- Niekoniecznie.

- Więc co powinnam zrobić? Tak się wstydzę!

- Nie zmarnuj tego doświadczenia. Znajdź coś pozytywnego.

- Znalazłam Michaela.

- Teraz znajdź siebie.

- Kiedy to mówisz, wydaje mi się to takie łatwe.

Mimi nie wiedziała, że Jennifer także szukała siebie, że walczyła z duszącym uściskiem dumy.

- Nie można się poddawać, Mimi.

- Jesteś bardzo silna, Jennifer.

„Tylko tak ci się wydaje - pomyślała Jennifer - lecz musi mi się udać”.

## ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIĄTY

Jennifer była zajęta przez cały dzień i chociaż chciała już iść na doroczne przyjęcie świąteczne Jolie, miała jeszcze parę rzeczy do zrobienia. Szybko przeczytała dokumenty, zaznaczając ołówkiem poprawki. Potem zajęła się telefonami. Trudno było odcyfrować pismo Mimi, ale z tego, co Jennifer mogła odczytać nie było tam nic pilnego. Zainteresował ją jednak jeden telefon. Matka dzwoniła dziś rano - żadnej wiadomości - chciała pogadać. Rose nigdy nie dzwoniła do biura, a na pewno już nie teraz przed Świątami. Mimo że piekarnia była pełna klientów, matka zadzwoniła. Zaczęła wykrecać numer. W tej chwili Mimi wsadziła głowę.

- Jennifer, masz gościa.

Zanim mogła zaprotestować, Mimi wprowadziła Celeste Cranshaw.

- Mam nadzieję, że nie przeszkadzam. - Mimi wyszła, a Celeste stała przy drzwiach, czekając na zaproszenie.

Jennifer odłożyła słuchawkę i przyjrzała się teściowej. Mógł być tylko jeden powód tej wizyty, Jennifer jednak nie była przygotowana, żeby rozmawiać o Charlesie. A już na pewno nie z jego matką.

- Oczywiście, że nie! Co za miła niespodzianka!

Jennifer wstała i podeszła do niej, mając nadzieję, że usta były jej posłuszne i uśmiechnęły się.

- Właśnie kończyłam.

- Twoja sekretarka wspomniała coś o przyjęciu. Może to nie jest dobra pora?

Jennifer mogłaby się z nią zgodzić.

- To tylko przyjęcie biurowe - powiedziała. - Będzie trwało parę godzin. Mam mnóstwo czasu. - Pomogła Celeste rozebrać się z płaszcza i poprosiła, żeby usiadła. Kiedy sama usiadła, zdała sobie sprawę, że po raz pierwszy w życiu jest z

Celeste sama.

Zrobiło jej się niedobrze i sięgnęła po papierosa.

- Spytałabym, jak się czujesz, lecz widzę, że wyglądasz wspaniale - powiedziała Jennifer. W rzeczywistości, Celeste wyglądała kiepsko. Miała zmęczone oczy i żółtą skórę.

- Dziękuję ci, kochanie. Ty też wyglądasz świetnie. Sądzę, że nigdy cię w tym nie widziałam. - Celeste powiedziała to miłym głosem, chociaż z dozą dezaprobaty.

Na początku Jennifer nie zrozumiała. Potem przypomniała sobie, że jest ubrana w jedną z kreacji pomysłu Elyse. Celeste nigdy nie widziała Jennifer w spodniach. Były plisowane, zwięźały się przy kostkach. Malinowy sweter z angory z tweedowymi rękawami i szerokie ramiona nie musiały się Celeste podobać.

- Odkryłam nową, wspaniałą projektantkę, Elyse de Marco. - Dlaczego tak się tłumaczy przed teściową? - Widzę, że ty też byłaś na zakupach. - Jennifer wskazała na torby od Saksa z Piątej Alei stojące obok Celeste. Przez sekundę myślała, że się pomyliła co do celu jej wizyty. Może była to tylko wizyta, ot tak sobie.

- Byłaś u Bloomingdale'a? - spytała gadatliwym, dziewczęcym głosem. - Mają świetny butik na V piętrze. Jest zaopatrzony w najlepsze...

- Rozmawiałam z Charlesem dziś rano - ucięła Celeste. - Dzwonił, żeby mi powiedzieć, że nie będziesz u nas na świątecznym obiedzie.

Czy mogę spytać dlaczego?

Jennifer nie wiedziała, czy władczy ton Celeste wynikał ze złości, czy ze zmartwienia. Złość w niej zawrzała. Jak Charles śmiał postawić ją w takiej sytuacji? Jak śmiał pozostawić jej wyjaśnienia?

- Co Charles powiedział?

- Powiedział mi, że zdecydowałaś się na separację.

Czy to prawda?

W pierwszym odruchu Jennifer chciała się roześmiać. Celeste powiedziała to takim tonem, jakby separacja wynikała z rozsądnej rozmowy między dwojgiem rozsądnych ludzi. „To nie tak - chciała krzyknąć - znalazłam go w łóżku z mężczyzną”.

- Tak, to prawda. - Jennifer przełknęła swoje myśli, krzywiąc się od niesmaku, jaki pozostawiły jej w ustach.

- Czy to Charles zawinił?

Oddech Jennifer zamarł w gardle. Czy mogła wiedzieć coś o Charlesie? Nie. Nawet jeśli coś podejrzewała, to wolała żyć w niewiedzy. Jennifer nie mogła pogodzić się z tym, że broni Charlesa. Myślała też, żeby roztrzaskać iluzje Celeste o jej kochanym syneczku. Ale nie mogła.

- To nie była czyjokolwiek wina - powiedziała patrząc w bok.

- Czy to ja zrobiłam jakiś błąd?

Pytanie zaszokowało Jennifer. Przez tygodnie była opętana poczuciem winy. Czowała, że największa część winy spoczywała na Charlesie, jednak Celeste w pewien sposób też była odpowiedzialna.

Uważała także, że Wyatt przyczynił się do homoseksualizmu Charlesa.

- Zawsze byłaś dla mnie cudowna, Celeste. To nie ma z tobą nic wspólnego. - Jennifer poczuła ból w kręgosłupie i gdy sięgnęła po kolejnego papierosa, skrzywiła się z bólu.

- Miło, że tak mówisz, lecz wiem, że nie zawsze było łatwo być panią Cranshaw. Wyatt nie zawsze był taktowny, a i moi synowie też cię strasznie zranili. Nic nie mogę na to poradzić, lecz wydaje mi się, że powinnam była coś z tym

zrobić.

- Po prostu, nie było nam z Charlesem dobrze. - „Czy kiedykolwiek było nam ze sobą dobrze?” - pomyślała.

- Jest jakiś inny mężczyzna?

„O ironio losu” - pomyślała Jennifer.

- Nie. - Jennifer znów ujrzała Charlesa w ich sypialni.

Usłyszała odmowę Josha. - Nie ma nikogo innego.

- Może gdyby były dzieci - powiedziała Celeste na wpół do siebie.

- Dzieci nie trzymają ludzi razem.

- Czasami tak.

Jennifer była coraz bardziej skrępowana. Celeste była zdecydowana znaleźć powody i odpowiedzi. Jennifer mogła ich dostarczyć, lecz cały czas trzymała język za zębami. Dalej ukrywała prawdę. Nie po to, żeby chronić siebie albo Charlesa, ale żeby chronić Celeste.

Prawda najbardziej zraniłaby ją.

- Być może - powiedziała. - Ale w naszym przypadku to już bez znaczenia. Nie ma dzieci.

Celeste kiwnęła głową i poszperała w torbie. Jennifer przesunęła się na krześle, próbując znaleźć pozycję, która sprawiłaby jej ulgę.

- Czy nie lepiej byłoby to jakoś rozwiązać? Charles jest rozsądny, ty jesteś inteligentna. Chyba można dojść do porozumienia?

- Chyba nie.

- Ale w takim razie zostaniesz sama - powiedziała szeptem. - Nie ma nic bardziej straszniejszego niż być samotną.

Dopiero wtedy Jennifer zorientowała się, że Celeste mówiła kodem.

Nie była szczęśliwa z Wyattem, ale wolała wybrać kompromis, niż przyznać się do pomyłki. Chciała, żeby był

spokój, żeby nie była sama. Ta myśl przyprawiła Jennifer o dreszcze.

- Wszystko będzie dobrze - powiedziała. - Mam pracę i, jak na razie, to mi wystarcza.

- Tak. - Spojrzenie Celeste było łagodne. Wyciągnęła rękę do synowej. - Wiem, że to daje satysfakcję, ale nie czyń z niej sensu swojego życia, Jennifer.

- Mówisz tak jak moja matka. - „I tak samo jak Josh, David i nawet Charles.” Celeste roześmiała się i poklepała Jennifer po ramieniu.

- Więc na pewno powinnaś słuchać matki.

Wstała z krzesła i podeszła do jednej z toreb, wyjęła pakunek i wręczyła go Jennifer.

- Miałam zamiar dać ci ten prezent na Święta. - Nieśmiały uśmiech przebiegł przez jej usta. - Zamówiłam go już dawno temu. Mam nadzieję, że nie jest teraz nie na miejscu.

Jennifer otworzyła pudełko. W środku były dwie ozdoby na choinkę spłaszczone z jednej strony. Było tam miejsce na zdjęcie jej i Charlesa, na którym siedzieli na podłodze przed choinką u Cranshawów ze wstążkami od pudełek po prezentach zawieszonymi na szyi. Ich twarze były jasne i radosne. Jennifer czuła, że drżą jej ręce.

- Wygląda cudownie. - Miała łzy w oczach.

- Jesteś dla mnie kimś bardzo ważnym, Jennifer. Nie chcę cię stracić. - Głos Celeste załamał się. Coś drgnęło w Jennifer, dzisiaj rozumiały się. Jennifer żałowała tych wszystkich lat, kiedy uważała Celeste za karykaturę, za szkic bez treści. Myliła się. Miała przed sobą prawdziwą kobietę.

Jennifer uściśnęła Celeste, zastanawiając się, dlaczego nie uściśnęła jej nigdy przedtem. Gdy ramiona Celeste odwzajemniły jej uścisk, Jennifer pozwoliła sobie na łzy. Nie

wiedziała, czy jeszcze kiedykolwiek zobaczy Celeste.

Salę wypełnił świąteczny nastrój. Sosnowe girlandy wisiały na ścianach. Neon Ananasa wisiał przed ekranem, kapiąc od świecidełek. Olbrzymia choinka stała z boku sali przystrojona ozdobami, które przynosili wszyscy.

Większość gości bawiła się przy dźwięku kolęd, ściskając się za ręce i życząc wszystkiego najlepszego. Tylko Brad wyglądał nieswojo. Stał przy barze z pogardliwą miną. Przez godzinę siedział przed biurkiem Selwyna Fellowsa. Przez dwa dni prosił o spotkanie, lecz sekretarka odpowiadała jak nigdy wymijająco, prawie lakonicznie. Dzisiaj, wiedząc, że Fellowss miał jechać na Święta gdzieś na wyspy Bahama, zdecydował się wziąć sprawy w swoje ręce. Tymczasem Fellowss musiał mu umknąć tylnymi drzwiami.

Za miesiąc zamkną numer kwietniowy, a cyfry przekraczały najśmielsze oczekiwania. Mieli o 70 stron reklam więcej niż normalnie w kwietniu a wciąż dostawali nowe zlecenia. W ostatnim tygodniu, średnio droga firma z ubraniami sportowymi Morceaux, która dawała ogłoszenia do Jolie dwa lata temu, zamówiła sześciostronicową wkładkę. W ostatnim miesiącu widać było wyraźny wzrost nakładu. „Neiman and Marcus” zgodził się na płatną reklamę, zapisując na nią kilka swoich sklepów w dużych miastach. W projekt zaangażowały się poważne domy handlowe. Nawet druga promocja szła nieźle. Ponad 700 sklepów ubiegało się o Wielkiego Ananasa.

Brad powinien być zachwycony, lecz zżerała go panika. Po pierwsze, zbyt wiele było dziełem przypadku. Wyglądało na to, że to ta sama ręka, która spychała Jolie w dół, teraz ją podnosiła. Po drugie, na nic się to wszystko nie zda, jeśli nie będzie mógł przekonać Fellowssów, że sytuacja się poprawia. Poszedł do biura szefa z papierami i przemową,



która, miał nadzieję, zapobiegnie sprzedaży.

Fellows nie miał powodu, żeby go aż tak unikać. Chyba że sprzedaż była już faktem dokonany.

- Czy dostałeś prezent, który ci zostawiłam? - Głos Brooke Wheeler przeraził go.

- Tak, dostałem. To było cudowne, Brooke. Trochę ekstrawaganckie, ale bardzo mi się podobało.

Nie powiedział jej, że odesłał zapalniczkę Cartier tego samego dnia, kiedy ją dostał.

- Mam dla ciebie jeszcze inny prezent, ale musisz go odebrać osobiście.

Brad tego oczekiwał. Gdy sączył whisky, czuł, że krew mu zaczyna krążyć szybciej. Mimo hałasu przyjęcia słyszał, jak Brooke zaprasza go do siebie i słyszał, jak jej odmawia. To był jego triumf. Brooke wyglądała sensacyjnie. Gęsta, miodowa grzywa opadała jej na oczy. Miała na sobie zamszowe spodnie i sweter.

Wiedział, że jeśli popatrzy na nią dłużej, może zmięknąć. Czuł, że Brooke go całuje, a zapach piżma przepelnia mu nozdrza. Spędzili już jeden wieczór razem. Żałował tego. Wiedział, że Brooke chce go wykorzystać. Znalazł się na linii i musiał utrzymać równowagę. Ona chyba myślała, że ich jednorazowe zbliżenie upoważnia ją do czegoś. Cały czas narzekała na Jennifer, była coraz bardziej bezczelna i zachłanna w swoich żądaniach. Chciała zająć miejsce Jennifer. Brad, wciąż kwestionując poświęcenie Jennifer, nie dawał Brooke definitywnej odpowiedzi. Zauważył jednak, że pyta go o rozwód, o nazwisko prawnika, który zajmował się sprawą, o imiona dzieci. Nie było wątpliwości, że w momencie, kiedy ją odrzuci, Brooke będzie chciała się zemścić. Pomylił się co do Brooke, miał tylko nadzieję, że nie będzie to mieć fatalnych skutków.

- Wesołych Świąt, kochanie. - Brad był tak zadowolony, widząc Gwendolyn Stuart, jak nigdy. Nachyliła się i pocałowała go w oba policzki. Zaszczyciła Brooke jednym całusem w policzek i lekkim szturchnięciem.

- Właśnie widziałam dowody na to, że Nina Kamala jest boska.

Kwietniowe wydanie będzie po prostu przebojem.

Podniecenie Gwendolyn było zaraźliwe i po raz pierwszy od paru dni Bradowi powróciła nadzieja. Gwen mówiła głośno o sukcesie sesji, wychwalając Jennifer.

Brad wyczuł niezadowolenie Brooke, ale nie starał się wprowadzić jej do rozmowy. Gdy Gwen zaczęła wymieniać z detalami raport Marnie Dobbs z Hawajów, Brooke przeprosiła i odeszła. Brad obserwował ją przez ramię Gwen. Drgnął, gdy zobaczył mściwe spojrzenie w jej oczach.

- Właśnie straciłaś doroczną komedię pod tytułem „Brooke and Brad show”. - Terk przywitał Jennifer przy drzwiach, wręczył jej kieliszek białego wina i wprowadził do sali.

- Nie wiedziałam, że mieli występować.

- W zasadzie to był pokaz prywatny, ograniczony do paru osób, które im się przyglądały. Powinnaś była to zobaczyć. Ociera się o niego i szepcze mu coś tam do ucha. On rozgląda się po pokoju, a potem patrzy na Brooke z pożądaniem w oczach. Ona naciska go delikatnie biodrami. On zwleka z pocałunkiem, a po chwili cofa się. Gadają. Gwen wchodzi z prawej strony. Brooke wychodzi na lewo. Ale to było śmieszne!

Jennifer nie spodobało się opowiadanie Terka. Potwierdziło tylko jej podejrzenia co do Brooke.

- Na pewno warto na ciebie czekać, ale dlaczego, do cholery, przyszłaś tak późno? - Terk spojrzał na Jennifer. -

Zaczynałem już myśleć, że nie przyjdiesz.

- Miałam gościa. - Spotkanie z Celeste wpłynęło na jej nastrój i gdy popijała wino, próbowała wywołać w sobie odrobinę entuzjazmu.

- Czy był to wysoki, czarny, przystojny nieznajomy? - spytał Terk.

- Raczej nie. To była moja wkrótce eks - teściowa.

- To musi chyba być święto lasu. Moja teściowa wzięła mnie dziś na lunch.

- I jak?

- Ciekawie.

- Jak tam Deirdre? - spytała, zdając sobie sprawę, że wcale nie spytała Celeste o Charlesa.

- Nie za bardzo, według Winnie. Raczej jej wierzę, bo nie lubi się wtrącać. Deirdre zamknęła się w swoim pałacu i nie chce widzieć nikogo, z wyjątkiem matki. Nawet wielkiemu Parkerowi Wallingowi odmówiła audiencji i to było bardziej sensacyjne niż wszystko inne, co Winnie powiedziała.

Ostatnio Terk zaczął się zastanawiać, jak inaczej mogłoby być, gdyby postawił się ojcu Deirdre. Nawet gdyby z nim przegrał, mógłby wygrać Deirdre.

- A jak tam Zena? - Jennifer zauważyła Mimi z jej chłopakiem Michaeliem przy bufecie.

- Pracuje o wiele za dużo. Noc po nocy zamknięta w jakiejś ciemni.

Ledwo ją widuję.

- Mówisz jakbyś był zazdrosny. - Jennifer zastanawiała się, czy Charles czuł to kiedykolwiek w ten sposób.

- Trudno jest rywalizować z soczewkami. Chociaż muszę przyznać, że pracowałem nad lampami błyskowymi.

Świetnie idzie, ale przydałoby mi się więcej praktyki. Jesteś zainteresowana?

- Zafascynowana, ale nie, dziękuję.

W głosie Terka był nerwowy ton, który zaniepokoił Jennifer. W Los Angeles Terk mówił o Zenie z szacunkiem, jak o prawdziwym aniele, z aureolą i ze skrzydłami. Przez czas rozłąki wyidealizował jej obraz. A teraz mówił jakby był rozczarowany. Zakochał się we wspomnieniach.

- Poznałeś przyjaciela Mimi? - Jennifer wskazała na bufet i odwróciła się do Terka, żeby zobaczyć jego reakcję. Nie było żadnej. Patrzył bez wyrazu.

- Nie, a powinienem?

- Myślałam, że jesteście przyjaciółmi, ty i Mimi?

Jennifer nie chciała tego mówić, jednak tyle rzeczy układało się w całość.

- Mimi jest moją przyjaciółką, sekretarka Brada jest moją przyjaciółką, ale to nie znaczy, że przychodzą do mnie spytać się, co myślę o ich chłopakach.

Spojrzał w kierunku Mimi.

- Wygląda dość miło. Dlaczego robisz za mamuszkę?

- Bo lubię Mimi, a ona ma teraz trudny okres.

- Jaki trudny okres?

Jennifer czuła, że żołądek jej drży.

- Dała się wplątać w coś, co nie jest zupełnie w porządku.

Jennifer nie wiedziała, jak daleko prowadzić tę rozmowę. W końcu miała tylko pewne podejrzenia. Jeśli nie miała racji, zdradziłaby zaufanie Mimi. A jeśli miała rację? Nie wiedziała, co zrobiłaby, gdyby tak było. Nagle przestało to mieć jakiegokolwiek znaczenie. Z drugiej strony pokoju ktoś do niej krzyczał.

To David przepychał się przez tłum, wyglądał

przerazająco.

Jennifer przypomniała sobie telefon od matki. Dlaczego nie oddzwoniła? Może Marty znów się poparzył, tak jak parę lat temu?

Może był chory? Albo Sara była chora? Nie, David nie przychodziłby tutaj, gdyby było coś nie w porządku z Sarą albo z dziećmi. To Josh. Coś się stało Joshowi.

- Jennifer, chodź ze mną. - David chwycił ją za ramię i szybko wyprowadził z sali.

- Co się stało? Coś nie tak? - Serce jej drżało i poczuła chłód.

David podprowadził ją do fotela.

- Próbowałem się z tobą skontaktować - powiedział. - Sara już dzwoniła do Charlesa do biura.

„Dlaczego miałyby dzwonić do Charlesa w sprawie Josha”. - Jennifer myślała gorączkowo. Nazwiska, twarze, sytuacje, każda była bardziej zatrważająca od drugiej.

- Coś się stało Celeste? - Gdyby powiedział, że tak, czułaby się strasznie, a gdyby powiedział, że nie? - Właśnie tu była. To był wypadek?

- To nie Celeste. To mama. - Jennifer zaczęła się trząść. Pytania cisnęły się jej na usta, lecz nie mogła wydusić z siebie ani słowa. - Miała atak serca.

- O Boże! - Jennifer poczuła, że brak jej tchu. Usta jej wyschły, cała się trzęsła, nie panowała nad sobą. - Przecież dzwoniła do mnie dziś rano.

- To się stało godzinę temu.

- Nie zadzwoniłam do niej. - Głos Jennifer był zdławiony, prawie niezrozumiały. - Byłam zajęta, a potem przyszła Celeste. Zaczęłam dzwonić, ale... Byłam zajęta...

David usłyszał w jej głosie poczucie winy. Wziął ją w ramiona i utulił jak dziecko.

- Ale wyjdzie z tego, prawda? - zapytała i spojrzała na niego błagalnym wzrokiem. - Widziałeś ją. Pomożesz jej! Zrobisz to, David?

Na jej twarzy malowało się to samo bezgraniczne zdziwienie, które widział gdy miała 13 lat i była owinięta w bandażę. Wtedy nie mógł jej pomóc. Teraz też był bezradny.

- Jennifer, ona nie żyje.

## ROZDZIAŁ DWUDZIESTY SZÓSTY

W biurze przedsiębiorcy pogrzebowego było za gorąco i za jasno.

Jennifer próbowała się skoncentrować.

- Jak się pisze „Sheldon”? - Za olbrzymim biurkiem siedział wysoki mężczyzna z gęstymi, czarnymi włosami i ziemistą cerą. - Czy pański ojciec życzy sobie grób z płytą, czy bez? Czy chcieliby państwo zamieścić nekrolog w prasie?

Jennifer nie była w stanie skupić uwagi na zadawanych pytaniach.

To David odpowiadał z zimną precyzją i gdyby koło niego nie siedziała, myślałaby, że jest tak opanowany. Ale co chwila czuła, że David drży, a na jego dłoniach widziała kropelki potu.

Pokój był specjalnie wytłumiony. Wszystko było bladoniebieskie.

Obrazy przedstawiały spokój niebios i błogość szczytów górskich.

- Pani Cranshaw. - Mężczyzna mówił do niej. - Potrzebuję pani pomocy, żeby wybrać ubranie dla pani matki? - Jennifer wpatrywała się w niego bez słowa. - I czy mogłaby pani powiedzieć, jak pani matka czesała włosy i czy się malowała. Chcemy ją odpowiednio przygotować. - Jennifer poczuła, że jest jej niedobrze. - Wiem, że to jest trudne, pani Cranshaw, lecz potrzebuję pani pomocy. Może ma pani jakąś fotografię matki?

- Być może, w domu, nie jestem pewna. - Jak on mógł oczekiwać od niej myślenia. Mówił o jej matce w czasie przeszłym. Używał takich słów jak „zmarła” i „ciało”. Chciał znaleźć dla niej „miejsce wiecznego spoczynku”.

David sięgnął do kieszeni, wyjął portfel i wręczył mu

zdjęcie. - Ściągnięte do tyłu - powiedziała szybko, mając nadzieję, że skrępowanie, jakie czuła, nie przekształciło się w rumieniec.

- Nosiła włosy zwinięte do tyłu ze spinkami. Choć nigdy się nie trzymały. Zawsze odsuwała je z twarzy. I uwielbiała różową szminkę. Nie pasowała jej do włosów, ale taką właśnie lubiła.

Różową. Im różowsza, tym lepsza.

Gorące łyzy ciekły jej po twarzy. Ile razy próbowała zmusić Rose, żeby zmieniła uczesanie, ile szminek jej przynosiła. Chyba dla nikogo nie miało to znaczenia, więc nie mogła zrozumieć, dlaczego teraz miałyby mieć znaczenie dla niej.

- Dziękuję, pani Cranshaw. - Mężczyzna uśmiechnął się do niej. - Będzie wyglądała cudownie, zapewniam panią. - Wstał z krzesła i podszedł do drzwi. - Jeśli zechcą mi państwo wybaczyć, mam kilka rzeczy do zrobienia.

Jennifer wpatrywała się w pusty fotel, a później zwróciła się do Davida:

- Czy kiedykolwiek powiedziałam jej, że ślicznie wygląda?

Brat pocałował ją delikatnie, smakując jej słone łyzy. Wytarł jej oczy chusteczką, a potem swoje własne. Wilgotne kosmyki włosów przyłgnęły do policzków Jennifer. Delikatnie odsunął je na bok.

- Uważała, że jesteś piękna.

Jennifer kiwnęła głową. Było tyle jej zdjęć w całym domu rodziców i wycinków z gazet przypiętych za kasą w piekarni. Dlaczego nigdy nie miała zdjęcia Rose?

- Ciągle jest tyle rzeczy, które chciałabym jej powiedzieć - powiedziała. - Nie jestem przygotowana na jej śmierć.



- Nigdy nie jesteśmy na to gotowi - powiedział, próbując zapomnieć twarze pacjentów, których stracił i rodzin, które pocieszał.

- A właśnie zaczynałyśmy się rozumieć.

David przypomniał sobie wszystkie walki między Jennifer a Rose, w których był rozjemcą. Cały ich gniew. Wtedy uważał, że to część pewnego procesu, ale teraz, widząc smutek, który ogarnął Jennifer, wiedział, że pamiętała o tym i cierpiała.

- Rozumiała cię lepiej, niż myślisz.

Wziął ją w ramiona i oboje płakali, trzymając się jak dzieci w czasie burzy.

- David? - Wyrwała się z jego uścisku, drżała blada. - Czy byłam dobrą córką?

Zanim mógł odpowiedzieć, przedsiębiorca pogrzebowy wrócił z kartką papieru w rękę i kluczem.

- Doktorze Sheldon, pani Cranshaw, czy zechcieliby państwo pójść za mną?

- Gdzie idziemy? - Jennifer była przerażona. Rose tam była, w tamtym budynku. On tak powiedział. Czy chciał, żeby ją zobaczyli?

Jennifer nie chciała iść.

- Musimy wybrać trumnę dla państwa matki.

Wyprowadził ich z biura przez korytarz, do słabo oświetlonego pokoju. Było tam zimno. Jennifer poczuła przeszywający chłód. Na okrytych dywanami katafalkach stały wzory trumien o różnych kształtach, z różnych materiałów, każdy lekko podświetlony reflektorem. Obicie było ciemne i stwarzało iluzję, że trumny krążą w powietrzu. Jennifer czuła, że mdleje. Właściciel wyjaśniał im każdy szczegół, prowadząc Davida od jednej do drugiej. Mówił monotonnym głosem, który przekształcał się w głośnie echo.

Jennifer stała przy drzwiach, wpatrując się w trumny. Wszystko się zamazało. Przez chwilę wyobrażała sobie, że wślizguje się pod ziemię do hebanowej groty. Ochryple szepty witały ją w krainie zmarłych. Nie widziała nikogo, ale słyszała. Walili w trumny, próbując się wydostać, błagając, żeby im pomogła.

- Nie mogę - krzyknęła. - Nie mogę tego zrobić.

David podbiegł do niej i wziął ją za rękę. Kierownik zakładu pogrzebowego odwrócił się gwałtownie w jej kierunku. Okropny widok zniknął i wówczas zaczęła płakać.

- Nie chcę niczego. Nie chcę, żeby mama była w trumnie. Chcę, żeby mama żyła.

Było bardzo zimno, a ostry, dudniący wiatr wył na ulicach, burząc kruchą ciszę kaplicy. Witraże wpatrywały się w nieustępliwość zimy, a jasne tęcze otaczały ołtarz jak babie lato. Rose Sheldon leżała w otwartej trumnie na poduszkach z białego zamszu, otoczona dwoma koszami białych kwiatów. Marty Sheldon stał obok żony, chwiejąc się i płacząc. Jego udręka i ból odbijały się po wysoko sklepionych ścianach i pustych ławkach. Modlił się, łkając. Błagał Boga, by mu pomógł. Ale przede wszystkim mówił Rose, jak ją kocha, jak rozpaczliwie będzie wyglądało jego życie bez niej. David stał obok niego z twarzą zoraną smutkiem, a po policzkach ciekły mu łzy. Sara próbowała pocieszyć go i gdy Jennifer przyglądała się temu z głębi kaplicy, jej wrażenie osamotnienia wzrastało. Ojciec był z Rose, David z Sarą, a jej jedynym towarzyszem był pulsujący, nieustępliwy smutek. Ostatniej nocy jej towarzyszami były dziewczęce zabawki i wspomnienia z dzieciństwa. Przez całą noc została w swoim pokoju i mimo środka uspokajającego, który dał jej David, nie mogła spać. Wspomnienia krążyły dookoła niej w ciemności. Szczęśliwe i smutne chwile, jedno po drugich.

Chciała mieć jeszcze jedną szansę, żeby być lepszą córką. Było tyle rzeczy, które mogła zrobić inaczej. Tyle słów, których nie będzie już mogła nigdy powiedzieć.

- Jennifer?

Głos Charlesa uderzył ją jak policzek. Zesztywniała i gdy odwróciła się do niego, zaczerwieniła się.

- Przyszedłem, żeby być z tobą - powiedział. Szare cienie obramowały jego oczy i zauważyła dziwny szaro - żółty odcień jego skóry. Podeszedł, żeby ją uścisnąć, ale się cofnęła.

- Ja także chciałem towarzyszyć twojej matce.

Jennifer spuściła wzrok. Ostatnio często próbowała zebrać się na odwagę, żeby z nim porozmawiać, ale za każdym razem rezygnowała.

Zostawiała jego listy bez odpowiedzi, nie odpowiadała na telefony.

- Mogę ci w czymś pomóc?

- Zrobiłeś już dość. - Poczula w swoim głosie ostrość i natychmiast jej pożałowała. - Przepraszam, nie chciałam tego tak ująć - wyjąkała. - Chciałam powiedzieć, że to bardzo miło z twojej strony, że przyniosłeś ubrania.

Charles przyjechał do Marty'ego, gdy ona z Davidem byli w kostnicy. Gdy przyjechali, już go nie było, ale zostawił walizkę z jej rzeczami. Wszystko, czego mogła potrzebować na tygodniowy pobyt razem z tym, co miała na sobie dzisiaj.

- Naprawdę, zawsze miałeś wyśmienity gust - powiedziała przesuwając palcami po czarnej sukience z jedwabiu. - Nie musiałeś kupować tego wszystkiego dla mnie.

Oczy Charlesa przesłoniła mgła. Gdy przemówił, jego słowa były wyważone.

- Zmieniłaś zamki. Nie chciałem cię nękać prosząc o

klucze.

Była zakłopotana. Zaczerwieniła się i spojrzała w bok. Gdyby przyszedł do niej, dowiedziałaby się, że zupełnie wyrzuciła go ze swojego życia. Zniszczyła nawet najmniejszą pamiątkę, wypełniając jego obecność próżnią, jakby nigdy nie istniał. Ze zdziwieniem zaczęła czuć dla Charlesa podziw. Przychodząc tutaj, dowiódł w pewien sposób odwagi. Nie mógł przecież przewidzieć jej reakcji.

Mogła na niego krzyczeć i kazać mu wyjść. Mogła go upokorzyć. A on mimo wszystko przyszedł.

- Chcę ci podziękować za to, że spędziłeś wieczór z moim ojcem - powiedziała łagodnie. - Sara powiedziała, że pomogłeś go uspokoić.

- Nie podzielał na niego środek uspokajający. Potrzebował rozmowy, a ja mogłem go słuchać.

- Nie bądź taki skromny. Sara powiedziała, że cudownie się nim zająłeś.

Sara zachwycała się, jaki był miły, jaki delikatny i wyrozumiały.

- To nie było takie trudne, Jennifer. - Spojrzał na ławkę, gdzie siedział Marty. - Twój ojciec cierpi. Chciałem mu pomóc.

- Wiem - powiedziała, podążając za jego wzrokiem. - Wygląda tak delikatnie.

- Stracił żonę, to jest bolesne.

Jego słowa uderzyły w Jennifer jak kule.

- Nie mogę z tobą o tym rozmawiać. - Głos się jej załamał, a ręce zaczęły drżeć.

- Wyjdę. - Skierował się do wyjścia, ale schwyciła go za ramię.

- Nie chcę, żeby ktoś wiedział. Nie dzisiaj.

Na jej twarzy było widać strach. Charles współczuł jej.

Wiedział, co to znaczy kryć się za kłamstwem, ukrywać prawdę przed rodziną, może nawet przed sobą.

- Nic nie powiem. Zrobię wszystko, co trzeba, i zrobię to dobrze.

Umiem grać.

- Charles, ja... - W jego głosie usłyszała smutną melancholię. Był zły i zraniony, i nie winiła go za to.

- To nie jest odpowiednia chwila.

Wyrwał się z jej uścisku i podszedł do rodziny. Obserwowała, jak rozmawia. Właśnie miała do nich dołączyć, gdy rabin wezwał ich do innego pomieszczenia.

Powoli opanowywała się. Zbliżyła się do trumny. Złapała się jej kurczowo i przez chwilę czuła, że kolana się jej uginają. Złote spinki spinały kasztanowe włosy Rose, a jasnoróżowa szminka pokrywała usta. Uśmiech aprobaty przemknął przez usta Jennifer, gdy wyglądała szyfonową suknię, którą Rose miała na sobie na weselu Davida.

- Teraz jesteśmy same - szepnęła. - Czekałam, bo muszę powiedzieć ci coś ważnego.

Schyliła się i położyła głowę na piersiach Rose.

- Kocham cię. Nie mówiłam ci tego zbyt często. - Umilkła na chwilę, przyciskając głowę, jakby chciała usłyszeć odpowiedź. - Próbowałam być dobrą córką. Naprawdę. Próbowałam być taka, jak chciałaś, być taką jak ty chciałaś, żebym była... - Usta jej drżały, zaschło w gardle. - Ale miałam tyle marzeń, tyle fantazji.

Myślałam, że wiem co sprawi ci radość. Lecz wiesz co, mam? Nie jestem szczęśliwa. Łzy skropiły jej twarz. Podniosła głowę i wpatrywała się w Rose.

- Czuję się taka zagubiona. Musisz mi pomóc. Musisz mi powiedzieć, co mam robić.

Cisza przytłaczała ją, łkała coraz bardziej.

- Jennie. - Poczula na ramieniu czyjaś rękę. - Dlaczego nie pójdziesz ze mną?

Josh podniósł ją z klęczek i gdy się odwróciła, uderzyło go, jak pięknie wyglądała. Włosy miała zaczesane w kok i chociaż twarz miała bardzo bladą, oczy jej świeciły, a skóra błyszcząca. Miał ochotę objąć ją i pieściami załagodzić jej ból. Zamiast tego wytarł jej oczy i stanął obok trumny.

- Byłam dla niej takim zawodem.

- Jennie, proszę. - Objął ją ramionami i delikatnie pocałował we włosy. Czuł delikatny zapach perfum zmieszany z delikatnym, słonym zapachem wysychających łez. - Myślała, że jesteś zdolna i piękna.

Jennifer potrząsnęła głową.

- Dawałam jej drogie prezenty, wycinki z gazet, żeby zrobić wrażenie na znajomych. Co to ją obchodziło!

- Nieprawda. Była z ciebie dumna.

- Nie. Chciała, żebym dała jej wnuki. Rodzinę, z którą można by usiąść, zjeść i pośmiać się. - Drżącymi palcami dotknęła włosów matki. Nie chciała dotykać jej twarzy.

- Musimy iść - powiedział Josh, próbując wyprowadzić Jennifer.

Cofnęła się i odwróciła do niego.

- Chciała, żebyś był jej zięciem. Tego też jej nie dałam.

Wziął ją w ramiona i przyciągnął do siebie.

- Byłem jej przyjacielem.

Jennifer skinęła głową i głębiej wtuliła się w niego.

- Kochała cię, Josh - szepnęła.

- Ja także ją kochałem.

Błyszcząca, mahoniowa trumna powoli osuwała się w ziemię. Jennifer z rodziną stała dookoła grobu w skupieniu

sluchajac rabina. Znal Rose od lat. Przypomniat zalobnikom cale jej zycie. Lubila dzieci, byla oddana zona. Nie bedzie zapomniana, poniewaz zbyt wiele ludzi bedzie pamietac jej dobroc i cieplo. Jennifer nie pocieszyla jego slowa. Jej matka umarla, a ona czula sie odratwiata. Patrzyła na wielki tłum, który zgromadzil się na cmentarzu. Była Elyse, Terk, Celeste i Wyatt, ciotki, wujkowie, kuzyni, sasiedzi, dawni klienci piekarni i wiekszosc redakcji Jolie. Elegancka smietanka stala ramie w ramie z kuzynami Jennifer. Kontrast byl uderzajacy i dla Jennifer - symboliczny. Jej rodzina byla o wiele skromniejsza od znajomych.

Jennifer raz jeszcze spojrzala na rozkopana ziemię. W tej skrzyni byla jej matka. Kobieta, która dala jej zycie, która dbala o nią i opiekowala się nią. Teraz Rose umarla. Była sztywna i zaraz opuści wszystkich na zawsze.

Przez przerażajaco dluga chwile Jennifer wyobrazala sobie, ze to ona lezy w tej trumnie. Kto bedzie plakal, gdy ona odejdzie? Była zona, ale taka, której się nie powiodlo. Nie miala dzieci, lecz nie byla bezplydna. Miala wielu znajomych, ale nie przyjaciol.

Nagle Jennifer poczula się samotna. Spojrzala, jak Sara i David trzymaja przy sobie dzieci i z bolesna wyrazistoscia uczula, ze nie byla nikomu bliska.

Obok niej stal Charles, tak jak przez caly czas nabozenstwa, lecz byl on pelen zalu i zawodu. Trzymala pod reke ojca i wydawalo jej się, ze mu pomaga. Jednak jak czesto naprawde myslala o rodzicach i interesowala się ich problemami? Utrzymywala, ze kocha brata, ale czy tez się od niego nie odsunela? Nagle uslyszala rabina, który prosil, zeby rodzina przylaczyła się do niego w Kadisz, tradycyjnej zydzowskiej modlitwie za zmarlych.

Jennifer powtarzala slowa za rabinem. Glos ojca

brzmiał stanowczo, Davida też. Jej brzmiał nisko i niepewnie. Z trudem wymawiała hebrajskie słowa. Schyliła głowę i zamknęła oczy, szepcząc „amen”.

Gdy podniosła głowę, zobaczyła, że ojciec podszedł do grobu. Był bardzo religijny. Powinna była się domyślić, że będzie chciał, aby David i bracia Rose uczynili zadość tradycji, która wymagała, żeby mężczyźni w rodzinie zasypali grób. Zadrżały mu ręce, gdy podano mu szpadel. Odmówił. Schylił się i podniósł kilka grudek ziemi gołymi rękami. Rzucił ziemię do grobu i skrzywił się boleśnie, gdy uderzyły o trumnę. Dwaj bracia Rose pomogli Marty'emu, ale oni też się wahali. Stali bez ruchu. David schylił się, powiedział coś do dzieci i podszedł do grobu. Miał zapłakaną twarz i nie wstydził się tego. Jennifer widziała, jak napręży ramiona. Łzy ciekły mu po policzkach, lecz on rzucał ziemię do grobu szybko i z wprawą.

Robił to, czego chciałyby matka. Chciałyby, żeby to się wreszcie skończyło. Zamknąć ranę, która bolała wszystkich obecnych.

Jennifer poczuła, że uginają się pod nią kolana. Gdyby Charles jej nie złapał, upadłaby. Przycisnął ją do siebie i nie sprzeciwiła się. Była słaba, wpatrywała się w ziemię. Ktoś coś do niej mówił.

To Celeste. Jennifer kiwnęła głową, lecz nic nie słyszała. Inni do niej podchodzili i składali kondolencje. Jennifer miała dalej oczy utkwione w grobie. Gdy tłum zaczął się rozchodzić, Josh i Charles odprowadzili ją do samochodu. Szła, ale nie była pewna tego, co robi. Jej zmysły były uśpione, a oczy pełne łez. Drzwi otworzyły się i ktoś podszedł, żeby pomóc jej wejść.

- Nie! - Wyrwała się i uciekła w kierunku grobu, potrącając ludzi i potykając się po nierównych trawnikach.



Jennifer wpatrywała się w dół, gdzie znajdowała się matka. Łzy ciekły jej z oczu i cała drżała, gdy tak stała nad grobem. Czowała przenikający chłód, który kłuł ją w ręce i twarz. Nagle zobaczyła, że część trumny była nie przykryta.

- Kocham cię, Rose Sheldon - powiedziała. - I będzie mi ciebie brakować.

Wypuściła z ręki grudkę ziemi. Dokonało się. Jej matka spoczywała w spokoju.

## ROZDZIAŁ DWUDZIESTY SIÓDMY

Mam ochotę na piwko. Może wyskoczmy do baru, kiedy tu skończymy. - Buzzy Stoller wsadził trzy rolki filmu do torby i rzucił ją na stół.

- Nie wiem, kiedy skończę, a poza tym naprawdę muszę jechać do domu. - Zena pracowała w ciemni od samego rana. Była zmęczona.

- Dajesz temu twojemu facetowi tobą rządzić - powiedział Buzzy. - Co się stanie, jak pójdziemy na piwko?

Zena pochyliła się nad kuwetami z wywoływaczem. Była zła. Terk przeszkadzał jej w pracy. Gdyby nie on, skończyłaby tę robotę już parę dni temu. Od kiedy zostawił Deirdre, stał się tak zaborny, że czuła się jak niewolnica we własnym domu. Teraz na pewno siedział w salonie i patrzył na zegarek. Dzięki Bogu, nie powiedziała mu, gdzie pracuje. Czekalby na nią w samochodzie, odliczając jak rodzic każdą minutę spóźnienia.

- Jeśli zaczekasz, za pół godziny będę gotowa.

Zena nagle stwierdziła, że Buzzy ma rację. Potrzebowała drinka.

Terk będzie musiał poczekać.

- Nie spiesz się. Muszę się tu pokręcić, dopóki nie przyjdzie szef. Zabiera dzisiaj ostatnie filmy. - Ślicznotka zrezygnowała? - Zena jeszcze się nie otrząsnęła z wrażenia, że już ją kiedyś spotkała osobiście.

- Wszyscy zrezygnowali. Koniec z pornosami dla szefa i z czekami dla mnie. Fatalnie. Cholernie mi się podobały te filmy.

- Bardzo bym chciała zobaczyć tego twojego szefa - powiedziała Zena pół żartem, pół serio. - Nigdy jeszcze nie widziałam prawdziwego alfonsa.

- Po pierwsze, on nie jest taki, jak myślisz, a po drugie,

nie mogę ci go przedstawić. Zależy mu na dyskrecji.

- No pewnie!

Zena czuła odrazę do dobroczyńcy Buzzy'ego. Dla niej był to sęp żerujący na niewinności. Jednak za każdym razem, gdy mówiła o nim źle, Buzzy stawał w jego obronie. Przedstawiał go jako uczciwego faceta, który zajął się pornografią z konieczności. Nie byłoby nic dziwnego w tym, że Buzzy jest lojalny wobec faceta, od którego dostaje pieniądze, lecz czuła, że Buzzy naprawdę go lubi i to wydawało się jej fascynujące.

Ostry dźwięk dzwonka przerwał jej myśli. Buzzy zerwał się ze stołka, chwycił torbę z filmami i pobiegł do drzwi. Zena dała znak, że skończyła wywoływanie i że Buzzy może otworzyć drzwi. Co parę minut sprawdzała, czy odbitki są suche. Kiedy wyschły umieściła je w specjalnych kopertach, żeby się nie pogniosły.

Nagle usłyszała piskliwy śmiech Buzzy'ego. Prawie zapomniała o jego znajomym. Teraz spostrzegła, że Buzzy zostawił uchylone drzwi. Wiedziała, że nie powinna podsłuchiwać, nie mogła się jednak powstrzymać. Jak wygląda ktoś, kto zarabia na świństwach?

Pomyślała, że pewnie jest niski, kościsty, w świecącym płaszczu ze skóry rekina. Wyobrażała sobie, że ma długą, wąską twarz, małe przymrużone oczka, piegi i wąski nos. Nagle postanowiła sprawdzić, czy ma rację.

Na palcach podeszła do drzwi, otworzyła je trochę szerzej, żeby móc widzieć wyraźniej. Mężczyźni stali w cieniu, koło biurka recepcjonisty. Światło było przyćmione, więc musiała wyteńczyć wzrok, żeby ich zobaczyć.

Buzzy był na luzie. Jego żółty sweter był jak drogowskaz. Ten drugi był prawie schowany w cieniu, ale już widziała, że w ogóle nie miała racji. Był wysoki, a jego

ubranie nie świeciło się.

Płaszcz był najprawdopodobniej z kaszmiru. Tak się przejęła, że prawie nie zwróciła uwagi na włosy. Lecz nagle coś przyciągnęło jej uwagę. Głos szefa był głęboki i dźwięczny. Jego śmiech był - jak mogła oczekiwać - lubieżny, lecz ten głos był jej znajomy.

Cicho popchnęła drzwi, żeby mogła się przemknąć niepostrzeżenie.

Przytulona do ściany przesunęła się bliżej, szukając miejsca, skąd mogłaby ich swobodnie obserwować. Zaraz za biurkiem był mały pokój, gdzie Harry Washor trzymał swoje rzeczy. Zena schowała się tam. Na początku tylko słuchała, coś jednak powstrzymało ją od spojrzenia na nich.

- Zrobiłeś dobrą robotę, Stoller, i ja to docenię.

- Dzięki. Jeśli jeszcze kiedyś będziesz mnie potrzebował, wystarczy, że zadzwonisz.

- Chyba nie. Zamykam interes i nie mam zamiaru zaczynać od nowa.

Zena nie mogła oddychać. Znała ten głos jak swój własny, ale bała się spojrzeć.

- A co się stało ze Ślicznotką?

- Spotkała faceta swoich marzeń i chyba niedługo wyjdzie za niego za mąż.

- Cholera, a ja zawsze myślałem, że to ja jestem facetem jej marzeń.

Zena nie mogła wytrzymać już ani chwili dłużej. Powoli podniosła oczy i spojrzała tam, skąd dochodził głos. Gdy popatrzyła na Terka, ręce jej drżały, ale nie wiedziała, czy z szoku, czy z wściekłości. Próbowwała nad sobą zapanować, lecz gdy Terk powiedział „na razie” skierowała się w stronę drzwi, podbiegła do niego, potykając się o własne nogi.

- Jesteś obrzydliwy! - Głos Zeny podniósł się o oktawę wyżej i był pełen wrogości.

- Hej, Zena! - Buzzy podbiegł do niej, gdy zobaczył reakcję Terka.

- Prosiłem cię, żebyś nie przychodziła tutaj.

Zena zignorowała go. Terk wyglądał na zdziwionego, ale był opanowany. Zena zacisnęła pięści i patrzyła na Terka z wściekłością.

- Buzzy, spadaj! - Terk nie odrywał oczu od Zeny. Czekał, aż Stoller wyjdzie. - Potrzebowałem pieniędzy - powiedział Terk, gdy byli już sami. Wiedział, że kiepsko to brzmiało, ale sądząc po nastroju Zeny, stwierdził, że tak będzie najlepiej.

- Mnóstwo ludzi potrzebuje pieniędzy, ale nie zniżają się do czegoś takiego.

- To prawda, ja jednak potrzebowałem naprawdę dużo i szybko. - Wyraz jej twarzy przeraził go. - Wyjaśnię ci wszystko w domu. Daj mi swój płaszcz.

Zena nie ruszyła się ani o krok.

- Skąd bierzesz te twoje gwiazdy? Każdą sprawdzasz osobiście? I kim jest Ślicznotka?

- To nie jest ważne.

- Dla mnie to jest ważne!

Próbował podprowadzić ją do krzesła, ale odepchnęła go jak trędowatego. - Ślicznotka pracuje dla Jolie. Nazywa się Mimi Holden. Jesteś zadowolona?

- Sekretarka Jennifer Cranshaw.

Zena spotkała ją na przyjęciu Jolie w Cloud 9. Teraz sobie przypominała. Świeży wygląd, który odróżniał ją od reszty mocno wypolerowanego tłumu. Była pod jej wrażeniem. Słuchała jak odrętwiała, podczas gdy Terk opowiadał jej, jak znalazł kilka młodych dziewczyn od

Fellowsów. Kilka młodych kobiet, które potrzebowały dodatkowej gotówki, żeby związać koniec z końcem.

Większość pochodziła z prowincji i nie była przyzwyczajona do wysokich kosztów utrzymania w Nowym Jorku.

- Nie jestem dumny z tego, co zrobiłem, ale to już koniec.

Wszystko już skończone. - Terk był tak delikatny jak tylko potrafił.

- Między nami również. - Zena zaczęła iść w stronę ciemni. Terk złapał ją za ramię.

- Dlaczego nie chcesz mnie wysłuchać? - powiedział błagalnym tonem. - Wiem, że to jest obrzydliwe, ale nikogo nie chciałem skrzywdzić.

Zena odwróciła się i spojrzała na niego groźnie.

- Jesteś szcurem. Zawsze byłeś i zawsze będziesz. Teraz wynoś się z mojego życia. Nie mogę znieść twojego widoku.

Terk cofnął się. Rozumiał jej zaskoczenie i gniew, ale coś mu tu nie pasowało. Czyżby myśl, która przyszła mu teraz do głowy, stała się przerażającą rzeczywistością?

- Dałem ci w końcu pretekst, prawda? W końcu się wymknęłaś?

- O czym ty mówisz?

- Mówię o tobie, o nas. O tym, że udało ci się uniknąć małżeństwa. - Świdrował Zenę oczami jak laserem. - Myślałem, że czekasz, aż będę wolny, ale nie o to chodziło. Po prostu czekałaś na sposobność i miałaś nadzieję, że zrobię fałszywy krok. Szukałaś tylko pretekstu, jak ostatnim razem.

- Jak śmiesz! - Oczy Zeny były pełne pogardy. - Jak śmiesz wykręcać kota ogonem i mówić, że to ty masz rację, a nie ja.

- Powiem ci, jak śmiałem, ponieważ podejrzewam, że chodzi ci o coś poważniejszego niż filmy porno. Co się stało osiem lat temu?

Dlaczego odeszłaś ode mnie?

- To nie twoja sprawa. To moje życie i wszystkie decyzje podjęłam ja, dla siebie i dla nikogo innego!

Reguły gry się zmieniły. Nagle Terk atakował, a Zena musiała się bronić. Pobiegła w kierunku ciemni, ale Terk był szybszy i przeciął jej drogę, blokując wejście.

- Nie chcę nawet być w tym samym pokoju, co ty. Jesteś brudny.

- Masz rację - powiedział Terk, świadomy każdej odpowiedzi. - To, co ja zrobiłem, było brzydkie. Zrobiłem parę brudnych filmów i wykorzystałem parę dziewczyn, które potrzebowały pieniędzy i prawdopodobnie czegoś jeszcze, czego nawet nie rozumiem, ale ty robisz to samo. Nie chcesz słuchać i szczerze mówiąc dziwi mnie to. Nawet Deirdre ze wszystkimi jej wadami słuchała.

- Od kiedy to Deirdre jest taka dobra? - Zena płakała. W jej głosie była złość i strach, który tylko zwiększał ciekawość Terka.

- Od kiedy widzę, że ona przynajmniej potrafi się poświecić.

Terk biegał dookoła Zeny, szukając tropu. Wywęszył ślad i był zdecydowany go wytropić.

- Byłaś w dżungli wystarczająco długo, żeby wiedzieć, jak zachowują się zwierzęta. Drapią i rozdzierają pazurami, gotowe wyrwać flaki, jeśli coś je przeraża. Widziałaś to tysiąc razy.

Wychwalałaś w swoich pracach, lecz gdy chodzi o ludzi, odwracasz wzrok.

Słowa Terka uderzyły Zenę jak bicz. Warknęła na

niego i odepchnęła go.

- Nie rób z siebie takiego odważnego. Jesteś tchórzem, szumowiną i nigdy się nie zmienisz. - Zena odwróciła się od niego, ale coś w jej oczach przyciągnęło go do niej. Chwyił ją i przytrzymał mocno. Był pewien, że coś ukrywa.

- Jeżeli jestem taki obleśny, dlaczego do mnie wróciłaś? Przecież wróciłaś, kochanie. Zaciągnęłaś mnie do łóżka już za pierwszym razem. Co więcej, to ci się podobało. Fajnie czasami być brudnym, nie?

- Nienawidzę cię! - krzyknęła Zena czerwona z gniewu. - Gardzę tobą.

- Nienawidzisz tego, że mnie kochasz i boisz się, że nie zostanę z tobą.

- Ostatnim razem mogłam cię zmusić, żebyś ze mną został - warknęła.

- Naprawdę? A jak myślisz, jakich sił mogłaś użyć?

Zena stanęła obok niego, palce jej zbieleły. Niesamowity uśmiech przebiegł jej przez usta. Uśmiech, od którego Terkowi przeszły ciarki.

- Syna - powiedziała. - To by wystarczyło. Miałam twój syna i gdybym chciała, mogłabym cię mieć.

Terk poczuł się tak, jakby betonowa płyta spadła mu na piersi.

- O czym ty mówisz?

- Gdy od ciebie odeszłam, osiem lat temu, byłam w trzecim miesiącu ciąży. Pojechałam do Szwajcarii, urodziłam dziecko i oddałam je do adopcji. Oddałam twój syna.

Zena widziała, jak Terk blednie. Wyglądał na przerażonego i przez chwilę bała się, że zrobi jej krzywdę.

- Jak mogłaś! Miałem prawo o tym wiedzieć.

- Zrzekłeś się swoich praw, gdy powiedziałeś, że nie możesz zostawić żony.



- Nie powiedziałaś, że jesteś w ciąży.

- Mogłam zrobić z dzieckiem to, co chciałam, więc oddałam je.

Nagle głos Terka stał się słaby, jakby opuściła go cała energia.

- Nie. Nie dlatego to zrobiłaś, że nie chciałem zostawić Deirdre.

Teraz to zupełnie rozumiem. Na początku cała sytuacja cię intrygowała. Myślałaś nad tym tak długo, aż było za późno na zabieg. Potem pomyślałaś, że dziecko będzie dla ciebie problemem.

Gdybyś mi powiedziała, że jesteś w ciąży, wiesz, że zrobiłbym wszystko, żeby być z tobą, jednak ty tego nie chciałaś. Ani męża, ani dziecka. Chciałaś być wolną Zeną Welles.

Zena usiadła na najbliższym krześle. Schowała twarz w dłoniach i płakała tak jak wtedy, gdy była dzieckiem i zdechł jej pies. Teraz umarło w niej coś innego. Nie zwierzę, nie człowiek, ale coś głębszego. Usłyszała to w jego głosie. Jego miłość wyparowała, jej miejsce zajął wstręt.

- Nie jestem taki, jak myślisz, Zena. Jestem facetem, który chce być poważny i odnajdę to dziecko. Byłoby cudownie, gdybyśmy mieli dziecko, ale teraz też będę je miał, lecz już bez ciebie.

Nie patrząc na nią odwrócił się i wyszedł ze studia. Słyszała, jak trzasnęły drzwi i przez chwilę ten dźwięk dzwonił jej w uszach.

Mówił poważnie. Wiedziała to. Jakoś znajdzie chłopca, który był ich synem. A co ona znajdzie? Nic. Nic. Od razu wiedziała, co umarło w tym pokoju. Raz jeszcze podjęła decyzję sama i dla siebie samej. I raz jeszcze poczuła przygniatający żal. Wpatrywała się w drzwi, czując, jak

męcząca pustka owija się wokół niej. Łkanie wyrwało się jej z ust, gdy malutka twarz dziecka zmieszała się z twarzą jedyne go mężczyzny, który ją kochał.

- Wróć! - krzyknęła. - Nie chcę być sama!

## ROZDZIAŁ DWUDZIESTY ÓSMY

Jennifer zabrała ojca z domu i obydwójce pojechali do centrum.

Broadway pełen był kupujących, więc Jennifer i Marty spacerowali wolno po alei wśród tłumu. Co chwila zatrzymywali się, żeby porozmawiać z sąsiadami albo pomachać przechodniom. W czasie spaceru poczuła się lepiej, ale jej nastrój gwałtownie się zmienił, gdy dotarła do piekarni. Tam gdzie kiedyś wisiała witryna „Piekarnia Sheldonów”, nie było nic. Jennifer weszła za Martym do sklepu i przez kilka minut stali oboje w ciszy przy drzwiach.

Stała tam obok kasy maszyna do krojenia kromek, obok wagi leżał papier woskowy. Szklane szafki były wyczyszczone i błyszcząły. Ale wszystkie skrzynie i półki były puste. Jennifer poszła za ladę.

Otwierając zamrażarkę, myślała, że powita ją zimny wiatr i hałdy świeżo ubitej śmietany. Kłęby ciepłego nieświeżego powietrza owiały jej nos kwaśnym zapachem. Szybko zatrzęsnęła drzwiami.

- Dlaczego sprzedałeś? - spytała, gdy Marty podniósł fartuch z podłogi i powiesił go na haku.

- Teraz, gdy nie ma już twojej matki, piekarnia nie ma dla mnie żadnego znaczenia.

- Ale to było całe twoje życie - powiedziała Jennifer zdziwiona swoją odpowiedzią. Przez lata chciała, żeby rodzice sprzedali piekarnię, a teraz, kiedy się to stało, protestowała.

- Moje życie miało sens, gdy żyła twoja matka - powiedział Marty.

- To była praca. - Marty odwrócił się i podszedł do szafki, gdzie trzymał receptury. Wyjął je i zaczął sortować.

- Skąd wiesz, że będzie ci się podobało na Florydzie?

Marty przestał pakować papiery i odwrócił się do Jennifer.

- A dlaczego miałyby mi się nie podobać? - powiedział, próbując uspokoić siebie i ją. - Dużo słońca. Mam tam braci i siostry. Są tam Mandellowie i inni przyjaciele z Bayonne. Może się nawet nauczę grać w golfa. Kto wie?

- Będę za tobą tęsknić - powiedziała.

- Są przecież samoloty. Przylecisz. - Uśmiechnął się do niej.

Próbowała się uśmiechnąć, ale usta ledwie jej zadrżały.

- Czas, żebyś też zaczęła nowe życie.

Jennifer odwróciła wzrok. Kilka tygodni temu opowiedziała Marty'emu o niej i o Charlesie, pomijając część o homoseksualizmie męża. Prosiła, żeby nic nie mówił Davidowi ani Sarze. Ojciec był zawiedziony, jednak nie tak bardzo jak myślała.

Sięgnęła na półkę i ściągnęła stare pudełko po cygarach. W środku znalazła kilka zmarszczonych, szmacianych toreb i metalowe kółko, którego Marty używał do robienia róż. Odłożyła pudełko, ale krążek trzymała kurczowo w rękach.

- Próbujesz ocalić odrobinę dzieciństwa?

Jennifer wpatrywała się w ojca. Nigdy nie przypuszczała, że ojciec może znać jej uczucia.

- Chyba tak. Zabawne, no nie? Gdy byłem mała, uwielbiałam piekarnię. Potem wszystko się zmieniło. Chciałam za wszelką cenę stąd uciec.

- Ja także jej nie cierpialem. - Marty zakręcił dużą miską na stojaku, aż zatrzeszczał stary mechanizm. - Ale tylko to umiałem robić, a poza tym twoja matka to

uwielbiała. Mówiła, że nie, ale wystarczyło na nią spojrzeć, gdy stała za ladą.

- Ale mamusia miała marzenia - powiedziała Jennifer z wyzwaniem, którego nie rozumiała. - Tak mi mówiła.

Marty podszedł do Jennifer. Wziął ją za rękę i poklepał delikatnie.

- Oczywiście. Każdy ma marzenia. Ani ja, ani ona nie mogliśmy ich po prostu spełnić.

- Byliście za bardzo zajęci zarabianiem pieniędzy dla mnie i Davida. - Nagle zaczęła się zastanawiać, czy ojciec miał jakieś marzenia. Czego chciał w życiu? Dlaczego go nigdy o to nie zapytała?

- Nie obwiniaj się. - Marty spojrzał jej prosto w oczy. - Jeśli się widziało, jak dzieci do czegoś dochodzą, to zupełnie wystarczyło.

Jennifer nie wiedziała, czy mówił prawdę, ale twarz jej się od razu rozjaśniła.

- Tak? To znaczy, że naprawdę byliście z mamą ze mnie zadowoleni?

Marty roześmiał się, lecz na jego policzku zobaczyła kroplę wilgoci.

- Byłaś dumą i radością matki, Jennie.

- Ale chyba nigdy nie myślała, że moja kariera ma jakieś znaczenie. Mówiła tylko o dzieciach Sary i Davida.

- Asa i Lia były jej wnuczkami - powiedział Marty. - Chciała, żebyś też miała dzieci. Wiedziała jednak, że nie jesteś szczęśliwa z Charlesem.

- Nie mogłam jej tego powiedzieć. Nikomu - powiedziała, wiedząc, że to duma, a nie brak słuchaczy zmuszała ją do milczenia.

- Teraz to już wszystko skończone. I ty i ja musimy zacząć nowe życie.

- Jesteś odważny, tato.

- Niezupełnie. Nie jestem tu szczęśliwy, więc próbuję znaleźć spokój gdzieś indziej.

Robiło się ciemno. Powinna zapalić światła, lecz nie chciała się ruszać. Ta szczególna chwila była zbyt ważna, żeby ją przerwać.

- Masz mnóstwo cudownych wspomnień - powiedziała, przysuwając się bliżej do ojca. - Ja chyba nie.

Marty objął córkę ramieniem i przytulił.

- Jesteś młoda, Jennifer. Możesz stworzyć nowe wspomnienia.

- Jeszcze nie skończyłam ze starymi.

- Znow jesteśmy w tej samej łódce. - Pocałował ją w głowę i jeszcze raz przytulił. - Obydwoje musimy nauczyć się żyć od nowa.

Twoja matka odeszła, ale ja żyję. Więc to ja muszę pamiętać o przeszłości, która pomoże mi budować przyszłość.

Jennifer wyprostowała się i spojrzała na niego z nieśmiałym uśmiechem w kącikach ust.

- To ma być mały wykład?

Kiwnął głową.

- Nie taki mały. To, przez co przeszłaś, powinno cię wiele nauczyć. musieliśmy dowieść naszej wartości, osiągnąć sukces.

- Mamusia nie żyje. Piekarnia jest zamknięta, a ty wyjeżdżasz.

Czuję się opuszczona.

Smutek w jej głosie dotknął go. Wrócił myślami w przeszłość.

Zamiast wykształconej kobiety, jaką teraz była Jennifer, widział małego rudzielca z mysimi ogonkami i we

flanelowej pidżamie, trzymającego misia.

- Nikt cię nie opuszcza, Jennifer. Takie jest życie. Musimy iść naprzód.

- Nie wiem, czy dam sobie radę - szepnęła do siebie.

Marty wziął ją w ramiona i zmusił, by spojrzała mu prosto w oczy.

- Jesteś córką Rose i Marty'ego Sheldonów - powiedział. - Wyrastasz z twardego pnia, moje dziecko i czy chcesz się do tego przyznać, czy nie, potrafisz przez to przejść.

- Tak myślisz?

Marty pocałował ją w czoło i uśmiechnął się.

- No pewnie. Po prostu musisz. Musisz tylko dać sobie szansę.

Położyła głowę na jego ramieniu, czując bezpieczeństwo uścisku ojca.

- Daj też szansę Joshowi - powiedział Marty. - Mógł być częścią twojej przeszłości, ale teraz może stać się częścią twojej przyszłości.

Oczy Jennifer zwilgotniały, gdy tak siedzieli na twardej ławce, przytuleni do siebie w ciemności. Za kilka godzin mieli przybyć nowi właściciele. Przez chwilę chciała ich zatrzymać, pozamykać zamki i kazać im odejść.

Niestety, jutro półki znów będą pełne, piec gorący, śmietana powróci do zamrażarki. Nowe nazwisko będzie wisieć na szyldzie i nowe twarze będą się uśmiechać zza lady Rose. Marty dźwignął się z ławki i skierował do wyjścia. Ostrożnie poszła za nim przez cienie znajomego wnętrza. Szła wolnym krokiem, niechętnie opuszczając to miejsce. Całe jej życie było związane z tym sklepem. Gdy go kochała, był schroniskiem. Gdy nienawidziła, był punktem odniesienia, który spajał jej istnienie. Kimkolwiek była i

czymkolwiek się stała, wszystko zaczęło się tutaj. Marty otworzył drzwi, przepuścił ją przodem i zamknął za sobą.

- To na razie wszystko - powiedział. - Do widzenia, Jennifer.

Przekręcił klucz w zamku. Ten dźwięk zabrzmiał echem w jej uszach.

- Do widzenia, Jennifer - powtórzyła jak echo.



## ROZDZIAŁ DWUDZIESTY DZIEWIĄTY

- Ona potrzebuje opieki medycznej, a nie opalania. Powiedziała, że jedzie z Charlesem na weekend, ale ten weekend trwa już za długo.

David Sheldon narzekał całe popołudnie. Przyszli z dziećmi do Josha na przyjęcie urodzinowe Scotty'ego. Zamiast jednak bawić się rozmawiali. Jennifer już nie było od ponad trzech tygodni.

- Ależ uspokój się - powiedział Josh. - Każdy przeżywa taką stratę na swój sposób. Może śmierć matki i sprzedaż piekarni dotknęły Jennifer bardziej, niż myślisz.

- Wiem aż za dobrze, jak głęboko jest dotknięta - powiedział David. - Jak myślisz, dlaczego jestem taki zaniepokojony? Ma coraz większe kłopoty z kręgosłupem i gdybym miał zgadywać, powiedziałbym, że ją to bardzo boli. Nie zauważyłeś, jak chodzi zgięta? Jak przytrzymuje się, gdy idzie? Jak wolno chodzi?

- Coś innego jej dokucza - powiedziała Sara, przypominając sobie ciągły wyraz napięcia na twarzy Jennifer.

- Chodzi o magazyn - powiedział Josh trochę za szybko. - Jolie jest w krytycznej sytuacji. Jennifer uznała, że to ona powinna je uratować.

- Nie zgadzam się - David chodził po pokoju z rękami w kieszeniach. - Myślę, że Jennifer ma jakieś problemy osobiste.

Sara bawiła się serwetką. Widziała, że David wpatruje się w Josha, lecz ten unika jego wzroku.

- Jeśli chodzi o sprawy osobiste, nic mi nie mówiła. - Josh poczuł się nagle skrępowany. - Kiedyś byliśmy sobie bliscy, jednak już nie jesteśmy.

Nagle zadzwonił dzwonek. Josh podskoczył, żeby

otworzyć drzwi.

- Przepraszam za spóźnienie. - Elyse uśmiechnęła się nieśmiało. - Gdzie solenizant?

Josh pomógł jej zdjąć płaszcz i wziął od niej pakunki.

- Dzieciaki bawią się w pokoju Scotty'ego. Dorośli próbują zabawiać się sami w jadalni i pełnić swoje cholerne obowiązki.

Sara przywitała Elyse ciepłym uściskiem. David pocałował ją szybko w policzek.

- Co słysząc u pana doktora? - spytała Elyse. - Wydaje się, że jest zmartwiony. W niczym nie przeszkadzam?

- Nikt nic nie wie o Jennifer i wielki brat dostaje szału.

- Głos Josha był miły, ale pobrzmiewał w nim sarkazm.

- Myślałam, że wróci dwa tygodnie temu - powiedziała Elyse, siadając. - Dlaczego przedłużyła tę swoją podróż?

- Myśleliśmy, że ty coś wiesz. - David był zawiedziony i coraz bardziej zaniepokojony. - Zadzwońbym do niej, ale nie powiedziała, gdzie będzie.

- Może wszyscy przesadzamy. - Josh usiadł przy stole.

- Tu jest cholernie zimno, więc może pojechała gdzieś, gdzie jest ciepło.

Dlaczego nie?

- A co z kryzysem magazynu? - David nawet nie starał się kryć swoich podejrzeń. - Dopiero co Jolie było na wykończeniu, a ty zmuszałaś Jennifer, żeby trzymała rękę na pulsie. Teraz mówisz, że pacjent wyzdrowiał na tyle, że Jennifer może bez przeszkód być nieobecna w pracy tyle czasu.

- Nic nie mówię - Josh odparł niecierpliwie. - Przedstawiam tylko możliwe wyjaśnienie.

- I to takie, które ma dużo sensu. - Sara nie rozumiała wrogości Davida ani tego, że Josh się bronił. - Dowiedź

swoich talentów chirurgicznych na cieście. Chcę wiedzieć, co tam u Elyse. - Sara dała mężowi nóż i spojrzała na niego.

Elyse nie mogła powstrzymać się od śmiechu, patrząc na nich. Od czasu jej pobytu w szpitalu Sheldonowie praktycznie zaadoptowali ją. Na początku była zdziwiona ich opieką, przypisując ich zainteresowanie jej związkom z Jennifer, lecz Sara i David okazali jej tyle autentycznego uczucia, że w końcu zaczęła uważać ich za rodzinę.

- Wszystko w porządku - powiedziała. - Jestem dziś trochę zmęczona, ale w porządku.

- Nie przepracowujesz się? - David mówił prawie jak ojciec.

- Nie, po prostu pracowałam w nocy.

- Byłaś gdzieś z Kevinem? - spytał Josh, jakby przez przypadek.

- Kto to jest Kevin? - odezwała się Sara.

Elyse zaczerwieniła się.

- Jest jednym z wiceprezesów Josha.

- Kevin Wagner jest nowym mężczyzną w życiu Elyse.

- Josh wyszczerzył zęby.

- Pomaga mi w interesach i, owszem, widujemy się czasami.

- Cztery razy w tygodniu i czasami na lunchu - powiedział Josh wyraźnym, scenicznym szeptem.

- Opowiedz mi o nim. - Sara była ciekawa szczegółów.

Elyse znów się zaczerwieniła, Josh odpowiedział za nią.

- Ma cztery stopy wzrostu, prawie niezauważalnie sepleni i ma skłonności do marynarek w kratę z szerokimi klapami.

Sara spojrzała na Josha z rozbawieniem.

- Przestań się drażnić. Sądząc po rumieńcu na twojej

twarzy - zwróciła się do Elyse - ten Kevin Wagner musi być niezły?

- Jest bardzo miły. - Elyse bała się przyznać przed samą sobą, jaki jest cudowny.

- Brawo, Mandell. - David podniósł filiżankę kawy. Po chwili spoważniał. - Masz wiadomości od Mario?

- Kilka razy dzwonił, od kiedy jednak przeprowadziłam się i mam zastrzeżony numer telefonu, nic nie wiem.

- Co mówił?

- Nie podoba mu się to nowe przedsięwzięcie. Jest tym nawet bardziej zdenerwowany niż tym, że nie chcę się z nim widzieć.

- Groził ci? - spytała Sara.

- Nie. Chyba Josh nieźle go przestraszył. - Elyse nie powiedziała im o tajemniczych telefonach w środku nocy ani o dziwnych anonimowych listach, które skłoniły ją do przeprowadzki.

- Miałaś wiadomości od brata? - Sara wiedziała wszystko o Giannim i dlaczego Elyse tak się wahała z oddaniem Mario policji.

- W porządku. Przynajmniej on jest zachwycony nową firmą.

- Czy Mario może temu jakoś przeszkodzić? - David spojrział na Josha.

- Nie. Elyse jest teraz częścią przedsiębiorstwa Joshua Mandell.

Mario nie może w żaden sposób mieszać się bez mojej wiedzy. - Ton głosu Josha powiedział Davidowi, że zostały podjęte wyjątkowe środki ostrożności, żeby chronić Elyse zarówno fizycznie, jak i finansowo.

- Nie mogę się doczekać, żeby zobaczyć te nowe

projekty. - Sara chciała zmienić temat o Mario de Marco. - Kiedy pojawią się w sklepach?

- Pierwsza kolekcja ma być lansowana w kwietniu. Właśnie skończyłam projektowanie kolekcji zimowej i powinna być w produkcji za parę tygodni, ale naprawdę sukces całej operacji zależy od sukcesu wydania kwietniowego.

- I to nas znów sprowadza do Jennifer - powiedział David.

Zapanowała krępująca cisza. Wszyscy wpatrywali się w swoje talerze, szukając odpowiednich słów. W końcu Elyse powiedziała:

- Nie złość się, David. Jennifer potrzebny jest ten czas.

- Nie jestem zły - powiedział z ciężkim westchnieniem - jestem sfrustrowany. Boli ją i nie wiem, jak jej pomóc.

Elyse wyciągnęła rękę przez stół i wzięła jego dłoń.

- Nie możesz jej pomóc - powiedziała. - Musi to zrobić sama.

## ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY

Było po jedenastej, gdy Jennifer się obudziła. Przez chwilę czuła się dezorientowana. Powoli kształty i kolory jej sypialni nabrały ostrości. Sięgnęła do nocnego stolika i połknęła tabletkę na rozluźnienie mięśni, poczekała kilka minut, aż przeniknie ona do krwiobiegu, po czym wyszła z łóżka i podreptała do kuchni. Mieląc kawę, zadzwoniła do biura. Chciała dowiedzieć się, co się działo podczas jej nieobecności. Mimi chętnie poinformowała ją. Dobrą wiadomością było to, że numer kwietniowy był już okrzyknięty za najlepszy numer Jolie w całej jego historii, a zamówienia na maj wskazywały, że trend zwykłowy się utrzyma. Złą wiadomością było to, że Brad zachowywał się dziwnie, wybuchając złością na pracowników, bez żadnego powodu. Zamykał się w swoim gabinecie na całe godziny i nikomu nie pozwalał wchodzić.

- Czy jest jakaś poczta, którą powinnam się zająć? Czy wszystko może poczekać do poniedziałku?

- Musisz być tylko na przyjęciu.

- Na jakim przyjęciu?

- Koktajl i kolacja w mieszkaniu Clairborne'a i Amandy Stark.

Zaproszenie było dostarczone osobiście. Wydaje mi się, że to będzie coś ważnego. Wszyscy najważniejsi z redakcji zostali zaproszeni.

Jennifer od razu wiedziała, że to zgromadzenie ma coś wspólnego z przyszłością Jolie. Dziwne, że możliwość sprzedaży magazynu nie martwiła jej tak jak miesiąc temu. Gdy była w Meksyku, dużo czasu poświęciła sobie i stwierdziła, co jest dla niej najważniejsze.

Doszła do wniosku, że Jolie jest tylko częścią jej życia, a nie jego sensem. Nie, nie przyjęcie ją denerwowało,

musiała skontaktować się natychmiast z Charlesem.

- Kiedy jest ta gala?

- Nie zemdlej, dziś wieczorem. O siódmej. I wszyscy w strojach wieczorowych. Nie wiem, czy dobrze zrobiłam, ale odpowiedziałam za ciebie. Jeśli jesteś zainteresowana, będziesz zachwycona, gdy przyjdiesz.

- Nie wiem, czy „zachwycona” to najlepsze słowo, ale przyjdę.

Jennifer odłożyła słuchawkę i poszła z kawą do łazienki. Planowała zadzwonić do Charlesa w weekend. Teraz jednak musiała się skontaktować z nim dzisiaj. Charles na pewno będzie tam obecny.

Jennifer była zirytowana, że przyjęcie zmieniało jej plany. Nie tylko zmuszało ją do działania, zanim była gotowa, lecz także stawiało ją w niezręcznej sytuacji. Jak mają się pokazać razem? W samolocie do Nowego Jorku myślała prawie tylko o tym, co powie, gdy go zobaczy. Zastanawiała się, na ile była przygotowana.

Jennifer weszła pod prysznic i rozkoszowała się gorącą wodą. Po wszystkich ledwie ciepłych kąpielach, które wycierpiała w Meksyku, przyrzekała sobie solidnie wyparzyć się i wypocić. Później owinięta ręcznikiem usiadła i zaczęła masować nogi. Mięśnie miała rozluźnione i wiedziała, że giętkość była nie tylko rezultatem prysznica czy pigułki. Gdy spojrzała w lustro, uśmiechnęła się, widząc się bez makijażu. Głucha cisza przesiąknęła mieszkanie, ale po raz pierwszy od czasu, gdy Charles odszedł, ta cisza jej nie przerażała. Jennifer pogodziła się z sytuacją. Ani ona, ani Charles nie mogli przecież zapobiec temu co się stało. Co więcej, czuła, że wynikło z tego coś dobrego. Niechcący Charles zmusił ją do zastanowienia się nad sobą. Zanim jednak miała czas pomyśleć o tym, usłyszała dzwonek. Zapominając, że ma na

sobie tylko ręcznik, pobiegła do przedpokoju.

- Gdzie, do diabła, byłaś? - David przemknął obok niej, jakby się obawiał, że zamknie mu drzwi przed nosem.

- W Atlantic City - powiedziała uszczęśliwiona na jego widok. - Ale jesteś nieznośny. Od początku wiedziałeś, gdzie byłam.

- Tylko dlatego, że zmyśliłem twojej sekretarce historyjkę o bardzo ważnych sprawach rodzinnych. - Nie mogła się bronić, ale nie miała też na to ochoty.

- David, kochanie. Nie chcę cię denerwować - powiedziała idąc za nim do salonu. - Ale dobrze mi się przyjrzyj. Jestem dorosła, mam trochę więcej niż dwadzieścia jeden lat i potrafię o siebie zadbać.

Zatrzymał się, żeby na nią spojrzeć. Nie za bardzo wyglądała na dorosłą, bez butów, makijażu, w kusym ręczniku ledwie zakrywającym jej opalone ciało.

- Nie chcę, żebyś odbijała kartę, jak w pracy, Jennifer. Byłem jednak trochę zdenerwowany.

- Nie było czym.

- Być może, ale troska o bliską osobę to taki zwyczaj, z którym trudno zerwać.

Jennifer podeszła do Davida, wzruszona jego troską, zarzuciła mu ramiona na szyję i przytuliła tak, jak to robiła, gdy byli dziećmi.

- Ja też cię kocham, naprawdę, ale musiałam się wyrwać i gdyby cię to interesowało, bawiłam się świetnie. Włóż coś na siebie i opowiem ci wszystko.

David usiadł w sypialni, żeby Jennifer mogła się rozpakować podczas ich rozmowy. Przetrzęsała swoje bagaże, oddzielając prezenty od rzeczy do prania i mówiła o willi Cranshawów, pogodzie, wycieczkach i o potędzie słońca.

David siedział na brzegu sofy. Bardzo interesował się



jej podróżą, ale w pokoju było coś dziwnego. Gdy Jennifer poszła do garderoby, żeby rozpakować kosmetyki, przyjrzał się pokojowi. Otworzył kilka szafek. Zanim Jennifer wróciła do sypialni, David zbadał salon i wnękę.

- Słuchałeś mnie? - zapytała.

Stał na baczność, wpatrując się w nią, jakby mówiła szyfrem.

- Coś nie tak?

- To ty mi powiedz.

Jennifer była zmieszana. Widać było, że był trochę zły, trochę urażony, ale nie mogła dojść, dlaczego.

- Nie wiem, o czym mówisz. Świetnie się bawiłam. Opaliłam się i czuję się lepiej niż kiedykolwiek.

- Charles też się świetnie bawił?

Zaskoczył ją tym pytaniem. Zupełnie zapomniała, że skłamała Davidowi o Charlesie.

- Charles nie pojechał ze mną - odpowiedziała cicho.

- Może dlatego, że już z tobą nie mieszka?

Jennifer potrzebowała czasu, żeby zebrać myśli. Nigdy przedtem nie kłamała Davidowi i wiedziała, że jej wykręt go uraził. Między nimi zawsze była pewna więź.

David wiedział, że coś przed nim ukrywa, ale czuł, że sama musi rozwiązać swój problem. Nie chciał jej ponaglać.

- Jesteśmy w separacji od października - powiedziała w końcu.

- Dlaczego mi nie powiedziałaś?

- Nie mogłam.

- Dlaczego nie? - David mógł wyliczyć wiele powodów, dla których Jennifer mogła zostawić męża, ale coś mu mówiło, żeby jej nie popędzać.

- Byłam zażenowana.

- Dużo małżeństw się rozpada, Jen. Nie ma się czego

wstydić, po prostu nie wyszło, to wszystko.

- Tu chodziło o coś więcej. - Jennifer zapaliła papierosa, odwróciła wzrok, a potem spojrzała bratu prosto w oczy. - Pewnej nocy wróciłam późno do domu i znalazłam Charlesa w łóżku z mężczyzną - powiedziała to tak łagodnie, że David zareagował dopiero po kilku sekundach.

- O Boże! - Wyobraził sobie cały wypadek i wstrząs doznany przez Jennifer.

- Nigdy nie przypuszczałam, że jest homoseksualistą - powiedziała szeptem.

- Nie wiem, czy byłam ślepa, czy za bardzo pochłonięta sobą, lecz gdy go poznałam od tej strony, poczułam, jakby ziemia osunęła się pode mną.

David z trudem panował nad sobą. Był zły i przerażony, a mimo wszystko czuł do Charlesa współczucie.

- Co powiedział?

- Nawet nie wiem - odpowiedziała Jennifer. - Nie słuchałam. Po prostu go wyrzuciłam.

- Najbardziej mnie dziwi to - powiedział David - że Charles był taki niedyskretny.

- Wcale nie chciał, żebym się dowiedziała. Przyszłam do domu niespodziewanie.

- No ale tu mieszkasz.

- No tak, tutaj cała sprawa się komplikuje - powiedziała Jennifer.

- Przez długi czas podejrzewałam, że Charles ma romans. Za dużo wyjazdów w interesach, nocnych spotkań. Tak czy inaczej, organizowałam to wielkie przyjęcie Jolie i tej nocy wyszedł z kobietą, którą znam. Powiedział, że odwiezie ją do domu i pojedzie do biura. Dzwoniłam dwa razy. Gdy nie było odpowiedzi, poszłam z Joshem i zostałam u niego na noc.

- Z Joshem?! - David aż się zatoczył, ta noc w Bayonne. Napięcie między nimi. Skrępowanie Josha na przyjęciu Scotty'ego.

- Kochaliśmy się, jak gdyby nigdy nie było żadnej Laury ani Charlesa. - Jennifer była zbyt pochłonięta tym, co mówiła, żeby dostrzec zamyślenie Davida. - Tylko ja i Josh. Nic innego nie miało znaczenia. Następnego dnia byłam w euforii i jak jakaś głupia małolata chciałam z nim spędzić weekend, tylko że Josh mi odmówił. Poszłam do domu i wtedy znalazłam Charlesa.

Oczy jej zwilgotniały od bolesnego wspomnienia. Nagle przeczesła włosy palcami i odrzuciła głowę do tyłu jak dumna młoda dziewczyna.

- Popatrz na tę cudowną kobietę - powiedziała. - Na pociągającą kobietę, której nie można się oprzeć. Jednej nocy odrzuciło mnie dwóch najważniejszych mężczyzn w moim życiu.

- Ja ciebie nie odrzuciłem - powiedział David, podchodząc do niej i biorąc ją za rękę. - A oni chyba też nie. Prawdę mówiąc nie sądzę, żeby Charles mógł coś poradzić na to, co się stało. Jeśli chodzi o Josha, ten facet uwielbia cię w każdym calu i ty o tym wiesz. Dlaczego do niego nie poszłaś?

Jennifer wytarła łzy, próbując odzyskać równowagę.

- Nie mogłam. Josh tak idealizuje, gdy kogoś kocha - powiedziała.

- Nie udało mi się w małżeństwie.

- Dlaczego myślisz, że Josh jest doskonały?

Nie oczekiwała takiego pytania, a już na pewno nie od Davida.

Nigdy nie zastanawiała się nad swoim uczuciem do Josha. Mężczyźni podziwiali jego bystrość w interesach, kobiety o niego walczyły.

Nawet wtedy, gdy Jennifer była młoda, odrzuciła jego propozycję dlatego, że wszyscy mówili jej, że jest dla niej doskonały.

Właśnie od doskonałości chciała uciec.

- Nie mogę uwierzyć, że ja wychwalam Josha, a ty jesteś po przeciwnej stronie.

- To dlatego, że znam jego słabe strony. Przyjmuję je tak, jak on moje, ale Joshua Mandell pierwszy by zrozumiał. Jemu kilka razy też się nie udało.

- Porażki w interesach się nie liczą.

- Mówię o porażkach osobistych.

David opowiedział jej o nocy, kiedy zmarła żona Josha. Opowiedział jej o jego romansie z Coral Trent. Jennifer była zaszokowana i zmieszana.

- Dlaczego mi tego nie opowiedział? - spytała. - Dlaczego nie poszedł za mną tamtej nocy?

- Pewno z tego samego powodu, co ty. Duma, strach, że nie będzie taki doskonały w twoich oczach. Poza tym nigdy nie chciał rozbijać małżeństwa.

Jennifer walczyła ze sobą. Z jednej strony była zła i urażona, a z drugiej rozumiała go.

- Chcesz braterskiej rady? - David wyczuł jej wahanie.

- Josh nigdzie nie wyjeżdża, nie spiesz się. Gdy będziesz gotowa, powiesz Joshowi, co się stało i co myślisz o przyszłości. Ale się nie spiesz. Jeśli macie być razem, ja osobiście zajmę się ślubem. Czy to brzmi rozsądnie?

Jennifer pocałowała go delikatnie w policzek.

- Gdybyś nie był moim bratem - powiedziała - poderwałabym cię od razu.

- Gdybym ja pierwszy tego nie zrobił.

Jennifer i David spędzili prawie cały dzień razem i kiedy wyszedł, czuła się zupełnie podbudowana, lecz ciepło,

które ją ogarnęło, szybko oziębło, gdy zdała sobie sprawę, że jeszcze nie rozmawiała z Charlesem. Miała być u Starków za trzy godziny. Dzwoniła do biura Charlesa, ale był u klienta i miał już nie wrócić do pracy.

Zamierzała go poszukać, gdy nagle ze smutkiem zdała sobie sprawę, że z Charlesem nie ma najmniejszego kontaktu. Nie wiedziała, czy jest u przyjaciela, w hotelu, czy u rodziców. Próbowwała sobie przypomnieć, czy zostawił numer telefonu na taśmie automatycznej sekretarki. Jeśli nawet zostawił, to na pewno nie zapamiętała, a zresztą jest już skasowany.

Zastanawiała się, czy nie zadzwonić do Celeste. Po chwili namysłu stwierdziła, że byłoby to za bardzo kłopotliwe. W końcu pozostało jej tylko jedno, iść na przyjęcie, spojrzeć mu spokojnie w twarz, wykorzystać sytuację jak najlepiej i umówić się na rozmowę.

Właśnie zaczęła się ubierać, gdy zadzwonił dzwonek. Kiedy usłyszała głos Charlesa wpadła w panikę. Nie była jeszcze przygotowana na spotkanie z nim twarzą w twarz. Jak się poczuje, gdy go zobaczy? Jak on zareaguje? Będzie złość? Będą łzy? Czy też tylko cisza. Otworzyła wolno drzwi. Spojrzała na niego i poczuła, że coś ściska ją w gardle. Był bardzo blady. Jego normalnie blada twarz zszarzała, a oczy były bez życia. Zaprosiła go do środka.

Zrobiła mu drinka. Rozmawiali o niczym. Nie wiedziała dlaczego zapaliła wszystkie światła i salon był pełen lodowatej jasności.

Charles siedział sztywno na tapczanie, wyprostowany, sącząc swojego drinka. Jennifer siedziała po drugiej stronie tak samo spięta jak on.

- Przepraszam, że tak wpadam, ale wiem, że idziesz do Clairborne'a i Amandy. Pomyślałem więc, że będzie lepiej,

jeśli się zobaczymy.

Nie patrzył na nią. Wpatrywał się gdzieś w dywan. Jennifer spojrzała na niego i przypomniała sobie, że zawsze był bardzo elegancki. Mimo oczywistych znaków stresu Charles nosił swój frak z taką swobodą, jakby robił to codziennie. Inni mężczyźni często czuli się skępowani w tym odświętnym stroju.

- W zasadzie jestem zadowolona, że wpadłeś. Próbowałam się do ciebie dodzwonić. Ale nie było cię w biurze i nie wiedziałam, gdzie cię szukać. Nie wiem, gdzie mieszkasz.

Odwrócił się do niej, a później znów spojrzał w bok.

- Teraz jestem w Algonquin, ale pod koniec miesiąca przeprowadzam się do nowego mieszkania.

Mówił prawie mechanicznie. Jennifer poczuła, że sprawia jej to przykrość. Przez cały czas uważała, że to ona cierpi męki, że to ona jest biedną żoną zdradzoną przez nikczemnego męża. Ani razu nie pomyślała o jego bólu, jego cierpieniach. Ten człowiek, który obok niej siedział, też był zraniony i widziała ten ból w jego postawie, w jego nachyleniu głowy.

- Charles, proszę, spójrz na mnie. - Sięgnęła po jego rękę, lecz ją cofnął. - Jest tyle do powiedzenia.

Gdy spojrzał na nią zobaczyła melancholię i rezygnację. Wzięła go za rękę. Była wilgotna.

- Nie miałem zamiaru cię skrzywdzić - powiedział.

Jego słowa były pełne szczerości i wiedziała, że jej odpowiedź musi być delikatna, ale uczciwa. Już było i tak za dużo kłamstw.

- Przez długi czas cię nienawidziłam, Charles. Jeszcze dłużej chciałam się zemścić. Czułam, że mnie zdradziłeś, obraziłeś i przede wszystkim odrzuciłeś. - Znów odwrócił

głowę i patrzył w podłogę. - W końcu zdałam sobie sprawę, że nie chciałeś, żeby to się stało. Może brak mi piątej klepki, ale już cię nie nienawidzę.

Spojrzał na nią. Ciągłe uważał ją za jedną z najcudowniejszych kobiet, jakie kiedykolwiek znał. Nagle ich lata spędzone razem przemknęły mu przed oczami. Przeanalizował ich małżeństwo i doszedł do wniosku, że i tak rozpadłoby się bez względu na jego upodobania seksualne. Ich związek był przejściowy. Jennifer potrzebowała oazy, gdzie mogła pielęgnować swoją ambicję i posiać ziarno nowej osobowości. On potrzebował przystani, bezpiecznego miejsca, aby pomyśleć o sobie. Obydwoje odnaleźli siebie, a rezultat był taki, że oboje zyskali i oboje stracili.

- Nie było tak źle przez te wszystkie lata - powiedział w końcu.

Jennifer przysunęła się do niego.

- Nie. Mieliśmy ze sobą dużo wspólnego. Wspieraliśmy się nawzajem.

Jestem ci wdzięczna za to. Wprowadziłeś mnie w świat, którego przedtem nie znałam. Nauczyłeś mnie stylu i klasy.

- Byłaś zdolną uczennicą.

- Nauczyłam cię śmiać się.

- Tak, to prawda - powiedział, lekko się uśmiechając.

- A ty nigdy nie śmiałaś się ze mnie, tylko ze mną. Nie śmiałaś się ze mnie, Charles?

- Nie, nigdy się z ciebie nie śmiałem - powiedział Charles łagodnie. - Chociaż czasami płakałem, ponieważ wiedziałem, że w końcu kiedyś cię skrzywdzę.

Jennifer poczuła się lepiej. Pograżyli się w miłych wspomnieniach, zapominając o przyczynach ich rozstania.

- Pamiętasz, jak zabrałam cię na wrotki? Kiedyś w

Halloween złamałeś ząb, kiedy jadłeś galaretkę z jabłek. Najlepiej było, gdy się upiliśmy szampanem w Central Parku. Pamiętasz, jak udawałam Ginger Rogers i kazałam ci stepować jak Fred Astaire?

Zaśmiał się i kiwnął głową.

- Ludzie myśleli, że jesteśmy nienormalni - powiedział.

- Ale dobrze się bawiliśmy.

- O tak.

Sączył swojego drinka i jego twarz jeszcze raz spoważniała.

- Wiesz co - powiedział. - Najbardziej, chyba, podobało mi się w tobie to, że mogłem cię złapać za rękę i biec przez park i śmiać się. Nie wyniosłem z domu zbyt wiele radości.

Mimo że jego słowa sprawiły jej przyjemność, czuła głęboką potrzebę wypowiedzenia tego, co tała od tak dawna.

- Tamtej nocy, kiedy znalazłam cię z tym mężczyzną, byłam taka upokorzona, taka zraniona. Nie mogłam się z tego otrząsnąć przez kilka dni.

Charles chciał się do niej przysunąć, objąć ją ramionami, przytulić, przeprosić, ale nie był pewien, czy tego chciała.

Jennifer zauważyła, że się waha.

- Minęło trochę czasu, zanim zrozumiałam, że obydwójce coś ukrywamy i nie jest nam ze sobą dobrze. Kiedy za ciebie wyszłam, kochałam cię, lecz bardziej chyba od ciebie pragnęłam tego, co sobą reprezentowałeś. Twojej klasy. Chciałam być kimś, kim nie byłam.

Chciałam zrealizować moje młodzieńcze marzenia.

- W marzeniach nie ma nic złego, Jennifer.

- Jennie.



- Co? - Charles był zdziwiony szczególnie wyrazem twarzy Jennifer.

- Nie wiedziałeś, że naprawdę mam na imię Jennie?

- Nie.

- No cóż, jestem Jennie Kay Sheldon. Tak przynajmniej jest napisane w metryce. Kiedy byłam w college'u zmieniłam na Jennifer, gdyż myślałam, że zmieniając imię zmienię swój los. Przez lata starałam się być Jennifer, lecz ani mnie, ani nikogo mi bliskiego to nie uszczęśliwiło, więc z powrotem jestem Jennie.

- Pasuje do ciebie - powiedział jakby widział ją po raz pierwszy.

- Brzmi bardzo ciepło. - Uśmiechnął się do niej i uściśnął jej rękę. Był to pierwszy prawdziwy uśmiech, jaki zobaczyła na jego twarzy tego wieczoru i sprawiło jej to przyjemność.

- W tym rzecz - powiedziała - że przedtem nie byłam sobą. Nie byłam szczerą ani z tobą, ani ze sobą, ani z nikim innym. Byłam tak samo zwodnicza jak ty. Żyliśmy jak na scenie, grając role, które dla siebie stworzyliśmy. Wtedy mnie zostawiłeś. Odszedłeś, bo dla ciebie gra się skończyła. Nienawidziłam cię za to, lecz teraz podziwiam. To było bardzo odważne. Zdecydowałeś, że chcesz być takim, jakim naprawdę jesteś. Mnie to idzie gorzej, ale się uda.

Charles próbował wchłonąć wszystko, co mówiła i to, czego nie powiedziała. Nie oczekiwał takiej siły ani uczciwości. Był jej wdzięczny. Spojrzał na jej rude włosy błyszczące w świetle i na jej opaleniznę, która przyciemniała jej oczy. Była absolutnie piękna i nie żałował ani chwili, którą z nią spędził.

- Nawet gdybym wiedział, że nie będziemy mogli być ze sobą aż do śmierci i tak bym cię kochał, Jennie Kay

Sheldon. I ciągle cię kocham na swój sposób. Żałuję tylko, że nie mieliśmy dzieci.

Byłabyś cudowną matką.

- Jesteś cudownym przyjacielem. - Łzy ciekły jej po policzkach.

Znów nastała cisza, lecz tym razem pełna zadumy, napawająca ich otuchą.

- Charles, czy masz teraz kogoś? - Pytanie przeraziło go, spojrzał na nią z wahaniem. - Możesz na ten temat rozmawiać?

- Czuję się trochę dziwnie, ale nie, nie przeszkadza mi to pytanie - powiedział. - Jestem dla ciebie odrażający? Czy myślisz, że jestem chory i zdeprawowany?

- Myślę, że jesteś odważny - powiedziała pochylając się, żeby go pocałować w policzek. - Wiem, że jesteś troskliwy, inteligentny i wrażliwy.

Charles wstał, wziął Jennifer za rękę i podniósł z tapczanu. Stali bardzo blisko siebie, a ona czuła jego oddech na twarzy, gdy pocałował ją delikatnie.

- Wiesz, jak nie lubię się spóźniać - powiedział. - A mamy jedną kolację, w której musimy wziąć udział. Czy mogę pani towarzyszyć?

- Byłabym zachwycona, proszę pana. - Jennifer dygnęła, czuła się całkiem odświeżona. Przewyciężyła urazę, dumę, uprzedzenie i przede wszystkim swoją słabość. Wiedziała, że Charles toczył podobną bitwę i że też ją wygrał. Było to cudowną nagrodą.

- Może później pójdziemy na grzane piwo? - spytał Charles.

## ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY PIERWSZY

Brad Helms rzadko pił martini. Lubił tylko ostre mieszanki, w takich chwilach jak obecna. Brad doszedł do stanu wycieńczenia nerwowego. Ostatnio niewiele spał i mimo tego, co mu mówiono o sukcesie reklamowym wydania kwietniowego był stale zdenerwowany.

Sukces uważał za trik kogoś, kto stał za tym wszystkim.

Kiedy dowiedział się o przyjęciu u Starka, odkrycie prawdy stało się dla niego obsesją. Szukał dowodu na to, że Jolie padło ofiarą spisku. Zaproszenie do Starka mogło oznaczać fakt dokonany. Brad chciał jednak za wszelką cenę dowiedzieć się kto był wtyczką.

Przez pewien czas Brad zgadzał się z Brooke i podejrzewał Jennifer, mimo że nie miał zbyt wiele dowodów. Jednak te, które miał były przekonujące. Jego pomysł, żeby poświęcić cały numer Hawajom był ryzykowny, lecz tylko ona ofiarowała swoją pomoc. Może dlatego, że niczym nie ryzykowała. Clairborne Stark był partnerem jej męża. Dlaczego sprzedaż miała mieć miejsce właśnie u niego, a nie w biurze? Czy jej mąż popierał konsorcjum, które miało sprezentować Jennifer Jolie jako dowód jego miłości i poświęcenia?

Chociaż nie mógł uwierzyć, żeby Jennifer była zamieszana w coś tak mętnego, Brooke cały czas przypominała mu o jej tajemniczości i ambicji. Jednak z drugiej strony, Brooke też zżerała ambicja.

Nagle Brad przestał przeglądać dokumenty. Utkwił wzrok w różowej kartce. Znalazł winnego.

- Conlon! - Bradowi rozbłyły oczy.

Wszystko pasowało. Gdy Brad usłyszał po raz pierwszy o Morceaux, coś go zaniepokoiło. Teraz wiedział.

Terk pracował dla tej firmy, zanim przyszedł do Jolie. Przejrzał dokumenty. Wszystkie przedsiębiorstwa, które zerwały współpracę z Jolie w ciągu ostatnich dwóch lat, były częścią tego samego konsorcjum Towers Industries. To było zbyt wiele jak na zbieg okoliczności. Brad odszedł od stołu i podszedł do lustra, z roztargnieniem poprawiając krawat. Łyknął martini, podszedł do szafki i wyjął płaszcz. Miał dowód, lecz znalazł go za późno. Nie mógł nic zrobić. Mógł się tylko pocieszyć. To nie on się pomylił. On po prostu przegrał z kimś, kto był od niego lepszy.

## ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY DRUGI

Eben Towers wybrał odległy róg salonu Starka za punkt dowodzenia.

Tam mógł pozostać nie zauważony. Było wcześniej i wszyscy stali w małych grupkach, zmieniając miejsce co parę minut, mieszając się w tłumie. Tylko Towers nie zmieniał pozycji. W napięciu oczekiwał na ten wspaniały moment, gdy rzuci się jak sęp na swoją ofiarę. Za kilka godzin stanie się jeszcze potężniejszy. Będzie człowiekiem, o którego względy wszyscy się będą ubiegać. Dla jednych będzie łaskawy, innym, którzy odrzucili go w przeszłości, odmówi nawet najmniejszej przysługi. Oglądając miejsce swojego triumfu, gratulował sobie wyboru. Selwyn Fellows chciał ogłosić sprzedaż w biurze, ale Towers pragnął podkreślić swoje znaczenie i układy, urządzając przyjęcie w domu jednego z najważniejszych ludzi w Nowym Jorku. Zaproszono 150 osób. Byli urzędnicy Fellowsów, partnerzy z firmy prawniczej Starka, przedstawiciele redakcji magazynów Fellowsów, wielu producentów i sporo znanych projektantów. Był to zamknięty krąg świata mody, towarzystwo pokryte patyną sławy i luksusu. Większość domyślała się, że chodziło o coś więcej niż o przypadkowe przyjęcie.

Towers przymrużył swoje blade oczka i obserwował, jak każdy próbuje ukryć obawę, a olbrzymie wibracje, które wyczuwał zwiększały jego przyjemność. Zaniepokojenie obecnych pobudzało go tylko dlatego, że zwiększało dramatyczność niespodzianki. Los redakcji Jolie miał spocząć w rękach kogoś z nich, kogoś kto jeszcze nie przybył.

Brooke Wheeler w ciągu tych lat, które spędziła w Nowym Jorku, była nieraz na szykownych przyjęciach i na nadmorskich party w Southampton, tak że łatwo mieszała się

z bogatymi. Nie była jednak przygotowana na oszałamiające bogactwo domu Starka. Była przejęta, gdy znalazła się w holu z marmuru. Bała się mrugnąć okiem ze strachu, że może nie zauważyć małego, a wyśmienitego szczegółu.

Jak dziecko w Disneylandzie wędrowała po salach pod pretekstem przywitania się ze znajomymi, jednak prawdę powiedziawszy Brooke zwiedzała.

Czarno lakierowane ściany stanowiły tło dla olbrzymich płócien Frankenthalera, Stelli i de Kooninga pasujących do wysokich sufitów, z których River House był sławny. Olbrzymie białe kanapy też nie odbiegały od proporcji sali, dopasowane do orientalnych kobierców w ciemnych kolorach, otoczone marmurami i stołami wypełnionymi artystycznymi drobiazgami muzealnej wartości. Nawet goście wydawali się dotknięci czarodziejską różdżką dostatku, prześlizgując się, zamiast przechodzić, szepcząc, zamiast mówić głośno, chichocząc, zamiast śmiać się. Otoczenie było królewskie, a Brooke kosztowała tego, dopóki nie poczuła, że jest lekko nim pijana.

Intrygowała ją Amanda Stark. Obserwowała, jak porusza się wśród gości ze sztywną elegancją. Srebrnowłosa kobieta ubrana u Galanosa i z biżuterią Bulgariego miała arystokratyczną postawę i majestatyczny chód, podkreślający jej status członkini elit. Była niespotykanie zamożna.

Brooke nigdy poważnie nie zastanawiała się nad małżeństwem, ale musiała przyznać, że nie miałyby nic przeciwko życiu Amandy Stark.

Uśmiechnęła się do siebie i spojrzała na Brada. Chociaż dotychczas unikał jej, wiedziała, że bał się, iż ktoś w tym pokoju mógł znać Ivy Helms. Jego sprawa miała się zacząć za miesiąc. Gdy się to skończy, Brooke tam będzie, żeby go pocieszyć.

Amanda zatrzymała się, żeby pogawędzić z Gwendolyn i Frankiem Stuartami - Brooke skierowała się prosto w kierunku naczelnego redaktora. Gwen dokonała odpowiedniego wprowadzenia i we czworo zaczęły wymieniać grzeczności. Brooke odwróciła się, żeby spojrzeć na Gwen. Wyglądała świetnie w jedwabnej żorzetce na jedno ramię w niebieskie i różowe paski, z włosami odrzuconymi do tyłu, by odsłonić delikatne, różowe, koralowe kolczyki z diamentami.

Chociaż wyglądało na to, że jest zupełnie na luzie, Gwen była tak zdenerwowana, że nawet szelest taftowej spódnicy ją rozstrajał. Za każdym razem, gdy w drzwiach ukazywała się nowa twarz, Gwen drżała, zastanawiając się, czy ten mężczyzna lub kobieta ogłosi coś, co drastycznie zmieni jej życie. Mimo że tak uwielbiała przyjęcia, nie mogła pozbyć się myśli, że była to uczta na Titanicu. Chciała tylko uwierzyć, że ten wieczór nie ma z nią nic wspólnego, jednak wiedziała, że jest inaczej. - ...a prezes Plutarch Fashions cały wieczór na mnie poluje.

Przez cały czas musiałam uciekać od tych jego łap. - Brooke zdawała relację z tego, co się działo wokół nich i chociaż Frank był ubawiony, Gwen nie mogła już znieść plotek.

- Brooke, przestań pleść. Nad nami wisi topór gilotyny, a ty trujesz o głupotach.

Brooke zarumieniła się. Nie lubiła, gdy Gwen przybierała władczy ton.

- Tak naprawdę, to nie wiemy, co się dzisiaj stanie - powiedziała we własnej obronie. - Może Joseph Fellows odchodzi ze stanowiska, i zebraliśmy się, gdyż Selwyn Fellows będzie przewodniczącym rady nadzorczej?

- A może podadzą nam masło orzechowe i galaretkę na

obiad? - Frank skomentował sarkazm Gwen ostrym spojrzeniem.

- Brooke ma rację - powiedział. - Nikt nie wie na pewno, czy Jolie zostało sprzedane. Więc nie ma co się denerwować.

- A co myśli Jennifer? - powiedziała Brooke ze złościwością w głosie.

- Jeszcze jej nie ma, a zazwyczaj się nie spóźnia.

Gwen odwróciła się ku drzwiom, mając nadzieję, że zobaczy w nich Jennifer. Nie wiedziała, że nie ona jedna czeka na jej przybycie.

Brad zamknął się w saloniku. Wciąż chciał rozmawiać z Selwynem Fellowsem i powiedzieć mu to, co wie. Po chwili jednak stwierdził, że lepiej tego nie robić, bo nic na tym nie zyska. Jeśli Fellows był w spisku, nie będzie tym zachwycony, jeśli nie, będzie oburzony oskarżeniami Brada. Nie miał ochoty niepotrzebnie się narażać. Służący przyniósł mu kolejne martini. Sączyl je w zadumie. Pogodził się już ze sprzedażą Jolie i utratą pracy.

Interesy to była polityka, a polityka była grą. Wykiwał go facet, o którym nigdy by nie pomyślał, że może być lepszy, a to bolało.

Przyśiągł sobie jednak, że przyjmie wszystko z godnością. Przyjmie dymisję ze spokojem i chociaż nie będzie mógł wydobyć z siebie ani słowa, wyjdzie naprzód i pogratuluje nowemu wydawcy Jolie - Terkelowi Michaelowi Conlonowi. Był pogrążony w tych myślach, gdy podszedł do niego Selwyn Fellows i poprosił o parę słów na osobności.

- To on?

Terk ukradkiem zerknął na Ebena Towersa, a potem odwrócił się do Deirdre. Chociaż straciła na wadze i była odrobinę za szczupła wyglądała wspaniale w sukni od Saint



Laurenta.

Parę tygodni temu, kilka dni po kłótni z Zeną, Winifred Walling przyszła spytać, czy nie chciałby może pomyśleć o Deirdre. Błagała go, żeby się z nią zobaczył. Zgodził się. Jego rozczarowanie do Zeny, stres związany z Towersem i kryzys w magazynie zmęczyły go.

Przez cały czas Deirdre wkradała się w jego myśli i odkrył, że jego wrogość do niej znikła.

- To on - powiedział Terk. - Zdejmij z niego smoking, jedwabną koszulę, lakierki, a zobaczysz markiza de Sade XX wieku.

Deirdre spojrzała zezem na niskiego mężczyznę po drugiej stronie sali.

- Wygląda na faceta, który zawsze chowa coś w zanadrzu. Nie podoba mi się - powiedziała.

- Mówiłem ci, że moje kontakty z panem Towersem nie były oparte na wzajemnym podziwieniu i przywiązaniu.

- Sama myśl, że musiałeś się płaszczyć przed nim jest odrażająca - ucięła Deirdre.

Terk objął ją w pasie i skierował do korytarza.

- Zapomnij - powiedział. - To się już skończyło.

Deirdre zatrzymała się i spojrzała mu prosto w twarz.

- Naprawdę? - spytała.

- Zupełnie. Dług jest wyrównany, a teraz Eben Towers należy do przeszłości. - Terk próbował wprowadzić ją do biblioteki, lecz ona nie chciała się ruszyć.

- Wykorzystał cię, Terk - szepnęła. - I ryzykując kruchą równowagę naszego zawieszenia broni, czy mogę ci przypomnieć, że będziesz czuł urazę?

Uśmiechnął się, ale oczy mu ściemniały.

- To prawda, nie lubię być popychany.

Przepraszający uśmiech przebiegł po wargach Deirdre.

- Nikt tego nie wie lepiej ode mnie.

Terk wziął ją za rękę, objął i poprowadził do baru. Stojąc tam przyglądał się żonie. Nie mógł się przyzwyczaić do jej delikatności. Nie łudził się, że całkiem porzuciła żądę władzy, ale naprawdę próbowała panować nad sobą: zastanawiała się nad tym, co mówiła, prosiła, a nie żądała. Nawet jej duma przygasła.

Ostatniej nocy poprosiła go, żeby wrócił do domu. Gdy powiedział, że nie jest na to gotowy, oczekiwał złości, ale przyjęła to bez słowa.

- O czym myślisz? - spytał Terk. - Żałuję, że nie powiedziałeś mi o tym wcześniej. Mogłabym pomóc - powiedziała nieśmiało. Terk schylił się, żeby pocałować ją w policzek.

- Dzięki - powiedział. - Ale Towers chciał czegoś więcej niż pieniędzy. Chciał zemsty.

- A ty nie?

- Jestem już tym zmęczony. Zbyt wiele się stało. Sam się w to wpakowałem, a Towers tylko przypilnował, żebym tam został.

Deirdre kiwnęła głową, ale nie była przekonana. Była wręcz pewna, że Terk nie powiedział jej wszystkiego. Powiedział o swoich kontaktach, czuła jednak, że cała historia była starannie okrojona. Był za bardzo ostrożny, zbyt szybko wybaczał. Przez kilka minionych tygodni często się widywali. Rozmawiali o rzeczach, o których nie rozmawiali nigdy przedtem, o rodzicach, o przeszłości, przyszłości, nawet o marzeniach. Bardzo ich te rozmowy zbliżyły. Ze zdumieniem odkryła olbrzymią wrażliwość Terka. Odkryła, że urażały go drobiazgi. Coś, co ktoś inny mógłby uznać za mało ważne, Terk uważał za obrazę. Nie. Zniewolenie go przez Towersa nie było czymś, co Terk mógł łatwo

zapomnieć.

- Deirdre, nie myśl o tym. - Poklepał ją po ramieniu, żeby zwrócić jej uwagę. - Naprawdę, nie warto.

Deirdre uśmiechnęła się i podeszła z nim do następnej grupy ludzi.

Miała jednak dziwne przeczucie dotyczące tego wieczoru. Coś tu nie pasowało. Może to, że jedyną osobą, z którą nie rozmawiał, był szef, Brad Helms. Być może to, że Jennifer Cranshaw, kobieta tak nierozzerwalnie związana z Jolie jeszcze nie przybyła. A może dlatego, że nie ufała takiemu draniowi jak Eben Towers.

Brad stał w bibliotece ogłuszony. Potrzebował czasu, aby wchłonąć krótką, lecz dużo wyjaśniającą rozmowę. Jeśli chodzi o sprzedaż Jolie, przyznawał im słuszność, była interesem, niczym więcej, niczym mniej. Dziś wieczór przyszedł tutaj, wierząc, że będzie to jednoaktówka z nieskomplikowaną akcją. Teraz czuł się, jakby brał udział w dreszczowcu Hitchcocka. Brad nie mógł doczekać się finału.

Jennifer i Charles przybyli ostatni i gdy Amanda Stark przyszła ich przywitać, większość gości odwróciła się w kierunku drzwi.

Jennifer objęła Amandę, przez chwilę nieświadoma poruszenia, jakie wywołała. Jej opalona skóra sprawiała, że wyglądała jak błyszcząca bryła kosztownego złota. Chociaż zgodnie z oczekiwaniami przeprosili za spóźnienie, Jennifer była w duchu zadowolona. Napięcie wisiało jak chmura zielonoszarego smogu i gdy przeszli do salonu, wyczuła to. Gdziekolwiek spojrziała, uśmiechy były wymuszone, rozmowy brzmiały sztucznie, a ludzie byli sztywni jak z plastiku.

- Ponuro tu - powiedział Charles.

- Clairborne coś ci powiedział? - szepnęła Jennifer.

- Nie, nic. Jeśli w ogóle doszło do jakiejś transakcji, to trzymano to w tajemnicy.

- Mówiono, że Jolie jest pierwsze w kolejce do sprzedaży - powiedziała Jennifer, przyglądając się twarzom. - Ale chyba wszyscy boją się czarnego konia.

- Lepiej rozejdźmy się i zobaczymy, co słyhać. - Charles ścisnął rękę Jennifer i skierował się w stronę salonu. Mimo wszystko to było dziwne. Obecność Charlesa sprawiała jej przyjemność.

Obserwowała, jak znika i czuła ból straty. Z jednej strony chciała za nim pobiec, przyłgnąć do czegoś znajomego, ukryć się przed nieznanym. Wiedziała jednak, że była to mrzonka. Charles był częścią jej przeszłości.

Właśnie miała poszukać kelnera, gdy zobaczyła Gwen i Franka machających do niej. Streszczając im swoją podróż, zauważyła, że Gwen często poprawia nerwowo bransoletki. W jej ruchach krył się strach.

- Będziesz musiała się dowiedzieć o wielu rzeczach. Jennifer odwróciła się słysząc znajomy głos za sobą. Patrick Graham podał jej kieliszek białego wina, a jego chłopięca twarz spłonęła nieśmiałym uśmiechem.

- Na ile muszę być silna? - spytała.

- Tubylcy są wyjątkowo niespokojni - powiedział. - Ale nikt nie mógł się niczego dowiedzieć.

- Sądząc z lubieżnych spojrzeń zewsząd rzucanych na ciebie, nie tylko ja uważam, że wyglądasz świetnie - powiedział Patrick.

- Gdybym to wiedziała - powiedziała Jennifer zadowolona z komplementu - ubierałabym się tak częściej.

Patrick chciał jej powiedzieć, że nie jest to zasługa stroju, mimo że był znakomity, ale raczej jej wewnętrznej energii. Jej wibrujący wdzięk przyciągał do niej ludzi i

wyróżniał wśród innych kobiet, które były tylko ładne.

- Wyglądasz na bardzo pewną siebie - powiedział.

- To opalenizna. - Świetnie ukrywasz zdenerwowanie, ale Terk jest lepszy. Jest tak opanowany, że pomyślałabyś, iż dla niego jest to spóźnione przyjęcie sylwestrowe.

Jennifer odwróciła się w stronę Terka. Stał w tłumie. Uśmiechał się do wszystkich i poklepywał wszystkich po plecach. Wydawał się zadowolony. Nie był tak zdenerwowany jak inni. Nie wiedziała, czy przybrał pozę, czy naprawdę mu nie zależało na tym, co się stanie.

Wydawało jej się to dziwne. Wyraźnie jej unikał. Przez wiele miesięcy podejrzewała, że coś ukrywał. Nie wiedziała jednak, co?

Nie mogła się nadziwić, co wyczyniał z Deirdre, lecz z drugiej strony też musiał być zdziwiony widokiem Charlesa. Może dlatego jej unikał?

- Myślę, że dzwonek jest sygnałem do zajęcia miejsc w jadalni - powiedział Patrick, biorąc ją za rękę.

- To sygnał na czwartą rundę - powiedziała Jennifer, nie mogąc oderwać oczu od Terka.

- Myślisz, że dojdzie do tego? - spytał Patrick.

- Nie. Chyba wszystko zostało już rozstrzygnięte.

To był bardzo męczący dzień, począwszy od niespodziewanej wizyty Davida i jego rewelacji o Joshu, melancholijnego, ale wyczerpującego spotkania z Charlesem, a potem wieczoru pełnego nerwów na przyjęciu. Przez cały czas Jennifer zmuszała się do spokoju, jednak, gdy wyszli z jadalni i zobaczyli, jak Clairborne Stark wchodzi na stopień spiralnych, marmurowych schodów, zaczęła drżeć. Charles objął ją w pasie i była mu za to wdzięczna. Będzie sama przez cały wieczór, kiedy się to skończy, ale nie była sama teraz.

Clairborne Stark przedstawił zebranym Selwyna Fellowsa. Był to mężczyzna średniego wzrostu, łysiejący, w okularach. Jennifer zawsze uważała, że jest trochę sztuczny, bezosobowy. Czasami zastanawiała się, czy miał w ogóle jakieś ludzkie uczucia, czy też obracał się wyłącznie dookoła rachunku strat i zysków.

- W imieniu wszystkich obecnych - rozpoczął dość głośno - niech pozwolą mi państwo podziękować Clairbornowi i Amandzie za przygotowanie tego niebiańskiego wieczoru.

- Wszyscy państwo wiedzą, że myślimy o Fellows Publications jak o rodzinie. Tak jak w większości rodzin przychodzi czas, gdy podstawowa struktura musi ulec zmianie. Przez długi czas dążyliśmy do powiększenia naszej rodziny. Jestem dumny, że mogę ogłosić nabycie Epicure - najlepszego czasopisma specjalizującego się w modzie męskiej w kraju.

Gwen rozjaśniła się, słysząc oświadczenie Fellowsa i dołączyła do entuzjastycznych oklasków zebranych. Jennifer jednak w przemowie Fellowsa usłyszała przecinek a nie kropkę.

- Oczywiście - mówił dalej - chcemy od razu przejąć Epicure.

Dlatego też wybraliśmy nowego wydawcę. Jest człowiekiem z wyczuciem stylu i jak ufamy użyć swojego krawieckiego talentu stronom naszego najnowszego magazynu. Z wielką przyjemnością ogłaszam, że nowym wydawcą Epicure jest pan Bradford Helms.

Brooke poczuła, że mdleje. Brad nie odzywał się do niej przez cały wieczór. Musiał o tym wiedzieć. Klaskała głośno, obserwując, jak wchodzi na stopień i ściska dłoń Selwyna Fellowsa.

Jennifer uśmiechnęła się. Była zadowolona ze względu na Brada i zaskoczona, że Fellows dokonał takiego trafnego wyboru. Brad uwielbiał modę męską. Było to widać po tym, jak się sam ubierał, jak chodził. I nagle Jennifer zdała sobie sprawę, że Brad nigdy nie czuł się dobrze w Jolie, w świecie świecidełek i fatalaszków.

Jego mocną stroną były tweedy i flanele i nie miała wątpliwości, że pod jego zarządem Epicure odniesie oszałamiający sukces.

Nagle znieruchomiała, zabrakło jej tchu. Zdała sobie sprawę, że teraz stanowisko wydawcy Jolie jest wolne. Rozejrzała się po sali szukając jego następcy. Wyraz twarzy Brada mówił, że wiedział, kto to jest.

- Nie trzeba mówić, że przyjmuję nowe stanowisko z wielką przyjemnością. - Głos Brada pełen był satysfakcji. - Razem z radością jednak przychodzi żal. W Jolie zawarłem wiele przyjaźni.

Będę tęsknił za kreatywnością i optymizmem tego zespołu.

Odchodząc, mogę być dumny, że z nimi pracowałem. Mam tylko nadzieję, że im też będzie mnie brak.

Patrick Graham był ogromnie zadowolony z nominacji Brada i chciał być świadkiem jego chwały, ale nie mógł oderwać oczu od Brooke Wheeler. Była przerażona, jakby dowiedziała się o śmierci kogoś bliskiego. Każdy, bez względu na to jaki jest, ma czasami przyjemność z cudzego nieszczęścia. Przez całą kolację - a miał pecha, że siedział przy jej stole, zachowywała się nieznośnie, rozmawiając to tu, to tam, była jak balon wypełniony powietrzem.

Teraz wyglądała, jakby z niej to powietrze wypuszczono, a na jej twarzy widać było przerażenie i gniew. Brooke wszystko postawiła na jedną kartę, a karta ta była

przegrana. Gdy Brad wrócił na miejsce, na sali nastąpiło ogólne poruszenie. Wszyscy wymieniali uwagi między sobą, podczas gdy pracownicy Jolie otoczyli byłego szefa gratulując mu. Gwen nie mogła się ruszać. Obawiała się, że teraz wydarzy się najgorsze, że nowy wydawca sprowadzi na jej miejsce kogoś z zewnątrz. Zdarzało się, że wydawcy sprowadzali ze sobą redaktorów. Frank złapał ją za rękę i chciał jej coś powiedzieć, lecz utkwiał wzrok w Selwynie i czekał.

- Przyjmując znów rolę ojca - powiedział Fellows wolno, w oczekiwaniu aż ucichnie hałas - mam coś jeszcze do zakomunikowania. Pewien dżentelmen poprosił o rękę jednej z naszych dam, a my pozwoliliśmy na ich związek.

Jennifer była tak zdenerwowana tymi ojcowskimi morałami, że chciała krzyczeć. Marnie Dobbs i Bettina Kharkovsky, które stały obok niej, szeptały do siebie.

- Właśnie przekazujemy Jolie w zdolne ręce kogoś, kto bardzo dobrze zna się na modzie kobiecej. Jest dżentelmenem, który posiada w branży ustaloną opinię i chociaż nigdy nie był wydawcą, bez wątpienia jego zdolności menadżerskie zapewnią Jolie znakomitą przyszłość. Przedstawiam państwu nowego właściciela Jolie, pana Ebena Towersa.

Jennifer poczuła, że jest jej słabo. Spojrzała na Charlesa, szukając wyjaśnień, ale on też wydawał się zaszokowany. Patrzyła, jak Towers wchodzi na zaimprovizowane podium. Miała, jak jej się zdawało, więcej szczęścia niż inni: przynajmniej wiedziała kim on jest. Marnie, Brooke, Gwen, Patrick pytali się o niego sąsiadów.

Zaraz mieli dostać odpowiedź.

Eben Towers wszedł na stopień, jak król wracający z wygnania i mający właśnie odzyskać tron. Podał rękę



Selwynowi Fellowsowi i poczekał, aż ten usiądzie. Dookoła wrzało od rozmów. Byli zaskoczeni i zaszokowani, tak jak myślał. Uśmiechali się, ale nerwowo. Towers też, jednak z innych powodów.

- Gdy stoję tutaj i patrzę na to niezwykle zgromadzenie, widzę wielu kolegów, współpracowników i znajomych, ale dla niektórych jestem nieznanym, może nawet intruzem. Zajmuję się modą od ponad trzydziestu lat i pomysł posiadania jednego z najbardziej prestiżowych magazynów zawsze był dla mnie wyzwaniem. Ten wspaniały wieczór wieńczy lata pobożnych życzeń i miesiące wyłożonych negocjacji. Tym, którzy wytrzymali plotki i nie kończące się spekulacje mogę powiedzieć, że najgorsze jest za nami, a wszystko, co najlepsze przed nami.

Towers nie zwracał uwagi na sceptyczne spojrzenia.

- Jako producent byłem fanem Jolie odkąd pamiętam, przede wszystkim dlatego, że było to pismo młodych, ambitnych kobiet, które pragnęły niezależności. Przez ponad trzydzieści lat Jolie było wierne tym tradycjom. Jednak przez ostatnich kilka lat obraz się zamazał. Dlaczego? Ponieważ tak jak wiele innych magazynów Jolie dało się wodzić za nos projektantom. Nagle najważniejsze stały się etykiety. Inicjały były na wszystkim, począwszy od pończoch, a skończywszy na okularach przeciwsłonecznych, a najczęściej używanym sloganem było: „Jesteś tym, co nosisz”.

Pamiętam czasy, kiedy kobiety szukały czegoś nowego. Było normalne, że kupowały pod wpływem chwili i że wymieniały co roku całą swoją garderobę. Chodziły na zakupy bez poczucia winy, bo jeden zakiet nie był równoważnością miesięcznej pensji. Dzisiaj wszystko jest inaczej. Dzisiaj nasze klientki zachęca się, żeby kupowały coś na dłużej, pojedyncze rzeczy, które mają zaspokoić ich

pragnienie bycia modną. Każe im się, żeby były zadowolone, gdy mają mniej, ponieważ, gdy mają mniej to mają więcej. W moim odczuciu takie hasła stworzyły u klientów poczucie niepewności, pozbawiły pracy wielu producentów i zmieniły strukturę całego przemysłu. Nazwiska projektantów stały się symbolem akceptacji, a metki miernikiem elegancji. Kupując Jolie miałem na celu odwrócenie tego trendu, nie przez walkę z projektantem, ale walcząc o wyższość mody nad sławą i stylu nad podpisem.

Jego przemówienie przyjęto chłodno, z wymuszonymi uśmiechami aprobaty. Wszyscy kiwali głowami komentując to, co powiedział.

Tylko dwie osoby na sali obserwowały to wszystko z naturalnością:

Terk był ubawiony, a Jennifer Cranshaw powstrzymywała się od oceny.

- Zależy mi na tym, aby Jolie powróciło na należne mu miejsce wśród prasy zajmującej się modą. Odkurzymy starą metodę i ożywimy cały rynek. Strony okładki będą śpiewały nową wolnością. Od tej chwili tylko dwie rzeczy będą miały znaczenie: czytelnik i magazyn. A tym magazynem będzie Jolie.

Przerwał na chwilę, z wdzięcznością przyjmując oklaski od znajomych. Zauważył, że klaskała nawet redakcja Jolie. Uważali, że ma rację, ale gdy się rozejrzał po sali zauważył też tych, którzy byli przeciwko. Byli to ludzie, których obdarzył przyjaźnią, gdy chodzili na kursy dla projektantów. Przez lata opiekował się nimi, gdy byli w potrzebie, czasami nawet finansował ich przedsięwzięcia. Byli jego protegowanymi, dopóki nie stali się sławni. Nagle przestali do niego dzwonić. Zniknął z listy gości.

Spotkania stały się rzadkie, a potem nie było ich w

ogóle. Z dnia na dzień stał się jakimś kiepskim handlarzem i nie chcieli mieć z nim nic wspólnego.

Czekał na okazję i teraz widział, jak stoją w ciszy przerażeni.

Bali się, natomiast jego ogarnęły płomienie zemsty.

- Myślę, że ci ludzie, których zadaniem jest doprowadzić każde wydanie Jolie do kiosków, bardzo chcą wiedzieć, czy jestem żądnym krwi dzikusiem, czy też dobrym czarodziejem - mówił dalej. - Przyjrzałem się kierownictwu Jolie i wprowadzę tylko dwie zmiany.

Wszystkie pozostałe przyjdą od nowego kierownictwa. Pierwsza zmiana nastąpi na stanowisku kierownika Działu Reklamy. W redakcji Jolie jest ktoś, kto przez lata był niedoceniany. Pan William Zorn!

Jennifer spojrzała w kierunku Terka i oddech zamarł jej w piersiach. Terk oklaskiwał sukces kolegi z zapamiętaniem kibica na stadionie. Jennifer była zupełnie zdezorientowana. Lubiła Billy Zorna i owszem, uważała, że byłby dobry na tym stanowisku, lecz Terk nie był kimś, kto przyjąłby zwolnienie tak lekko.

Brad też obserwował Terka, ale on nie był zdezorientowany. Czuł, jak palce Brooke wpijają mu się w ramię, nie odrywał jednak wzroku od Terka.

Deirdre uwolniła rękę Terka na tyle, żeby mógł pogratulować swojemu następcy, lecz gdy tłum znów się zgromadził, uchwyciła się go jak oparcia. Wewnątrz czuła pomruki wulkanu, jakby dymiąca czarna lawa miała właśnie się wylać z krateru duszącym potokiem.

Nie lubiła Towersa za to, co zrobił Terkowi, lecz o wiele bardziej nie ufała mu. Jeśli ojciec czegoś ją nauczył, to na pewno tego, że dla niektórych zemsta była nałogiem. Jednak ze względu na Terka miała nadzieję, że nie ma racji.

Dla niego pozycja była bardzo ważna. Modliła się, żeby za parę minut Terk nie poczuł, jak bramy nieba zamykają mu się przed nosem.

Towers mówił dalej.

- Skoro Brad Helms objął ster Epicure, miejsce wydawcy w Jolie jest wolne. Próbuję wymyślić coś nowego, dlatego więc szukałem osoby zdolnej poprowadzić gazetę pionierów. Nowy wydawca to ktoś, kto zrobi wszystko, żeby być najlepszym, ktoś kto godzi się tylko na całkowity sukces. Z wielką przyjemnością mogę państwu zaprezentować wydawcę Jolie - Jennifer Sheldon Cranshaw.

Przez kilka sekund nie było oklasków, tylko przerażająca cisza.

Jennifer była oszołomiona, serce waliło jej jak młot. Czowała, że Charles ją obejmuje i słyszała, jak wszyscy jej gratulują. Chciała śmiać się, płakać i krzyczeć, lecz przede wszystkim chciała się zastanowić.

Jennifer nie była religijna. Znajdowała przyjemność w pewnych tradycjach i zwyczajach, i czasami uważała, że Bóg istnieje. Była jednak bardzo uduchowiona. Wiele rzeczy uważała za sprawdzian dla siebie. To był jeden z tych sprawdzianów. Właśnie została wydawcą jednego z najważniejszych magazynów w kraju, magazynu, który sama wywindowała na szczyt. Poza tym była pierwszą kobietą, wydawcą pisma związanego z modą. Kobiety były redaktorkami i sprawowały wiele innych kluczowych pozycji, ale posada wydawcy zawsze była zarezerwowana dla mężczyzn. Czy był to znak? Poczowała, że Charles popycha ją do przodu i wiedziała, że nie ma teraz czasu na rozmyślanie.

Pierwsze kroki były drżące, ale następne już pewne i stanowcze.

Przeszła przez tłum wolno, słysząc szczery aplauz.

Owacje godne jej nowego tytułu odbiły się echem po sali. Osiągnęła to, czego nigdy przedtem nie osiągnęła żadna kobieta, dano jej tytuł, jakiego nigdy przedtem nie miała żadna inna kobieta. Redakcja Jolie gwizdała, zapominając o całym protokole, klaszcząc głośno, gdy wchodziła na stopień i podawała rękę Towersowi.

Marnie Dobbs zapomniała o typowej dla siebie rezerwie i krzyczała „Brawo, brawo”. Bettina Kharkovsky klaskała zapamiętale. Były oszołomione, lecz od razu im ulżyło. Jennifer była łatwa we współżyciu i dlatego czuły się bezpieczne. Brooke Wheeler nie czuła się jednak bezpiecznie. Nie wiedziała, czy Jennifer wiedziała o jej machinacjach. Poczowała na sobie spojrzenia kilku par oczu i przez chwilę wydawało się jej, że słyszy złośliwe chichoty, ale zamiast wycofać się śmiało przepchnęła się do przodu, klaszcząc jak trener, którego podopieczny właśnie wygrał mistrzostwa.

Gwen Stuart była za bardzo przejęta, żeby klaskać. Po prostu spokojnie stała i uśmiechała się do Jennifer.

- Wiedziałeś, prawda? - Brooke syknęła Bradowi w ucho, mając nadzieję, że usłyszy ją mimo hałasu.

Brad skinął głową. Złapał spojrzenie Jennifer i podniósł kieliszek w toaście.

- Dlaczego mi nie powiedziałeś? - szepnęła Brooke.

Brad odwrócił się do niej.

- Jestem zadowolony - powiedział. - Jennifer jest utalentowana i zasługuje na to. Jeśli chodzi o mnie, cały ten koszmar wyszedł mi na zdrowie. Podoba mi się praca w Epicure. A Jennifer będzie świetna w Jolie.

Terk nawet nie zauważył zakłopotanych spojrzeń stojących obok. Nie poczuł nawet, gdy Deirdre chwyta go za ramię. Stał w milczeniu wpatrując się w parę na tle spiralnych schodów.

Towers jednak specjalnie unikał spojrzenia Terka, koncentrując całą uwagę na Jennifer.

- Po raz pierwszy w moim życiu - powiedziała Jennifer, nagle onieśmielona - nie wiem, co powiedzieć.

Odetchnęła głęboko, próbując powstrzymać falowanie piersi. Tłum ucichł, a gdy rozejrzała się po widowni, skierowała spojrzenie na Charlesa. Mogli nie być ze sobą przez resztę życia, ale była mu wdzięczna, że jest z nią teraz.

- Przyjmuję to stanowisko z wielką pokorą - powiedziała. - Jest to zaszczyt i to taki, który dzielę ze wszystkimi przyjaciółmi z Jolie, ponieważ pracę tę można porównać jedynie z dyrygowaniem orkiestrą symfoniczną. Ktoś macha batutą, lecz bez utalentowanych muzyków batuta będzie tylko kawałkiem drewna. Ci, którzy pracują w Jolie od dłuższego czasu, doświadczyli już tej delikatnej słodczy sukcesu, jak i gorzkiego smaku porażki i nie trzeba być córką piekarza tak jak ja, żeby wiedzieć, że słodkie jest lepsze.

Dziękuję panu Towersowi za jego niewiarygodną propozycję i obiecuję zrobić wszystko, co w mojej mocy, by okazać się godną jego zaufania.

Jennifer wyciągnęła dłoń ku swojemu dobroczyńcy, który sprowadził ją na dół, ku grupie ludzi chcących pogratulować jej sukcesu.

Ludzie, których nawet nie знаła, przeciskali się w jej kierunku, chcąc jej uścisnąć dłoń i pocałować w policzek. Wszyscy za wyjątkiem Terka Conlona.

- Tak łatwo ci się nie uda! - warknął na nią Terk i pierwszy raz od kiedy go znała, Jennifer poczuła strach.

Przyjęcie miało się ku końcowi, wielu gości już wyszło. Mówiła Bradowi „dobranoc”, gdy Terk schwycił ją za łokieć i odprowadził w kierunku nie oświetlonego holu.

- Nie wiem, o czym ty mówisz - powiedziała, cofając

się przed nim.

W jego oczach widziała wściekłość i bała się, że zrobi jej coś złego.

- To ja miałem dostać tę pracę. To ja miałem być wydawcą. - Terk podszedł do niej, przypierając ją do ściany. - Zasłużyłem na to, zapieprzałem jak osioł i dostanę to, czego chcę.

- Terk, ja o niczym nie wiedziałam. Proszę, uwierz mi. Dla mnie to też było niespodzianką.

- Nie przyzwyczajaj się do tytułu, bo nie będzie długo do ciebie należał.

Jennifer nie była w stanie nawet odpowiedzieć. Drżała, myślała, że Terk jest przepracowany. Chodził nerwowo, jakby coś mu pękło w środku, nie panował nad sobą, swoimi ruchami. Nagle stanął przed nią i powiedział opryskliwie:

- Powinnaś być wdzięczna za to, co zrobię. - On to zrobił pod publikę. Nie widziałaś tego? Pierwsza kobieta wydawcą.

Odwrócił się do niej. Usłyszała jak się śmieje.

- Kto by zainteresował się tym, że jakiś magazyn zmienia właściciela? Nikt. Więc ta gnida znalazła sposób, żeby mieć bezpłatną reklamę. Ty, kochanie, jesteś przynętą. Czy myślałaś chociaż przez chwilę, że on ci pozwoli kierować Jolie? Będzie kierował i Jolie, i tobą.

Teraz, gdy wiedziała o powiązaniach Terka z Towersem, rozumiała jego gniew. Lecz ona nie zasłużyła na ten gniew.

- Nikt mną nie kieruje - powiedziała. - I ty dobrze o tym wiesz.

Nadaję się do tej pracy i czy ci się to podoba, czy nie, przyjmę ją. Co więcej, będzie z tego cholerny sukces, więc przestań się wygłupiać.

- Wygłupiac? Myślisz, że ja się wygłupiam? - powiedział podniesionym głosem. Ręce mu się trzęsły.

- Wiesz co, zrobiłem z siebie głupka, gdy ci zaufałem. Zrobiłaś z nim interes. Przyszedł do ciebie z niesamowitą propozycją, a ty mnie zdradziłaś.

- Nie zrobiłam nic podobnego. W ogóle nie wiedziałam o twoich związkach z Towersem. - Jennifer wpatrywała się w Terka, oburzona jego oskarżeniami. - A nawet gdyby złożył mi propozycję, czego nie zrobił, jak mogłeś pomyśleć, że cię zdradziłam? Z jakiego powodu?

- Przez tygodnie węszyłaś, czy to ja byłem tym obrzydliwym typem, który pchnął twoją słodziutką Mimi przed kamery porno. Tak, to byłem ja.

Jennifer chciała zakryć uszy rękami. Nie chciała go słuchać. Był zraniony. Wiedziała to i cierpiała za niego, ale pewnych rzeczy lepiej było nie wspominać.

- I powiem ci coś jeszcze, co robiłem z tymi kamerami, kotku.

Pomyślałem sobie, że ten drań może mnie oszukać, więc się zabezpieczyłem na taką okoliczność.

- Terk, proszę cię. - Jennifer chwyciła go za ramię i przytrzymała. - Robiłeś to, co musiałeś. Potrafię to zrozumieć.

Miał cię w garści. Byłeś mu winien mnóstwo pieniędzy, ale nie rób czegoś, czego będziesz żałował przez resztę życia. Wiesz, że nie zawaha się, aby cię zniszczyć. Nie prowokuj go.

Terk się zachmurzył. Był jak w transie, zahipnotyzowany rozpaczą.

Jennifer zadrzała. Jego wrogość kłuła ją jak malutkie igły.

- Zrobiłem parę zdjęć temu znakomitemu panu



Towersowi - powiedział głosem pełnym zemsty. - To pieprzony pedał. Bez problemów poszedł z jednym młodym facetem, którego wynająłem do specjalnie przygotowanego mieszkania. I teraz dziwne zwyczaje Towersa są bezpiecznie zamknięte u mnie w domu. Mam zamiar zaprosić tę starą, trzęsącą się ciotę do mnie na mały pokaz. Kiedy będzie skończony, będziesz skończona i ty.

- Terk, proszę cię, nie rób tego. - Jennifer próbowała za nim iść, ale wyrwał się i wybiegł z sali.

- Wylądujesz w więzieniu - powiedziała do siebie. - Nie musisz tego robić, pomogę ci. Nie wiem jak, ale ci pomogę.

Jennifer próbowała powstrzymać drżenie ciała. Nie pozwoli mu znów wpaść w kłopoty. Stojąc w mrocznym świetle holu, zastanawiała się, jak mu pomóc, co zrobić, jeśli w ogóle można było coś zrobić.

Nie wiedziała, że nie była sama, że ktoś podsłuchiwał ich rozmowę.

Jennifer szukała sposobu, jak pomóc Terkowi, ale ta osoba dokładnie wiedziała, co zrobić. I nie chodziło bynajmniej o pomoc.

## ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY TRZECI

Pierwszy kwietnia był historyczną datą w kronikach Jolie. Jeszcze przez wiele tygodni eksperci od nakładu będą analizować, co spowodowało tak liczny odzew klientów. Czy olbrzymia reklama? Czy kuszące zdjęcie Niny Kamali na okładce? Czy też krzyczące nagłówki, które strona po stronie ukazywały rajskie rozkosze, jakie kryły się wewnątrz.

Posada Jennifer i rozgłos jej towarzyszący znacznie przyczyniły się do sukcesu. Prasa ubóstwiała ją, pisząc artykuły o jej karierze i cytując wszystko, co mówiła, poczynwszy od przepisów kulinarnych, a na polityce zagranicznej skończywszy.

Jennifer próbowała zachować dystans, odrzucając liczne propozycje wywiadów telewizyjnych i ogniskując uwagę na magazynie, a nie na sprawach osobistych. Zastanawiali się z Charlesem nad rozwodem, ale żeby nie przyciągać uwagi szybkim rozwiązaniem, odłożyli to na pewien czas.

Wszyscy w redakcji niecierpliwie oczekiwali ukazania się wydania kwietniowego. Okazało się wielkim hitem. Okładka, przedmiot wielu kontrowersji, była znakomita. Mlecznobrązowa skóra Niny Kamali błyszczała doskonałością. Jej czarne jak smoła włosy lśniły, a oczy wyglądały spod subtelnych purpurowo - różowych cieni. Gorąca pomarańczowa malwa wystawała jej zza ucha, a ona wpatrywała się w widownię ze zniewalającą nieśmiałością.

Jennifer widziała wiele okładek podczas pracy w Jolie, lecz ta wydawała jej się zupełnie wyjątkowa.

Artykuł redakcyjny był triumfem. Każda strona zachęcała czytelnika do otworzenia następnej, obiecując niespodzianki.

Pierwszy rozdział skupiał się na odzieży sportowej,

pełen fotografii zrobionych w Hotelu Mauna Kea na Hawajach.

Zazwyczaj pozowały sławy. Tutaj stroje były pokazane tak jak się je nosi. Nancy Lopez i Jan Stephenson zgodzili się na mecz golfa, żeby można ich było uchwycić w akcji, otoczonych tłumem widzów.

Chris Evert i Tracy Austin grali mecz przed grupą zachwyconych gości Mauna Kea.

Nagle nastrój zupełnie się zmienił z częścią „Native New Yorkera”, która prezentowała projekty Elyse de Marco, jedne z najbardziej urzekających, jakie kiedykolwiek widziała. Elyse stała boso na białym papierze. Na jednym zdjęciu wąska palma i gorące, różowe paprocie potęgowały upalny koloryt pięknych jedwabnych spodni. Na innym krążyły nad nią niebieskie chmury, gdy pozowała w białym jednoramiennym kostiumie owijającym biodra biało - niebieskim parco we wzory. Drobne czerwone pąki dodawały uroku sarongowi, w którym wydawała się boginią sukcesu. Elyse wyglądała świetnie ze swoimi napszonymi, kruczoczarnymi włosami, oczami pomalowanymi na niebiesko, żeby zaakcentować jej tajemniczy charakter. Była kusicielką, pełną grzeszności Ewy, mieszaniną niewinności i pożądania.

Strony Bettiny pełne były kolorów. Całe cztery strony opowiadały o świecie kosmetyków, ukazując zarówno najnowsze wzory makijażu na wiosnę i lato, jak i kwaciarski talent Vincente'a Matteo. Drobne kwiaty pomarańczy wpięte w srebrzystobiałe włosy jednej z modelek, tworzyły obraz dziewicy z wysp. Jej jasna twarz była lekko zaznaczona koralowymi cieniami, które mówiły o ciepłych dniach i upalnych nocach. Brunetka, której śniada cera była rozjaśniona obfitym różem i królewską purpurą, stanowiła

element nieświadomego przepychu.

Skóra Loki Pouna w kolorze toffi dostarczała doskonałego tła dla artysty zainspirowanego mglistymi granatami i zielenią w kolorze wody morskiej. Jej czarne włosy zwisały prosto do ramion zwieńczone koroną miniaturowych gardenii, które mówiły o czystości i niewinności. Wszystkie zdjęcia były zrobione aparatami, których soczewki posmarowano wazeliną i wyglądały jak obrazy. Każdy z nich był definicją piękna.

Pomiędzy tymi zdjęciami było kilka artykułów zajmujących się kulturą wysp. Wywiady z wyspiarzami i obecnie żyjącymi na kontynencie dawały perspektywę życia poza tropikiem.

„Oko czasu” przedstawiało opinie Polinezyjek i Chińczyków, którzy żyli na Hawajach od dawna. W artykule „Adam i Ewa” - rozważano kwestię wpływu raju na zachowania seksualne. Wydział businessu skoncentrował się na pomocy kobietom w artykule zatytułowanym „Trawiaste spódniczki i walizeczki”, a dział poświęcony środowisku zajął się dwoma domami, które ucieleśniały typową dla wysp filozofię plenerowej dekoracji. Dział strojów wieczorowych podjudzał fantazję przeciw rzeczywistości, a gdzie pomysł był przypadkowy, rezultat przyciągał uwagę. Gdy Marnie była na Hawajach, paru miejscowych chłopaków zaczęło chodzić za ekipą, gwizdząc na modelki i przeszkadzając w sesji. - Żeby udobruchać w zasadzie nieszkodliwy gang, Marnie zaproponowała im żeby dołączyli się i pozwolili razem z wysoką blondynką, jarzącą się od białych koronek. Kontrast był tak uderzający, że Marnie szukała innych sposobów, by zmieszać elegancję z nędzą. Elastyczne, szyfonowe suknie przeznaczone na ogrodowe przyjęcia wyglądały bardziej kobieco na stołku w barze dla kierowców

ciężarówek. Jedwabne pidżamy kłębiły się, gdy modelki przesuwały się na wietrze wzdłuż ludzi zbierających ananasy, a biała brzoskwiniowa tunika nabrała nowej elegancji sprofanowana w rikszy.

Cały numer pulsował energią. Jennifer podobały się wszystkie strony, ale jedna najbardziej. Rubryka z zespołem redakcyjnym, pierwsza od czasu zmiany zarządu. Jedyłą niepokojącą zmianą była nieobecność Terka. Pomijając już to, że Eben Towers w ogóle z nią nie rozmawiał o ponownym przyjęciu Terka od czasu spotkania u Starka. Dzwoniła do hotelu, do domu, tam gdzie zawsze bywał, ale na próżno. W końcu zadzwoniła nawet do Winnie Walling. Po wyjaśnieniu swojego związku z Terkiem, spytała czy w ogóle można się z nim jakoś skontaktować. Gdyby był - Towers być może zmieniłby zdanie. Winnie była uprzejma, ale nic nie pomogła.

Powiedziała, że Deirdre i Terk polecili do Europy niespełna tydzień po przyjęciu, ale nie mogła dać adresu, a nie miała pojęcia kiedy wrócą.

Jennifer była przekonana, że nigdy nie wrócą, że Terk urzeczywistnił swoją groźbę i teraz musiał ukrywać się przed szpiczlami Towersa. Cała ta sytuacja bardzo ją denerwowała. Z zawodowego punktu widzenia brakowało jej jego twórczego zapału i ostrego podejścia. Osobiście brakowało jej tego człowieka i martwiła się. Jego wściekłość była zastraszająca i chociaż wiedziała, że nie powinna, czuła się za to częściowo odpowiedzialna. Musiała wiedzieć co się dzieje, ale stawało się boleśnie jasne, że jej jedynym źródłem informacji był sam Towers.

Jakoś musiała go zmusić, żeby jej powiedział, czy Terk go zaszantażował. Gdy zastanawiała się nad strategią, oczy jej zbłądziły na stronę, gdzie drukowanymi literami było napisane coś, co dawało jej ogromną satysfakcję.

„Wydawca...Jennie Sheldon”.

## ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY CZWARTY

Eben Towers wpatrywał się w Jennifer i wiercił się w swoim krześle jak gdyby go coś swędziało i nie mógł się podrapać. Siedziała naprzeciwko, spoglądając śmiało i nieugięcie. Patrzył na cyfry i sprawdzał projekty od ponad godziny i przez cały czas to, co mówiła Jennifer brzmiało jak mówiona reklama Terka Conlona.

Zamówienia na wkładki - najbardziej dochodowe ze wszystkich reklam spadły prawie do zera jakby coś było nie tak i wkrótce wydanie kwietniowe wszyscy będą uważać za fiasko, a zwykła tendencja Jolie się odwróci. Nie atakując bezpośrednio Zorna, Jennifer przedstawiła obraz nędznej przyszłości Jolie pod jego zarządem.

Scharakteryzowała go jako uroczego, wydajnego i skromnego człowieka, ale bez tej twórczej agresji, której wymaga się od lidera. Nie groziła im zupełna klęska, powiedziała, ale z drugiej strony nie zanosilo się na oszałamiający sukces. Po cichu, ale zdecydowanie wpędziła Towersa w róg: czy poświęci Jolie na ołtarzu zemsty czy odłoży na bok osobiste waśnie mając na celu dobro wszystkich.

- Gdy wyznaczył mnie pan na wydawcę - mówiła Jennifer szorstkim głosem - powiedział pan publicznie, że nie będzie się pan mieszał w sprawy zarządu. Na tej podstawie przyjąłem to stanowisko.

- Dotrzymuję słowa - powiedział, opierając się w fotelu jak dyrektor szkoły w rozmowie z knąbrnym uczniem.

- Niezupełnie.

- A w jaki sposób ci przeszkadzam?

Traktował ją protekcyjnie, ale jakoś dziwnie. Z ulgą przyjęła to, że Towers jest obrażony. Łatwiej było dyskutować gdy wszystko było jasne, niż gdyby mówił, że

wszystko jest w porządku, a w głębi czuł do Terka urazę.

- Uniemożliwia mi pan sukces na miarę tego numeru. - Rzuciła egzemplarz wydania kwietniowego na jego biurko. - Jeśli teraz nie dokonamy pewnych zmian, to będzie to wydanie jedyne w swoim rodzaju, a dla pana będzie to straszna inwestycja.

Ci, którzy znali Towersa jako doświadczonego biznesmena, zaprawionego w bojach, byliby zdziwieni na widok jego skrepowania.

- Nie chcę, żeby Conlon dla mnie pracował - powiedział tonem kończącym wszelką dyskusję. - Kiedyś dla mnie pracował i okazało się to nieprzyjemnym doświadczeniem.

Jennifer nie wzruszał jego ton i wyjaśnienia. Pochyliła się do przodu i spojrzała na niego.

- Ja też nie chcę, żeby dla pana pracował. Chcę, żeby pracował dla mnie.

- Nawet gdybym się zgodził - powiedział Towers - w redakcji nie ma dla niego miejsca. Zorn nie zrobił nic, żeby zasłużyć na dymisję.

Uważam, że obniżenie jego pozycji byłoby szkodliwe dla ducha zespołu.

- Wzięłam to pod uwagę - powiedziała Jennifer spokojnie. - Terk mógłby mieć inne stanowisko, nadzorować zarówno dział sprzedaży jak i koordynować reklamę. Niech go pan nazwie, jak chce, ale proszę go sprowadzić z powrotem.

- A jeśli nie? - spytał Towers, uśmiechając się ironicznie.

- Jeśli nie, to będę zmuszona zrezygnować.

- Ale to jest niedorzeczne - przerwał gwałtownie, zły, że śmie rozmawiać z nim w ten sposób i zdziwiony, że



posunęła się aż tak daleko.

- Nie sądzę. Nie ma żadnego konkretnego powodu, dla którego Terk nie mógłby u nas pracować. Jeśli będzie pan dalej stronniczy, będę zmuszona uwierzyć w te plotki, które o panu krążą.

Eben odsunął się z krzesłem od stołu, wstał i podszedł do okna.

Pewność siebie Jennifer denerwowała go, więc odwrócił się do niej tyłem i patrzył w wiosenne niebo. Po kilku minutach spojrzął na Jennifer.

- A co to za plotki? - Zachowywał się inaczej. Wyczuła jego zaniepokojenie.

- Wszyscy mówią - powiedziała - że mianował mnie pan wydawcą jedynie ze względu na rozgłos. Że w ogóle nie miał pan zamiaru pozwolić mi na kierowanie Jolie, że wykorzystuje mnie pan, żeby zyskać uznanie w oczach klientów.

- To nie ma sensu. - Złość wykrzywiła mu usta. - A poza tym, dlaczego pani myśli, że miałbym użyć jej jako przynęty?

Jennifer wstała z krzesła, była tak samo zła jak on.

- Nie przeceniam się, proszę jednak nie traktować mnie jak idiotkę. Powierzenie mi stanowiska wydawcy przyniosło panu bezpłatną reklamę. To nie był przypadek. To był mądry ruch i zasługuje pan na gratulacje. Wykorzystał mnie pan.

- A pani uzyskała tytuł. Powiedziałbym, że jesteśmy kwita.

Trafił w sedno. Jennifer przez lata marzyła o sławie. Ale nie przyszła do niego po to, żeby rozmawiać o niej. Chciała się dowiedzieć, co się dzieje z Terkiem.

- Sam tytuł mi nie wystarczy, panie Towers. Chcę

mieć całkowitą kontrolę, a nie status figuranta. Więc albo obieca pan nie wtrącać się, albo poinformuję prasę o oszustwie.

- To brzmi jak groźba, droga pani.

- Może pan to potraktować jako chwyt reklamowy. Nie interesuje mnie samo stanowisko, ani sława. Obchodzi mnie dobra robota, a żeby dobrze pracować nie mogę się obejść bez Terka Conlona.

Wpatrywał się w nią ze szczerym podziwem. Nie oczekiwał takiej pewności siebie. Podziwiał ją za lojalność. Miała zasady.

Doprowadziła magazyn do szczęśliwego lądowania, a co więcej, zrobiłaby to i bez tytułu wydawcy, więc nie powinno go dziwić, że broni Conlona. Zdziwiło go, że zaryzykowała posadę.

Jennifer też zaczęła się zastanawiać, dlaczego posunęła się tak daleko. Chociaż udało się jej zachować pewność siebie, wszystko wrzało w niej jak w kraterze wulkanu.

Oto tutaj przyszła i zażądała, żeby Eben Towers, właściciel pisma, przywrócił Terka do pracy, a nie wiedziała nawet, czy Terk by taką propozycję przyjął. Nie wiedziała też, gdzie on jest. Może był w Europie, może gdzieś indziej. Było całkiem możliwe, że Terk nie chciałby pracować z Towersem. A może i z nią? Może wciąż żywił urazę.

Gdyby Towers naprawdę zgodził się przyjąć Terka z powrotem, mogłaby się o niego nie martwić. Na pewno odstąpiłby od groźby szantażu. Niemniej jednak musiałyby go odnaleźć i sprowadzić na miejsce, zanim Towers zmieni zdanie. Nikt nie wiedział, gdzie jest Terk, nawet Winnie. Przynajmniej tak utrzymywała. Błagałaby ją, a gdyby musiała, postarałaby się ją przekupić. Później musiałyby przekonać Terka, że praca, którą dostanie wcale nie jest taka

zła.

Z tym jednak mogłaby mieć kłopoty. Miał zostać wydawcą, a nie jest przecież łatwo pogodzić się z przegraną. Terk był ambitny. Mógłby czuć zawiść. Ona miała to, czego on nie miał. Załatwi to jakoś, mówiła sobie. Poradziłaby sobie z tym gdyby tylko Towers się zgodził.

- Ma pani moją zgodę na przyjęcie Terka Conlona na takie stanowisko, jakie się pani podoba.

Towers powiedział to po prostu i cicho. Trochę za naturalnie, pomyślała Jennifer.

- Podziwiam pani lojalność, Jennifer. Chociaż osobiście uważam, że się pani myli.

Więc nie zrobił tego i nie pokazał tych filmów z Towersem.

Jennifer poczuła taką ulgę, że chciała upaść na najbliższe krzesło i śmiać się. Więc było warto.

Ale Jennifer miała tylko trochę racji. Terk Conlon nie pokazał tych filmów. Zrobiła to Deirdre Conlon. I gdy Jennifer wychodziła z jego biura, taka zadowolona, nie miał serca zabierać jej tego zwycięstwa. Jennifer okazała się dzielna i podziwiał to, ale przypominając sobie pierwszą potyczkę, zdał sobie sprawę, że Jennifer brakowało czegoś, z czym Deirdre się urodziła, instynktu zabójcy.

Deirdre weszła do biura Towersa z brawurą gwiazdy przyjmującej czwarty bis. Towers oczekiwał Terka. Oczekiwał, że wpadnie przez drzwi i był na to przygotowany. Ale nie był przygotowany na rozmowę z Deirdre.

- W czym mogę pani pomóc, pani Conlon?

Pokazał jej krzesło i usiadł sztywno w swoim skórzanym, szarym fotelu. Oparł się i przybrał roztargniony wyraz twarzy. Deirdre nie była zmieszana. Wolno opuściła futro na tył fotela i rozejrzała się po pokoju. Założyła nogę na

nogę, wygładziła spódnicę i przeciągała ciszę, żeby rozdrażnić Towersa.

- Myślę, że wie pan dokładnie czego chcę, panie Towers. Chcę, żeby pan dotrzymał obietnicy, jaką pan dał mojemu mężowi - powiedziała głosem tak miękkim jak mruknięcie kota.

- Słucham? - Poczł, że musi jej przerwać. Był w niekorzystnej sytuacji. - Nie wiedziałem, że mam jakieś zobowiązania w stosunku do pani męża - powiedział wsadzając cienkie jak ołówek cygareto w oprawkę z kości słoniowej.

- Niech się pan ze mną nie bawi, panie Towers. Mój mąż sprzeniewierzył pańskie pieniądze. Przyłapał go pan na tym, on się przyznał, a pan wyznaczył warunki „pokuty”.

- To wszystko prawda, pani Conlon. Myślę jednak, że to on ma zobowiązania w stosunku do mnie, a nie odwrotnie. - Zaciągnął się cygarem, wykrzywiając usta w uśmiechu pełnym cierpliwości. - Ale mogę panią zapewnić, że Terk wszystko już spłacił i wymazałem jego długi z moich rejestrów.

- To bardzo miło z pana strony. Zapomniał pan jednak o jednym szczególe. Początkowa ugoda wymagała, żeby Terk spłacił wszystko, co panu ukradł. I zrobił to. Wysługiwanie się nim nie było częścią umowy. Zmusił go pan do załatwienia paru brudnych interesów, natomiast w zamian obiecywał mu pan posadę wydawcy Jolie. Proszę mnie poprawić, jeśli się mylę.

Aż do tej chwili Towers był ostrożny, lecz nie przejmował się.

Deirdre broniła męża, odgrywając rolę oddanej żony. Zupełnie naturalne. Nie ma się czym martwić. Tylko że Deirdre Conlon nie była oddaną żoną.

- Kiedyś, być może, rozważałem tę możliwość - powiedział Eben Towers. - Ale wydawało mi się, że nie ma sensu utrzymywanie z nim kontaktu.

Deirdre pochyliła się, oparła brodę na rękę i wpatrywała się w niego. Jej niebieskie oczy zszarzały, a korалowe usta zeszywniały.

- Pieprzyłeś się z nim. - Jej głos był kocio miękki, ale jej ton zimny jak stal.

Towers był poruszony. Nagle zdał sobie sprawę, że nie weszła do jego biura bezbronna. Jak żołnierz stąpający przez pole minowe wstrzymał oddech, gdy czekał na jej atak.

- Jesteś podły, Towers.

- Tak jak pani mąż.

- I tak, i nie.

- Słucham?

Deirdre wyczuła jego strach. Słyszała drżenie w jego głosie i to sprawiało jej rozkosz. Chciała, żeby się poccił, żeby cierpiał tak jak Terk. Miała ochotę rzucić się na niego, żeby go ukarać za to, że upokorzył Terka, ale się powstrzymała. Była doświadczona i wiedziała, że może poczekać.

- Defraudacja nie jest czymś uczciwym. To prawda. Ale Terk spłacił swoje długi olbrzymim kosztem. Nie dotrzymał pan swojej części umowy, a w moich kręgach to śmierdzi.

Towersowi nie podobał się ton tej rozmowy. Jeśli coś wiedziała, to z tego skorzysta. Jeśli nie, to wyrzuci ją z biura.

- Pani Conlon, ta dyskusja wydaje mi się męcząca. Jeśli chodzi o mnie, nic nie jestem winien Terkowi. Jest oszustem i Bóg wie czym jeszcze, więc niech pani nie obraża ani mnie, ani siebie mówiąc, że jest święty. Pani mąż to łajdak z marzeniami.

- Być może to było kiedyś prawdą - powiedziała

Deirdre świadoma swojej roli w stworzeniu i zniszczeniu tych marzeń. - Ale już nie jest. Terk się zmienił. Sława się nie liczy, potęga jest stanem ducha, a poza tym ma tyle pieniędzy, ile chce.

- A te pieniądze, moja droga, należą do pani.

- Do nas - poprawiła. - Ale jeśli już tak pan to ujął, myślę, że Terk mógłby od pana otrzymać pewną zapłatę za siedem lat usług.

Chociaż jest to zupełnie niestosowne, ośmieliłabym się powiedzieć, że wystarczyłoby 10 tysięcy za każdy rok.

- Pani chyba żartuje - uciał Towers, gasząc cygaro w najbliższej popielniczce.

- Nigdy nie słyszano o moim poczuciu humoru, panie Towers.

- To znaczy, że chce pani, abym zapłacił 70 tysięcy? Pani oszalała.

- Jeszcze nie, ale niech mnie pan nie popędza.

Jej głos stwardniał, podwyższając niepokój Towersa. Wstał i chodził po biurze gdy ona siedziała z gracją wpatrując się w niego jak w dygnitarza na mównicy.

- Chcę siedemdziesiąt tysięcy odszkodowania i żeby Terk wrócił do pracy na posadę w Jolie, drugą pod względem ważności po Jennifer.

- Jennifer nigdy by się na to nie zgodziła, ani Terk. Dla niego liczy się tylko główna wygrana.

- Jennifer byłaby zachwycona, Terk tak samo i ja również.

- Nie chcę o tym słyszeć - powiedział. - To szantaż.

- Powinien pan wiedzieć. Jest pan w tym ekspertem.

- Odmawiam. Żądałem tylko, żeby Terk spłacił to co ukradł.

- A pan wyciągnął każdego dolara. Miał nad głową

siekierę przez siedem lat. Przez to jego życie stało się bagnem, moje też. I zapłaci pan za to.

- Nie. I nic pani na to nie poradzi.

- Tutaj się pan myli.

Szybko ześlizgnęła się z krzesła, podeszła do drzwi i zamknęła je.

Potem sięgnęła do torebki i wyjęła kasetę. Nie mówiąc ani słowa podeszła do jego telewizora, włączyła wideo i włożyła kasetę.

Towers stał w milczeniu, czekając, aż obraz pojawi się na ekranie.

Był tak przerażony przebiegiem wypadków, że nie pojmował doniosłości tego, czego był świadkiem.

Obraz był ciemny, a postacie niewyraźne. Filmowane pomieszczenie przez chwilę wydawało mu się nieznanym. Jednak, gdy zobaczył zbliżenie, zamarł.

Leżał na łóżku z twarzą pełną ekstazy, gdy młody blondyn smarował go miodem. Jakiś dobrze zbudowany facet pocierał go, masował i podniecał. Słyszał swój własny głos, jak błaga, widział, jak rękami chwycił „masażystę”, który go zignorował, wykonując tylko swoją robotę. Kamera zbliżyła się, obejmując twarz Towersa, nie pozostawiając wątpliwości, kto leżał na łóżku.

Towers zasłonił twarz rękami, drżąc, bo wiedział aż za dobrze, co będzie dalej.

Inny chłopak, szczupły i czarny jak heban, wszedł na łóżko, opasany w pasie skórą, z rękoma związanymi sznurem. Umieścił Towersa między sobą a blondynem. Towers nie mógł już na to patrzeć. Wyłączył wideo cały spocony.

- Skąd to masz? - spytał.

- To nieważne - powiedziała Deirdre. - Ważne, że mam.

- Daj mi taśmę.

- Nie daję prezentów - powiedziała, machając mu nią przed oczami.

- Więc kupię ją. - Był przegrany, pobity, lecz Deirdre nie czuła żalu.

- Wiedziałam, że to powiesz. Będzie cię to kosztować 70 tysięcy i posadę dla Terka w Jolie.

Towers walczył ze sobą. Podszedł do biurka i wyjął książeczkę czekową. Ręce mu drżały przez cały czas, gdy wypisywał czek i wręczał go jej. Nawet nie spojrzała. Po prostu zwinęła czek i wsadziła do torebki jak listę zakupów.

- Jutro wyjeżdżamy do Europy, a gdy wrócimy dotrzyma pan drugiej części obietnicy.

Towers kiwnął głową, obrazy z tymi dwoma chłopakami przebiegały mu przed oczami.

- A przy okazji - powiedziała przez ramię gdy zbliżała się do drzwi. - Nie wspominaj o tym Terkowi. Będzie myślał, że to wszystko twój pomysł. Zrozumiano?

Spojrzał na nią pełen nienawiści.

Mógł ją zabić, udusić ją bez namysłu, ale nie miał siły się ruszyć. Drzwi trzasnęły, a on zadrżał. Nagle otoczyła go drętwa cisza porażki. Zawsze uważał się za mistrza, zdolnego intryganta, ale ktoś go przechrzył. Może nie doceniał Terka, na pewno nie doceniał Deirdre. Wpatrywał się w kasetę prawie bojąc się jej dotknąć. Potem podniósł ją i trzymał w ręku zastanawiając się, czy przypadkiem nie przecenił siebie.



## ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY PIĄTY

Życie Jennifer stało się ciągłym oczekiwaniem - oczekiwaniem na najnowszy numer, na wiadomość od Terka, na następne spotkanie. Jej życie było zaprogramowaną monotonią, jej noce kalendarzem z pustymi kwadratami. Wkrótce zauważyła, że żyje w lunatycznym transie, walcząc ze wspomnieniami, które uparły się ją nękać.

Gdzie był cały zachwyty, którego oczekiwała po dotarciu na szczyt?

Gdzie było to wrażenie ciągłego wyzwania? Dreszcz wyczynu? Była wydawcą Jolie, ale czegoś jej brakowało. Jej życie zawężyło się do linii prostej bez wzlotów, bez upadków, bez znaczenia. Samotność dokuczała jej coraz częściej. Myśli, które odganiała za dnia, dawały o sobie znać po zmroku. Pólsny, które mieszały się z fantazją i rzeczywistością dokuczały jej gdy nie spała, gdy próbowała usnąć - nękały ją. Jeden powtarzał się z niepokojącą regularnością. Siedziała za biurkiem, a tłumy ludzi siedziały dookoła niej. Biurko zaczynało rosnąć, stając się coraz większe, aż nie mogła przez nie nic zobaczyć. Wspinała się na nie z wściekłością, patrząc w dół, próbując coś zobaczyć. Podczołgała się do brzegu wołając ojca, Josha i matkę. Schylała się wywijając ramionami i krzycząc w próżnię. Nagle spadała i nie było nikogo, kto by ją złapał.

Za każdym razem, gdy sen się powtarzał, ponownie próbowała zrozumieć, co zrobiła ze sobą i ze swoim życiem. Ile razy Rose wyciągała do niej rękę, a ona ją odtrącała jedną ostrą uwagą czy spojrzeniem? Ile razy David próbował ją poprowadzić, a Sara pocieszyć? Nawet jej znajomi z pracy chcieli jej pomóc po przyjacielsku, a ona grzecznie, ale stanowczo trzymała ich na dystans. Odpychała ich od siebie tak jak Josha. Izolacja stała się nawykiem, a jej kariera

wymówką, żeby z nikim się nie widzieć.

Noc po nocy jej sny drwiły z niej, wciągając ją coraz głębiej w siebie. Lecz każdego ranka ciężar wydawał się lżejszy i pomagało jej to przetrwać. Tego ranka przemyślała swoje sny i wszystko co znaczyły. Stworzyła próżnię, a teraz musiała ją zapelnąć. Czego tak się bała? Że ludzie będą z nią za blisko? Że może ją za bardzo poznają? Czy odkryją, że sama siebie nie zna?

„Ale przynajmniej sama siebie poznaję”. Podparła się w łóżku i zaczęła się zastanawiać nad tym co ma i czego jej brakuje, nad tym co zyskała, a co straciła.

Jest bystra, zdolna, ładna, pracowita.

Obciąża ją to, że jest taka uparta, wymagająca, dumna i chłodna.

Udała jej się praca. Porażka to życie osobiste. Powtarzała sobie to cały czas, analizując każdy szczegół. Jestem tym czym jestem, pomyślała, i coraz więcej podobam się sobie!

Po raz pierwszy od dawna Jennifer uśmiechnęła się i to było cudowne. Czowała się podniesiona na duchu. Nawet kręgosłup już jej tak nie bolał. Gdy pomału wychodziła z łóżka, postanowiła tego wieczora zrobić coś specjalnego. Sklepy były otwarte do późna.

Może pójdzie na zakupy, może zadzwoni do Elyse i pójdą razem do kina? Może zadzwoni do Davida i Sary i zje z nimi obiad? A może zadzwoni do Josha?

Jennifer poprawiła kwiaty na środku stołu, poprzestawiała kieliszki do wina i zajęła się srebrnymi sztuczkami przesuwając widelec bliżej do końca stołu i popychając znów w kierunku talerza. Trzy razy zapaliła świece i trzy razy je zgasiła.

Sprawdziła godzinę, a potem przejrzała się w lustrze.

Jej włosy błyszcząły, a makijaż był miękki i subtelny. Jej biały kaszmirowy sweter i jedwabne spodnie mówiły o jej znajomości mody. Poczula zapach piekającej się w kuchni cieleciny i przypomniała sobie, że wino chłodziło się w kuble z lodem w barku. Cały dzień zastanawiała się co ugotować, i co na siebie włożyć. Teraz zrobiłaby to inaczej.

Zadzwoił dzwonek, a Jennifer podbiegła do drzwi znów oblizując usta i strosząc włosy. Wygładziła spodnie i odetchnęła głęboko.

Gdy otwierała drzwi zwilgotniały jej ręce, a kiedy go zobaczyła wiedziała, że zrobiła dobrze.

- Cześć! - Josh podał jej bukiet kwiatów i wszedł do przedpokoju.

Po jego niepewnym uśmiechu poznała, że był tak samo zdenerwowany jak ona.

- Cieszę się, że mogłeś przyjść - powiedziała zamykając drzwi i idąc za nim do salonu.

- Wszystko wygląda cudownie - powiedział, zauważając zarówno delikatne oświetlenie, jak i subtelny zapach powietrza i brak trzeciego nakrycia.

- Nie trzeba się było fatygować z mojego powodu.

- Miałam na to ochotę - powiedziała lekko, pomijając jego nie wypowiedziane pytanie i pozwalając mu myśleć, co chce o Charlesie.

- Jest wiosna. Pogoda jest wspaniała, a my nie widzieliśmy się od dawna.

Czekała na odpowiedź, ale nie było żadnej.

- Zrobiłbyś sobie drinka, a ja włożę kwiaty do wazonu.

Gdy wróciła, Josh siedział na sofie. Nalał jej białego wina, a sobie whisky. Jennifer przez chwilę się wahała, zanim usiadła naprzeciw niego.

- Rozumiem, że pod twoim kierownictwem Jolie

odnosi sukcesy.

Gratulacje. - Podniósł kieliszek w toaście.

- Dziękuję - powiedziała, wyczuwając między nimi napięcie. - I gratuluję ci twojego układu z Elyse. Mówiła mi, że projekty idą jak woda.

Kiwnął głową. Jennifer podała mu tackę z kanapkami.

- Jak tam twój ojciec? - spytał, biorąc kanapkę z serem. - Świetnie. Zaczyna się przyzwyczajać, poznaje nowych ludzi.

Słyszałam, że spotkał się z twoimi rodzicami.

Znowu kiwnął głową.

- A jak tam twoje dzieci? - Jennifer nie mogła znieść niezręcznej ciszy. - Świetnie. Pozdrawiają cię.

Nie mieli o czym rozmawiać, a Jennifer zaczynała się denerwować.

Byli jak obcy zadając sobie zwykłe pytania i udzielając zwykłych odpowiedzi.

- A jak ci się pracuje z Ebenem Towersem? Mówią, że jest wymagający.

Jennifer chciała skierować rozmowę na inne tory, ale ponieważ nic nie przychodziło jej do głowy, i dlatego że ceniła jego rady, opowiedziała ostatnie spotkanie z Towersem, opowiadając mu w szczególności o kontaktach Terka z Towersem i groźbie szantażu.

- Cała ta sytuacja mnie przeraża - powiedziała. - Towers jest mściwy i umie prowadzić takie gry. Na pewno nie przejmowałby się czy odejdę, czy nie. Zastąpiłby mnie natychmiast kimś innym.

Dlaczego ustąpił i to tak łatwo?

Josh wyczuł to, że Jennifer była naprawdę zakłopotana i martwiło go, że chce poświęcić stanowisko dla Terka. Dla niego nigdy by tego nie zrobiła.

- Może Towers podjął tę decyzję zanim w ogóle weszłaś do jego biura - powiedział Josh. - Może zemścił się wystarczająco na przyjęciu u Starka. Z tego co mówisz Terk przeżył tam upokorzenie.

- Możliwe, ale jakoś nie mogę przestać myśleć o tych filmach. To może być mocna broń - powiedziała.

- Ten twój kolega Conlon robił w przeszłości jakieś ciemne interesy, Jennie, ale chyba nie zrobiłby czegoś, co by go zniszczyło. Mówił tak, bo był zły. Czasami ludzie mówią coś, czego nie mają na myśli.

Drgnęli oboje na dźwięk telefonu. Jennifer podskoczyła, żeby odebrać i gdy powiedziała „słucham”, Josh już wiedział, z kim rozmawia.

- Nie wyobrażasz sobie, jak się cieszę - Jennifer rzuciła się na tapczan. - Dzwoniłam po całą Europie. Gdzie ty, do diabła, jesteś?

Josh sączył swojego drinka i obserwował ją. Nie interesowało go, gdzie jest Terk Conlon, natomiast bardzo interesowało to Jennifer.

- Kiedy wracasz?

Oczy Jennifer nagle się ożywiły, a gruba kasztanowa grzywka zmierzwiła. Sweter spadał jej z ramienia, a widok jej odsłoniętego ciała był niezmiernie zapraszający. Była zmysłowa. Nie mógł być w jej towarzystwie i jej nie pożądać.

- Terk, nie kręć. Muszę wiedzieć kiedy wracasz... Naprawdę mam powód. Poszłam do Towersa. Zgodził się dać ci stanowisko działu sprzedaży... Wiem, co o tym myślisz, ale potrzebuję cię... Nie bądź śmieszny.

Josh skrzywił się. Poczul się zazdrosny. Ich drogi pokierowały ich w inne strony, do innych łóżek, w ramiona innych kochanków i kochanek, jednak nie mógł pogodzić się z myślą, że inny mężczyzna wie, jak miękkie jest jej ciało i

jak miękki jej uścisk. Nawet jeśli tym mężczyzną był jej mąż.

- Tworzymy dobry zespół, Conlon. Jeśli będziesz zwlekał, to Towers wykreśli się z tego, a ja osobiście połamię ci nogi. Drugi miesiąc miodowy? Świetnie. Jestem szczęśliwa z waszego powodu, ale proszę cię, wyświadczyć mi tę przysługę i nie przeciągaj tego miodowego miesiąca aż do złotego wesela.

Chociaż ton jej głosu był lekki, Josh czuł, jak była zdenerwowana.

Zacisnęła palcami kabel, że był napięty jak sprężyna. Potrzebowała Terka w swoim zespole i Josh to rozumiał. Bez względu na to jak utalentowany był kierownik, sukces zależał od dobrego zespołu.

- Nie mów mi, że jeszcze nie możesz wrócić. Dlaczego? Bo to mnie denerwuje, jakbyś wyczekiwał... Ale ja jestem poważna! Terk, czy pokazałeś Towersowi te filmy?

Josh widział jak przelotny uśmiech pojawił się na ustach Jennifer.

- Myślałam, że pokazałeś. Myślałam... mniejsza z tym co myślałam.

Ale jeśli nie udajesz, dlaczego nie możesz przyjechać do domu?

Oczy Jennifer rozszerzyły się ze zdziwienia, a Josh dostrzegł błysk i jego ciekawość wzrosła. Cokolwiek Terk by nie mówił Jennifer bardzo to czuła. Josh chciał przesiąść się na drugą stronę, odłożyć słuchawkę i wziąć ją w ramiona. Ale w jej wyglądzie było coś dziwnego. Wpatrywała się w telefon i trzymała słuchawkę dwiema rękami pieścąc ją jakby chciała ukoić ból Terka na odległość. Josh został na swoim miejscu. Znał Jennifer od młodości i teraz obserwując ją, zastanawiał się jak się zmieniła przez te wszystkie lata. Od początku była zarówno odważna, jak i niepełna siebie,

zdecydowana i łatwa do zranienia. Widział jak cierpiała ból fizyczny i znosiła to stoicko, ale z drugiej strony widział jak płakała, gdy porzucili ją znajomi. Te lata wpisały się w jej rzeczywistość, tworząc otchłań, którą trzeba było wypełnić.

Jennifer wypełniła ją marzeniami. Najbardziej raniło go to, że te marzenia nie jego dotyczyły.

Josh był tak pogrążony w swoich myślach, że dopiero po kilku sekundach zdał sobie sprawę, że Jennifer odłożyła słuchawkę. Oczy jej posmutniały i tylko łzy ciekły bez przerwy po policzkach. Josh przysunął się do niej, przytulił ją do siebie i czuł jak drży.

- Chcesz o tym porozmawiać? - spytał delikatnie. Czuł jak drżą jej ramiona. - Terk wraca?

Nie odpowiedziała. Podał jej chusteczkę, żeby sobie wytarła oczy.

Czuł jak oddycha głęboko i powoli odzyskuje kontrolę.

- Czy to ma coś wspólnego z Towersem?

Jennifer podniosła się i oparła o kanapę, jakby potrzebowała odosobnienia. Wpatrywała się w niego, ale wyglądało to, jakby go nie widziała.

Gdy przemówiła, jej głos był niski.

- Terk ma dziecko - powiedziała. - Syna z Zeną Welles. Gdy go zostawiła osiem lat temu, była w ciąży, tylko że wcale mu o tym nie powiedziała. Oddała dziecko do adopcji, a teraz Deirdre i Terk szukają go. - Znów zaczęła płakać, a usta jej drżały gdy chciała przestać. - Jak mogła?

Josh usłyszał obrzydzenie i dezaprobatę, ale w jej głosie była nuta zazdrości. Wziął ją za rękę i pogłaskał, wiedząc, że jej odpowiedź miała tyle wspólnego z nią co z Zeną Welles.

- Zena i Terk pokłócili się parę miesięcy temu -

mówiła dalej szybko, jakby chciała oczyścić się z tej historii.  
- Powiedziała mu o dziecku, ale nie chciała powiedzieć nic więcej. Dowiedział się tylko, że urodziła je w Szwajcarii.

Jennifer wzięła kieliszek i zamieszała winem.

- Deirdre okazała się wspaniała - powiedziała. - Gdy Terk jej opowiedział uparła się, żeby wyjechać do Europy natychmiast.

Znaleźli szpital i odgrzebali nawet nazwisko rodziców, ale ci trochę podróżowali, więc Terkowi trudno ich odnaleźć.

- Może tak było lepiej?

- Jak możesz tak mówić? Terk ma dziecko, którego nigdy nie widział.

- A to dziecko prawdopodobnie nic o nim nie wie. Przez osiem lat ten chłopak był kochany i opiekowało się nim dwoje ludzi, których uważał za rodziców. Co się stanie, gdy Terk tam wpadnie i będzie chciał go zabrać? Czy to w porządku zabierać chłopca z jedyne go domu, jaki kiedykolwiek miał? Współczuję Terkowi, ale dziecku też.

- Nie myślałam o dziecku. Myślałam o Zenie i zastanawiałam się jak mogła oddać swoje własne dziecko tylko dlatego, że Terk nie chciał się z nią ożenić.

Josh wstał z sofy, zrobił sobie następnego drinka i zastanawiał się. Gdyby był uczciwy, musiałby powiedzieć Jennifer coś, co by ją zdenerwowało jeszcze bardziej, a to była ostatnia rzecz, którą chciał zrobić. Ten telefon wstrząsnął nią i wyglądała jak delikatna gardenia, zupełnie biała i biała, wciśnięta w róg białej sofy.

- Być może oddanie dziecka do adopcji nie miało nic wspólnego z Terkiem? - powiedział.

- Czymże więc było podyktowane? - mówiła jakby na swoją obronę i żałowała tego, ale dostosowała się do jego myśli i wyczuła zbliżającą się krytykę.



- Z tego co powiedziałaś i z tego co wiem o Zenie Welles i jej chęci sukcesu powiedziałbym, że bawił ją pomysł małżeństwa z Terkiem i dziecka, ale później stwierdziła, że byłoby to kulą u nogi, ciężarem, który mógłby ściągnąć ją z drabiny sukcesu.

- A ludzie mieszkający w szklanych domach nie powinni rzucać kamieniami. Czy to masz na myśli?

Poczuła, że traci pewność siebie i nic nie mogła na to poradzić.

- Mówię, że czasami nie wszystko jest wyraźne. Jestem pewien, że Zena kochała Terka, gdy łądziła się małżeństwem, wspólnym domkiem i tak dalej. Każdy ma złudzenia, ale kiedy one się skończyły, a Terk nie zostawił Deirdre, musiała się trzymać tego co było pewne.

Dokonała wyboru i nie powinnaś potępiać jej tak od razu.

- Bo nie jestem lepsza. Bo głęboko w środku myślisz, że zrobiłabym to samo.

Jennifer drżała zataczając się od własnych słów.

- Nie, raczej nie - powiedział Josh utrzymując między nimi dystans. - Ale jeśli mam być z tobą szczerzy, na pewno jesteś zadowolona, że nigdy nie musiałaś podjąć takiej decyzji.

Jennifer wstała z kanapy i podeszła do okna. Rolety były odsunięte i widziała pofalowaną tafłę East River, rozpościerającą się przed nią. Jakiś holownik płynął dudniąc silnikami pod prąd. Jennifer też czuła w sobie walczące prądy. Raz jeszcze Josh skonfrontował ją z prawdą, której chciała uniknąć, ale zamiast się zgodzić, coś w niej się sprzeciwiło.

- Jak śmiesz mówić ze mną o uczciwości! - powiedziała szorstko. - Dlaczego nie opowiedziałeś mi o

Coral Trent i o nocy kiedy zmarła Laura?

Pytanie zupełnie go zaskoczyło. Tylko jeden człowiek mógł opowiedzieć Jennifer całą tę historię, ale David na pewno nie zdradziłby jego zaufania przez przypadek. Co jej powiedział i dlaczego?

- Chcę odpowiedzi - powiedziała. Napięcie przerodziło się w złość i wyczuł, że nagromadzało się od dawna.

- To nie miało z tobą nic wspólnego - powiedział.

- To miało ze mną prawie wszystko wspólne. - Głos zniżył się do zimnego szeptu, a oczy wpatrywały się w niego.

- Rzuciłam się na ciebie, a ty mnie odrzuciłeś nie mówiąc nawet dlaczego.

- Przecież ci powiedziałem, powiedziałem, że chciałem z tobą być.

Nie chciałem cichego romansu.

Chociaż to była prawda, zabrzmiało to jakoś kulawo, nawet dla niego. To co kotłowało się w niej przez miesiące teraz wypłynęło na powierzchnię. Jennifer nie miała zamiaru go atakować w ten sposób, ale głęboki uraz, który przeżyła zabolął ją ponownie.

- Siedziałeś w tej restauracji i przez cały czas prowadziłeś mi kazania, jaka to ja nie jestem, a ukrywałeś przede mną tajemnicę.

To się nazywa podwójna moralność, przyjacielu.

Jej słowa kłuły Josha jak cienkie noże. Przez chwilę to nie Jennifer go atakowała. To Laura, oskarżała go o niewierność, domagała się wyjaśnień. Nie mogłyby wytłumaczyć się z tego Laurze.

Jennifer chyba też nie.

- Co powiedział ci David?

- Wystarczająco dużo.

- Więc nie możesz zrozumieć, że nie mogłem

oszukiwać? Że nie mógłbym wziąć na siebie odpowiedzialności za złamanie twojego małżeństwa?

- Myślałam, że możesz poradzić sobie ze wszystkim.

Jej głos był pełen rozczarowania.

- Nie jestem doskonałą, Jennifer i jeśli to miałaś na myśli, to przepraszam.

- Przepraszam nie wystarczy.

Zaczęła chodzić gorączkowo jak zwierzę, które wyczuło zapach wroga. Myśli pędziły jak oszalałe i zaczął ją boleć kręgosłup, zmuszając ją do uchwycenia się krzesła.

- Powiedziałaś, żebym rzuciła Charlesa. A kiedy nie zrobiłam tego, co chciałeś, ukarałeś mnie. Odrzuciłeś mnie jak zbędny bagaż. To tak traktowałeś swoją żonę?

Jennifer usłyszała swoje własne słowa i po raz pierwszy tego wieczora naprawdę spojrzała na Josha. Straszny ból porysował jego twarz.

- Teraz moja kolej na przeprosiny - powiedziała. - Posunęłam się za daleko.

- Tak. - Josh odwrócił się do niej plecami.

Przez dłuższą chwilę nic nie mówili, jakby czekali aż emocje opadną.

- Nie powinnam była tak się tym przejmować. Ja też nie byłam zupełnie uczciwa - powiedziała Jennifer cicho. - Moje małżeństwo skończyło się tej nocy, gdy spotkaliśmy się w restauracji. Charles nie mieszka tu od kilku miesięcy.

Josh nie wiedział, czy śmiać się, czy płakać. Cały wieczór był dziwny. Nie rozmawiał ani nie widział się z nią tak długo, że gdy zadzwoniła, wahał się, ale miał nadzieję.

Zamiast pogodzić się z losem spotykały go niespodzianki, jedna po drugiej.

- Dlaczego nie powiedziałaś mi tego wcześniej? - spytał.

Cofnęła się wolno w stronę okna odwrócona do niego, jakby łatwiej jej było mówić do ciemności.

- Duma, złość, uczucie porażki, z którym nie mogłam sobie poradzić.

- Bałaś się, że będę cię oceniać. Oczywiście nie mam do tego prawa. - Nie próbował kryć sarkazmu.

Jennifer odwróciła się pozostając przy oknie.

- Charles jest homoseksualistą. - Wyraz twarzy Jennifer wcale się nie zmienił, zacięte usta, sztywne policzki.

- Tego wieczora, gdy cię tam zostawiłam, przez parę godzin chodziłam po mieście.

Powiedziałam Charlesowi, że spędzę weekend w Bayonne. Gdy wróciłam do domu, był w łóżku z jakimś mężczyzną.

Josh skrzywił się, trzęsąc głową z niedowierzaniem.

- Przez długi czas byłam wściekła. Byłam zraniona i zmieszana i już nie wiem, co jeszcze. Obwinałam Charlesa, a potem siebie.

Zaczęłam uważać, że to moja wina, że nie byłam wystarczająco kobieca.

- Nic nie może być mniej prawdziwe - powiedział Josh delikatnie.

Chciał ją pocieszyć, ale była wyraźnie zakłopotana. Opuściła oczy i pochyliła ramiona.

- To dlatego wyjechałaś? Żeby zrozumieć, co się stało z Charlesem?

- Musiałam zrozumieć mnóstwo rzeczy - powiedziała i spojrzała na niego. - Charlesa, śmierć mojej matki, siebie, nas.

- Doszłaś do jakichś wniosków?

- Chyba tak. Gdy wróciłam, byłam gotowa, żeby sobie ułożyć życie z tobą, gdybyś mnie zechciał. Ale wtedy

zostałam wydawcą Jolie.

- No to co? - Wściekłość, nad którą panował, zaczęła wymykać się spod jego kontroli. - Co jedno ma wspólnego z drugim?

- To wielka odpowiedzialność. - Upierała się.

- Tak samo jak prowadzenie Joshua Mandell Industries. Łzy frustracji wezbrały w jej oczach, jednak nie chciała płakać.

Miała coś powiedzieć, lecz nie chciała...

- Dlaczego mnie zaprosiłaś dziś wieczór, Jennie? Chciałaś mnie poprosić, żebym poczekał aż namyślisz się, czy mnie kochasz, czy nie? Zapomnij o tym. Skończyłem się z tobą bawić.

Nie mówiąc nic więcej Josh postawił drinka na barku i skierował się do drzwi. Jennifer została przy oknie nieruchoma, nie mogąc się ruszyć. Usłyszała jak zamknął drzwi i nagle delikatna maska utrzymywana przez miesiące i krępująca jej uczucia pękła.

- Nie odchódź! - krzyknęła i zaczęła za nim biec. Nagle przeszył ją ostry ból, zgięła się i upadła. W panice zmusiła się, żeby wstać goniąc Josha gdy dochodził do windy.

- Chciałam, żeby to był piękny wieczór. Przepraszam! Nie chciałam.

- Głos jej się załamywał. - Kocham cię! - płakała. - Ty też mnie kochaj, proszę, nie odchódź!

Jej słowa odbijały się echem o ściany korytarza rozbrzmiewając w uszach Josha jak budzik wyrywający go z głębokiego snu. Czekał tak długo na to, by to powiedziała, że teraz gdy to usłyszał nie mógł się ruszyć wpatrując się w nią.

Drzwi windy się otworzyły, a windziarz wychylił głowę.

- Czy ktoś jedzie na dół?

Serce Jennifer zabiło w piersiach jak oszalałe. Każda sekunda była wiecznością.

- Nie - powiedział Josh. - W każdym razie dziękuję.

Jennifer poczuła, że jest jej słabo.

- Chodź do środka. Porozmawiamy. - Wyciągnęła do niego rękę, ale on wciąż się nie ruszał.

- Rozmawialiśmy wystarczająco dużo. - Jego oczy były ciemne i poważne. - Kocham cię od bardzo dawna, Jennie i kocham cię teraz, ale to jest ostatnia szansa. Albo ją przyjmiesz, albo odrzucisz, ale jeśli teraz mnie odrzucisz, nigdy nie będziesz miała następnej szansy. - Uśmiechnął się przekornie. - Masz 60 sekund.

Jennifer rzuciła mu się na szyję.

- Nie potrzebuję 60 sekund - powiedziała, kochając go bardziej niż kiedykolwiek.

Szeroki uśmiech rozjaśnił twarz Josha, gdy przyciągnął ją do siebie i pocałował.

- Ale ze mnie szczęściarz, że ciebie mam.

- Już dawno powinniśmy się pobrać - powiedziała, gdy podnosił ją z podłogi i brał w ramiona.

- Tak, powinniśmy.

Pocałował ją w szyję, gdy szli z powrotem do mieszkania, kierując się od razu do sypialni.

Objęła go rękami za szyję i pocałowała, rozkoszując się znajomym dotykiem jego ust, znajomym dotykiem jego języka. Ściągnął z niej sweter. Jego dotyk rozpalał ją jak ogień.

Rozebrała się i położyła na łóżku, czekając na niego, pozwalając swojemu pożądaniu wzrosnąć. Kiedy położył się koło niej coś się w niej rozpało. Chwyliła go z pasją, jakiej nigdy przedtem nie czuła.

Czuła się inaczej, chętna, niecierpliwie pragnąca złączyć się z nim w jedno, żeby nigdy się już nie rozłączyć.

Oddała mu nie tylko ciało, ale i serce, i ducha. Jennifer przyciągnęła Josha do siebie, pożądając go całego, czując pragnienie, aby oddać mu się zupełnie. Jego miłość napełniała ją rozkosznym zadowoleniem. Gdy go tak ścisnęła, czuła strumyczek łez szczęścia. Nareszcie ośmieliła się i dokonała tego. W końcu jej życie osiągnęło spełnienie.